

oHi

^GRANT BLACKWOOD

ZŁOTO SPARTAN

Przekład **MACIEJ PINTARA**

&

AMBER

Redakcja stylistyczna Joanna Złotnicka

Korekta

Jolanta Gornóika Jolanta Kucharska

Zdjęcie na okładce © Tom Hallman

Zdjęcie autora Zbiory Clive'a Cusslera

Skład

Wydawnictwo AMBER Jacek Grzechalski

Druk

Opolgraf S.A., Opole

Tytuł oryginału Spartan Gold

Copyright © 2009 by Sandecker, RLLLP All rights reserved.

By arrangement with Peter Lampack Agency, Inc. 551 Fifth Avenue, Suite 1613 New York,

NY 10176-0187 USA

oHi

^GRANT BŁACKWOOD

ZŁOTO SPARTAN

Przekład MACIEJ PINTARA

&

AMBER

Redakcja stylistyczna Joanna Złotnicka

Korekta

Jolanta Gomółka Jolanta Kucharska

Zdjęcie na okładce © Tom Hallman

Zdjęcie autora Zbiory Clive'a Cusslera

Skład

Wydawnictwo AMBER Jacek Grzechulski

Druk

Opolgraf S.A., Opole

Tytuł oryginału Spartan Gold

Copyright © 2009 by Sandecker, RLLLP All rights reserved.

By arrangement with Peter Lampack Agency, Inc. 551 Fifth Avenue, Suite 1613 New York,

NY 10176-0187 USA

For the Polish edition

Copyright © 2010 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o. ISBN 978-83-241-3869-2

Warszawa 2011. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o. 02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63 tel. 620 40 13,620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Prolog

Wielka Przełęcz Świętego Bernarda, Alpy Pennińskie,

maj 1800

Podmuch wiatru sypnął śniegiem w nogi konia imieniem Styrie. Zwierzę parsknęło nerwowo i zбочyło ze szlaku, zanim jeździec cmoknął kilka razy i je uspokoił. Napoleon Bonaparte, cesarz Francuzów, postawił kołnierz szynela i zmrużył oczy. Na wschodzie dostrzegł poszarpany zarys Mont Blanc o wysokości ponad czterech tysięcy ośmiuset metrów.

Pochylił się w siodle i pogłaskał wierzchowca po szyi.

- Widziałeś już gorsze rzeczy, stary druhu.

Arab Styrie, którego Napoleon zdobył podczas kampanii egipskiej dwa lata wcześniej, doskonale spisywał się na polu bitwy, ale zimno i śnieg wyraźnie mu nie służyły. Urodzony i wyhodowany na pustyni, przywykł do tego, że wiatr ciska w niego piaskiem, nie lodem.

Napoleon odwrócił się i przywołał gestem swojego ordynan-sa Constanta, który stał trzy metry dalej i trzymał muły. Za nim, wzdłuż krętego szlaku, ciągnęła się kilometrami kolumna złożona z czterdziestu tysięcy żołnierzy z końmi, mułami i jaszczami.

Constant odwiązał pierwszego muła i pośpieszył naprzód. Napoleon podał mu wodze Styrie, po czym zsiadł z konia w sięgający kolan śnieg.

- Niech odpocznie - powiedział. - Chyba podkowa znów go uwiera.

- Zajmę się tym, generale.

W kraju Napoleon wolał tytuł pierwszego konsula, a podczas kampanii - generała. Nabrał powietrza do płuc, naciągnął mocniej kapelusz w kształcie pieroga i popatrzył w górę na granitowe szczyty wokół nich.

- Piękny dzień, czyż nie, Constant?

- Skoro pan tak mówi, generale - mruknął ordynans. Napoleon

uśmiechnął się pod nosem. Constant był z nim od

wielu lat i należał do wąskiego grona jego podwładnych, którym pozwalał na trochę sarkazmu. No cóż, pomyślał, Constant jest już stary i zimno przenika go do szpiku kości.

Napoleon Bonaparte, mężczyzna średniego wzrostu, barczysty, o mocnej szyi, miał orli nos, wyraziste usta i szare oczy o przenikliwym spojrzeniu.

- Laurent dał znać? - zapytał Constanta.

- Nie, generale.

General de division, czyli generał dywizji Arnaud Laurent, jeden z najbardziej zaufanych dowódców i najbliższych przyjaciół Napoleona, poprowadził dzień wcześniej oddział żołnierzy w głąb przełęczy na zwiady. Wprawdzie nie spodziewali się napotkać tu nieprzyjaciela, ale Napoleon już dawno nauczył się być przygotowany na pozornie niemożliwe. Zbyt wielu wybitnych dowódców zawiodły ich przypuszczenia. Choć tutaj największym wrogiem jego armii była pogoda i teren.

Położona na wysokości ponad dwóch tysięcy czterystu metrów Wielka Przełęcz Świętego Bernarda od wieków stanowiła główną drogę

przez góry. Tędy, przez Alpy Pennińskie na granicy Szwajcarii, Włoch i Francji, przeprowaiały się armie: Galowie w 390 roku p.n.e. ciągnęli na podbój Rzymu; w roku 217 p.n.e. Hannibal dokonał słynnego przejścia na słońcach; Karol Wielki w roku 800 wracał z Rzymu po koronacji na cesarza.

Zacne towarzystwo, pomyślał Napoleon. Nawet jeden z jego poprzedników, król Francji Pepin Krótki, szedł w 753 roku przez Alpy Pennińskie na spotkanie z papieżem Stefanem II.

Bonaparte obiecał sobie, że dowiedzie swej wielkości właśnie tu, w miejscu, gdzie inni władcy nie zdołali tego dokonać. Ogrom jego imperium przejdzie najśmielsze marzenia tamtych. Nic nie stanie mu na przeszkodzie. Ani potężne armie, ani nieprzyjazna pogoda, ani groźne góry, a już z pewnością nie jacyś austriaccy parweniusze.

Rok wcześniej, gdy jego armia podbijała Egipt, Austriacy ponownie zajęli włoskie terytorium należące do Francji na mocy pokoju w Campo Formio. Ich panowanie nie potrwa długo. Nie spodziewają się ataku o tak wczesnej porze roku, bo nawet nie przejdzie im przez myśl, że jakaś armia mogłaby pokonać Alpy Pennińskie zimą. Nie bez powodu.

Strome skalne ściany i kręte wąwozy były istnym koszmarem nawet dla pojedynczych podróżników, a cóż dopiero dla czterdziestotysięcznej armii. Od września na przełęczy leżało kilka metrów śniegu, a temperatura nie przekraczała zera. Zasy wyssokie na dziesięciu mężczyzn wylańiały się zza każdego zakrętu i groziły pogrzebaniem ludzi i koni. Nawet w słoneczne dni mgła spowijała ziemię aż do późnego popołudnia. Wichury często zrywały się znienna i powodowały takie zamiecie, że widoczność spadała do metra. A najbardziej przerażające były lawiny - ściany śniegu, nierzadko o szerokości prawie kilometra, które pędziły z hukiem w dół górskich zboczy i stawały się grobem każdego, kto znalazł się na ich drodze. Jak dotąd, dzięki Bogu, niegościnnie Alpy zabrały tylko dwustu żołnierzy Napoleona.

Bonaparte odwrócił się do Constanta.

- Meldunek kwatermistrza.

- Oto on, generale. - Ordynans wyciągnął plik kartek z wewnętrznej kieszeni płaszcza i podał Napoleonowi.

Ten przebiegł wzrokiem liczby. To prawda, że żołnierze przede wszystkim muszą mieć prowiant, pomyślał. Jego ludzie wypili dotychczas dziewiętnaście tysięcy osiemset siedemnaście butelek wina oraz zjedli tonę sera i siedemset siedemdziesiąt jeden kilogramów mięsa.

Od strony przełęczy na wprost dobiegły okrzyki:

- Laurent! Laurent!...

- Nareszcie - rzekł Napoleon.

Z zadymki wyłoniła się grupa dwunastu jeźdźców. Byli znakomitymi żołnierzami, najlepszymi, jakich miał, takimi jak ich dowódca. Mimo silnego wiatru wszyscy prosto trzymali się w siodłach, żaden nawet nie pochylił głowy. Generał Laurent osadził konia na miejscu tuż przed Napoleonem, zasalutował i zeskoczył z wierzchowca. Bonaparte uściskał go serdecznie, po czym cofnął się i skinął na Constanta. Ordynans podbiegł do Laurenta i podał mu butelkę brandy. Generał wypił solidny łyk, potem drugi i oddał butelkę.

- Melduj, stary druhu - powiedział Napoleon.

- Pokonaliśmy około trzynastu kilometrów. Ani śladu sił nieprzyjaciela. Pogoda się poprawia na mniejszych wysokościach, głębokość śniegu też maleje. Stąd będzie już tylko łatwiej.

- To dobrze... bardzo dobrze.

- Jest jedna rzecz godna uwagi. - Laurent ujął Napoleona za łokieć i odprowadził kawałek na bok. -

Coś znaleźliśmy, generale.

- Zechciałbyś to opisać?
- Lepiej, żeby pan sam to zobaczył.

Napoleon przyjrzał się uważnie twarzy starego i dostrzegł w jego oczach ledwo powstrzymywane zniecierpliwienie. Znał Laurenta od czasu, gdy obaj mieli po szesnaście lat i byli porucznikami w pułku artylerii La Fere, wiedział więc, że nie ma on skłonności do przesady. Musiał znaleźć coś naprawdę ważnego.

- Czy to daleko? - zapytał.
- Cztery godziny jazdy.

Napoleon popatrzył na niebo. Było już późne popołudnie. Nad szczytami zbierały się ciemne chmury. Nadciągała burza.

- Doskonale - rzekł i klepnął Laurenta w ramię. - Wyruszymy o brzasku.

Zgodnie ze swoim zwyczajem Napoleon spał pięć godzin i wstał o szóstej, na długo przed świtem. Zjadł śniadanie, a potem czytał nocne meldunki dowódców swoich półbrygad przy dzbanku mocnej gorzkiej herbaty. Laurent przybył ze swoim oddziałem tuż przed siódmą i wyruszyli w dolinę szlakiem przetartym przez niego dzień wcześniej.

W nocy prawie nie padało, ale porywisty wiatr uformował nowe zaspę, które tworzyły śnieżny kanion wokół Napoleona i jego jeźdźców. Konie wypuszczały obłoki pary, a przy każdym ich kroku biały puch wirował w powietrzu. Napoleon zdał się na Styrie, ufając, że arab będzie się trzymał ścieżki, a sam przyglądał się zaspom, na których wiatr wyłobił rozmaite zawijasy i spirale.

- Upiornie tu, prawda, generale? - zagadnął Laurent.
- Po prostu cicho - odparł Napoleon. - Jeszcze nigdy nie słyszałem takiej ciszy.
- Jest cudownie - zgodził się Laurent. - I niebezpiecznie.

Jak na polu bitwy, pomyślał Napoleon. Poza łożem, które dzielił z Józefiną, nigdzie nie czuł się tak dobrze jak na polu bitwy. Huk armat, trzaski muszkietów, ostry zapach prochu... Kochał to wszystko. Już niedługo, gdy tylko pokonamy te przeklęte góry... Uśmiechnął się do własnych myśli.

Jeździec na czele uniósł pięść, dając sygnał do postoju. Napoleon patrzył, jak mężczyzna zsiada z konia i brnie przez głęboki śnieg, przyglądając się uważnie zaspom. Wkrótce zniknął za zakrętem.

- Czego on szuka? - zapytał Bonaparte.

- Świt to jedna z najgorszych pór, jeśli chodzi o lawiny - wyjaśnił Laurent. - W nocy wiatr utwardza wierzchnią warstwę śniegu, tak że powstaje skorupa, ale puch pod spodem pozostaje miękki. A kiedy wszędzie słońce, skorupa zaczyna tajać. Często jedynym ostrzeżeniem jest odgłos, jakby sam Bóg grzmiał z niebios.

Niebawem prowadzący jeździec pojawił się z powrotem na szlaku. Pokazawszy gestem Laurentowi, że wszystko jest w porządku, dosiadł konia i ruszył dalej.

Jechali krętą doliną opadającą do podnóży gór. Po dwóch godzinach znaleźli się w wąskim kanionie, gdzie poszarpany szary granit przeplatał się z lodem. Jeździec na czele znów zasygnalizował postój i zsiadł z konia. Laurent zrobił to samo, a Napoleon poszedł w jego ślady. Rozejrzał się i zapytał:

- To tu?

Laurent uśmiechnął się tajemniczo.

- Tu, generale. - Odczepił dwie lampy olejne od siodła. - Pro szę za mną.

Ruszyli wzdłuż szlaku. Minęli sześć koni, których jeźdźcy stali wyprężeni na baczność, a Napoleon każdemu kiwał głową. Gdy dotarł do czoła kolumny, on i Laurent przystanęli. Po kilku minutach prowadzący jeździec wyłonił się zza wypiętrzenia skalnego po lewej stronie i dobrnął do nich przez śnieg.

- Pamięta pan sierżanta Pelletiera, generale? - spytał Laurent.

- Oczywiście - rzekł Napoleon. - Jestem do waszej dyspozycji, Pelletier. Prowadźcie.

Sierżant zaszutrował, chwycił zwój liny ze swojego siodła i zszedł ze szlaku na ścieżkę, którą właśnie wydrążył w zaspach. Poprowadził ich w górę zbocza do podnóża granitowej ściany, gdzie skręcił pod kątem prostym, pokonał jeszcze pięćdziesiąt metrów i zatrzymał się przy niszy w skale.

- Piękne miejsce - stwierdził Napoleon. - Co to jest?

Laurent skinął na Pelletiera, a sierżant uniósł muszkiet wysoko nad głowę i uderzył kolbą w skałę. Zamiast trzasku drewna o kamień Napoleon usłyszał odgłos pękającego lodu. Pelletier uderzył jeszcze cztery razy i pojawiła się pionowa szczelina. Miała ponad pół metra szerokości i prawie dwa wysokości.

Napoleon zajrzał do środka, ale zobaczył tylko ciemność.

- Latem - powiedział Laurent - wejście zasłaniają krzaki i pnącza, a zimą śnieg. Zapewne w środku jest jakieś źródło wilgoci i stąd ta warstwa lodu.

- Interesujące. Kto to odkrył?

- Ja, generale - odparł Pelletier. - Zatrzymaliśmy się, żeby konie odpoczęły, i musiałem... no... poczułem potrzebę...

- Rozumiem, sierżancie, mówcie dalej.

- Odszedłem trochę za daleko, generale, a kiedy skończyłem, oparłem się o skałę, żeby odetchnąć, i lód ustąpił za mną. Wszedłem kawałek w głąb i nie zastanawiałem się nad tym, dopóki... Powinien pan zobaczyć to na własne oczy, generale.

Napoleon zwrócił się do Laurenta.

- Byłeś w środku?

- Tak, generale. Ja i sierżant Pelletier. Nikt więcej.

- Doskonale, Laurent, pójdę za tobą.

Korytarz, który ciągnął się przez sześć, siedem metrów i był tak niski, że musieli iść zgarbieni, prowadził do skalnej groty. Idący przed Napoleonem Laurent i Pelletier odsunęli się na bok, by go przepuścić, po czym unieśli lampy i oświetlili jaskinię chybotliwym żółtym blaskiem.

Miała wymiary mniej więcej piętnaście na osiemnaście metrów i była istnym lodowym pałacem. Lód pokrywający podłogę i ściany w niektórych miejscach był gruby na kilkadziesiąt centymetrów, w innych zaś tak cienki, że widać było cień szarej skały pod spodem. Lśniące stalaktyty zwisały tak nisko, że stapały się ze stalagmitami, tworząc lodowe rzeźby w kształcie klepsydry, a sklepienie, gdzie lód był nierówny, wyglądało jak rozgwieżdżone niebo. Z głębi jaskini dochodził odgłos kapiącej wody, a z jeszcze dalszej odległości słaby świst wiatru.

- Coś wspaniałego - szepnął zachwycony Napoleon.

- Oto, co znalazł Pelletier. - Laurent oświetlił lampą jakiś przedmiot na podłodze pod ścianą.

Napoleon podszedł bliżej i rozpoznał tarczę. Miała mniej więcej półtora metra wysokości, jakieś pół metra szerokości i kształt ósemki. Była zrobiona z wikliny i pokryta spłowiałą czerwoną skórą, na której widniały zachodzące na siebie czarne kwadraty.

- Stara - ocenił Napoleon.

- Co najmniej sprzed dwóch tysięcy lat - rzekł Laurent. - O ile pamiętam, to *gerron*, tarcza, jakich używali żołnierze lekkiej piechoty perskiej.

- *Mon dieu...*

- To nie wszystko, generale. Tędy.

Lawirując między stalaktytami, poprowadził Napoleona przez jaskinię do wejścia do następnego tunelu o owalnym przekroju i wysokości nieco ponad metra.

Pelletier zdjął z ramienia zwój liny i zawiązał jej koniec wokół podstawy stalagmitu.

- Schodzimy w dół, do czeluści piekła? - zapytał Napoleon.

- Nie, generale - odparł Laurent. - Na drugą stronę. Oświetlił

owalny tunel. Kilka kroków w głąb był lodowy most,

który ciągnął się nad rozpadliną i znikał w następnym korytarzu.

- Byłeś po drugiej stronie? - spytał Bonaparte.

- Tak, most jest całkiem mocny. To oblodzona skała. Ale lepiej być ostrożnym.

Laurent zawiązał linę wokół pasa Napoleona, a potem własnego. Pelletier szarpnął przymocowany do stalagmitu drugi koniec i skinął głową.

- Proszę patrzeć pod nogi, generale - powiedział Laurent, wchodząc do tunelu. Napoleon odczekał

chwilę i ruszył za nim.

Posuwali się ostrożnie nad rozpadliną. W połowie drogi Napoleon spojrzął w dół, zobaczył tylko ciemność. Półprzezroczyste lodowe ściany opadały w mroczną otchłań.

Wreszcie dotarli na drugą stronę i pokonali następny tunel, który prowadził do drugiej lodowej jaskini, mniejszej niż pierwsza, ale z wysokim łukowym sklepieniem. Trzymając lampę przed sobą, Laurent wszedł do groty i przystanął obok dwóch kolumn

o wyglądzie oblodzonych stalagmitów. Każda miała ponad trzy metry wysokości i ścięty wierzchołek.

Napoleon podszedł do jednej z nich, zatrzymał się i zmrużył oczy. Zauważył, że to nie stalagmit, lecz słup litego lodu. Położył na nim dłoń i przyjrzał się dokładniej.

Spod lotu patrzyło na niego złote oblicze kobiety.

Mokradła Great Pocomoke, Maryland, czasy współczesne

Sam Fargo podniósł się z przysiadu i spojrzął na swoją żonę, która stała po pas w rzadkim czarnym błocie. Jaskrawożółte wodery podkreślały kasztanowy kolor jej lśniących włosów. Poczula na sobie jego wzrok, odwróciła się i, zdmuchnąwszy kosmyk włosów z policzka, spytała:

- Co się tak uśmiechasz, Fargo?

Kiedy pierwszy raz włożyła buty wędkarskie, popełnił błąd, mówiąc, że wygląda zabawnie. Zmiażdżyła go wzrokiem, więc szybko dodał, że również seksownie, ale to nie uratowało sytuacji.

- Do ciebie - odparł teraz. - Wyglądasz pięknie, Longstreet. Gdy Remi była zła na męża, zwracała się do niego po nazwi sku, a on odwzajemniał się tym samym.

Uniosła ręce ubrudzone do łokci szlamem i powiedziała, z trudem tłumiąc śmiech:

- Chyba oszalałeś. Twarz mam pokąsaną przez komary, a wło sy lepią mi się do głowy.

Podrapała się w brodę, zostawiając na niej czarny ślad.

- To tylko dodaje ci uroku.

- Kłamca.

Sam wiedział, że wbrew zniesmaczonej minie Remi jest starą wygą, niemającą sobie równych. Kiedy nastawi się na osiągnięcie celu, nic jej nie zrazi.

- No cóż - powiedziała. - Muszę przyznać, że ty też wyglądasz całkiem nieźle.

Sam uchylił w jej kierunku sfatygowanej panamy i wrócił do pracy, czyli usuwania błota z

zanurzonego kawałka drewna, w nadziei, że to część kufra.

Od trzech dni przeczesywali mokradła w poszukiwaniu choćby jednej wskazówki, że są na właściwym tropie. Żadne z nich nie miało nic przeciwko szukaniu wiatru w polu - to normalne przy poszukiwaniu skarbów - ale zawsze lepiej w końcu znaleźć ten wiatr.

Tym razem podążali śladem mrocznej legendy. Wprawdzie

o pobliskich zatokach Chesapeake i Delaware mówiono, że są cmentarzyskiem prawie czterech tysięcy wraków, lecz skarb poszukiwany przez Sama i Remi znajdował się na lądzie. Miesiąc wcześniej Ted Frobisher, zaprzyjaźniony poszukiwacz skarbów, który niedawno wycofał się z branży i skupił na prowadzeniu antykwariatu w Princess Anne, przysłał im broszkę o intrygującym pochodzeniu.

Wykonana ze złota i jadeitu, należała podobno do niejkiej Henrietty Bronson, jednej z pierwszych ofiar znanej zabójczym Marthy „Patty” (alias Lucretia) Cannon.

Według legendy Martha Cannon była twardą, bezwzględną kobietą, która w latach dwudziestych XIX wieku grasowała ze swoją bandą na dzikich obszarach wzdłuż granicy Delaware-Maryland, gdzie grabiła i mordowała bogatych i biednych, a równocześnie prowadziła zajazd w ówczesnym Johnson's Corners, czyli dzisiejszym Reliance.

Cannon zwabiała podróżnych do swojej oberży, karmiła, zabawiała, kładła do łóżek i uśmiercała w środku nocy. Zwłoki zaciągała do piwnicy i, zabrawszy wszystkie wartościowe rzeczy, układała w rogu niczym drewno na opał. Kiedy nagromadziła dość ciał, zawoziła je do pobliskiego lasu i grzebała w zbiorowej mogile. Było to przerażające, ale późniejsze zbrodnie Cannon wielu uważało za jeszcze ohydniejsze.

Cannon zorganizowała coś, co lokalni historycy nazwali „odwrotnością kolei podziemnej”¹. Porywała zbiegłych Murzynów, przetrzymywała ich związanych i zakneblowanych w wielu sekretnych pomieszczeniach oraz w prowizorycznym lochu zajazdu, po czym pod osłoną nocy przemycała do osady Cannon's Ferry, gdzie byli sprzedawani, ładowani na statki i transportowani rzeką Nan-ticoke do Georgii na targi niewolników.

Gdy w roku 1829 robotnik orzący pole na jednej z farm Cannon odkrył szczątki ciał w stanie posuniętego rozkładu, oskarżono ją o cztery zabójstwa, uznano za winną i skazano na wieloletnie więzienie. Cztery lata później zmarła w celi, prawdopodobnie wskutek zażycia arszeniku.

W następnych latach jej zbrodnie obrosły legendą. Mówiono, że uciekła z więzienia, by mordować i rabować jeszcze w wieku ponad dziewięćdziesięciu lat. Krążyły też opowieści, że jej duch wciąż włóczy się po półwyspie Delmarva i napada na niczego nie-podejrzewających turystów. Pochodzącego z rozbojów majątku Cannon - którego ponoć wydała zaledwie ułamek - nigdy nie odnaleziono. Szacowano, że jej łupy byłyby dzisiaj warte od stu do czterystu tysięcy dolarów.

Sam i Remi znali legendę o skarbie Patty Cannon, ale z braku konkretnych śladów odkładali to na przyszłość. Kiedy pojawiła się brosza Henrietty Bronson i dokładne dane, z którymi mogli rozpocząć

poszukiwania, postanowili wyjaśnić tajemnicę.

Po przestudiowaniu dawnej topografii Pocomoke, naniesieniu na mapę przypuszczalnych kryjówek Cannon i porównaniu ich lokalizacji z miejscem znalezienia broszy zawężili obszar poszukiwań do pięciu kilometrów kwadratowych. Większość tego terenu leżała w głębi bagien, labiryncie porośniętych mchem cyprysów i zakrzewionych trzęsawisk. Ustalili, że w tym rejonie, gdzie w latach dwudziestych XIX wieku było sucho, znajdowała się jedna z kryjówek Cannon.

Ich zainteresowanie skarbem Cannon nie miało nic wspólnego z pieniędzmi - przynajmniej nie dla własnej korzyści. Uzgodnili, że jeśli dopisze im szczęście i znajdą skarb, większość przekażą National Underground Railroad Freedom Center w Cincinnati w Ohio - co z pewnością rozsierdziłoby Patty, gdyby żyła, a przynajmniej jej ducha.

- Jak szedł ten wiersz o Cannon? - zapytał Sam.

Remi miała fotograficzną pamięć do szczegółów, zarówno istotnych, jak i nieistotnych dla sprawy, więc niemal bez namysłu wyrecytowała:

Uciszyć się

I idź spać

Stara Patty da o sobie znać

Siedmiu w swojej bandzie ma

Niewolników porywa, wolnych też bierze

Galopuje dzień i noc

Na czarnym ogierze.

- Zgadza się - odrzekł Sam.

Wokół nich odsłonięte korzenie cyprysów wystawały z wody niczym bezcielesne szpony jakiegoś skrzydlatego dinozaura. Po burzy, która tydzień wcześniej przeszła nad półwyspem, pozostały stopy połamanych gałęzi, przypominające zbudowane naprędce tamy bobrów. W górze rozlegały się głosy ptaków i trzepot skrzydeł. Sam, sporadycznie obserwujący ptaki, rozpoznawał czasem śpiew któregoś z nich i podawał jego nazwę Remi. Uśmiechała się w odpowiedzi i mówiła, że i śpiew, i nazwa brzmią bardzo ładnie.

Sam przekonał się, że to ćwiczenie pomaga mu w grze ze słuchu na pianinie, czego nauczyła go matka. Remi była dobrą skrzypaczką i w wolnych chwilach lubili wspólnie muzykować.

Mimo technicznego wykształcenia Sam kierował się intuicją, podczas gdy Remi, absolwentka Boston College z dyplomami antropologa i historyka, rozumowała logicznie. Ta dychotomia nie przeszkadzała im być zgraną, kochającą się parą, ale prowadziła również do zażartych sporów.

Potrafili całymi godzinami dyskutować, od czego zaczęła się angielska reformacja, który aktor był najlepszy w roli Jamesa Bonda i jak należy wykonywać *Cztery pory roku* Vivaldiego. Spory najczęściej kończyły się śmiechem, ale każde pozostawało przy swoim zdaniu.

Sam pochylił się i przesuwał dłońmi po drewnie, aż trafił na coś metalowego. Wyczuł pod palcami kabłąk w kształcie litery U i kwadratowy korpus.

Kłódka, pomyślał, i zobaczył w wyobraźni stary pokryty pękami skobel.

- Coś mam - oznajmił.

Remi odwróciła się w jego kierunku, ciekawa znaleziska.

- Ha! - Sam wyciągnął kłódkę na powierzchnię. Kiedy błotni sta breja obciekła, zobaczył błysk rdzy i srebra, a potem wypukłe litery...

„Masterlock”.

- Co to? - zapytała sceptycznie Remi. Przywykła do niekiedy przedwczesnego entuzjazmu męża.

- Znalazłem, moja droga, zabytkową kłódkę firmy Master z roku mniej więcej tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego - odparł i wydobył z wody przyczepiony do kłódki kawałek drewna. - Razem z czymś, co wygląda na słupek od furtki. - Rzucił znalezisko z powrotem do wody i wyprostował się ze stęknieniem.

Remi uśmiechnęła się do niego.

- Mój dzielny poszukiwacz skarbów. No cóż, to i tak więcej niż ja znalazłam.

Sam spojrział na zegarek Timex Expedition, który nosił tylko podczas wypraw.

- Szósta - oznajmił. - Kończymy?

Remi uśmiechnęła się szerzej.

- Już myślałam, że nigdy nie zapytasz.

Założyli plecaki i wrócili do skifu, którego zostawili kilometr dalej przy wyrzuconym na brzeg pniu cyprysa. Sam odcumował kół i zepchnął ją na głębszą wodę, brodząc po pas, a Remi szarpnęła linkę rozruchową silnika. Kiedy zaskoczył, Sam wdrapał się na pokład.

17

2 - Złoto Spartan

Remi wycelowała dziób w farwater i zwiększyła obroty. Najbliższym miastem i zarazem ich bazą wypadową było Snow Hill, niecałe pięć kilometrów w górę rzeki Pocomoke. Pensjonat, który wybrali, miał zaskakująco porządną piwnicę win i podawano w nim taką zupę z krabów, że podczas wczorajszej kolacji Remi znalazła się w kulinarnym siódmym niebie.

Płynęli w milczeniu, usypiani przez cichy warkot silnika, i patrzyli na sklepienie z gałęzi drzew nad ich głowami. Nagle Sam odwrócił się w prawo.

- Remi, zwolnij. Cofnęła

przepustnicę.

- Co jest?

Wyjął z plecaka lornetkę i podniósł do oczu. Na oddalonym o pięćdziesiąt metrów brzegu między roślinnością była wolna przestrzeń - kolejny ukryty dopływ, jakich widzieli już tuziny. Ujście częściowo blokowały gałęzie połamane przez burzę.

- Co tam widzisz? - zapytała Remi.

- Coś... sam nie wiem - mruknął. - Zdawało mi się, że zobaczyłem jakąś linię... krzywiznę czy coś takiego. Nie wyglądała naturalnie. Możesz tam podpłynąć?

Przestawiła ster i skierowała skif w stronę ujścia dopływu.

- Czyżbyś miał halucynacje? Wypiłeś dziś za mało wody? Sam

okręcił głową, nie przestając wpatrywać się w dopływ.

- Aż za dużo.

Dziób łodzi uderzył w stos gałęzi. Dopływ okazał się szerszy, niż wyglądał, miał prawie piętnaście metrów. Sam okręcił cumę dziobową wokół jednego z grubszych konarów, przerzucił nogi przez burtę i opuścił się do wody.

- Co ty robisz? - spytała Remi.

- Zaraz wrócę. Zostań tu.

- Jeszcze czego.

Zanim zdążyła powiedzieć coś więcej, Sam nabrał powietrza do płuc, zanurkował i zniknął. Dwadzieścia sekund później Remi usłyszała plusk po drugiej stronie gałęzi, a potem głęboki wdech męża.

- Sam, wszystko w porządku? - zawołała.

- Tak. Za minutę będę z powrotem.

Minuta zamieniła się w dwie, potem w trzy. W końcu Sam krzyknął przez roślinność:

- Remi, mogłabyś do mnie dołączyć?

Usłyszała znajomą nutę w jego głosie i pomyślała: „O rany”. Uwielbiała zamiłowanie Sama do przygód, ale już zaczęła sobie wyobrażać, jak dobrze się poczuje pod gorącym prysznicem.

- Po co? - zapytała.

- Coś ci pokażę.

- Właśnie zaczęłam wysychać. Nie możesz...

- Musisz to zobaczyć. Zaufaj mi.

Remi westchnęła i zsunęła się z burty do wody. Dziesięć sekund później pływała w miejscu obok Sama. Drzewa na obu brzegach dopływu tworzyły jednolite sklepienie, zamykając ich w tunelu zieleni. Tylko gdzieś tam promienie słońca oświetlały cienką warstwę alg na powierzchni.

- Cześć, miło z twojej strony, że się zjawiłaś - powitał ją Sam z szerokim uśmiechem i cmoknął w policzek.

- Dobra, mądrało, co...

Stuknął knykciami w kłodę, którą opasywał ramieniem, ale zamiast głuchego odgłosu, rozległ się metaliczny dźwięk.

- Co to jest?

- Jeszcze nie wiem... nie dowiem się, dopóki nie wejdę do środka.

- Do środka czego?

- Tędy, chodź.

Wziął ją za rękę i popłynął w głąb dopływu, którego szerokość za zakrętem zmalała do pięciu, sześciu metrów. Zatrzymał się i wskazał porośnięty pnączami pień cyprysa przy brzegu.

- Tam. Widzisz to?

Remi zmrużyła oczy i przechyliła głowę w lewo, potem w prawo.

- Nie - odparła. - Czego mam szukać?

- Wystającej z wody gałęzi, której koniec ma kształt litery T...

- Okej, widzę ją.

- Przyjrzyj się dobrze. Zmruż oczy. To pomaga.

Posłuchała go i powoli dotarło do niej, na co patrzy. Wciągnęła

gwałtownie powietrze.

- Dobry Boże, czy to... Niemożliwe.

Sam uśmiechnął się od ucha do ucha i skinął głową.

- Zgadza się. To, moja droga, jest peryskop okrętu podwodnego.

- [2](#)
- [3](#)
- [4](#)
- [6](#)
- [7](#)
- [9](#)
- [10](#)
- [12](#)
- [13](#)
- [14](#)
- [15](#)
- [16](#)
- [17](#)
- [18](#)

- [19](#)
- [□◆](#)
 - [25](#)
 - [29](#)
 - [33](#)
 - [37](#)
 - [40](#)
 - [44](#)
 - [47](#)
 - [52](#)
 - [55](#)

[1](#)

„Koleją podziemną” nazywano umownie szlak ucieczek zbiegłych niewolników amerykańskich (przyp. tłum.).

Sewastopol, Ukraina

Hadeon Bondaruk stał przy przeszklonej ścianie i patrzył na Morze Czarne. W pokoju panował mrok, bo przyćmione lampy sufitowe oświetlały jedynie narożniki gabinetu. Na Krymie zapadła już noc, ale na zachodzie, nad wybrzeżami Rumunii i Bułgarii, w ostatnich promieniach zachodzącego słońca widział linię burzowych chmur sunących nad wodą. Co kilka sekund niebo na horyzoncie przecinały żyły błyskawic. Nawałnica dotrze tu w ciągu godziny i niech Bóg pomoże głupcom, których sztorm złapie na morzu.

Albo, pomyślał Bondaruk, niech Bóg im nie pomaga. Sztormy, choroby, a także wojny to naturalne sposoby przetrzebienia stada. Nie miał cierpliwości do ludzi, którym brakowało mądrości lub siły, by się bronić przed brutalnością życia. On nauczył się tego już w dzieciństwie.

Urodził się w roku 1960 w małej turkmeńskiej wiosce na południe od Aszchabadu, wysoko w górach Kopet-dag. Jego rodzice, tak jak wcześniej ich rodzice, byli pasterzami. Żyli w geograficznej szarej strefie między Iranem a ówczesnym Związkiem Radzieckim i jak wszyscy mieszkańcy Kopet-dag żadnego z tych krajów nie uważali za swój. Ale Bondarukowi i jego rodzinie zimna wojna zgotowała inny los.

Po wybuchu w Iranie rewolucji i obaleniu szacha Związek Radziecki przerzucił do przygranicznego rejonu więcej wojska. Armia Czerwona zaczęła zakładać bazy i instalować baterie pocisków przeciwlotniczych w tej niegdyś spokojnej górskiej okolicy. Bondaruk, wówczas dziewiętnastoletni, widział, jak jego wioska traci niezależność.

Sowieccy żołnierze traktowali mieszkańców Kopet-dag jak zacofanych dzikusów. Nawiedzali wioski, by rabować żywność i porywać kobiety, strzelali do zwierząt hodowlanych dla zabawy, urządzali obławy na „irańskie elementy rewolucyjne” i dokonywali masowych egzekucji. Nie obchodziło ich, że Bondaruk i jego krajanie niewiele wiedzą o zewnętrznym świecie i polityce. Muzułmańska religia i bliskość Iranu czyniły z nich podejrzanych.

Rok później na obrzeżach wioski pojawiły się dwa czołgi, którym towarzyszyły dwie kompanie wojska. Poprzedniej nocy, oznajmił dowódca wieśniakom, ośmiu żołnierzy wpadło w zasadzkę. Poderżnięto im gardła i zabrano ubrania, broń oraz rzeczy osobiste. Wioskowa starszyzna dostała pięć minut na wskazanie sprawców pod groźbą, że cała społeczność zostanie uznana za winną.

Bondaruk słyszał, że bojownicy turkmeńskiego ruchu oporu są wspierani przez irańskich komandosów, ale nikt z jego wioski nie należał do partyzantki. Wódz nie mógł więc wskazać sprawców. Błagał sowieckiego dowódcę o litość, lecz został zastrzelony. Przez następną godzinę czołgi prowadziły ostrzał wioski, zamieniając ją w morze płonących ruin. W zamieszanu Bondaruka oddzielono od rodziny. Wraz z garstką chłopców i mężczyzn wycofał się wyżej w góry, wystarczająco daleko, żeby być bezpieczny, ale na tyle blisko, że on i inni mogli obserwować przez całą noc, jak ich domostwa są równane z ziemią. Nazajutrz wrócili do wioski i zaczęli szukać ocalałych. Znaleźli więcej martwych niż żywych, łącznie z rodziną Bondaruka, która schroniła się w meczecie, ale zginęła pod jego gruzami.

Od tego dnia coś się w nim zmieniło, jakby Bóg zaciągnął ciemną zasłonę na jego dawne życie. Zebrał najsilniejszych i najodważniejszych wieśniaków, mężczyzn i kobiety i ruszyli w góry jako partyzanci.

W ciągu pół roku Bondaruk stał się nie tylko przywódcą swoich bojowników, lecz również żywą legendą wśród Turkmenów. Jego ludzie uderzali nocą, urządzali zasadzki na sowieckie patrole i konwoje, po czym znikali w górach jak duchy. Rok po zniszczeniu rodzinnej wioski Bondaruka wyznaczono nagrodę za jego głowę. Zainteresowały się nim władze w Moskwie, uwikłane teraz nie tylko w napięty impas z Iranem i wojnę w Afganistanie, lecz również w konflikt z turkmeńską partyzantką.

Krótko po dwudziestych pierwszych urodzinach Bondaruk dostał od irańskiego wywiadu wiadomość, że jego bojownicy mają w Teheranie sojusznika, który chętnie się z nim spotka. Bondaruk się zgodził.

Człowiek, z którym się spotkał w małej kawiarni pod Aszcha-badem, okazał się pułkownikiem elitarniej organizacji paramilitarnej znanej jako Pasdaran, Strażnicy Rewolucji. Zaoferował Bondarukowi i jego ludziom broń, amunicję, szkolenie i zaopatrzenie niezbędne do prowadzenia wojny z Sowietami. Bondaruk był ostrożny, obawiając się, że przyjęcie oferowanej pomocy sprawi, iż dostaną się spod jarzma sowieckiego pod irańskie. Pułkownik zapewnił go jednak, że nie będzie żadnych warunków. Mamy wspólnych przodków, wiarę i sprawę. Czy potrzeba silniejszej więzi? Bondaruk przyjął propozycję i przez następnych pięć lat on i jego bojownicy pod kierunkiem irańskiego pułkownika nekali sowieckich okupantów.

Równie cenna była dla Bondaruka sama znajomość z pułkownikiem, który, zanim został powołany do służby rewolucji, uczył historii Persji. Perskie imperium, wyjaśnił, powstało przed blisko trzema tysiącami lat i w okresie największego rozkwitu obejmowało baseny Morza Kaspijskiego i Czarnego, Grecję, Afrykę Północną oraz znaczną część Bliskiego Wschodu. Bondaruk dowiedział się, że wielki Kserkses I, który najechał Grecję i rozgromił Spartan w bitwie o Termopile, urodził się w tych samych górach co on i podobno splodził w Kopet-dag tuziny dzieci.

Myśl o tym nigdy go nie opuszczała i dodawała mu animuszu podczas walk z Sowietami, którzy okupowali tereny przygraniczne ponad dziesięć lat. Wycofali się dopiero w 1990 roku, a wkrótce potem Związek Radziecki się rozpadł.

Armia Czerwona odeszła, ale Bondaruk nie zamierzał znów być zwykłym pasterzem i przy pomocy swego irańskiego przyjaciela przeniósł się do Sewastopola, który po upadku sowieckiego imperium stał się Dzikim Zachodem basenu Morza Czarnego. Tam, dzięki wrodzonym zdolnościom przywódczym, brutalności i skłonności do przemocy, zdobył silną pozycję najpierw na ukraińskim czarnym rynku, a potem w ukraińskiej Krasnej Mafiji, Czerwonej Mafii. W wieku trzydziestu pięciu lat Hadeon Bondaruk kontrolował praktycznie wszystkie przedsięwzięcia zorganizowanej przestępczości na Ukrainie i był multimilionerem.

Kiedy zdobył władzę i majątek, skoncentrował się na kwestii, która nie dawała mu spokoju przez wiele lat: skoro Kserkses I urodził się i dorastał w górach Kopet-dag, jego ojczyźnie, czy to możliwe, że starożytny władca i on przemierzali w młodości te same ścieżki i podziwiali te same górskie widoki? I czy - co najważniejsze

- on sam może być potomkiem perskiego króla?

Znalezienie odpowiedzi zajęło pięć lat, pochłonęło miliony dolarów i wymagało zatrudnienia sztabu historyków, archeologów i genealogów, ale zanim Hadeon Bondaruk skończył czterdziesty rok życia, był pewien, że jest w prostej linii potomkiem Kserksesa I, perskiego władcy z dynastii Achemenidów.

Od tej chwili zainteresowanie Bondaruka przerodziło się w obsesję na punkcie wszystkiego, co perskie. Wykorzystał swoje bogactwo i wpływy, by zgromadzić wspaniałą kolekcję perskich artefaktów: od czary używanej do picia podczas uroczystości weselnej Kyaksaresa, poprzez rytualne kamienne podium zaratustrian z okresu panowania dynastii Sasanidów do wysadzanego klejnotami *gerronu* noszonego przez samego Kserksesa w bitwie o Termopile.

Jego zbiór był prawie kompletny. Nikomu nie pozwalał go podziwiać, uważał bowiem, że nikt nie jest tego godny, ale przede wszystkim dlatego, że w kolekcji czegoś brakowało.

Jeszcze, pomyślał teraz. Ale wkrótce to zdobędzie. Jak na zawołanie drzwi gabinetu się otworzyły i wszedł jego sekretarz.

- Przepraszam, szefie...

Bondaruk odwrócił się od panoramicznego okna.

- O co chodzi? - spytał.

- Dzwoni pan Archipow.

- Przełącz.

Sekretarz wyszedł i cicho zamknął za sobą drzwi. Chwilę później telefon na biurku Bondaruka zadzwieczał. Hadeon podniósł słuchawkę.

- Chcę usłyszeć, że masz dobre wieści, Grigorij.

- Mam, szefie. Według moich źródeł facet prowadzi antykwariat. Strona internetowa, na której zamieścił zdjęcie, jest znanym forum dla antykwariuszy i poszukiwaczy skarbów.

- Czy ktoś zainteresował się tym szkłem?

- Parę osób, ale to nic poważnego. Na razie panuje przekonanie, że to kawałek stłuczonej butelki.

- To dobrze. Gdzie jesteś?
- W Nowym Jorku, czekam na samolot.

Bondaruk się uśmiechnął.

- Zawsze przejmujesz inicjatywę. To mi się podoba.
- Za to mi pan płaci - odrzekł Rosjanin.
- Jeśli uda ci się zabezpieczyć to szkło, dostaniesz premię. Jak zamierzasz to rozegrać z tym antykwariuszem?

Rosjanin milczał chwilę i Bondaruk niemal zobaczył ten znajomy okrutny uśmiech na jego twarzy.

- Uważam, że bezpośrednie podejście jest zawsze najlepsze, a pan? - odparł wreszcie.

Archipow ma swoje sposoby i ma też wyniki, pomyślał Bondaruk. Były komandos rosyjskiego Specnazu w ciągu dwunastu lat pracy dla niego nigdy nie zawiódł, bez względu na to, jaką brudną robotę musiał wykonać.

- Też tak sądzę - zgodził się Bondaruk. - Tylko załatw to dys kretnie.
- Zawsze tak robię.

Fakt, przyznał w duchu Bondaruk. Wielu jego wrogów po prostu zniknęło z powierzchni ziemi, tylko tyle zdołały ustalić władze.

- Zadzwoń do mnie, jak tylko czegoś się dowiesz.
- Oczywiście.

Bondaruk już miał odłożyć słuchawkę, ale przyszło mu do głowy je jeszcze jedno pytanie.

- A tak z ciekawości, Grigorij, gdzie jest antykwariat tego gościa? Tam, gdzie przewidywaliśmy?
- Bardzo blisko. W miasteczku o nazwie Princess Anne.

Snow Hill, Maryland

Sam Fargo stał u stóp schodów i opierał się łokciami o poręcz. Remi jak zwykle opóźniała wyjście. W ostatniej chwili uznała, że czarna sukienka od Donny Karan będzie trochę za elegancka do restauracji, i wróciła do pokoju się przebrać. Sam spojrzął na zegarek; martwił się nie tyle o ich rezerwację, ile o swój pusty żołądek. Burczało mu w brzuchu, odkąd wrócili do pensjonatu.

Hol był staroświecki aż do przesady, urządzonego w kiepskim stylu i ozdobionego akwarelami lokalnych artystów. W kominku trzaskał ogień, a z ukrytych głośników płynęła celtycka muzyka ludowa.

Sam usłyszał skrzypnięcie schodów i podniósł wzrok. Remi schodziła na dół w kremowych spodniach od Ralpha Laurena, kaszmirowym półgolfie i rudobrunatnym szalu zarzuconym na ramiona. Kasztanowe włosy związała w luźny koński ogon, kilka kosmyków dotykało jej smukłej szyi.

- Spóźnimy się przeze mnie? - zapytała, kiedy podał jej ramię.

Sam przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu, potem odchrząknął.

- Gdy na ciebie patrzę, mam wrażenie, że czas się zatrzymał.

- Och, daj spokój - mruknęła i ścisnęła jego biceps, co bez wątplenia oznaczało, że komplement, choć oklepany, został doceniony. - Idziemy czy jedziemy?

- Przejdźmy się. Jest piękny wieczór.

- I nie będzie ryzyka, że dostaniesz kolejny mandat.

Gdy jechali do miasta wypożyczonym bmw, Sam przekroczył dozwoloną prędkość ku irytacji lokalnego szeryfa, który właśnie jadł kanapkę z kiełbasą za przydrożnym billboardem.

- To też - przyznał.

W powietrzu czuło się lekki wiosenny chłód, ale całkiem przyjemny, a z zarośli wzdłuż chodnika dobiegało kumkanie żab. Włoska restauracja z markizą w biało-zieloną szachownicę była oddalona od pensjonatu tylko o dwie przecznice, więc spacer trwał zaledwie pięć minut. Kiedy usiedli, najpierw przestudowali kartę win i wybrali bordeaux z francuskiego regionu Barsac.

- No i jak? - zagadnęła Remi. - Jesteś pewien swego?

- Chodzi ci o... no wiesz? - szepnął konspiracyjnie Sam.

- Myślę, że możesz to powiedzieć. Wątpię, żeby ktoś podsłuchiwał.

Sam się uśmiechnął.

- Okręt podwodny. Tak, jestem pewien. Będziemy, rzecz jasna, musieli tam zejść, ale nie wyobrażam sobie, żeby to mogło być co innego.

- Ale co on tu robi? Taki kawał w górę rzeki.

- To jest tajemnica, którą musimy wyjaśnić.

- A co z Patty Cannon?

- Może poczekać parę dni. Zidentyfikujemy okręt podwodny, zaprzęgniemy Selmę i pozostałych do rozwikłania zagadki, a potem wrócimy do naszej socjopatycznej morderczynie i porywaczki niewolników.

Remi zastanowiła się chwilę, po czym skinęła głową.

- Czemu nie. Życie jest krótkie.

Selma Wondrash, przypominająca instruktora musztry szefowa trzyosobowej grupy badawczej Sama i Remi w San Diego, była wdową. Jej mąż, oblatywacz samolotów wojskowych, zginął w katastrofie lotniczej przed dziesięcioma laty. Poznali się w Budapeszcie na początku lat dziewięćdziesiątych. Ona studiowała na uniwersytecie, on był pilotem myśliwskim na przepustce. Selma mieszkała w Stanach Zjednoczonych już od piętnastu lat, ale nie pozbyła się całkowicie węgierskiego akcentu.

Kiedy uzyskała dyplom Uniwersytetu Georgetown i obywatelstwo amerykańskie, zaczęła pracować w Zarządzie Zbiorów Specjalnych Biblioteki Kongresu. Po jakimś czasie skaptowali ją Sam i Remi. Selma okazała się nie tylko świetną szefową, ale również doskonałym jednoosobowym biurem podróży i guru logistyki. Organizowała im przemieszczanie się z miejsca na miejsce z wojskową sprawnością.

Sam i Remi uwielbiali badawczy aspekt ich zajęcia, natomiast Selma i członkowie jej zespołu wręcz tym żyli. Wygrzebywali fakty, znajdowali tropy i rozwiązywali rozmaite zagadki, które pojawiały się w trakcie pracy. Wiele razy zapobiegli fiasku przedsięwzięcia.

Słowo „praca” nie było precyzyjnym określeniem tego, co robili Sam i Remi. Nie chodziło im bowiem o pieniądze, lecz o przeżycie przygody i rozwój Fundacji Fargo. Fundacja ta, założona przed dziesięcioma laty, wspierała finansowo ochronę przyrody, opiekę nad zwierzętami oraz pomoc chorym i maltretowanym dzieciom. Tylko w zeszłym roku przekazała różnym organizacjom prawie pięć milionów dolarów. Znaczną część tej kwoty dali Sam i Remi, reszta pochodziła od prywatnych donatorów, zachęconych do wsparcia Fundacji dzięki licznym relacjom medialnym o dokonaniach jej założycieli.

To, że Sam i Remi mogli robić to, co lubią, było dobrodziejstwem, którego żadne z nich nie uważało za rzecz oczywistą. Oboje ciężko pracowali, by dojść do tego etapu ich życia.

Ojciec Remi, obecnie na emeryturze, prowadził firmę budowlaną wznoszącą domki letniskowe wzdłuż wybrzeża Nowej Anglii. Matka, lekarz pediatra, napisała kilka bestsellerów

o wychowywaniu dzieci. Remi, tak jak ojciec, ukończyła Boston College, gdzie uzyskała dyplomy antropologa i historyka, a potem zajęła się badaniem starożytnych szlaków handlowych.

Ojciec Sama, zmarły przed kilkoma laty, był jednym z czołowych inżynierów NASA i uczestniczył w realizacji programów „Mercury”, „Gemini” oraz „Apollo”. Kolekcjonował rzadkie książki i zaraził tą pasją syna. Matka, Eunice, mieszkała w Key West i mimo siedemdziesiątki na karku prowadziła czarterową łódź dla amatorów nurkowania i wędkowania na pełnym morzu.

Sam również poszedł w ślady ojca, a choć nie z własnego wyboru, ukończył z wyróżnieniem studia inżynierskie w Caltech, Kalifornijskim Instytucie Technologicznym, i zdobył kilka trofeów jako gracz

w lacrosse i piłkę nożną.

Pod koniec studiów dostał ofertę pracy z DARPA, Agencji Zaawansowanych Badawczych Projektów Obronnych, gdzie na zlecenie rządu konstruowano i testowano najnowocześniejsze urządzenia dla wojska i wywiadu. Wprawdzie zaproponowano mu pensję dużo niższą niż to, co mógłby zarobić w cywilu, ale skusiła go twórcza inżynieria i możliwość służenia krajowi, więc się zgodził.

Po siedmiu latach odszedł z DARPA z mglistą wizją wprowadzenia w życie niektórych własnych pomysłów i wrócił do Kalifornii. Dwa tygodnie później w klubie jazzowym Lighthouse w Hermosa Beach poznał Remi. Sam wpadł do klubu na zimne piwo, Remi świętowała tam sukces wyprawy naukowej poszukującej hiszpańskiego statku zatopionego w pobliżu zatoki Abalone.

Żadne z nich nie nazwałoby tego spotkania przypadkiem „miłości od pierwszego wejrzenia”, ale zgodnie twierdzili, że był to przypadek „pewności po pierwszej godzinie”. Pół roku później wzięli ślub i urządzili skromne przyjęcie w Lighthouse - klubie, w którym się poznali.

Remi zachęciła Sama do założenia własnej firmy i już po roku trafili na żyłę złota w postaci argonowego skanera laserowego, który mógł na odległość wykrywać i identyfikować mieszanki

1 stopy metali, od złota i srebra po platynę i pallad. O licencję na używanie wynalazku Sama zabiegali nie tylko poszukiwacze skarbów, ale także uniwersytety, korporacje i przedsiębiorstwa górnicze, więc po dwóch latach roczny zysk Fargo Group wyniósł trzy miliony dolarów, a po czterech zaczęły napływać oferty zakupu firmy. Sam i Remi wybrali najkorzystniejszą i dostali tyle pieniędzy, że mogli żyć wygodnie do śmierci.

- Przeprowadziłem małe badania, kiedy byłaś pod pryszni cem - powiedział Sam. - Z tego, co ustaliłem, wynika, że możemy mieć do czynienia z czymś naprawdę ciekawym.

Przyszedł kelner z koszykiem ciepłej ciabatty i spodkiem oliwy, po czym przyjął zamówienie: kalmary w czerwonym sosie i borowiki na przystawkę, pasta z muszlami świętego Jakuba i homar w sosie pesto dla Sama oraz ravioli z krewetkami i krabami w białym sosie bazyliowym dla Remi.

- Co masz na myśli? - zapytała. - Okręt podwodny to nie okręt podwodny?

- Na Boga, kobieto, zamilcz - odparł Sam z udawanym przerażeniem.

Mocną stroną Remi była antropologia i historia starożytna, on natomiast pasjonował się historią II wojny światowej, co odziedziczył po ojcu, który służył w piechocie morskiej podczas walk na Pacyfiku. Sam nie mógł się nadziwić, że Remi nie obchodzi, kto zatopił „Bismarcka” czy dlaczego bitwa o Ardeny miała tak duże znaczenie.

Chyba nikt nie dorównywał jej pod względem znajomości antropologii i historii starożytnej, ale podchodziła do zagadnień analitycznie, podczas gdy Sam uważał, że historia to dzieje prawdziwych ludzi, którzy robili prawdziwe rzeczy. Ona rozkładała wszystko na czynniki pierwsze, on - marzył.

- Przepraszam za gafę - powiedziała.

- Wybaczam ci. Sprawa wygląda tak: biorąc pod uwagę wielkość dopływu, to nie może być pełnowymiarowy okręt podwodny. Zresztą peryskop jest o wiele za mały.

- Więc to minikódz podwodna.

- Zgadza się. Ale na peryskopie jest mnóstwo roślinności. Co najmniej z kilkudziesięciu lat. I jeszcze jedno: o ile wiem, cywilne łodzie podwodne - do badań, sporządzania map i tak dalej - nie mają peryskopów.

- Więc to łódź wojskowa.

- Najwyraźniej. Miniaturowy okręt podwodny.

- Miniaturowy okręt podwodny w górze Pocomoke, trzydzieści parę kilometrów od jej ujścia... - mruknęła Remi. - Okej, przyznaję, że mnie zaciekawiłeś. Jestem zaintrygowana.

Sam się uśmiechnął.

- To rozumiem. Po kolacji pojedziemy do Princess Anne i zobaczymy, co nam powie Ted. Zdążył zapomnieć więcej legend

o tym rejonie, niż większość ludzi kiedykolwiek pozna. Jeśli ktokolwiek może wiedzieć, czym jest to coś, to właśnie on.

- Sama nie wiem... Robi się późno i wiesz, jak Ted nie znosi gości. Ted Frobisher, przy całym swoim geniuszu i miękkim sercu,

nie był towarzyski. Antykwariat Teda prosperował nie dzięki jego umiejętności współżycia z ludźmi, lecz jego rozległej wiedzy

i przedsiębiorczości.

- Mała niespodzianka dobrze mu zrobi - odparł Sam.

Po tiramisu na deser, tak pysznym, że na chwilę zaniemówili, wrócili spacerkiem do pensjonatu. Wzięli z pokoju kluczyki do bmw i pojechali do Princess Anne, najpierw na północny zachód autostradą 12, a potem na południowy zachód autostradą 13. Wieczorne niebo zasnuły chmury i wkrótce na przednią szybę spadły pierwsze krople deszczu.

- Chyba jedziesz za szybko - zauważyła Remi, marszcząc brwi. Podobało jej się bmw, ale nie ukryta żyłka kierowcy wyścigowego, którą wyzwalalo w jej mężu.

- Bez obaw, nie przekraczam dozwolonej prędkości - odparł. - Czy kiedykolwiek miałem wypadek?

- Wtedy w Bombaju...

- O, nie. Jeśli sobie przypominasz, opony były prawie całkiem łyse, ścigał nas bardzo wkurzony facet bardzo dużą wywrotką i nie rozbiłem się, tylko po prostu... opuściłem drogę.

- Od biedy można by to tak nazwać.

- Powiedziałbym, że to dokładny opis.

- Więc dobrze, ale wtedy w Szkocji...

- Okej, to była moja wina.

- Nie rób sobie wyrzutów, Sam. Tamto torfowisko wyskoczyło nam przed maskę nie wiadomo skąd.

- Bardzo śmieszne.

- Ale wydobyłeś nas z niego i to się liczy.

Wydobył. Wykorzystując zwój liny, lewarek, pniak, gałąź jako dźwignię i podstawowe prawa fizyki.

Jechali w milczeniu, obserwując ciemny krajobraz, dopóki nie pojawiły się przed nimi światła Princess Anne. Miasto - czy osada, jak wielu miejscowych kazało je określać - wzięło nazwę od córki króla Jerzego II. Mieszkało tam dwa tysiące dwieście osób, nie licząc studentów University of Maryland Eastern Shore. Gdy przed laty Sam i Remi przyjechali tu po raz pierwszy, zgodnie uznali, że gdyby nie samochody na ulicach i elektryczne oświetlenie, można by pomyśleć, że zostało się przeniesionym do Marylandu sprzed wojny o niepodległość, tak staroświecko wyglądały niektóre rejony osady.

Dotarłszy autostradą 13 do centrum, Sam skręcił na wschód w Mount Vernon Road, a półtora kilometra dalej na północ w East Ridge Road i wkrótce znaleźli się na obrzeżach miasteczka. Dom, w którym na parterze mieścił się antykwariat Frobishera, a na piętrze jego mieszkanie, stał prawie pół kilometra od drogi na końcu obsadzonego klonami podjazdu.

Kiedy Sam dotarł do skrzyżowania, minął ich czarny buick lucerne sedan. Wyjechał z podjazdu, kierując się na południe do Mount Vernon Road. Reflektory bmw oświetliły przednią szybę buicka i Sam dostrzegł Frobishera na siedzeniu pasażera.

- To był Ted - powiedziała Remi.

- Widziałem - odparł Sam w zamyśleniu.

- O co chodzi?

- Sam nie wiem... Nie podobała mi się jego mina.
- O czym ty mówisz?
- Wyglądał na... wystraszonego.
- Ted Frobisher zawsze wygląda na wystraszonego. Albo na niezadowolonego. To jego dwa jedyne wyrazy twarzy, wiesz o tym.
- Tak, wiem - mruknął Sam. Zatrzymał bmw, zawrócił i ruszył za buickiem.
- O rany - westchnęła Remi. - Zaczyna się.
- Nie przejmuj się. To pewnie nic takiego.
- W porządku. Ale obiecaj mi, że jeśli staną przy jakiejś restauracji, zawrócisz i zostawisz biedaka w spokoju.
- Obiecuję.

Buick nie stanął przy żadnej restauracji ani nie jechał długo główną drogą, tylko skręcił na południe w Black Road. Latarnie uliczne dawno zniknęły, więc Sam i Remi podróżowali w całkowitej ciemności. Mżawka zamieniła się w rzęsy deszcz i Sam musiał włączyć wycieraczki.

- Dobrze widzisz w nocy? - zapytał żonę.
- Tak... a czemu pytasz?

W odpowiedzi Sam zgasił reflektory bmw i przyspieszył, zmniejszając dystans do tylnych świateł buicka. Remi spojrzała na męża zmrużonymi oczami.

- Naprawdę się niepokoisz?

Skinął głową.

- Tak, mam złe przeczucia. Ale może się myłę.
- Trochę mnie przerażasz, Sam.

Wyciągnął rękę i ścisnął jej dłoń.

- Czy kiedykolwiek wpakowałem nas w kłopoty...
- Wtedy w...
- ...i nie wydobylem nas z nich?
- Nie.
- Mamy zasięg?

Remi wyjęła swoją komórkę i sprawdziła.

- Nie.
- Cholera. A mapę?

Remi pogrzebała w schowku pod deską rozdzielczą, znalazła mapę i rozłożyła ją.

- Tu nic nie ma - powiedziała po minucie. - Żadnych domów, farm... To pustkowie ciągnie się kilometrami.
- Robi się coraz ciekawiej.

Światła hamulcowe samochodu przed nim rozbłysły raz, potem drugi. Buick skręcił w prawo i zniknął za drzewami. Sam dojechał do zakrętu w samą porę, by zobaczyć, że buick znów skręca, tym razem w lewo, na podjazd oddalony jakieś sto metrów od drogi. Wyłączył silnik i opuścił szybę pasażera. Reflektory buicka zgasły, rozległ się odgłos otwierania i zamykania drzwi, a kilka sekund później drugich.

Po chwili dobiegł ich głos:

- Hej... spokojnie!

Głos Frobishera. Wyraźnie wzburzony.

- To przesądza sprawę - stwierdził Sam.
- Co chcesz zrobić? - spytała Remi.
- Jedź do najbliższego domu albo gdzieś, gdzie będziesz miała zasięg i wezwij policję. Ja...
- Nic z tego, Sam.
- Remi, proszę...
- Nie ma mowy.
- Remi...
- Tracimy czas.

Sam znał swoją żonę wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie ustąpi. Zaparła się i już.

- Okej, ale bez żadnych głupstw, dobra?
- Ciebie też to dotyczy.

Uśmiechnął się szeroko i mrugnął do niej.

- Czyż nie jestem uosobieniem ostrożności? - rzekł i od razu dodał: - Nie odpowiadaj.
- Gdy się powiedziało a... - zaczęła Remi.
- To trzeba powiedzieć b - dokończył Sam.

33

3 - Złoto Spartan

Nadal bez świateł, Sam podjechał wolno w głąb drogi, starając się omijać wyboje. Pięćdziesiąt metrów od podjazdu wyłączył silnik.

- Zostaniesz w samochodzie? - spytał.

Spojrzała na niego ze zmarszczonymi brwiami.

- Cześć, chyba się nie znamy. - Wyciągnęła rękę. - Remi Fargo.

Sam westchnął.

- Rozumiem.

Po omówieniu strategii na wypadek najgorszego scenariusza dał Remi swoją kurtkę i wysiedli.

Zeszli z drogi do rowu odwadniającego, który z obu stron zasłaniała wysoka trawa, i ruszyli w stronę podjazdu.

Co kilka kroków przystawali na chwilę i nasłuchiwali. Wreszcie dotarli do podjazdu, wyszli z rowu i dalej ruszyli między drzewami. Po kilkunastu sekundach znaleźli się na skraju polany.

Miała prawie hektar powierzchni i zapełniały ją cylindryczne kształty. Jedne wielkości garażu, inne kompaktowego samochodu, leżały pod różnymi kątami jak rozrzucone bierki. Kiedy wzrok Sama przyzwyczał się do ciemności, uświadomił sobie, że to złomowisko kotłów. Nie wiedział, skąd się wzięły na środku pustkowia w Marylandzie, ale niewątpliwie pochodziły z różnych źródeł - parowozów, statków i fabryk. Bębnienie deszczu o stalowe korpusy kotłów rozbrzmiewało echem wśród drzew.

- To ostatnia rzecz, jaką spodziewałam się tu znaleźć - szepnęła Remi.

- Ja też - przyznał Sam. Pomyślał, że porywacz Teda albo dobrze znał tę okolicę, albo starannie się przygotował przed przyjazdem tutaj. Żadna z tych możliwości nie napawała optymizmem.

Buick stał na środku polany, ale Frobisher i kierowca zniknęli bez śladu. Najwyraźniej zagłębili się w labirynt kotłów. Po co tu przyjechali? - zastanawiał się Sam. Pierwsza odpowiedź, jaka

przyszła mu do głowy, zmroziła go. Nie miał pojęcia, co planuje porywacz Teda, ale jedno wydawało się pewne: ten człowiek potrzebował prywatności. Albo miejsca do porzucenia ciała. Albo jednego i drugiego. Sam poczuł przyspieszone bicie serca.

- Przeszukamy większy teren, jeśli się rozdzielimy - zaproponowała Remi.

- Wykluczone - odparł. - Nie wiemy, co to za facet i do czego jest zdolny.

Już miał wyjść zza drzewa, gdy wpadł na pewien pomysł. Buick lucerne. Buick... GMC. Wciągnął Remi z powrotem do kryjówki.

- Zaczekaj tu, zaraz wrócę.

- Co...

- Nie ruszaj się stąd. Nie odejdę daleko.

Rozejrzał się, a gdy nie dostrzegł żadnego ruchu, podbiegł do buicka i ukucnął przy drzwiach kierowcy. Pomodlił się w duchu i sięgnął do klamki. Drzwi otworzyły się i lampka wewnątrz samochodu rozblęła. Natychmiast zamknął je z powrotem.

Cholera! Dobrze, że nie rozległ się sygnał przypominający

o pozostawieniu kluczyka w stacyjce.

Trzeba zaryzykować, nie ma wyjścia.

Ponownie otworzył drzwi, wśliznął się do środka, zamknął je za sobą i odczekał pół minuty, wyglądając co chwilę na zewnątrz. Nic się nie ruszało. Rozejrzał się po samochodzie i od razu znalazł to, czego szukał. W panelu na desce rozdzielczej był przycisk z napisem „OnStar”. Sam go wcisnął. Po dwudziestu sekundach z głośników radiowych dobiegł głos:

- Tu Dennis z OnStar, czym mogę służyć?

- Miałem wypadek - wystękał Sam. - Jestem ranny. Potrzebuję pomocy.

- Gdzie pan jest?

- Eee... nie wiem.

- Proszę poczekać. - Minęło pięć sekund. - W porządku, zlokalizowałem pana w pobliżu Black Road na zachód od Princess Anne w Marylandzie.

- To by się zgadzało.

- Zawiadomiłem dyspozytora w tamtym rejonie. Pomoc jest w drodze.

- Kiedy tu dotrą? - wychrypiał Sam, starając się udawać rannego kierowcę.

- Za sześć do siedmiu minut. Zostanę z panem...

Ale Sam już wśliznął się z samochodu i zamknął za sobą drzwi. Wyjął z kieszeni scyzoryk, przedziurawił wentyl w lewym tylnym kole, przeczołgał się wokół auta na drugą stronę i, zrobiwszy to samo z prawą oponą, wrócił sprintem do Remi.

- OnStar? - zapytała z uśmiechem.

Sam pocałował ją w policzek.

- Wielkie umysły rozumują podobnie.

- Kiedy przybędzie kawaleria?

- Za sześć, siedem minut. Byłoby dobrze wynieść się stąd wcześniej. Nie jestem w nastroju do odpowiadania na pytania.
- Ja też nie. Jestem w nastroju do wypicia ciepłej brandy.
- Gotowa do malej zabawy w chowanego?
- Prowadź.

Mieli nadzieję na znalezienie śladów stóp w błocie, więc przecięli polanę i zaczęli się posuwać ścieżkami i tunelami, które tworzyło cmentarzysko kotłów. Zamiast śladów Sam znalazł dwa kawałki pręta zbrojeniowego. Krótszy wręczył Remi, a dłuższy zostawił sobie. Pokonali około piętnastu metrów, gdy usłyszeli słaby głos.

- Nie wiem, o czym pan mówi... Jaki kawałek?

To był Ted.

Męski głos coś odpowiedział, ale ani Sam, ani Remi nie zdołali zrozumieć słów.

- O to chodzi? To kawałek butelki. Nic ważnego.

Sam wyęczył słuch, próbując zlokalizować miejsce rozmowy. Po chwili wskazał gestem łuk uformowany przez kocioł, który na wpół runął na sąsiedni. Remi skinęła głową. Kiedy przeszli pod łukiem, głosy stały się wyraźniejsze.

- Chcę, żebyś mi powiedział, gdzie dokładnie to znalazłeś -mówił niezidentyfikowany mężczyzna z wyraźnym wschodnioeuropejskim akcentem.
- Już panu mówiłem, że nie pamiętam. Gdzieś na rzece.
- Pocomoke?
- Tak.
- A konkretnie?
- Czemu pan to robi? Nie rozumiem, co...

Rozległo się plaśnięcie, jakby coś twardego uderzyło w ciało. Ted stęknął i usłyszeli plusk. Najwyraźniej upadł w kałużę.

- Wstawaj!
- Nie mogę.
- Powiedziałem, wstawaj!

Sam dał Remi znak, żeby zaczekała, podkraść się naprzód, przywarł do kotła i wyjrzał zza krzywizny.

Między dwoma kotłami wielkości pikapów klęczał Ted Frobi-sheer z rękami związanymi na plecach. Jego prześladowca stał kilkadziesiąt centymetrów przed nim, w lewej dłoni trzymał latarkę, a w prawej rewolwer, z którego celował Tedowi w pierś.

- Powiedz mi, gdzie to znalazłeś, to odwiezę cię do domu - obiecywał. - Będziesz mógł zapamiętać o tym wszystkim.

Łże jak pies, pomyślał Sam. Kimkolwiek jest ten człowiek, nie przywiózł tutaj Teda, żeby go odstawić z powrotem do domu i położyć do łóżka. „Bardzo przepraszam za wszystko i życzę dobrej nocy...” Nie, bez względu na to, czy ten mężczyzna dostanie to, co chce, czy nie, los Teda będzie przesądzony, jeśli szybko nie zadziałają.

Sam wpadł na pewien pomysł. Wolałby elegantsze rozwiązanie, ale nie mieli na to ani czasu, ani środków. Poza tym prostota jest często najlepsza. Wrócił do Remi.

Opisał jej scenę, której był świadkiem, i przedstawił swój plan.

- Wygląda na to, że chcesz wykonać najniebezpieczniejszą część - zauważyła.

- Mam całkowite zaufanie do twojego celu.

- I mojego wyczucia czasu.

- To też. Zaraz wrócę.

Zniknął między drzewami na pół minuty, wrócił i wręczył Remi kamień wielkości grejpfruta.

- Dasz radę wspiąć się jedną ręką? - spytał, wskazując głową zardzewiałą drabinkę konserwacyjną, która biegła w górę najbliższego kotła.

- Gdy usłyszysz głośny głuchy łomot w ciemności, będziesz miał odpowiedź.

Pochyliła się, złapała przód koszuli Sama i pocałowała go.

- Słuchaj, Fargo. Staraj się wyglądać na nieszkodliwego i, na litość boską, bądź ostrożny. Jeśli dasz się zabić, nigdy ci tego nie wybaczę.

- To jest nas dwoje - odparł i, chwyciwszy swój kawałek pręta zbrojeniowego, pobiegł w kierunku, z którego przyszedł, po czym skręcił w prawo i zaczął zataczać koło.

Po jakimś czasie stanął i spojrzał na zegarek. Od jego rozmowy z OnStarem upłynęło sześć minut. Nie mógł dłużej czekać.

Wetknął pręt za pasek spodni, wziął uspokajający oddech i ruszył dalej. Gdy wyłonił się zza kotła, zobaczył w ciemności światło latarki. Zatrzymał się i zawołał:

- Hej, wszystko tam w porządku?

Nieznamy mężczyzna odwrócił się błyskawicznie i oślepił go latarką.

- A ty coś za jeden? - burknął.

- Przejeżdżałem tędy - odparł Sam. - Zauważyłem samochód i pomyślałem, że może komuś się zepsuł. Mógłby pan nie świecić mi w oczy?

Z oddali dobiegł dźwięk syren.

Mężczyzna odwrócił się z uniesioną bronią z powrotem do Teda i znów do Sama.

- Hola, człowieku, po co ta splota? - spytał Sam.

Podniósł ręce do góry i dał krok naprzód.

- Nie ruszaj się! Stój tam, gdzie jesteś!

- Staram się tylko pomóc. - Sam wstrzymał oddech i zrobił następny krok.

Przygotuj się, Remi...

- Jeśli pan chce, żebym sobie poszedł, to żaden problem... -dodał głośniej, aby mieć pewność, że żona go usłyszy.

Po chwili dostrzegł na tle ciemnego nieba cień szybujący łukiem ze szczytu kotła. Kamień wydawał się lecieć nieskończenie długo, ale wreszcie wylądował z przyprawiającym o mdłości trzaskiem na prawej stopie mężczyzny. Remi trafiła w cel. Wprawdzie rzut w głowę uprościłby sprawę, mógłby jednak zabić faceta, a nie potrzebowali takiej komplikacji.

Mężczyzna jęknął i zatoczył się do tyłu. Sam w jednej chwili doskoczył do niego i wyrzucił pręt, który wyjął zza paska lewą ręką. Facet zamachał rękami, próbując odzyskać równowagę, i prawie mu się udało, ale Sam trafił go prawym hakiem prosto w podbródek. Broń i latarka poleciały do góry i na boki. Rewolwer wylądował z młaskiem w błocie, a latarka potoczyła się w kierunku Teda. Sam dostrzegł kątem oka, że za Tedem pojawia się Remi. Pomogła mu wstać i oboje rzucili się do ucieczki.

Nieznajomy leżał na plecach i jęczał z bólu. Twardy gość, pomyślał Sam. Mój cios powinien go zamrozić. Przełożył pręt do prawej ręki.

Głos syren narastał.

Sam podniósł latarkę i zaczął szukać rewolweru. Dostrzegł go niespełna metr dalej, był do połowy zanurzony w błotnistej kałuży. Podważył rewolwer czubkiem buta, wsunął pod niego stopę i kopnął daleko między drzewa.

Odwrócił się do mężczyzny i skierował snop światła na jego twarz. Nieznajomy zmrużył oczy przed blaskiem. Miał pociągłą, ogorzałą twarz, małe oczka i najwyraźniej wielokrotnie złamany nos, od którego grzbietu biegła głęboka blizna kończąca się tuż powyżej skroni. Nie tylko twardy, pomyślał Sam, ale i okrutny. Mówi to jego spojrzenie.

- Nie sądzę, żebyś chciał mi powiedzieć, kim jesteś i co tu robisz

- zagadnął.

Mężczyzna zamrugał gwałtownie i wyrzucił z siebie jakieś słowo. Rosjanin, pomyślał Sam. Miał jakieś takie pojęcie o rosyjskim, wystarczające do celów turystycznych, ale akurat tego słowa nie znał. Mógł tylko przypuszczać, że miało coś wspólnego z jego matką albo z utrzymywaniem stosunków cielesnych, albo z jednym i drugim.

- Nie zabrzmiało to przyjaźnie - stwierdził. - Spróbujmy jeszcze raz: kim jesteś i jaką miałeś sprawę do naszego przyjaciela?

Znów przekleństwo, tym razem kilkuwyrazowe.

- Nie powiesz - rzekł Sam. - No cóż, życzę więcej szczęścia następnym razem.

Powiedziawszy to, pochylił się, zamachnął prętem zbrojeniowym i zdzielił faceta za uchem. Miał nadzieję, że nie za mocno. Stalowy pręt nie jest najdelikatniejszą z broni. Mężczyzna jęknął i zwiotczał.

- Mam nadzieję, że więcej się nie spotkamy - oznajmił Sam, odwrócił się i zaczął biec.

Wypij to - powiedział Sam, wręczając Tedowi koniakówkę ciepłej brandy.

- Co to jest? - warknął Frobisher. Przygoda na cmentarzysku kotłów nie zmieniła jego usposobienia, ale przecież Ted nie byłby Tedem, gdy był pogodny.

- Po prostu to wypij - odparła Remi i poklepała go po ręku.

Frobisher pociągnął łyk, skrzywił się i pociągnął drugi.

Sam włożył następne polano do kominka i przycupnął obok żony na małej dwuosobowej kanapie. Frobisher siedział naprzeciwko nich w fotelu z uszakami, otulony flanelowym pledem po gorącym prysznicu.

Zostawiwszy tajemniczego porywacza leżącego w błocie, Sam popędził do bmw, w którym Remi i Ted na niego czekali. Decyzję, żeby zniknąć, zanim zjawi się policja, podjął instynktownie.

Wprawdzie nie zrobili nic złego, ale wplątanie się w śledztwo naraziłoby ich na kontakt z porywaczem, a intuicja podpowiadała Samowi, że im dalej będą się od niego trzymać, tym lepiej.

Wskoczył do samochodu i pomknęli z powrotem Black Road, a potem skręcili na zachód w Mount Vernon Road. Pół minuty później zobaczyli, jak zza zakrętu za nimi wyjeżdżają dwa wozy na sygnale i kierują się na Black Road. Na polecenie Sama Remi zawróciła, stanęła na poboczu i zgasiła światła. Oczekała, aż policyjny radiowóz i wóz strażacki dotrą do cmentarzyska kotłów, po czym ruszyła do Princess Anne. Czterdzieści minut później byli w swoim pokoju w pensjonacie.

- Jak się czujesz? - zapytał Sam Teda.

- A jak myślisz? Zostałem porwany i zaatakowany.

Frobisher miał około sześćdziesięciu pięciu lat i wianuszek siwych włosów wokół łysej głowy. Nosił połówki okularów w stylu Bena Franklina, przez które patrzył jasnoniebieskimi łzawiącymi oczami. Poza tym, że przemókł, zmarzł i doznał wstrząsu, jedyną pozostałością po ciężkim przeżyciu był siny i mocno spuchnięty prawy policzek, gdzie napastnik zdzielił go rewolwerem.

- Zostać porwanym i zaatakowanym to lepiej, niż zostać porwanym, zaatakowanym i zabitym - zauważył Sam.

- Chyba tak - zgodził się Frobisher i wymamrotał coś pod nosem.

- Co powiedziałeś, Ted?

- Że jestem wam wdzięczny za uratowanie mnie.

- Założę się, że wykrztuszenie tego niełatwo ci przyszło - odrzekła Remi.

- Nawet nie masz pojęcia. Ale naprawdę wam dziękuję. Obojgu.

Dopił brandy i wyciągnął rękę z koniakówką po więcej. Remi

mu dołąła.

- Więc co się wydarzyło? - spytał Sam.

- Już spałem, kiedy obudziło mnie walenie w drzwi. Zapytałem, kto tam, i usłyszałem, że Stan Johnston z sąsiedztwa. Powiedział, że jego żona Cindy zachorowała, a ich telefon nie działa.

- Mi eszka tu jaki ś Stan J ohnston?

- Oczywiście. Mieszka na następnej farmie na północ.

Sądząc po akcencie napastnika, pomyślał Sam, nie jest miejscowy, czyli zaplanował akcję tak starannie, że dowiedział się nawet nazwisk sąsiadów Teda.

Podczas pracy w DARPA Sam miał wystarczająco dużo kontaktów z oficerami zadaniowymi CIA, by poznać sposoby ich rozumowania i działania. Porywacz Frobishera był zawodowcem. Ale na czyich usługach? I jakie dostał zlecenie?

- Więc otworzyłeś drzwi... - podpowiedziała Remi.

- Więc otworzyłem drzwi, a on wtargnął do środka, przycisnął mnie do podłogi i przystawił mi rewolwer do głowy. Zaczął krzyczeć i wypytywać...

- O co?

- O pewien kawałek szkła. To nic ciekawego, fragment butelki do wina. Chciał wiedzieć, gdzie to mam, więc mu powiedziałem. Wtedy związał mi ręce jakąś taśmą, poszedł do mojego sklepu i przewrócił go do góry nogami, przy okazji niszcząc Bóg wie co, po czym zjawił się z powrotem z tym kawałkiem szkła i zaczął wypytywać, gdzie go znalazłem.

- A gdzie go znalazłeś?

- Dokładnie nie pamiętam. Naprawdę. Wędkowałem na Pocomoke na południe od Snow Hill i...

- Ty wędkujesz? - Sam był szczerze zaskoczony. - Od kiedy?

- Od zawsze, idioto. A co, myślałeś, że tylko siedzę w sklepie cały dzień i głaszczę talerze i świecidełka? Więc jak mówiłem... wędkowałem i coś złowiłem. Stary skórzany but. Szkło było w środku.

- Masz jeszcze ten but?

- A co ja jestem, śmieciarz? Wrzuciłem go z powrotem do wo dy. To był jakiś stary zgniły but.

Sam uniósł ręce w uspokajającym geście.

- Okej, okej. Mów dalej. Zaczął cię wypytywać i...
- Zadzwoił telefon.
- To byłem ja.
- Zapytał, czy spodziewam się kogoś, więc powiedziałem, że tak, mając nadzieję, że sobie pójdzie. Ale nie. Zaciągnął mnie do samochodu i wywiózł w tamto miejsce, cokolwiek to jest. Resztę wiecie.
- Miał to szkło przy sobie - mruknął Sam. - Powiniennem był go przeszukać.
- Ile razy mam ci powtarzać, że ten kawałek szkła to nic wartościowego. Bez etykiety, bez żadnego napisu... Tylko z jakimś dziwnym symbolem.
- Jakim?
- Nie pamiętam. Jest zdjęcie na mojej stronie internetowej. Umieściłem je tam w nadziei, że ktoś będzie wiedział, co to takiego.
- Remi, możesz...? - zaczął Sam.

Zanim dokończył, wstała, wyjęła ich laptopa, postawiła na stoliku do kawy i włączyła. Pół minuty później spytała:

- To jest to szkło, Ted? - Odwróciła laptopa, żeby mógł zoba czyć.

Spojrzał zażawionymi oczami na ekran i skinął głową.

- Tak. Sami widzicie, że to nic takiego.

Sam przysunął się bliżej do Remi i popatrzył na zdjęcie. Kawałek szkła wyglądał na wklęsłe denko zielonej butelki po winie. Pośrodku widniał jakiś symbol. Remi go powiększyła.



- Nic mi to nie mówi, a tobie? - powiedział Sam.
- Mnie też nie - odparła. - Orientujesz się, co to jest, Ted?
- Nie, już wam mówiłem.
- Nie miałeś żadnych dziwnych telefonów ani mejli w tej sprawie? Nikogo nie zaciekawilo to szkło?

Frobisher jęknął.

- Nie, nie i jeszcze raz nie. Kiedy będę mógł wrócić do domu? jestem zmęczony.
- To nie jest dobry pomysł, Ted - odrzekł Sam.
- Dlaczego?
- On wie, gdzie mieszkasz...
- To po prostu jakiś psychol. Prawdopodobnie na haju. A szkło to tylko kawałek butelki po winie, na litość boską, i on je ma. Koniec sprawy.

Wątpię, pomyślał Sam. Nie sądził, żeby porywacz Teda był świrem albo ćpunem. Z jakiegoś powodu ktoś uznał ten kawałek zielonego szkła za bardzo ważny. Na tyle, że warto dla niego zabić.

Siedemdziesiąt kilometrów dalej Grigorij Archipow leżał nieruchomo pod nisko zwisającymi gałęziami drzewa i śledził każdy krok zastępcy szeryfa hrabstwa Somerset. Kierowca holownika pomocy drogowej właśnie kończył przyczepiać buicka. Jakaś część umysłu Archipowa kazała mu działać, ale stłumił tę chęć. Mógłby bez trudu zaskoczyć zastępcę szeryfa i kierowcę holownika, pozbyć się ich, zabrać jeden z ich pojazdów i rozplątać się w ciemności. Sprawiłoby mu to dużą satysfakcję, ale wiedział, że miałby potem więcej problemów, niż ta przyjemność była warta. Zabicie policjanta spowodowałoby zorganizowanie obławy i ustawienie blokad drogowych, może nawet zaangażowanie w śledztwo FBI, a to wszystko nie pomogłoby mu w wykonaniu zadania.

Ocknął się po ciosie w głowę, kiedy blisko niego rozbłysło światło i rozległy się syreny. Otworzył oczy i zdał sobie sprawę, że patrzy prosto w parę reflektorów. Nie ruszał się, pewien, że zobaczy postacie biegnące w jego kierunku. Ale nikt się nie zjawił, więc przetoczył się wolno na brzuch i odczołgał za kotły, a potem między drzewa, gdzie teraz leżał.

Nie ruszaj się, rozkazał sobie. Zostanie tutaj, niewidoczny, i zaczeka, aż tamci odjadą. Wypożyczone auto zabezpieczono wraz z fałszywym prawem jazdy i odpowiednio spreparowaną kartą kredytową, które nie mogły naprowadzić policji na żaden trop. Deszcz zamienił złomowisko w bagno, nie było więc żadnych śladów walki, które mogłyby wzbudzić ciekawość policji. W tej chwili, pomyślał Archipow, mają tylko porzucony samochód i zgłoszenie wypadku w OnStar, co prawdopodobnie uznają za żart jakichś małolatów.

Musiał przyznać, że to była sprytna sztuczka. Tak jak zasadzka na niego. Czuł się upokorzony, choć jako zawodowiec doceniał

pomysłowość tamtych i ich zimną krew. Bolała go stopa, ale wolał nie ryzykować jej oglądania, dopóki nie był sam. Błoto częściowo zamortyzowało uderzenie, ale dwa najmniejsze palce prawdopodobnie miał złamane. Bolesne, ale nie unieruchamiające. Miewał już dużo gorsze urazy. W Specnazie złamana kość rzadko uzasadniała korzystanie z pomocy medycznej. A w Afganistanie... mu-dżahedini byli zawziętymi wojownikami, którzy niczego nie lubili bardziej niż starcia twarzą w twarz, walki na noże. Przypominały mu o tym jego blizny. Grigorij Archipow wiedział, że ból to

tylko stan umysłu, nic więcej.

Zastanawiał się, kim byli tajemniczy wybawcy Frobishera. Nie miłosiernymi samarytanami, to pewne. Ich działania świadczyły

o umiejętnościach, odwadze i zaradności. Przyjaciele Frobishera, powiedział tamten gość. Wyrwało mu się. Archipowowi to wystarczyło. Znajdzie ich. Miał nadzieję, że wcześniej niż będzie musiał zdać raport swojemu pracodawcy.

Tak, bez wątpienia łączyły ich bliskie więzy z antykwariu-szem. Inaczej nie narażaliby dla niego życia. A skoro Frobisher nie chciał mu zdradzić, gdzie znalazł ten kawałek szkła, może tamta para będzie bardziej rozmowna.

Jeśli nie, to trudno, wyrówna po prostu rachunki i pójdzie dalej swoją drogą. Wykazali się pomysłowością, urządzając na niego zasadzkę, więc powinien znaleźć równie oryginalną metodę rewanżu.

Rzeka Pocomoke

Jak oceniasz szanse, że Ted zostanie tam, gdzie jest? -zapytała Remi, pociągając linkę przyczepnego silnika.

Sam wszedł na dziób łodzi i odepchnął ją nogą od pomostu.

- Chyba przemówiłem mu do rozsądku, ale z Tedem nigdy nic nie wiadomo. Antykwariat to całe jego życie.

Poprzedniej nocy przepytawali Frobishera jeszcze pół godziny, a kiedy poznali całą historię, Sam zamówił w recepcji łóżko polowe i położył podchmielonego trzema brandy Teda spać.

Następnego ranka po śniadaniu przekonali go, że powinien zrobić sobie wakacje, po czym wykonali kilka telefonów i znaleźli dom przy plaży na wyspie Fenwick, który należał do przyjaciela pewnego przyjaciela ich przyjaciela. Było nieprawdopodobne, żeby ktoś wytropił tam Teda. Nie wiedzieli, czy Frobisher zechce tam zostanie, ale przecież nie mogli go zwięzać.

Zastanawiali się, czy angażować się dalej. Zgodnie ze swoim charakterem i ideałami libertarianizmu Ted odrzucił propozycję zawiadomienia władz. Nie pałał miłością do rządu, uważając go za mało użyteczny, i twierdził, że policja sporządzi raport i odłoży do akt, z czym Sam i Remi byli skłonni się zgodzić. Wątpili, aby porywacz Teda zostawił ślady umożliwiające wszczęcie śledztwa.

Kiedy rozważyli wszystkie za i przeciw, Sam postanowił, że będą się trzymali pierwotnego planu zidentyfikowania miniaturowego okrętu podwodnego uwięzionego w dopływie rzeki, a potem wrócą do poszukiwań skarbu Patty Cannon.

Remi uruchomiła napęd, odwróciła skif i skierowała w dół rzeki. Silnik warczał cicho w chłodnym porannym powietrzu.

- Jeden dzień nie robi żadnej różnicy - powiedziała, patrząc na niebo.

- Święta racja - przyznał Sam.

Deszcz ustał tuż przed świtem i na błękitnym niebie widniały tylko pierzaste obłoki. Wzdłuż brzegów rzeki świergotały ptaki. Nad wodą wisiała lekka mgiełka, ale powierzchnia była gładka, z wyjątkiem miejsc, gdzie wyłaniały się ryby, by schwytać nieostrożną muchę lub innego owada.

- Czy już ci mówiłam, że jestem z ciebie duma? - zagadnęła Remi.

- Dlatego że znalazłem dla nas croissanty?

- Nie, głuptasie. Dlatego że ostatniej nocy zachowałeś się jak prawdziwy bohater.

- Tak, mówiłaś. Dzięki. Ale nie zapominaj, że miałem fantastyczną pomoc. Bez ciebie nic bym nie zdziałł.

Remi wzruszyła ramionami i się uśmiechnęła.

- Wyglądałeś bardzo sexy, cały ubłocony i z tym prętem w dłoni. Jak jaskiniowiec.

- Hm... A tak przy okazji, przykro mi z powodu twojego swetra.

Kaszmierowy golf Remi nie przetrwał nocnej przygody. Nabrał

wyraźnego i niedającego się usunąć odoru mokrej kozy.

- To tylko sweter. Jest do zastąpienia... czego nie da się powiedzieć o wszystkim - stwierdziła Remi z ciepłym uśmiechem.

- Jakbym nie wiedział - odparł Sam.

- Mam nadzieję, że dokładasz wszelkich starań, aby to się nie powtórzyło - powiedział Hadeon Bondaruk.

Archipow tak mocno ścisnął telefon przy uchu, że zbiały mu knykcie.

- Naturalnie. Trzech z moich najlepszych ludzi już jest. Oceniam, że tamci mają nad nami godzinę przewagi.

- Co to za jedni? - spytał Bondaruk.

Archipow ustalił tożsamość wybawców Frobishera bez większego trudu.

Kiedy zastępca szeryfa i holownik pomocy drogowej odjechali, na wpół truchtając, na wpół utykając, dotarł do najbliższej farmy, gdzie znalazł za stodołą starego pikapa z kluczykami w środku. Wrócił nim do antykwariatu, zaparkował za garażem, wszedł do domu i po dziesięciu minutach znalazł to, czego szukał. Frobisher miał w swoim rolodexie tylko kilkadziesiąt nazwisk. Połowę tego spisu stanowili jego partnerzy handlowi, a drugą prywatni znajomi, wśród których było jedynie osiem małżeństw. Po szybkich poszukiwaniach w Google Archipow wiedział to, co chciał.

Dom Frobishera był oddalony zaledwie o pięć minut jazdy od dworca autobusowego linii Greyhound w Princess Anne. Archipow zostawił pikapa w bocznej ulicy, a tablice rejestracyjne wrzucił do pobliskiego śmietnika.

Dwadzieścia minut później zabrał swój plecak z wynajętego schowka i zameldował się w pobliskim Motelu 6 na inne fałszywe prawo jazdy, a zapłacił spreparowaną kartą kredytową.

- Sam i Remi Fargowie - odpowiedział teraz Bondarukowi. - Są...

- Wiem, kim są. Poszukiwaczami skarbów, w dodatku dobrymi. Cholera! To zły znak. Ich obecność nie mogła być przypadkowa. Frobisher najwyraźniej zorientował się, co ma, i ich wezwał.

- Wątpię. Przesłuchiwałem swego czasu setki ludzi i potrafię rozpoznać, kiedy ktoś kłamie. Frobisher mówił prawdę, jestem tego pewien.

- Możesz mieć rację, ale na wszelki wypadek przyjmij, że kłamał i działaj tak, jakby Fargowie szukali tego samego co my.

- Tak jest, szefie.

- Kiedy wyruszasz?

- Łódź jest już gotowa. - Mając nazwisko Fargów, Archipow bez trudu ustalił, za co płacili kartą kredytową, i trop doprowadził go do wypożyczalni łodzi w Snow Hill. - Niedługo ich dogonię.

Sam zaznaczył położenie dopływu na mapie, więc znaleźli go bez trudu. Po nocnym deszczu w ujściu nagromadziło się jeszcze więcej gałęzi. Wyglądało teraz jak myśliwska zasiadka, patchwork ze zwiędłych i wciąż zielonych liści. Remi podpłynęła do sterty i przywiązała faleń do jednego z grubszych konarów. Pozwolili łodzi dryfować, dopóki linka się nie naprężyła i Sam nie nabrał pewności, że gałąź się nie złamie. Remi zsunęła się do wody i wyszła na brzeg. Sam podpłynął do żony, podał jej dwa worki marynarskie ze sprzętem, chwycił się jej wyciągniętej ręki i wdrapał na ląd.

Z workami na ramionach ruszył pierwszy przez wysoką trawę i zarośla wzdłuż rzeki, skręcił i po przebyciu kilku metrów dotarł do brzegu dopływu. Tak jak poprzedniego dnia sprawiał nieco upiorne wrażenie, tunel zieleni wydawał się oddzielony od reszty świata.

Sam pomyślał, że to wrażenie ma coś wspólnego z obwieszonym algami peryskopem, który wystawał z wody zaledwie kilkadziesiąt centymetrów przed nimi niczym szyja jakiegoś potwora morskiego.

- Trochę tu strasznie - szepnęła Remi, obejmując się ramionami, jakby dla ochrony przed chłodem.
- Więcej niż trochę. - Sam położył worki na ziemi i zatarł ręce. - Ale nie ma strachu, gdy Fargo wie tu są.
- Tylko obiecaj mi jedno - poprosiła.
- Tak?
- Po tej akcji robimy sobie wakacje. Prawdziwe wakacje.
- Wybierz miejsce, pani Fargo.

Najpierw trzeba opuścić się na dół, określić ogólny stan miniaturowego okrętu podwodnego, poszukać jakichś oznaczeń umożliwiających jego identyfikację i znaleźć wejście. Tego ostatniego celu Sam jeszcze nie zdradził żonie, bo wiedział, że nie pozwoli mu wejść do wraka. I słusznie, musiał to przyznać.

Uważał jednak, że dzięki jego umiejętności nurkowania i solidności Remi poradzą sobie z każdym problemem, jaki się pojawi.

Wzięli ze sobą maskę nurka, skrócone płetwy, wodoszczelne latarki z zapasowymi bateriami oraz cztery zwoje nylonowej liny holowniczej i trzy bloki z ryglownikami do unieruchomienia okrętu podwodnego, żeby się nie zsunął podczas inspekcji Sama. Jeśli do niej dojdzie.

Dodatkowo poprzedniego dnia Sam poprosił Selmę, żeby przysłała mu Fedexem trzy butle ratunkowe Spair Air. Powietrza w każdej z nich wystarczało na mniej więcej sześćdziesiąt oddechów, czyli dwie do pięciu minut.

- Znam tę twoją minę, Fargo - powiedziała Remi. - Chcesz wejść do środka, tak?
- Tylko jeśli to będzie bezpieczne. Wierz mi, kochanie, że dostałem wystarczający zastrzyk adrenaliny ostatniej nocy. Nie zamierzam ryzykować bez potrzeby.
- Okej.

49

4 - Złoto Spartan

Sam zsunął się z brzegu do wody. Dopłynawszy do peryskopu, chwycił go, szarpnął i potrząsnął kilka razy. Wydawał się solidny. Przywiązał do peryskopu dwie liny, które rzuciła mu Remi. Potem ona przymocowała przeciwległe końce do bloków z ryglownika-mi, a następnie do pobliskich drzew. Sam wyszedł z wody, oboje zakręcili kołami zapadkowymi i liny się naprężyły. Sam szarpnął każdą z nich.

- Trzymają - oznajmił. - No dobra, teraz się rozejrzę. Trzy minuty, nie więcej.
- Chcesz, żebym...
- Ciii... - szepnął, kładąc palec na usta.

Odwrócił głowę, nasłuchując. Po kilku sekundach z oddali dobiegł słaby warkot silnika.

- Płynię w naszą stronę - powiedział Sam.

- Pewnie wędkarze.

- Pewnie tak. Ale po ostatniej nocy...

Samowi nie dawało spokoju, że ich minokręt podwodny jest blisko miejsca, gdzie Ted znalazł kawałek szkła. Było mało prawdopodobne, aby jedno wiązało się z drugim, ale całkiem prawdopodobne, że porywacz Teda postanowił przeszukać ten rejon Pocomoke.

Sam ukucnął przy jednym z worków, pogrzebał w środku, wyjął lornetkę i pobiegł wzdłuż brzegu z powrotem do skifu. Remi ruszyła za nim. Opadli na kolana w wysokiej trawie i Sam skierował lornetkę w górę rzeki.

Kilka sekund później zza zakrętu wyłoniła się motorówka. Było w niej czterech mężczyzn - jeden za sterem, jeden na dziobie

i dwóch na rufie. Sam spojrzał na twarz sternika. Przecinała ją głęboka blizna.

- To on - mruknął.

- Chyba żartujesz - odparła Remi.

- Chciałbym.

Do łodzi! - wychrypiał Sam, zsuwając się do wody.

Niecałe pół kilometra w górę rzeki motorówka skręciła w ujście innego dopływu, który mężczyzna na dziobie obserwował przez lornetkę. Sam usłyszał głos Blizny, a potem czyjąś odpowiedź:

- *Niet.*

Super. Więcej ruskich mięśniaków.

Dopłynął żabką do miejsca, gdzie przywiązał faleń skifu, odwiązał go i, chwyciwszy się knagi dziobowej, zerknął przez ramię. Motorówka zawróciła i teraz płynęła w ich stronę.

- Sam...

- Widzę ich.

Sam owinął faleń wokół dłoni i przy pomocy Remi wspiął się na brzeg.

- Ciągnij! - szepnął. - Mocno!

Razem pociągnęli faleń. Dziób skifu uderzył o brzeg, po czym zaczął pełznąć w górę pochyłości.

Motorówka była trzysta metrów od nich. Mężczyźni wpatrywali się w przeciwległy brzeg, ale Sam wiedział, że to się może zmienić w każdej chwili. Jedno przypadkowe spojrzenie i będzie po nich.

- Ciągnij, Remi.

Znów pociągnęli faleń. Sam rozstawił nogi i zaparł się piętami o ziemię, mięśnie nabrzmiały mu z wysiłku. Dziób łodzi wyłonił się zza krawędzi skarpy, ale teraz poddany działaniu grawitacji silnik elektryczny zaczął stawiać opór. Skif zsunął się w dół.

- Musimy szarpnąć mocniej - wydyszał Sam. - Na trzy. Je den... dwa... trzy!

Skif pokonał krawędź i znalazł się na brzegu. Sam i Remi wciągnęli go głębiej w trawę.

- Padnij! - syknęła ostrzegawczo Remi.

Dała nura na ziemię, Sam poszedł w jej ślady ułamek sekundy później. Zamarli w bezruchu i starali się uspokoić oddech.

- Myślisz, że się udało? - spytała Remi.

- Wkrótce się okaże. Jeśli zrobi się gorąco, uciekaj. Biegnij do lasu i nie oglądaj się.

- Nie...

- Ciii...

Warkot silnika motorówki narastał z każdą sekundą. Po chwili usłyszeli głos Blizny:

- Widać coś?

- Nic. A czego szukamy?

- Trzyipółmetrowego skifu.

- Nie mogą być po tej stronie. Tu nic nie ma. Muszą być po drugiej. Tam jest mnóstwo dopływów, w których można się ukryć.

- Dobra.

Warkot silnika zaczął się oddalać. Był coraz cichszy, aż w końcu Sam i Remi słyszeli tylko jego odległe echo.

Sam podniósł się do klęku i spojrzał ponad trawę na rzekę.

- Nie widzę ich. Chyba. Skręcili w inny dopływ. Remi

przetoczyła się na plecy i odetchnęła z ulgą.

- Dzięki Bogu.

Sam wyciągnął się obok niej. Położyła głowę na jego ramieniu.

- Co robimy? - zapytał. - Zostajemy czy wracamy?

Nie zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Zaszliśmy już tak daleko, że szkoda byłoby zostawić tajemnicę niewyjaśnioną.

- Oto kobieta, którą kocham - rzekł Sam z uśmiechem.

- Lekkożywna i nierozważna?

- Nie, odważna i zdecydowana.

- *You saypotayto, Isaypotahto...* - zanuciła Remi.

- Do dzieła, pani Fargo - powiedział Sam.

Sam założył maskę do nurkowania. Remi stała na brzegu z rękami na biodrach i niewyraźną miną.

- Chcę się tylko rozejrzeć - uspokoił ją. - Będę oszczędzał po wietrze na wypadek, gdybyśmy mogli wejść do środka. Pewnie do tego nie dojdzie, ale gdyby przesunął się w moim kierunku, kiedy będę na dole, po prostu cofnij go blokami z powrotem. Jeśli nie wrócę, powiedzmy, za cztery do sześciu godzin, będziesz mogła zacząć się martwić.

- Dowcipas.

- Zostań na gospodarstwie, wrócę.

Sam włączył latarkę, odetchnął głęboko i zanurkował. Za ledwie kilkadziesiąt centymetrów pod powierzchnią pełna alg woda przybrała ciemnozieloną barwę i widoczność spadła niemal do zera. Osad i fragmenty roślin wirowały w snopie światła latarki. Sam czuł się jak uwięziony w jakiejś koszmarnej szklanej kuli.

Natrafił ręką na coś twardego. Kadłub. Płynął dalej, przesuając dłonią po jego krzywiznie, aż w końcu w blasku latarki pojawiło się dno. Kil spoczywał na stercie zatopionych kłód w chwiejnej równowadze, ale wystarczająco stabilnie, by Sam poczuł ulgę, że okręt nie przewróci się na niego. Ból w płucach przeszedł w pieczenie, więc wrócił na powierzchnię.

- Wszystko w porządku? - zapytała Remi, kiedy złapał od dech.

- Tak. Okręt stoi mniej więcej pionowo. Wracam na dół.

Zanurkował ponownie i tym razem ocenił średnicę kadłuba,

kiedy go mijał. Przy kilku skręcił w stronę rufy. Mniej więcej w połowie drogi wymacał jakiś wspornik, który wystawał z kadłuba

i biegł poziomo. Przez chwilę nie mógł się połapać, co to jest. Gdzieś już widział coś takiego... Kiedy sobie uświadomił, co widzi, poczuł ucisk w żołądku.

Stelaż torpedowy.

Zatrzymał się i poświecił latarką wzdłuż dna. Czy jedna z tych pozornie nieszkodliwych zatopionych kłód to torpeda?

Popłynął dalej ku rufie i po chwili zobaczył zwężający się jak cygaro koniec miniokrętu. Z boku sterczał ster głębokości. Kiedy do niego dotarł, wyprostował się i uniosł w górę kadłuba. Ukazał się ostatni kawałek układanki. Z górnej powierzchni kadłuba wystawał pionowy cylinder wysokości około pół metra i o średnicy równej szerokości ludzkich ramion.

Właz.

Sam wynurzył się i dopłynął do brzegu, gdzie Remi pomogła mu wyjść z wody. Zdjął płetwy i maskę i przez chwilę zbierał myśli.

- I co? - zapytała.
- W jednym z worków jest szara teczka na akta. Mogłabyś mi ją przynieść?

Wróciła z teczką po kilkunastu sekundach. Sam przez parę minut przerzucał luźne kartki, wreszcie wyjął jedną i podał żonie.

- Moich - przeczytała. - Co to, na Boga?...
- „Moich” znaczy „salamandra” - wyjaśnił Sam. - Tak nazywano klasę miniaturowych okrętów podwodnych produkowanych w nazistowskich Niemczech w 1944 roku.

Moich, budowany dla Kriegsmarine przez bremeńską stocznnię A.G. Weser, był konstrukcją doktora Heinricha Dragera. Miał nieco ponad dziesięć i pół metra długości, niecałe dwa metry szerokości i metr od pokładu do kila. Jego załogę stanowił jeden człowiek, uzbrojenie składało się z dwóch torped G7e na stelażach z prawej i lewej burty. Moich mógł schodzić na głębokość trzydziestu siedmiu metrów, miał zasięg do pięćdziesięciu mil morskich, a jego maksymalna prędkość w zanurzeniu wynosiła trzy węzły - umiarkowane tempo piechura.

Jako broń ofensywna - jak większość niemieckich miniaturowych okrętów podwodnych - nie odnosił sukcesów. Sterowanie nim było trudne, nurkowanie prawie niemożliwe, a ograniczony zasięg uzależniał molcha od okrętów pomocniczych, które musiały go wspierać i przemieszczać.

- Jesteś pewien, Sam? - spytała Remi.
- Całkowicie. Wszystko pasuje.
- Jakim cudem się tu znalazł?
- To jedno nie pasuje. Z tego, co czytałem, te miniokręty podwodne operowały tylko u wybrzeży Holandii, Danii i Norwegii oraz na Morzu Śródziemnym. Nie ma żadnych wzmianek, że kiedykolwiek rozmieszczono je tak daleko na zachodzie.
- Ile ich było?
- Prawie czterysta. Większość zatonała albo zaginęła. To były śmiertelne pułapki, Remi. Tylko szaleńcy zgłaszali się do służby na miniaturowych okrętach podwodnych.
- Wspomniałeś o jednoosobowej załodze. Nie sądzisz...
- Nie dowiem się, dopóki tam nie wejdę.
- A drugie urocze słowo, którego użyłeś: torpeda?

- To nie jest pewne. Moim zdaniem wylądował tak daleko w górze rzeki, bo przez ponad sześćdziesiąt lat popychały go tam fale sztormowe. Prawdopodobnie obie torpedy - jeśli w ogóle był w nie uzbrojony - odpadły dawno temu.
- To już jakieś pocieszenie - odrzekła Remi. - Chociaż nie dla pechowego rybaka, który pewnego dnia złowi jedną z nich.
- Musimy kogoś o tym zawiadomić: straż przybrzeżną albo marynarkę wojenną.
- Nie wszystko naraz.
- Słusznie. Krok pierwszy: upewnić się, że okręt nie stoi na dwóch niewykorzystanych sześćdziesięcioletnich torpedach.

Używając jednej z butli ratunkowych Spair Air, Sam zbadał dno pod molchem od dziobu do rufy, stukając ostrożnie w każdą kłodę czubkiem noża nurkowego i modląc się, żeby nie rozległ się metaliczny dźwięk. Szczęście ich nie opuszczało: słyszał tylko cichy głuchy odgłos zbutwiałego drewna.

Wygląd kłód blisko szczytu sterty, na których wciąż pozostały resztki kory, wskazywał, że miniokręt spoczywa tu od niedawna, zepchnięty przez sztorm z głównego koryta rzeki. Jeśli tak, to torpedy stanowiące uzbrojenie okrętu leżały w głównym korycie Pocomoke, gdzieś między tym miejscem a zatoką jakieś trzydzieści kilometrów na południe.

Logiczna teoria, ale tylko teoria, pomyślał Sam.

Skończył badać dno i przystąpił do następnego zadania. Wprawdzie nie widział żadnych zewnętrznych uszkodzeń kadłuba, ale nie oznaczało to, że okręt nie jest zalany w środku, a jeśli tak, nie mieliby szczęścia. Moich, chociaż mały w porównaniu ze swoimi odpowiednikami, wcale nie był lekki, ważył jedenaście ton. Dodając do tego ilość wody, która mogła się zmieścić w środku, ten miniaturowy okręt byłby dla nich jak „Titanic” i liny z blokami na nic by się nie zdały.

Posuwając się ku dziobowi, Sam co kilkadziesiąt centymetrów stukał knykciami w kadłub i nasłuchiwał echa. Rozlegał się tylko pusty odgłos. Cholera, czyżby mieli szczęście...

Wrócił na powierzchnię i wspiął się na brzeg.

- Mam dobrą i złą wiadomość - oznajmił. - Którą chcesz najpierw?
- Dobrą.
- Jestem na dziewięćdziesiąt procent pewien, że nie ma tam torped, a na dziewięćdziesiąt dziewięć, że okręt nie jest zalany w środku.
- A zła wiadomość?
- Jestem tylko na dziewięćdziesiąt procent pewien, że nie ma tam torped.
- No cóż - odparła Remi - jeśli się mylisz, to przynajmniej odejdziemy razem, i to z hukiem.

Następną godzinę Sam spędził na przymocowywaniu lin do okrętu. Po kilka razy sprawdzał ich rozmieszczenie, kąty i punkty zakotwiczenia do trzech bloków z ryglownikami, które ulokowali w kształcie wachlarza wzdłuż brzegu, a każdy przywiązali do pnia dużego drzewa. Końce lin owinał wokół knagi dziobowej, dookoła włazu i wokół wału śruby.

Podczas przygotowań dwukrotnie słyszeli warkot silnika łodzi i za każdym razem czołgali się przez trawę do punktu obserwacyjnego z widokiem na rzekę. W pierwszej łodzi płynęli dwaj wędkarze. W drugiej siedzieli Blizna i jego ludzie. Kierowali się z powrotem w górę rzeki w stronę Snow Hill, zwalniając przy ujściu każdego dopływu. Blizna sterował, a jeden z pozostałych mężczyzn kłęczał na dziobie i obserwował farwater przez lornetkę. Po dziesięciu minutach zniknęli za zakrętem. Sam i Remi odczekali pięć minut, by mieć pewność, że tamci naprawdę się wynieśli, po czym wrócili do pracy.

Chociaż miniokręt wypełniało tylko powietrze, ruszenie go z miejsca wymagało siły użytej we właściwy sposób. Sam zrobił odpowiednie obliczenia i przedstawił Remi swój plan.

- Otwarcie włazu spowoduje zalanie wnętrza - powiedział. - Jeśli wrak zatonie, to przepadło. Ale jeśli utrzyma się na wodzie, dobra nasza.

Powtórzyli plan jeszcze raz i zajęli pozycje, Sam przy środkowym bloku, Remi przy rufowym.

- Gotowa? - zawołał.
- Tak.
- Jak tylko zobaczysz, że zsuwa się z kłód, zacznij kręcić.
- Dobra.

Sam zaczął obracać kołem zapadkowym, nasłuchując dźwięku naprężającej się liny i skrzypienia stali. Pół minuty i czterdzieści obrotów później z wody dobiegł cichy trzask i peryskop molcha powoli ruszył w ich stronę.

Rozległ się następny przytłumiony trzask i Sam zobaczył w wyobraźni, jak kłody pod kilem pękają. Poczł lekkie drżenie pod stopami, gdy lina się poluzowała.

- Teraz, Remi, naj szybciej j ak mozesz!

Oboje zaczęli kręcić kołami. Po dziesięciu sekundach lina Sama znów się napięła. Podbiegł do bloku dziobowego i obracał nim, dopóki lina nie zadrgała od naprężenia. Zerknął w stronę Remi i zobaczył, że jej lina też wibruje.

- Okej, stop!

Zastygła w bezruchu.

- Cofnij się, połóż na brzuchu i czekaj na mój sygnał, że wszystko gra.

Gdyby któraś lina pękła z przeciążenia, urwany koniec wystrzeliłby do tyłu z zabójczą siłą.

Sam ruszył naprzód, przesuwając dłonią po linie i czując jej drżenie. Gdy dotarł do brzegu dopływu, spojrzł w dół.

- Uwielbiam fizykę - szepnął.

Moich opierał się o skarpe pod kątem trzydziestu stopni. Pokryty szlamem właz wystawał z wody, a peryskop dotykał gałęzi drzew.

Remi wyrosła u boku męża.

- O kurczę - szepnęła.

- Niezły, co?

Okręcili drugą linę wokół włazu, zwolnili blok dziobowy i rufowy, złożyli otaczające je liny na pół i przywiązali do drzew bliżej brzegu. Trzymając się jednej z nich, Remi ostrożnie weszła na pokład. Zaskrzypiał, przesunął się i zanurzył na kilka centymetrów.

- Panie przodem? - spytał Sam, wskazując głową właz.

- Pewnie.

- Masz. - Rzucił jej młotek.

Złapała go w powietrzu, klęknęła obok włazu i ostukała cztery dźwignie ryglujące. Potem odłożyła młotek i spróbowała je poruszyć. Ani drgnęły. Musiała trzy razy powtarzać cały proces, zanim zdołała je poluzować i przesunąć każdą ze zgrzytem.

Wzięła głęboki oddech, spojrzała na Sama i uniosła właz. Natychmiast zmarszczyła nos i odrzuciła głowę do tyłu.

- Boże, co za fetor...

- Więc już wiemy, czy załoga nadal jest na pokładzie - powiedział Sam.

- Tak, nie ma co do tego wątpliwości. - Remi zatkała nos i zajrzała do włazu. - Patrzy mi prosto w oczy.

Zwłoki były w czapce Kriegsmarine i granatowym kombinezonie. Uwięzione w suchym, dusznym wnętrzu molcha przez sześćdziesiąt cztery lata przeszły przeobrażenie, które Sam mógł określić tylko jako częściowe rozpuszczenie i częściową mumifikację.

- Można śmiało przyjąć, że się udusił - oceniła Remi. - Po śmierci ciało powinno się rozłożyć, ale z braku tlenu ten proces nie nastąpił i w rezultacie trup jest... niedopieczony, jeśli można to tak określić.

- Można, kochanie. Nigdy nie zapomnę tego widoku.

Pozycja szczątków, które leżały u stóp drabinki ze spetryfi-

kowanym ramieniem wokół szczebla, wiele mówiła o ostatnich chwilach marynarza. Zamknięty w ciemnym cylindrze, świadomy, że śmierć zbliża się nieubłaganie, próbował wydostać się na zewnątrz jedyną możliwą drogą, licząc na cud, choć w głębi duszy wiedział, że żaden cud się nie zdarzy.

- Chyba nie masz nic przeciwko, żeby tu zostać, kiedy ja będę się rozglądał - powiedział Sam.

- Oczywiście, że nie.

Włączył latarkę, wsunął nogi do włazu, wymacał stopą szczebel

i ruszył w dół. Niespełna metr nad pokładem zawisł po przeciwnej stronie drabinki, niż leżały zwłoki, i opuszczył się na dno kadłuba.

Otoczył go mrok. Sam nie miał klaustrofobii, ale poczuł się nieswojo. Wnętrze kadłuba - za niskie, żeby mógł się wyprostować,

i niewiele szersze od rozpiętości jego wyciągniętych ramion - przypominało loch. Na matowoszarych grodziach widniały kable i rury, które zdawały się biec wszędzie i zarazem donikąd.

- I jak tam jest? - zawołała z góry Remi.

- „Obrzydliwie” to jedyne właściwe słowo.

Przyklęknął obok zwłok i sprawdził zawartość kieszeni. Były puste, tylko w kieszonce na piersi tkwił portfel. Sam podał go Remi, odwrócił się i ruszył ku dziobowi.

Mieścił się tam główny akumulator, a za nim, między dwoma zbiornikami balastowymi, fotel jedyne go członka załogi i podstawowe przyrządy do sterowania, nawigacji i regulowania prędkości oraz prymitywny hydrofon do wykrywania jednostek pływających nieprzyjaciela.

Pod siedzeniem Sam znalazł małą skrzynkę narzędziową i skórzaną kaburę z pistoletem Luger oraz zapasowym magazynkiem. Broń i amunicję schował do kieszeni.

Pod zbiornikami balastowymi były przyśrubowane do grodzi prostokątne schowki. Jeden zawierał sześć pustych butelek po wodzie

i kilkanaście puszek po konserwach, a drugi skórzaną torbę na ramię i dwa zeszyty w czarnej skórzanej oprawie. Sam włożył zeszyty do torby i jeszcze raz spojrzął na schowki. Zza jednego z nich wystawał kawałek materiału. Przyklęknął i zobaczył, że to płócienny worek. W środku była drewniana skrzynka z wiekiem na zawiasach. Wetknął worek pod pachę, wspiał się po drabince i podał znalezione przedmioty Remi. Zanim wyszedł z kabiny, spojrzął w dół na zwłoki.

- Dopilnujemy, żebyś wrócił do domu, kapitanie - szepnął.

Gdy na pokładzie przytrzymał linę, aby Remi mogła bez

trudu przejść na brzeg, uderzył stopą w worek. Ze środka dobiegł stłumiony brzęk szkła.

Oboje przyklęknęli zaintrygowani tym dźwiękiem. Remi sięgnęła do worka, wyjęła skrzynkę, ostrożnie podważyła mosiężny zamek i uniosła wieko. Podłużny przedmiot znajdujący się w środku przykrywało coś, co przypominało zniszczoną ceratę.

Gdy Remi ją odsunęła, zaniemówili na dobrych dziesięć sekund.

W skrzynce leżała butelka z zielonego szkła.

Sam podniósł palcem wskazującym prawej ręki dół butelki

i spojrzeli na denko.

- Dobry Boże... - szepnęła Remi.

Symbol wytrawiony w szkłe był aż nadto znajomy.



La Jolla, Kalifornia

Biedny człowiek - powiedziała Remi. - Zginąć w taki sposób... -Wolę sobie tego nie wyobrażać - odparł Sam.

Leżeli na szeszlonych w solarium otoczonym palmami w donicach i paprociami. Południowe słońce uwypuklało każdy odcień tokańskich kamiennych płytek. Ten pokój należał do ich ulubionych, a wybór nie był łatwy.

Ich dom - i jednocześnie baza operacyjna - był usytuowany na szczycie klifu, z którego rozciągał się wspaniały widok na cypel Goldfish Point i indygowy wody Pacyfiku. Miał trzy piętra, ponad tysiąc metrów kwadratowych powierzchni, sklepione sufity z klonowymi belkami i tyle okien i świetlików, że ich konserwator był zajęty przez osiem godzin w miesiącu.

Najwyższe piętro zajmowały apartamenty Sama i Remi, a niżej mieściły się cztery pokoje gościnne, salon, jadalnia i kuchnia. Na pierwszym piętrze znajdowały się sala gimnastyczna, sauna, basen HydroWorx i stumetrowe pomieszczenie z drewnianą podłogą, w którym Remi ćwiczyła szermierkę, a Sam dzudo.

Na parterze był gabinet Sama i Remi o powierzchni stu osiemdziesięciu pięciu metrów kwadratowych i równie rozległe pomieszczenie dla zespołu Selmy, z trzema stacjami roboczymi Mac Pro podłączonymi do trzydziestocalowych monitorów i trzydziesto-dwucalowych wyświetlaczy ciekłokrystalicznych. Naprzeciwko umieszczono dumę i radość Selmy: czterometrowe słonowodne akwarium o pojemności tysiąca ośmiuset dziewięćdziesięciu litrów.

- Mam nadzieję, że odszedł szybko i spokojnie - dodał Sam.

Człowiek będący tematem ich rozmowy dzięki zeszytom zabranym z okrętu miał już imię i nazwisko: *Korvettenkapitan* (komandor podporucznik) Manfred Boehm. Jeden z zeszytów okazał się dziennikiem okrętowym, a drugi pamiętnikiem Boehma, pisany przez niego od początku II wojny światowej.

Po lekturze przekładu komputerowego Sam i Remi zorientowali się, że dziennik okrętowy pozwoli im odtworzyć historię jednostki pływającej Boehma. Nosiała oznaczenie UM-34, czyli była trzydziestym czwartym wyprodukowanym molchem.

Sam próbował dociec, skąd przybył UM-34 i dlaczego znalazł się w dopływie rzeki Pocomoke, natomiast Remi studiowała pamiętnik Boehma i poznawała komandora od prywatnej strony.

Nie wrócili skifem do wypożyczalni Maxine's Bait 'n' Boat, bo uznali, że Blizna i jego kompani mogą tam na nich czekać. Popłynęli piętnaście kilometrów w dół rzeki i wyszli na brzeg przy Willow Grove, gdzie autostrada 113 biegła najbliżej Pocomoke. Stamtąd Sam zadzwonił do Pocomoke City po taksówkę, a potem do Maxine's. Powiedział, że nie mogą odprowadzić skifa na miejsce i zaoferował sowity napiwek za zabranie go. Ostatni telefon wykonał do kierownika pensjonatu, który zgodził się wysłać ich rzeczy do Kalifornii.

Pięć godzin później weszli na pokład samolotu do Kalifornii na Norfolk International Airport.

Butelkę ze skrzynki natychmiast po powrocie przekazali Selmie, która teraz odbywała w pracowni sesję detektywistyczną z parą swoich asystentów, Peterem Jeffcoatem i Wendy Corden.

Pete i Wendy - opaleni, szczupli, jasnowłosi - z wyglądu przypominali typowych kalifornijskich dwudziestoparolatków, ale pod względem intelektu nie mieli w sobie nic konwencjonalnego. Należeli do ścisłej czołówki absolwentów Uniwersytetu Południowej Kalifornii, gdzie Pete zrobił licencjat z archeologii, a Wendy uzyskała dyplom magistra nauk społecznych.

Cokolwiek odkryli Sam i Remi, nie mieli wątpliwości, że symbol owada na butelce jest dokładnie taki sam jak na kawałku szkła Teda, ani co do pochodzenia butelki. Na etykietce widniał napis w języku francuskim. Odręczny.

Pytania szybko się mnożyły. Jaki jest związek między dwoma znaleziskami? Co oznacza symbol? Czy obie butelki były na pokładzie UM-34, a jeśli tak, to w jakich okolicznościach zostały rozdzielone? I wreszcie dlaczego są warte zabijania?

Kwestia, co zrobić w sprawie samego UM-34 i szczątków Boehma, dręczyła Sama i Remi, odkąd opuścili Maryland. Okręt podwodny można było uznać za swego rodzaju wykopalisko archeologiczne, co w pewnym sensie czyniło z nich hieny cementarne. Na pocieszenie przyrzekli sobie, że kiedy wyjaśnią tajemnicę, zwrócą przedmioty znalezione przy Boehmie prawowitemu właścicielowi, czy to niemieckiemu rządowi, czy też rodzinie komandora lub jego potomkom.

Chcąc oddalić się od UM-34, który teraz wydawał się oczywistym celem poszukiwań Blizny, zadzwonili do swojego adwokata i dostali od niego zapewnienie, że okręt podwodny odnajdzie odpowiednia osoba, która zawiadomi właściwe władze o możliwej obecności torped na dnie Pocomoke.

- Miał żonę Friedę i syna Helmuta - powiedziała Remi, nie podnosząc wzroku znad pamiętnika. - W Arnsburgu pod Dusseldorfem.
- Świetnie. Jest duża szansa, że jego krewni tam mieszkają. Jeśli tak, to ich znajdziemy.
- Jak ci idzie czytanie dziennika okrętowego?
- Wolno. Będę musiał nanieść na mapę niektóre z tych współrzędnych, ale wygląda na to, że UM-34 był przydzielony do okrętu pomocniczego, który Boehm nazywa „Gertrude”...
- „Gertrude”? Czy Kriegsmarine nadawała swoim...
- Nie, to musi być kryptonim.
- Kryptonimy, zaginione okręty podwodne i tajemnicze butelki wina. Jak w powieści sensacyjnej.
- Może kiedy rozwiążemy całą zagadkę...

Remi się roześmiała.

- Chyba mamy ich dość.
- Wiesz, kiedyś będziemy musieli to wszystko opisać. Wyjdzie z tego wspaniała książka.
- Kiedyś. Jak będziemy starzy i siwi. A przy okazji, rozmawiałam z Tedem. Siedzi tam.
- Dzięki Bogu. Pytałaś go o okręt podwodny?
- Nie.

Frobisher trzymał się kurczowo swojej uporządkowanej egzystencji, więc przygoda z tajemniczym napastnikiem była największym przeżyciem, z jakim mógł sobie poradzić. Sam znał Teda i wiedział, że kiedy odkrycie okrętu podwodnego zostanie ujawnione, będzie się zastanawiał, czy bliskość molcha i miejsca znalezienia kawałka szkła oznacza związek jednego z drugim. Skontaktuje się z nimi, jeśli będzie miał coś ważnego do dodania.

- Posłuchaj tego - odezwała się Remi, wodząc palcem po stronie. - „Wolfi dał mi dziś dwie butelki dobrego wina, dwie z trzech, które przyniósł. Powiedział, że uczymy razem zakończenie operacji”.
- Wolfi - powtórzył Sam. - Wiemy, kto to jest?
- Nie, opuszczałam niektóre fragmenty. Ale zacznę szukać. Tu jest jeszcze coś ciekawego: „Wolfi powiedział, że należą mi się dwie, bo mam trudniejsze zadanie”. Ciekawe, co to było.
- Nie mam pojęcia, ale przynajmniej wiemy, skąd się wziął kawałek szkła Teda. Boehm w jakiś sposób stracił jedną butelkę.

Zadzwęczał interkom na ścianie nad głową Remi.

- Państwo Fargowie? - Mimo wielokrotnych prób nie zdołali nakłonić Selmy, żeby zwracała się do nich po imieniu.

Remi sięgnęła w górę i wcisnęła przycisk mikrofonu.

- Tak, Selmo.
- Chyba coś mam... To znaczy znalazłam...

Sam i Remi wymienili zdziwione spojrzenia. Pracowali z Selmą od dziesięciu lat i zawsze mówiła konkretnie i krótko.

- Wszystko w porządku? - zapytała Remi.
- Eee... może zejda państwo na dół, spróbuję to wyjaśnić.
- Już idziemy.

Selma siedziała przy środkowym stole roboczym ze wzrokiem utkwionym w butelki wina. Pete'a i Wendy nigdzie nie było widać.

Selma wyglądała jak kobieta z minionej epoki przeniesiona do XXI stulecia. Włosy miała obcięte w stylu, który Remi nazywała „zmodyfikowaną fryzurą z lat sześćdziesiątych”, a jej okulary w rogowej oprawie zawieszono na szyi na łańcuszku, kiedy ich nie używała, pochodziły z lat pięćdziesiątych XX wieku. Zwykle nosiła spodnie khaki, adidas i farbowane nierównomiernie T-shirty, których zdawała się mieć niezliczoną ilość. Nie piła, nie paliła, nie przeklinała i była uzależniona tylko od herbat ziołowych. Piła je całymi dzbankami i trzymała w jednej z szafek w pracowni. Nazw większości tych herbat Sam i Remi nie potrafili wymówić.

- Gdzie są Pete i Wendy? - zapytał Sam.
- Wysłałam ich wcześniej do domu. Pomyślałam, że będą państwo chcieli usłyszeć to bez świadków. Potem państwo zdecydują, czy im powiedzieć.
- Okej - odparła Remi.

- Tylko błagam, nie mów mi, że ta butelka jest pełna eboli -poprosił Sam.
- Nie jest.
- Więc o co chodzi?
- Nie wiem, od czego zacząć.
- Od czego chcesz - odrzekł Sam łagodnie.

Selma zastanowiła się chwilę i powiedziała:

- Zacznę od symbolu na denku, tego owada... Nie mam pojęcia, co oznacza. Przykro mi.
- W porządku, Selmo, mów dalej.
- Pozwolę państwu, porozmawiamy o samej skrzynce. Zawiasy i zamknięcie są mosiężne, a drewno to gatunek buka rosnącego tylko w kilku miejscach na świecie. Największa koncentracja jest w Pirenejach na granicy Francji i Hiszpanii.
- Co do opakowania w środku, może ono być odkryciem samym w sobie. Niewykluczone, że mamy do czynienia z kawałkiem pierwszego europejskiego materiału impregnowanego lakierem olejnym. To skóra cielęca - sześć warstw - nasycona olejem lnianym. Dwie zewnętrzne warstwy są wyschnięte i lekko spleśniałe, ale cztery wewnętrzne są w doskonałym stanie.
- Szkło też jest niezwykle - bardzo wysokiej jakości i grube, prawie dwa i pół centymetra. Nie zamierzam tego sprawdzać, ale jestem pewna, że nie stłukłoby się łatwo. Etykieta na butelce, też z ręcznie wyprawionej skóry, została przyklejona do szkła i dodatkowo przywiązana na górze i na dole konopnym szpagatem. Jak państwo widzą, oznaczenia wyryto bezpośrednio na skórce, a potem wypełniono atramentem - bardzo rzadkim, nawiasem mówiąc. To mieszanka *Aeonium arboreum* Schwartzkopf...
- Po naszymu, proszę - przerwała Remi.

65

5 - Złoto Spartan

- To gatunek czarnej róży. Atrament stanowi mieszankę jej płatków i rozgniecionego żuka - nazywanego plującym - który żyje tylko na wyspach Morza Liguryjskiego. Co do napisów na etykiecie... - Selma przysunęła butelkę bliżej, zaczęła, aż Sam i Remi podejda, i włączyła halogenową lampę na suficie. - Widzą państwo te słowa: *mesures usuelles*. To po francusku „zwyuczajowe miary”. Tego systemu nie używa się od około stu pięćdziesięciu lat. A tutaj *demis*, co znaczy „połowy”, odpowiednik mniej więcej pół litra. Dokładnie czterysta czterdzieści osiem mililitrów.
- Niedużo płynu jak na butelkę tej wielkości - zauważyła Remi. - Pewnie z powodu grubości szkła.

Selma skinęła głową.

- Spójrzmy teraz na atrament. Miejscami wyblakł, więc od tworzenie całego napisu potrwa, ale czy widzą państwo te dwie li tery w górnych rogach, jedną w prawym, a drugą w lewym, i dwie cyfry w dolnych?

Fargowie przytaknęli.

- Cyfry oznaczają rok. Jeden i dziewięć. Dziewiętnasty.
- Tysiąc dziewięćset dziewiętnasty? - spytała Remi.

Selma pokręciła głową.

- Tysiąc osiemset dziewiętnasty. A co do liter - „H” i „A” - to inicjały.
- Czyje? - zapytał Sam.
- Proszę pamiętać - odparta Selma - że nie jestem tego pewna. Muszę przeprowadzić więcej badań, żeby...
- Rozumiemy to.
- Myślę, że to inicjały Henriego Archambault.

Sam i Remi spojrzeli na siebie, potem znów na Selmę, która uśmiechnęła się nieśmiało i wzruszyła ramionami.

- Żebyśmy mieli jasność - powiedziała Remi. - Chodzi o tego Henriego Archambault, zgadza się?

Selma przytaknęła.

- Tak, o Henriego Emile'a Archambault, głównego enologa Napoleona Bonaparte. Jeśli się dobrze domyślam, znaleźli pań stwo butelkę z zaginionej piwnicy Napoleona.

Sewastopol

Bażant obroźny wyłonił się z zarośli i poszybował na tle nieba, trzepocząc skrzydłami w ostrym porannym powietrzu. Hadeon Bondaruk zaczekał, aż ptak się oddali, potem przyłożył strzelbę do ramienia i wypalił. Bażant zadrgał w locie, zwiotczał i zaczął koziółkować ku ziemi.

- Dobry strzał - pochwalił Grigorij Archipow.
- Bierz! - warknął Bondaruk w języku farsji.

Dwa labradory, które siedziały cierpliwie u jego stóp, zerwały się i pomknęły po leżącego ptaka. Wokół Bondaruka walało się ponad dziesięć martwych bażantów, wszystkie rozszarpane na kawałki przez psy.

- Nie cierpię ich smaku - wyjaśnił Archipowowi, odkopując jednego na bok czubkiem buta. - Ale psy uwielbiają tę zabawę. A ty, Chołkow, lubisz polować?

Stojący kilka kroków za Archipowem Władimir Chołkow przechylił głowę i odparł.

- Zależy, na jaką zwierzyne.

- Dobra odpowiedź.

Chołkow i Archipow służyli razem w Specnazie, Archipow jako dowódca, Chołkow jako lojalny oficer wykonawczy, i kontynuowali znajomość w cywilu jako najemnicy na usługach tych, którzy oferowali najwyższe stawki. Od czterech lat najwięcej płacił Hadeon Bondaruk, więc Archipow szybko się bogacił.

Po zameldowaniu o fiasku poszukiwań Fargów Chołkow i Archipow zostali wezwani do letniego domu szefa u podnóża wzgórz na Krymie. Chociaż przyjechali poprzedniego popołudnia, Bondaruk jeszcze nie wspominał o incydencie.

Archipow nie bał się nikogo - Chołkow był tego świadkiem wiele razy na polu walki - ale obaj potrafili rozpoznać niebezpiecznego człowieka i za takiego uważali Bondaruka. Choć żaden

osobiście nigdy tego nie widział, nie wątpili, że Bondaruk ma skłonność do używania przemocy. To nie strach sprawiał, że byli spięci w jego obecności, lecz ostrożność. Bondaruk był nieprzewidywalny jak rekin, który pływa spokojnie, zwracając uwagę na wszystko i nic, gotowy do ataku w mgnieniu oka. Chołkow wiedział, że nawet teraz, kiedy rozmawiają, jego dawny dowódca nie spuszcza z oka strzelby Bondaruka i obserwuje ruchy lufy jak paszczę wielkiego rekina.

Chołkow trochę słyszał o młodości Bondaruka w Turkmenistanie. To, że jego obecny szef prawdopodobnie zabił dziesiątki własnych rodaków - może nawet znajomych - podczas konfliktu wzdłuż granicy z Iranem, miało dla niego bardzo małe znaczenie. Wojna to wojna. Najlepsi żołnierze, tacy, którzy potrafią przeżyć, zwykle uśmiercają wrogów beznamytnie.

- Łatwo jest dobrze strzelać z dobrej broni - powiedział Bondaruk, otwierając komorę naboju i wyjmując łuskę. - Zrobiona na zamówienie w Austrii przez Hambrusch Jagdwaffen. Chcesz zgadnąć, kiedy, Grigorij ?

- Nie mam pojęcia - odrzekł Archipow.

- Sto osiemdziesiąt lat temu. Należała do samego Bismarcka.

- Coś takiego.

- To kawałek żywej historii - ciągnął Bondaruk. - Spójrz w dół.

- Wskazał na południowy wschód w kierunku nizin wzdłuż wybrzeża. - Widzisz te niskie wzgórza?

- Tak.

- W tysiąc osiemset pięćdziesiątym czwartym roku, podczas wojny krymskiej, tam rozegrała się bitwa pod Bałakławą. Znasz wiersz Tennysona *Szarża lekkiej brygady*?

Archipow wzruszył ramionami.

- Chyba czytaliśmy go w szkole.

- Wiersz przyćmił samą bitwę na tyle, że dziś przeciętny człowiek nie ma pojęcia, co się wtedy wydarzyło. Siedmuset brytyjskich żołnierzy - kawalerzystów z Czwartego i Trzynastego Pułku Lekkich Dragonów, Siedemnastego Pułku Lansjerów oraz Ósmego i Jedenastego Pułku Huzarów - zaatakowało najeżone działami pozycje rosyjskie. Kiedy dym się rozwiął, pozostało przy życiu niespełna dwustu z nich. Jesteś wojskowym, Grigorij. Jak byś to nazwał? Głupotą czy odwagą?

- Trudno zgadnąć, jak rozmawiali dowódcy.

- Następny przykład żywej historii - kontynuował Bondaruk. - Historia to ludzie. Wielkie czyny i wielkie ambicje. I wielkie porażki, oczywiście. Chodźcie ze mną.

Ze strzelbą w zgięciu łokcia ruszył przez wysoką trawę, od czasu do czasu zabijając jakiegoś bażanta.

- Nie winię cię za to, że ich zgubiłeś - powiedział. - Czytałem

o Fargach. Lubią przygody. I niebezpieczeństwo.

- Znajdziemy ich.

Bondaruk machnął ręką.

- Wiesz, dlaczego te butelki są dla mnie takie ważne?

- Nie.

- Prawdę mówiąc, same butelki, wino w środku i to, skąd się wzięły, nie ma znaczenia. Kiedy spełnią swoją rolę, będziecie je mogli roztrzaskać na kawałki.

- Więc dlaczego tak bardzo chce pan je zdobyć?

- Liczy się to, dokąd nas mogą zaprowadzić. To, co ukrywają od dwustu lat, a co zaginęło dwa tysiąclecia wcześniej. Co wiesz o Napoleonie?

- Niewiele.

- Napoleon był sprytnym taktykiem, bezwzględny generałem i mistrzem strategii - wszyscy historycy są co do tego zgodni - ale moim zdaniem jego najważniejszą cechą była dalekowzroczność. Zawsze patrzył dziesięć kroków naprzód. Kiedy zlecił Henriemu Archambault wyprodukowanie tego wina i butelek na nie, myślał o przyszłości wykraczającej poza bitwy i politykę. O swoim dziedzictwie. Niestety, skończył tak, jak skończył. - Bondaruk wzruszył ramionami i się uśmiechnął. - Myślę, że nieszczęście jednego człowieka jest szczęściem drugiego.

- Nie rozumiem.

- Wiem.

Bondaruk zaczął się oddalać, ale nagle przystanął i odwrócił się z powrotem do Archipowa.

- Służysz mi bardzo dobrze od wielu lat, Grigorij.

- To dla mnie przyjemność.

- Jak powiedziałem, nie winię cię za to, że zgubiłeś Fargów, ale chcę, żebyś mi obiecał, że to się nigdy nie powtórzy.

- Na pewno nie, panie Bondaruk.

- Przyrzekasz?

W oczach Archipowa pojawił się cień niepewności.

- Oczywiście - rzekł.

Bondaruk uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały poważne.

- To dobrze. Podnieś prawą rękę i przysięgnij.

Po krótkiej chwili wahania Archipow podniósł dłoń na wysokość ramienia.

- Przysięgam, że...

Strzelba odwróciła się w rękach Bondaruka i lufa plunęła pomarańczowym płomieniem. Prawa dłoń i nadgarstek Archipowa zniknęły w rozbryzgu krwi. Były komandos Specnazu zatoczył się do tyłu, popatrzył na kikut, jęknął i opadł na kolana.

Chołkow, który stał kawałek dalej, odsunął się. Archipow chwycił kikut drugą ręką i spojrzał na Bondaruka.

- Dlaczego?...-wychrypiał.

Bondaruk podszedł do niego i odparł:

- Nie winię cię, Grigorij, ale w życiu jest przyczyna i skutek. Gdybyś szybciej załatwił sprawę z Frobisherem, Fargowie nie zdążyliby się wtrącić.

Znow uniósł strzelbę, wycelował w lewą kostkę Archipowa i nacisnął spust. Stopa zniknęła. Archipow wrzasnął i się przewrócił. Bondaruk złamał dubeltówkę, naładował i odstrzelił mu drugą dłoń i stopę. Potem patrzył, jak Archipow wije się na ziemi. Po trzydziestu sekundach znieruchomiał.

Bondaruk podniósł wzrok na Chołkova.

- Chcesz jego robotę?

- Słucham?

- Proponuję ci awans. Przyjmujesz go?

Chołkow wziął głęboki oddech.

- Muszę przyznać, że pański styl zarządzania robi na mnie wrażenie.

Bondaruk się uśmiechnął.

- Archipow nie żyje, bo popełnił błąd, Władimirze. Błąd nie do naprawienia. Fargowie są teraz zaangażowani w sprawę, a to komplikacja, na którą nie możemy sobie pozwolić. Wolno popełnić błędy, ale nie nieodwracalne. Chcę usłyszeć twoją odpowiedź.

Chołkow skinął głową.

- Przyjmuję awans.
- Wspaniale! Chodźmy na śniadanie.

Bondaruk odwrócił się, ale zanim ruszył w stronę domu, dodał:

- A tak przy okazji, gdy wrócimy, zajrzyj w Internecie na amerykańskie strony informacyjne. Podobno w Marylandzie jakiś funkcjonariusz tamtejszej policji stanowej natknął się na do połowy zatopiony niemiecki miniaturowy okręt podwodny.
- Coś takiego.
- Ciekawe, prawda?

La Jolla, Kalifornia

Chyba nie mówisz poważnie - powiedział Sam do Selmy. - Zaginiona piwnica Napoleona to tylko...

- Legenda - dokończyła Remi.

- Właśnie.

- Może nie - odrzekła Selma. - Najpierw przypomnijmy sobie trochę historii, żeby mieć jakiś kontekst. Wiem, że znacie państwo dzieje Napoleona, ale proszę mnie wysłuchać. Nie będę państwa zanudzać całym jego życiorysem, zaczniemy od momentu, gdy pierwszy raz został dowódcą. Napoleon zdobył uznanie podczas oblężenia Tulonu w 1793 roku i awansował kolejno na generała brygady, potem na generała dywizji, dowódcę wojsk wewnętrznych i wreszcie dowódcę armii francuskiej w Italii. W ciągu następnych kilku lat stoczył wiele bitew w Austrii i wrócił do Paryża jako bohater narodowy. Po kampanii egipskiej, która była marginalnym sukcesem, ponownie powrócił do Francji, wziął udział w zamachu stanu i został pierwszym konsulem nowego rządu. Rok później poprowadził armię przez Alpy Pennińskie, by rozpocząć drugą kampanię włoską...

- Słynny portret przedstawiający go na koniu... - wtrąciła Remi.

- Zgadza się - przytaknęła Selma. - Napoleon siedzi na koniu stojącym dęba, podbródek ma uniesiony i wskazuje ręką w dal. Ale prawda jest trochę inna. Większość ludzi sądzi, że ten koń nazywał się Marengo, a w rzeczywistości wówczas nazywano go Styrie. Jego imię zostało zmienione po bitwie pod Marengo kilka miesięcy później. A Napoleon większość drogi pokonał na mule.

- Nie całkiem pasującym do jego wizerunku.

- Właśnie. W każdym razie po tamtej kampanii wrócił do Paryża i otrzymał dożywotnio tytuł pierwszego konsula, dwa lata później ogłosił się cesarzem. Przez następną dekadę staczał zwycięskie bitwy i podpisywał traktaty, i tak do roku 1812, kiedy popełnił błąd, najeżdżając na Rosję. Poszło niezupełnie tak, jak planował, i został zmuszony do zimowego odwrotu, który niemal zdziesiątkował jego wielką armię. Wrócił do Paryża i przez następne dwa lata walczył z Prusami i Hiszpanią, nie tylko poza granicami kraju, lecz również na francuskiej ziemi. Wkrótce potem Paryż padł i Senat ogłosił koniec imperium Napoleona. Wiosną tysiąc osiemset czternastego roku Bonaparte abdykował i przekazał władzę Ludwikowi XVIII z dynastii Burbonów. Miesiąc później został zesłany na Elbę, a jego żona i syn uciekli do Wiednia...

- Nie Józefina, zgadza się? - zapytał Sam.

- Zgadza. Wzorem Henryka VIII Napoleon rozwiódł się z nią, bo nie mogła dać mu męskiego potomka, i poślubił córkę cesarza Austrii Marię Ludwikę, która urodziła mu syna.

- Okej, mów dalej.

- Mniej więcej rok po zesłaniu Napoleon zbiegł, wrócił do Francji i zebrał armię. Ludwik XVIII porzucił tron i Bonaparte go odzyskał. To był początek okresu znanego jako „sto dni”, choć nie trwał nawet tyle. Niecałe trzy miesiące później, w czerwcu, Napoleon poniósł klęskę w bitwie z Brytyjczykami i Prusakami pod Waterloo. Ponownie abdykował i został zesłany na Świętą Helenę, skalistą wyspę na środku Atlantyku między Afryką Zachodnią a Brazylią, mniej więcej dwa razy większą od Waszyngtonu. Spędził tam ostatnich sześć lat życia i zmarł w roku tysiąc osiemset

dwudziestym pierwszym.

- Na raka żołądka - odpowiedział Sam.
- Taka jest ogólnie przyjęta wersja, ale wielu historyków uważa, że otruto go arszenikiem. A teraz - odparła Selma - wróćmy do zaginionej piwnicy. Mit sięga roku tysiąc osiemset pięćdziesiątego drugiego i rzekomego wyznania pewnego przemysłowca nazwiskiem Lionel Arienne, który twierdził, że w czerwcu 1820, jedenaście miesięcy przed śmiercią Napoleona, w jakiejś tawernie w Hawrze nawiązał z nim kontakt agent Bonapartego. Ów człowiek, nazywany przez Arienne'a po prostu „majorem”, ponoć wynajął jego statek „Faucon”, by popłynąć nim na Świętą Helenę, skąd mieli zabrać ładunek i dostarczyć do celu, który miał podać dopiero po opuszczeniu wyspy. Kiedy sześć tygodni później dotarli do wybrzeża Świętej Heleny, spotkali się w małej zatoczce z samotnym mężczyzną w łodzi wiosłowej. Na jej pokładzie była drewniana skrzynka długości około sześćdziesięciu i szerokości trzydziestu centymetrów. Major, otworzywszy ją i sprawdziwszy zawartość, dobył szabli i zabił wiosłarza. Ciało obciążono kawałkiem łańcucha kotwicznego i wyrzucono za burtę, a łódź zatopiono.

W tym momencie opowieść się urywa, bo stary przemysłowiec ponoć umarł w połowie zdania i wszelkie wskazówki co do zawartości skrzynki oraz celu dalszej podróży jego i majora zabrał ze sobą do grobu. I to byłby koniec tej historii, gdyby nie Lacanau.

- Prywatna winnica Napoleona - wtrącił Sam.
- Zgadza się. Kiedy Arienne i tajemniczy major byli w drodze na Świętą Helenę, winnica w Lacanau, którą francuski rząd pozwolił Napoleonowi zatrzymać, została doszczętnie spalona przez nieznaną sprawców. Winorośl, wytwórnię win i cały ich zapas zniszczono. Nawet glebę wyjąłowiono solą i ługiem.
- Nasiona też przepadły? - zapytała Remi.
- Tak. Winogrona szczepu Lacanau wyrastały z nasion pochodzących z korsykańskich regionów Ajaccio i Patrimonio. Napoleon polecił Henriemu Archambault skrzyżować nasiona, żeby stworzyć nową odmianę. Tak czy inaczej, kiedy Bonaparte jeszcze był przy władzy, kazał umieścić nasiona szczepu Lacanau w bezpiecznych składach w Amiens, Paryżu i Orleanie. Ale gdy w Lacanau szalał pożar, nasiona te w tajemniczy sposób zniknęły i prawdopodobnie zostały zniszczone. Szczep Lacanau przestał istnieć.
- Przyjmijmy - powiedziała Remi - że to wszystko nie jest tylko legendą. Przebywający na Świętej Helenie Napoleon za pośrednictwem tajnego posłańca, gołębia pocztowego czy w jakiś inny sposób polecił Henriemu Archambault, swojemu głównemu enologowi, wyprodukować ostatnią partię wina Lacanau i zorganizować jej dostawę na wyspę, a następnie kazał swoim agentom we Francji spalić winnicę, wyjąłować glebę, a także wykraść i zniszczyć nasiona. Kilka miesięcy później polecił majorowi pojeździć na Świętą Helenę i dostarczyć wino do nieznanego punktu. - Remi spojrzała kolejno na męża i Selmę. - Dobrze zrozumiałam?
- Chyba tak - odparł Sam.

Wszyscy troje spojrzeli na butelkę na stole.

- Ile może być warta? - zapytała Remi.
- Podobno w skrzynce, którą major i Arienne zabrali ze Świętej Heleny, było ich dwanaście. Gdyby skrzynka pozostała nietknięta, dziewięć lub dziesięć milionów dolarów - dla odpowiedniego kupca, oczywiście. Ale nie pozostała nietknięta, co obniża cenę. Gdybym musiała zgadywać, powiedziałabym, że każda z butelek jest warta sześćset do siedmiuset tysięcy dolarów.
- Kilkaset tysięcy za butelkę wina - zdumiała się Remi.
- Nie zapominaj o wartości historycznej i naukowej - zauważył Sam. - W końcu mówimy o szczepie winorośli, który według wszelkiego prawdopodobieństwa już nie istnieje.
- Więc co państwo zamierzają zrobić? - spytała Selma.
- Musimy założyć, że Bliźnie chodzi raczej o wino niż o UM-34 - odparł Sam.
- Nie sprawił na mnie wrażenia konesera - zauważyła Remi.
- To prawda, więc pewnie pracuje dla kogoś - rzekł Sam. - Wykonam parę telefonów, poproszę o kilka przysług i zobaczymy, czego się dowiemy. Ty, Selmo, wezwij Pete'a i Wendy i wprowadź ich w sprawę.
- Skup się na wątku Lacanau - dodała Remi. - Musimy wiedzieć wszystko o winnicy, butelce, Henrim Archambault...
- Rozumiem - odparła Selma, pilnie notując.
- Gdy Pete i Wendy będą już na bieżąco - ciągnął Sam - niech się wezmą do Napoleona i tajemniczego majora. Interesuje nas wszystko.
- Dobrze. Chociaż jedna rzecz nie daje mi spokoju. Atrament z rozgniecionego żuka na etykiecie butelki pochodził z Wysp Toskańskich na Morzu Tyrreńskim.

Sam zrozumiał, do czego Selma zmierza.

- Tam leży Elba.
- Gdzie Napoleon trafił sześć lat przed rzekomą wyprawą Arienne'a i majora na Świętą Helenę po wino - wtrąciła Remi.
- Więc albo planował to od Elby, albo zabrał atrament ze sobą na Świętą Helenę - powiedział Sam. - Może nigdy się tego nie dowiemy. Selmo, zaczynaj swoją część roboty.
- A państwo?

- Musimy trochę poczytać - odparła Remi. - Ta butelka była na pokładzie UM-34, zostawił ją tam Manfred Boehm. Gdy poznamy historię UM-34 i Boehma, dowiemy się, skąd pochodziła.

Studiowali pamiętnik Boehma i dziennik okrętowy UM-34 do późnej nocy. Remi robiła notatki, które mogły im pomóc w lepszym poznaniu komandora, a Sam próbował odtworzyć ostatnią trasę molcha.

- Tutaj - powiedziała Remi, prostując się na krześle i stukając w pamiętnik - jest to, czego szukaliśmy: Wolfgang Muller. Posłuchaj wpisu z trzeciego sierpnia 1944: „Jutro, po raz pierwszy, odkąd jesteśmy towarzyszami broni, Wolfi i ja wypłyniemy razem. Modłę się do Boga, żeby nam się powiodło i żebyśmy dowiedli, że jesteśmy godni dowodzenia naszymi okrętami”.

- Towarzysze broni - powtórzył Sam. - Więc Muller też służył w Kriegsmarine. Boehm był kapitanem UM-34, a Muller kapitanem... czego? Może „Gertrude”, okrętu-bazy Boehma?

- Może. - Remi sięgnęła po swoją komórkę i zadzwoniła na dół do pracowni. - Selmo, możesz wyczarować dla nas pewne informacje? Interesuje nas oficer Kriegsmarine nazwiskiem Wolfgang Muller. Latem lub jesienią 1944 roku mógł dowodzić jakimś okrętem... Dobra, dzięki.

Selma oddzwoniła pół godziny później. Remi przełączyła ją na głośnik.

- Znalazłam go - oznajmiła. - Chcą państwo usłyszeć krótką wersję czy długą?

- Na razie krótką - odrzekł Sam.

- *Fregattenkapitan* Wolfgang Muller urodził się w 1910 roku w Monachium. Zaciągnął się do Kriegsmarine w 1934. Regularnie awansował i dziewięć lat później został kapitanem okrętu pomocniczego „Lothringen”. Jako port macierzysty tej jednostki wymieniono Bremerhaven. Operowała na Atlantyku. Według bazy danych niemieckich archiwów morskich „Lothringen” został zwodowany we Francji jako prom o nazwie „Londres”. Niemcy zdobyli go w czterdziestym roku i przerobili na stawiacz min. W lipcu 1944 przeznaczono go do „służby specjalnej”, ale brak bliższych szczegółów.

- Stawiacz min? - zdziwiła się Remi. - Po co mieliby...

- W tym czasie - odparła Selma - Niemcy przegrywali wojnę i wiedzieli o tym, wszyscy z wyjątkiem Hitlera. Byli zdesperowani. Okręty pomocnicze, które normalnie wykorzystywali do transportu UM-34, zostały albo zatopione, albo przerobione na eskortowce. Trafiłam na witrynę internetową zatytułowaną *Ocalali z „Lothringen”* i sporo blogów poświęconych temu okrętowi. Wydaje się, że we wrześniu tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku u wybrzeża Virginia Beach został zaatakowany i uszkodzony podczas sztormu przez amerykański niszczyciel.

- Około pięćdziesięciu mil morskich na południe od cieśniny Pocomoke - powiedziała Remi.

- Zgadza się. Tylko połowa załogi „Lothringen” przeżyła atak. Ocalali spędzili resztę wojny w obozie jenieckim Camp Lodi w Wisconsin. Ich okręt zaholowano do Norfolk i po wojnie sprzedano Grecji. Nie ma żadnej wzmianki o jego zezłomowaniu.

- A co z Mullerem? Znalazłaś jakąś informację, co się z nim stało?
- Jeszcze nie. Wciąż szukam. Jeden z blogów na temat „Lothringen”, prowadzony przez wnuczkę ocalałego marynarza nazwiskiem Froch, to coś w rodzaju kroniki. Wpisy zawierają wiele informacji o tygodniach poprzedzających atak. Jeśli wierzyć tym relacjom, okręt prawie miesiąc stał w tajnej niemieckiej bazie na wysepce Rum Cay w Bahamach, gdzie przechodził zmianę wyposażenia, a załoga figlowała z tamtejszymi dziewczynami.
- Czy „Lothringen” miał urządzenia do wprowadzania modyfikacji? - spytała Remi.
- Żadnych. Można było jedynie przymocować UM-34 do pokładu, przykryć brezentem, żeby nikt go nie zobaczył, i przetransportować przez Atlantyk.
- To tłumaczy, dlaczego nie dokonano potrzebnych przeróbek na morzu.
- Zgadza się, ale dlaczego nie zrobili tego w Bremerhaven przed wyjściem z portu? Może im się spieszyło. Jak powiedziałam, byli wtedy zdesperowani.
- Zaraz, zaraz. - Sam chwycił dziennik okrętowy UM-34 i zaczął przerzucać kartki. - Jest! Na początku Boehm wspomina o jakimś miejscu, ale podaje tylko inicjały: R.C.
- Rum Cay - powiedziała Remi.
- Na pewno.

Sam spojrział pytająco na żonę, która uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Okej, Selmo, czas, żebyś się przeistoczyła w organizatora podróży. Załatw nam bilety na najbliższy samolot do Nassau.
- Już się robi.
- I samochód z wypożyczalni - dodał Sam. - Coś szybkiego i sexy.
- Lubię twój styl - skomentowała Remi z figlarnym uśmiechem.

Nassau, Bahamy

Selma zorganizowała podróż z właściwą dla siebie skutecznością - zarezerwowała dwa miejsca w pierwszej klasie w ostatnim nocnym samolocie z San Diego na wschód. Siedem godzin i jeden postój później wylądowali w międzynarodowym porcie lotniczym w Nassau. Mniej szczęścia mieli do samochodu z wypożyczalni. Musieli się zadowolić jaskrawoczerwonym kabrioletem Volkswagen New Beetle, który według zapewnień Selmy był naj-seksowniejszym i najszybszym autem na całych Bahamach. Sam podejrzewał, że Remi ją przekupiła, ale nic nie mówił, dopóki nie minęła ich corvetta z nalepką Avis, kiedy wyjeżdżali z parkingu.

- Widziałaś? - zapytał, zerkając przez ramię.

Remi poklepała go po kolanie.

- To dla twojego własnego dobra, Sam. Wierz mi. - Przy trzymała swój biały kapelusz przeciwsłoneczny, żeby jej nie sfrunął, odchyliła głowę do tyłu i zaczęła się pławić w tropikalnym słońcu.

Sam burknął coś w odpowiedzi.

- Co powiedziałaś? - zapytała.

- Nic.

W recepcji Four Seasons Resort czekała na nich wiadomość:

„Mam informacje. Zadzwoń jak najszybciej.

R.”

- Rube? - spytała Remi.

Sam przytaknął.

- Może pójdziesz do willi? Zobaczę, czego się dowiedział, i dołączę do ciebie.

- Okej.

Sam znalazł cichy kąt w holu, usiadł i wcisnął szybkie wybieranie numeru na swoim telefonie satelitarnym. Rubin Haywood odebrał po pierwszym sygnale.

- To ja, Rube.

- Zaczekaj chwilę. - Rozległo się piknięcie, a potem szum. Sam domyślił się, że Rube włączył jakieś urządzenie szyfrujące. - Jak się miewasz?

- Doskonale. Dziękuję za pomoc. Jestem twoim dozgonnym dłużnikiem.

- Nie żartuj.

Sam przyjaźnił się z Haywoodem od dwunastu lat, niemal od początku swojej kariery w DARPA. Poznali się w ośrodku szkoleniowym CIA Camp Perry niedaleko Williamsburga w Wirginii. Haywood, oficer zadaniowy w zarządzie operacji CIA, przechodził szkolenie dla tajnych agentów. Sam przyjechał tam w tym samym celu, ale w ramach eksperymentalnego programu zapoznawania najlepszych i najzdolniejszych pracowników DARPA z realiami pracy oficerów CIA w terenie. Pomysł był prosty: im lepiej inżynierowie DARPA będą się orientowali, na czym polega praca w terenie, tym lepsi będą w tworzeniu gadżetów i narzędzi mających sprostać rzeczywistym wyzwaniom.

San i Rube od razu przypadli sobie do gustu i od tamtej pory byli w kontakcie. Co roku jesienią odbywali trzydniową wyprawę w góry Sierra Nevada.

- Wszystko, co zamierzam ci powiedzieć, jest jawne, przynajmniej oficjalnie.

Sam potrafił czytać między wierszami. Po otrzymaniu jego telefonu Rube zadzwonił tu i tam, wykorzystując kontakty i źródła pozarządowe.

- Okej. Kazałeś mi się odezwać jak naj szybciej.

- Owszem. Facet, którego nazywasz Blizną, zapłacił za wynajęcie łodzi w Snow Hill tak dobrze podrobioną kartą kredytową, że szukanie trochę potrwało. Nazywa się Grigorij Archipow i służył w rosyjskich siłach specjalnych. Był w Afganistanie i Czeczenii. On i jego prawa ręka, niejaki Chołkow, odeszli z wojska w 1994 i od tej pory są wolnymi strzelcami. Archipowa znasz, ale przemejluję ci zdjęcie Chołkova. Jeśli jeszcze nie widziałeś go w pobliżu, to wkrótce zobaczysz. O ile wiemy, od 2005 pracują dla tego samego gościa, wyjątkowo nieprzyjemnego typu nazwiskiem Hadeon Bondaruk.

- Słyszałem to nazwisko.

- Byłbym zaskoczony, gdybyś nie słyszał - odparł Rube. - To filar ukraińskiej mafii i bożyszcze Sewastopolskiej socjety. Kilka razy do roku urządza przyjęcia i weekendowe polowania w swojej posiadłości, a zaprasza tylko superbogaczy: polityków, celebrytów, członków europejskich rodzin królewskich... Nigdy go nie oskarżono

o żadne przestępstwo, ale jest podejrzany o dziesiątki zabójstw, głównie innych bossów przestępczego podziemia i ich cyngli, którzy z jakiegoś powodu go wkurzyli. O jego przeszłości niewiele wiadomo, krążą tylko rozmaite plotki.

- Uwielbiam plotki. Mów.

- Podobno dowodził oddziałem partyzanckim w Turkmenistanie podczas tamtego bałaganu na granicy radziecko-irańskiej. Był jak duch, organizował zasadzki na patrole i konwoje i nigdy nie zostawiał nikogo przy życiu.

- Prawdziwy samarytanin.

- Owszem. Dlaczego się nim interesujesz?

- Bo chyba szuka tego samego co my.

- To znaczy?

- Lepiej, żebyś nie wiedział, Rube. Już i tak za bardzo nadstawiałeś karku.

- Daj spokój, Sam...

- Zostaw to, Rube. Proszę.

Haywood milczał chwilę, potem westchnął.

- Okej, ty jesteś szefem. Ale posłuchaj, dotychczas mieliście szczęście, lecz bardzo szybko może was ono opuścić.

- Wiem.
- Pozwolisz mi przynajmniej trochę pomóc? Znam faceta, z którym powinniście się zobaczyć. Masz długopis? - Sam sięgnął po leżący na stoliku bloczek do notatek i zapisał nazwisko i adres podane przez Rube'a. - Ufam mu. Spotkajcie się z nim.
- Dobra.
- I na litość boską, uważajcie na siebie, słyszysz?
- Słyszę. Remi i ja bywaliśmy już w tarapatach. Poradzimy sobie.
- Jak?
- Bardzo prosto. Zamierzamy być zawsze o krok przed nimi.

Trzy godziny później Sam zjechał z nadmorskiej drogi na mały żwirowy parking i zatrzymał się obok zardzewiałego baraku z blachy falistej z rękawem lotniskowym na szczycie i wyblakłym namalowanym ręcznie szyldem: „Air Sampson”. Pięćdziesiąt metrów w prawo stał drugi blaszany barak, znacznie większy. Przez rozsuwane dwuskrzydłowe drzwi zobaczyli dziób samolotu. Po drugiej stronie hangaru biegł pas startowy z pokruszonych muszli.

Remi zmrużyła oczy.

- To tu?

Sam sprawdził na mapie.

- Tak. Selma zarzekała się, że to najlepsza firma czarterowa na wyspie.

81

6 - Złoto Spartan

- Naprawdę zamierzasz go wziąć? - spytała Remi, wskazując zawinięty w ręcznik przedmiot leżący między stopami Sama.

Po rozmowie z Rube'em Sam poszedł do willi i powtórzył żonie wszystko, czego się dowiedział. Słuchała uważnie i nie zadawała żadnych pytań. Gdy skończył, wzięła jego dłonie w swoje i powiedziała:

- Nie chcę, żeby coś ci się stało.
- A ja nie chcę, żeby tobie się coś stało. To byłby koniec mojego świata.
- Więc musimy się postarać, żeby nic nam się nie stało. Jak powiedziałaś, będziemy po prostu o krok przed nimi. A jeśli zrobi się gorąco...
- Wezwiemy dobrych facetów i wrócimy do domu.
- Jasne, że tak zrobimy - odparła.

Zanim pojechali na lotnisko, odwiedzili zakład szewski w śródmieściu Nassau, którego adres podał Samowi Rube. Właściciel warsztatu i kontakt Haywooda, Guido, oczekiwał ich wizyty.

- Rubin nie był pewien, czy przyjdziecie - powiedział po angielsku z lekkim włoskim akcentem. - Mówił, że oboje jesteście bardzo uparci.

- Naprawdę?

- Tak.

Guido podszedł do frontowych drzwi, odwrócił tabliczkę z napisem „Wyszedłem na lunch”, po czym zaprowadził gości na zaplecze, a stamtąd po kamiennych schodach do piwnicy oświetlonej pojedynczą żarówką. Na warsztacie, wśród butów w różnych stadiach naprawy, leżał krótkolufowy rewolwer kaliber 9 milimetrów.

- Umiecie strzelać?

- Tak - odpowiedział Sam.

Remi była doskonałym snajperem, ale starała się unikać broni, jeśli mogła.

- To dobrze - rzekł Guido. - Na tej spluwie nie ma żadnych numerów seryjnych. Jej pochodzenie jest nie do wytopienia. Mo żecie ją wyrzucić, jak zrobicie swoje. - Zawinął rewolwer w ręcznik razem z pudełkiem z pięćdziesięcioma nabojami i wręczył Samowi. - Tylko wyświadczone mi pewną przysługę.

- Chętnie - powiedział Sam. - Jaką?

- Nie zabijcie nikogo.

Sam się uśmiechnął.

- To ostatnia rzecz, jaką chcę zrobić. Ile jesteśmy winni?

- Nic. Przyjaciele Rubina są moimi przyjaciółmi.

- Chcesz, żebym go zostawił? - zapytał teraz Sam.

- Nie, właściwie nie. Lepiej się zabezpieczyć, niż potem za łować.

Wysiedli, wzięli plecaki z bagażnika i weszli do blaszanego baraku. Czarnoskóry mężczyzna pod siedemdziesiątkę z cygarem w ustach siedział za ladą na krześle ogrodowym.

- Witam - powiedział, wstając. - Jestem Sampson, właściciel, pracownik, chłopiec do wszystkiego. - Mówił perfekcyjnym oks fordzkim angielskim.

Sam przedstawił ich, po czym spytał:

- Nie pochodzi pan z tych stron, prawda?
- Urodziłem się w Londynie. Przyjechałem tu dziesięć lat temu, żeby wieść przyjemne życie. Więc chcecie lecieć na Rum Cay?
- Zgadza się.
- W interesach czy dla przyjemności?
- Jedno i drugie - odparła Remi. - Poobserwować ptaki... porobić zdjęcia. Rozumie pan.

Sam wyjął swoją licencję pilota i wypełnił wymagane formularze. Sampson spojrział na nie i skinął głową.

- Do jutra?
- Prawdopodobnie.
- Zarezerwowaliście hotel?

Sam pokręcił głową.

- Zamierzamy biwakować. Powinien pan dostać wczoraj przesyłkę: namiot, wodę pitną, sprzęt kempingowy...

Selma jak zwykle zaopatrzyła ich we wszystko: od rzeczy absolutnie niezbędnych po takie na wszelki wypadek.

- Dostałem - rzekł Sampson. - Jest już załadowana. - Zdjął tabliczkę z gwoźdźca w ścianie, zrobił notatkę i odwiesił z powrotem. - Mam dla was bonanzę G36, jest zatankowana i sprawdzona.
- To hydroplan?
- Zgodnie z zamówieniem. Idźcie do hangaru, Charlie wyśle was w drogę. - Gdy ruszyli do drzwi, Sampson spytał: - Jakie gatunki ptaków macie nadzieję zobaczyć?

Sam wzruszył ramionami i się uśmiechnął.

- Miejscowe - odparł.

Rum Cay, Bahamy

Znalezienie ukrytej bazy na wyspie o powierzchni niecałych siedemdziesięciu ośmiu kilometrów kwadratowych - bo taki obszar zajmuje Rum Cay - mogłoby wydawać się proste niedoświadczonym poszukiwaczom przygód, ale Sam i Remi wiedzieli, że nierówna linia brzegowa z setkami zatoczek jest w rzeczywistości sześć razy dłuższa niż obwód wyspy.

Nazwę Mamana, nadaną wyspie przez miejscowych Indian z plemienia Lucayan, Krzysztof Kolumb zmienił na Santa Maria de la Concepción, a współczesną nazwę otrzymała, gdy hiszpańscy koloniści znaleźli samotną baryłkę rumu wyrzuconą przez morze na jedną z jej białych piaszczystych plaż.

Jedynym miasteczko na Rum Cay, Port Nelson, leży na północno-zachodnim wybrzeżu w otoczeniu gajów kokosowych. Według spisu z 1990 roku liczba ludności nie przekraczała wówczas siedemdziesięciu osób, z czego większość mieszkała w Port Nelson. Główne źródła ich dochodów to turystyka oraz uprawa ananasów i produkcja soli i sizalu. Inne osady, dawno opuszczone, nosiły egzotyczne nazwy, takie jak Black Rock i Gin Hill. Wyspę otaczają groźne rafy koralowe, opadające gwałtownie na dno morza, co kiedyś przyciągało piratów - przynajmniej tak napisano w prospekcie, który Remi kupiła w Nassau.

- Jest nawet wrak sławnego okrętu - powiedziała, gdy Sam przechylił bonanżę w prawo, by trzymać się linii brzegowej.

Chociaż nie spodziewali się zauważyć bazy z powietrza, zgodnie uznali, że warto przynajmniej okrążyć wyspę, aby się lepiej orientować, co ich czeka.

- Czarnobrodego? - zapytał Sam. - Kapitana Kidda?

- Ani jednego, ani drugiego. To HMS „Conqueror”, pierwszy brytyjski okręt wojenny napędzany śrubą. Zatonął w 1861 i spoczywa na głębokości około dziesięciu metrów w podwodnym żlebie niedaleko rafy Sumner Point.

Na Rum Cay było kilka luksusowych ośrodków wypoczynkowych i jeszcze więcej domków plażowych do wynajęcia. Patrząc na lazurowe wody i zielone faliste wzgórza tej wysepki położonej na uboczu, Sam doszedł do wniosku, że to doskonały azyl dla ludzi pragnących spokoju.

Remi wskazała przez okno.

- Lotnisko.

Utwardzony pas startowy długości niespełna półtora kilometra znajdował się kilka kilometrów od Port Nelson i wyglądał jak biała litera T w środku lasu. Sam dostrzegł na krawędzi asfaltu przypominające mrówki postacie robotników, który wycinali maczetami roślinność. Na wschód od pasa widniało jezioro Salt Lake, a parę kilometrów na północ od niego drugie - jezioro George.

Sam nie obawiał się wprawdzie lądowania tu, ale poprosił Selmę, żeby zamówiła hydroplan, bo podróż przez wyspę samochodem zajęłaby tygodnie i wymagałaby wycinania kilometrów ścieżek przez busz. Hydroplanem mogli się przemieszczać wzdłuż linii brzegowej i oglądać interesujące ich miejsca.

Sam zszedł na wysokość sześciuset metrów, skontaktował się z wieżą kontrolną w Port Nelson, gdzie zweryfikowano ich plan lotu i pozwolenie, po czym okrążył cypel na północnym wschodzie

i skierował się na południe wzdłuż wybrzeża. Postanowili rozpocząć poszukiwania w mniej

zaludnionej wschodniej części wyspy. Zachodnia część była zaludniona gęsto jak na miejscowe warunki, więc obecność tajnej bazy została by zauważona, a Selma nigdzie nie natrafiła na taką informację. Sam i Remi uznali to za dobry znak. Mieli nadzieję, że tajna baza nie jest tylko wymysłem dzieciinniałego Niemca z Kriegsmarine.

- To dobre miejsce na bazę operacyjną - powiedział Sam, wskazując głową półkolistą zatoczkę z białą jak śnieg plażą. Naj bliższy budynek, wyglądający na opuszczony dom plantatora, znajdował się piętnaście kilometrów w głąb lądu.

Sam skręcił i wytracał prędkość i wysokość, a gdy znaleźli się sześćdziesiąt metrów nad falami, ustawił dziób bonanzy w jednej linii z plażą. Sprawdził szybko, czy nie przeoczył jakiejś rafy, po czym opuścił maszynę w dół i posadził na powierzchni wody. Cofnął przepustnicę do obrotów biegu jałowego i pozwolił, by hy-droplan sunął naprzód siłą rozpędu. Po chwili rozległ się odgłos tarcia pływaków o piasek i zatrzymali się na plaży dwa metry od krawędzi wody.

- Piękne lądowanie, panie Lindbergh - pochwaliła Remi i odpięła pas.

- Mam nadzieję, że wszystkie moje lądowania są piękne.

- Oczywiście, że są, kochanie. Z wyjątkiem tamtego razu w Peru...

- Nieważne.

Remi zeszła na plażę, a Sam podał jej plecaki i worki marynarskie ze sprzętem kempingowym. Zadzwonił do niego telefon satelitarny. Sam odebrał.

- Panie Fargo, tu Selma.

- Znakomite wycucie czasu. Właśnie wylądowaliśmy. Zaczekaj chwilę. - Sam skinął na Remi i włączył głośnik. - Po kolei. Jesteście zamknięci?

Po otrzymaniu od Rube'a życiorysów Bondaruka, Archipowa i Chołkowa kazał Selmie, Pete'owi i Wendy wprowadzić się do domu na Goldfish Point i włączyć system alarmowy, który sam

ulepszył. Teraz nawet spece z CIA mieliby duże trudności z jego rozpracowaniem. Tak się szczęśliwie składało, że komendant policji San Diego, z którym Sam trzy razy w tygodniu ćwiczył dzudo, mieszkał kilometr od nich, więc radiowozy w okolicy były zawsze w pogotowiu.

- Tak, zamknięci i bezpieczni - odparła Selma.

- Jak wam idzie?

- Posuwamy się naprzód. Będziecie mieć coś interesującego do czytania, gdy wrócicie do domu. Najpierw dobra wiadomość: ustaliłam, że owad na denku butelki pochodzi z rodzowego herbu Napoleona. Wprawdzie historycy nie są co do tego zgodni, ale większość uważa, że to złota cykada. Taką samą odkryto w 1653 roku w grobowcu Childeryka I, pierwszego króla z dynastii Merowingów. Symbolizuje nieśmiertelność i wskrzeszenie.

- Nieśmiertelność i wskrzeszenie - powtórzyła Remi. - Trochę megalomańskie... ale w końcu mówimy o Napoleonie.

- Pozwól, że zapytam wprost - rzekł Sam. - Znak rozpoznawczy Napoleona to konik polny?

- Blisko, ale niezupełnie - odparła Selma. - Cykada jest bliżej spokrewniona z pluskwiakami i plującymi żukami.

Sam się roześmiał.

- No tak, legendarny plujący żuk.

- Cykada i inicjały Henriego Archambault dowodzą niezbicie, że butelka pochodzi z zaginionej piwnicy.

- Dobra robota - pochwalił Sam. - Coś jeszcze?

- Skończyłam analizować przekład pamiętnika Manfreda Boehma. Jest tam wzmianka o „Koziej Głowie”.

- Pamiętam - powiedziała Remi. Ona i Sam przypuszczali, że chodzi o tawernę na Rum Cay, którą odwiedzał Boehm i inni członkowie załogi jego okrętu.

- Pogimnastykowałam się trochę z tym przekładem, ale myślę, że Kozia Głowa to jakiś punkt orientacyjny, być może znak nawigacyjny. Problem w tym, że nie znalazłam niczego o Koziej Głowie w odniesieniu do Rum Cay ani do żadnej z sąsiednich wysp.

- Będziemy mieli oczy otwarte - odparł Sam. - Jeśli się nie mylisz, to prawdopodobnie jakaś formacja skalna.

- Zgadza się. I ostatnia rzecz. Jestem państwu winna przeprosiny.

- Za co?

- Za to, że popełniłam błąd.

- Nie wierzę.

Selma rzadko popełniała błędy, a jeśli już, to drobne. Była bardzo wymagająca wobec siebie - bardziej niż w stosunku do innych.

- A jednak. Niedokładnie przetłumaczyłam fragment niemieckich archiwów morskich. Wolfgang Muller nie był kapitanem „Lothringen”, tylko pasażerem, tak jak Boehm. Dowodził innym miniaturowym okrętem podwodnym, UM-77.

- Więc Boehm i Muller wraz ze swoimi okrętami podwodnymi są na pokładzie „Lothringen”, który przepływa Atlantyk, dociera do Rum Cay w celu uzupełnienia zaopatrzenia i zmiany wyposażenia...

- Takich słów użył ten marynarz Froch w swoim blogu, zgadza

się?

- Tak.

- Tydzień później UM-34 Boehma kończy w rzece Pocomoke, a „Lothringen” tonie. Powstaje pytanie: gdzie jest UM-77 Mullera?
- Według niemieckich archiwów uznano go za zaginiony. A według naszych, kiedy znaleziono „Lothringen”, na jego pokładzie niczego nie znaleziono.
- Co oznacza - powiedziała Remi - że UM-77 poszedł na dno podczas wykonywania swojego zadania. Tak, na pewno tak było.
- To bardzo prawdopodobne - przyznał Sam - ale jest trzecia możliwość.
- Jaka?
- Nadal tu jest. Zastanawia mnie ta „zmiana wyposażenia”. „Lothringen” miał ile, czterdzieści pięć metrów długości?
- Coś koło tego - potwierdziła Selma.
- Zmiana wyposażenia okrętu tej wielkości wymagałaby tak dużego obiektu, że do tej pory już by został odkryty. Zaczynam podejrzewać, że wspomniana zmiana wyposażenia dotyczyła UM 34 i UM-77, a jeśli mamy rację, że ich zadanie było ściśle tajne, na pewno nie zrobiliby tego na widoku, w obecności samolotów zwiadowczych naszej marynarki wojennej startujących z Portoryko.
- Co oznacza... - zaczęła Remi.
- Co oznacza, że może nas czekać eksploracja jaskiń - dokończył Sam.

Skończyli rozładunek bonanzy, wbili jej zakotwiczenia głęboko w piasek i zaczęli się rozglądać za miejscem na rozbić obozu. Do zmroku pozostało tylko kilka godzin, więc postanowili zacząć poszukiwania nazajutrz z samego rana.

- Mamy konkurenta - powiedziała Remi, wskazując w głąb plaży.

Sam zmrużył oczy i osłonił jej dłonią.

- Nie co dzień widzi się coś takiego.

To, co zobaczył w odległości około pół kilometra przy linii drzew rosnących wzdłuż północnego brzegu zatoczki, wyglądało jak hollywoodzka wersja chaty tiki ze stożkowym, krytym strzechą dachem i ścianami z desek. Między dwoma frontowymi słupami wisiał hamak, w którym ktoś się kołysał z jedną nogą dyndającą na zewnątrz. Nie podnosząc wzroku, postać uniosła rękę w powitalnym geście i zawołała:

- Ahoj.

Sam i Remi podeszli. Przed chatą był dół na ognisko otoczony kłodami do siedzenia.

- Witam - powiedział mężczyzna.

Wyglądał dystyngowanie, miał ogorzałą cerę, siwe włosy, starannie przystryżoną kocią bródkę i błyszczące niebieskie oczy.

- Nie chcemy przeszkadzać - odrzekł Sam.

- Drobiazg. Wędrowcy są zawsze mile widziani, a wy wyglą dacie na takich. Siadajcie.

Fargowie położyli swoje rzeczy na piasku i usiedli na kłodzie. Sam przedstawił siebie i żonę gospodarzowi, który odparł:

- Miło mi. Zamierzam wam przekazać tę posiadłość. Czas ru szać w drogę.

- Niech pan tego nie robi z naszego powodu - powiedziała Remi.

- Nic z tych rzeczy, droga pani. Mam umówione spotkanie w Port Henry. Wrócę dopiero za parę dni.

Po tych słowach mężczyzna zniknął wśród drzew i pojawił się kilka sekund później, pchając skuter Vespa.

- W środku jest wędka, przynęta, garnki, rondle i tak dalej - poinformował. - Rozgośćcie się. Pod klapą w podłodze znajdziecie piwniczkę z winem. Poczęstujcie się butelką.

Sam, dziwnie pewny, że może zaufać nieznanemu, spytał:

- Może słyszał pan jakieś opowieści o tajnej bazie na wyspie?

- O bazie niemieckich okrętów podwodnych z czasów II wojny światowej?

- Zgadza się.

Mężczyzna postawił skuter na stopce, wszedł do chaty i wrócił z kwadratową metalową płytą wielkości tacy. Podał ją Samowi.

- Do podawania kolacji? - spytał Sam.

- To ster głębokości, synu. Od dość małego okrętu podwodnego, sądząc po wyglądzie.

- Gdzie pan go znalazł?

- Po północnej stronie Liberty Rock, w pobliżu Port Boyd.

- Wygląda na to, że tam trzeba zacząć szukać.

- Natknąłem się na niego w lagunie. Przypuszczam, że wypłynął z podziemnej rzeki. W tej części wyspy wszystkie płyną z południa na północ. Problem w tym, że prąd jest za słaby, aby porwać cokolwiek cięższego od tego steru.

- Bez obrazu - powiedziała Remi - ale jeśli pan wiedział, co to jest, dlaczego nie poszukał pan reszty?

Mężczyzna się uśmiechnął.

- Już się naszukałem w życiu. Byłem pewien, że prędzej czy później ktoś się zjawi i będzie zadawał właściwe pytania. No i zjawiliście się wy. - Ruszył do skutera, ale po chwili przystanął i odwrócił się. - Gdybym był niemieckim marynarzem szukającym kryjówki, bardzo bym się ucieszył na widok podwodnej grotty.

- Ja też - rzekł Sam.

- Na szczęście na Rum Cay jest ich pełno. Większość niezbadana i połączona z podziemnymi rzekami.

- Dzięki. A przy okazji, słyszał pan kiedykolwiek o miejscu nazywanym Kozia Głowa?

Mężczyzna zastanawiał się chwilę.

- Nie przypominam sobie - odparł. - No, muszę lecieć. Uda nych łowów.

Wsiadł na skuter i odjechał.

- A niech mnie - powiedział Sam.

- Co?
- Nawet nie zapytaliśmy go o nazwisko.
- Nie musieliśmy - odparła Remi, wskazując chatę.

Przy drzwiach wisiała drewniana tabliczka z namalowanym ręcznie czerwonym napisem: „Casa de Cussler”.

Podoba mi się tu - powiedział Sam, rozpalając ognisko.

- Mnie też - odrzekła Remi.

Postanowili przyjąć zaproszenie Cusslera i spędzić noc w chacie. Zanim zapadł zmrok, Sam poszedł na plażę i nazbierał wyrzuconego przez morze suchego drewna, a Remi złowiła na składaną bambusową wędkę ich gospodarza trzy lucjany. Usmażyli ryby i teraz leżeli oparci o kłodę przy ogniu, najedzeni do syta. Noc była pogodna, gwiazdy jak diamentowe okruchy lśniły na niebie. Poza szumem morza i cichym szelestem liści palmowych panowała cisza.

Cussler nie żartował, mówiąc o piwniczce z winem. Choć była niewiele większa od toalety, leżały w niej dwa tuziny butelek. Wybrali jordan chardonnay, który okazał się wyborny.

Pili wino, w milczeniu patrząc na gwiazdy, aż w końcu Remi zapytała:

- Myślisz, że nas znajdą?

- Archipow i Chołkow? Nie sędzę.

Za bilety lotnicze, hotel i wypożyczenie samochodu zapłacili kartą kredytową powiązaną z dwukrotnie przenoszonym z banku do banku kontem Fundacji Fargo. Sam był pewien, że ludzie Bondaruka w końcu dotrą do nich śladem ich operacji finansowych, ale miał nadzieję, że nastąpi to, gdy już znikną z Run Cay.

- Pocieszyłeś mnie, Sam. Myślałam o Tedzie. Tamten Rosjanin, Archipow, chciał go zabić, prawda?

- Podejrzewam, że tak.

- Dla wina. Dziwne. Przecież Bondaruk jest obrzydliwie bogaty. Suma, którą mógłby otrzymać za zaginioną piwnicę, to dla niego grosze. Dlaczego jest gotów zabić, żeby ją zdobyć?

- Bo dla niego morderstwo to zwykła rzecz, nie ostateczność.

- Zapewne.

- Widzę, że nie jesteś przekonana.

- Bo to się nie trzyma kupy. Czy Bondaruk jest kolekcjonerem win? A może Napoleonofilem?

- Nie wiem. Sprawdźmy.

Pokręciła głową i po chwili milczenia spytała:

- Od czego zaczniemy?

- Musimy przyjąć pewne założenia - odparł Sam. - Po pierwsze, że Kozia Głowa to punkt orientacyjny, jak uważa Selma. Po drugie, że Kriegsmarine wybrała najmniej zaludnioną część wyspy na swoją bazę. O świcie załadujemy sprzęt do pontonu i...
- Nie do samolotu?
- Nie. Punkt obserwacyjny Boehma był na wodzie. Z powietrza Kozia Głowa może wyglądać jak kacza stopa albo ośle ucho.
- Masz rację. Ale pamiętaj o erozji. Sześćdziesiąt lat wpływów atmosferycznych mogło wiele zmienić.
- To prawda.

Sam wiedział, że Bahamy to raj dla amatorów eksploracji grot i nurkowania jaskiniowego i że istnieją cztery rodzaje jaskiń: błękitne studnie, zarówno na pełnym morzu, jak i przy brzegu, będące szybami o głębokości kilkuset metrów w skalnej warstwie oceanu lub wyspy; jaskinie szczelinowe wzdłuż naturalnych pęknięć podłoża skalnego; jaskinie krasowe uformowane przez wodę deszczową mieszającą się z minerałami w glebie i rozpuszczającą wapien i węglan wapnia w podłożu; i wreszcie zwykłe jaskinie morskie utworzone wzdłuż klifów wskutek oddziaływania fal przyboju. Chociaż głębokość tych ostatnich rzadko przekracza trzydzieści metrów, zazwyczaj są przestronne i prowadzą do nich podwodne otwory, więc właśnie takiego miejsca mógłby ktoś szukać w celu ukrycia miniaturowego okrętu podwodnego.

- Pominąłeś jedno założenie - odezwała się Remi.
- Jakie?
- Że to wszystko nie jest szukaniem wiatru w polu, tylko prawdopodobnie zaginionego molcha.

Obudzili się o świcie, na śniadanie zjedli rosące dziko sto metrów od chaty winogrona, figi i owoce kokoloby, po czym załadowali sprzęt do pontonu i wyruszyli. Mały silnik nie gwarantował pobicia rekordu prędkości, ale był ekonomiczny i miał wystarczającą moc, by mogli pokonać przypyływ. Zanim słońce wyłoniło się zza horyzontu, sunęli na północ wzdłuż wybrzeża równoległe do linii raf. Turkusowa woda była tak przejrzysta, że widzieli ryby w kolorach tęczy śmigające nad białym piaszczystym dnem.

Sam sterował, trzymając się możliwie najbliżej brzegu, a Remi siedziała na dziobie i na przemian obserwowała klify przez lornetkę i fotografowała je cyfrową lustrzanką jednoobiektywową. Od czasu do czasu wołała do męża, żeby zawrócił i jeszcze raz minął jakąś formację skalną, której chciała dokładniej się przyjrzeć. Niestety nigdzie nie dostrzegła niczego, co budziło jakiegokolwiek skojarzenia z kozią głową.

Godziny i linia brzegowa uciekały, aż koło południa zbliżyli się do cypla i Junkanoo Rock; dalej, na północnym wybrzeżu, znajdował się Port Boyd i najgęściej zaludnione rejony wyspy. Sam zawrócił i wziął kurs na południe.

- Prawdopodobnie minęliśmy już dziesiątki jaskiń - powie działa Remi.

Tak też było. Wiele obserwowanych przez nich skalnych ścian zasłaniały pnącza i karłowate krzewy, które wyrastały z każdego zakamarka. Mogli więc z daleka patrzeć na otwór groty i nawet o tym nie wiedzieć. Ale nie mieli wielkiego wyboru. Wpływanie do każdego przełomu w rafach i dokładne sprawdzanie każdego klifu zajęłoby im lata.

W pewnej chwili Remi usiadła prosto i przechyliła głowę. Sam znalazł tę jej pozę aż za dobrze. Jego żona wpadła na jakiś pomysł.

- O co chodzi? - zapytał.

- Moim zdaniem podchodzimy do tego w zły sposób. Zakładamy, że Boehm wykorzystywał Kozią Głowę jako znak nawigacyjny, kiedy testował molcha przed operacją. Bo na pewno chciał sprawdzić, jak się udały przeróbki, prawda?

- Tak sędzę.

- Przy brzegu nie było ryzyka, że okręt osiadzie na mieliźnie podczas zanurzenia, więc prawdopodobnie nie odpływał zbyt daleko...

Okręt-baza molcha, „Lothringen”, był wyposażony w nowoczesny system nawigacyjny do żeglugi pełnomorskiej, ale miniaturowy UM-34 nie miał takiego udogodnienia, więc jego kapitanowi pozostawały nawigacja zliczeniowa i obserwacja wzrokowa.

- Masz rację.

- Więc może Boehm musiał skorzystać z punktu orientacyjnego tylko raz, kiedy wracał z zanurzenia testowego.

- Masz rację - powtórzył Sam. - Przy brzegu Kozia Głowa mogła wcale nie wyglądać jak kozia głowa, ale z odległości mili morskiej lub dwóch...

Remi uśmiechała się i kiwała głową.

Sam skierował ponton w stronę otwartego morza.

Oddalili się o jakąś milę morską i popłynęli wzdłuż linii brzegowej w kierunku południowo-wschodniego krańca wyspy, Signal Point, i Port Nelson. Tam zawrócili i znów wzięli kurs na północ.

Gdy wpół do czwartej, zmęczeni i lekko spaleni słońcem mimo kapeluszy i kilku warstw filtru BullFrog, zbliżali się do północnego cypla, Remi, która obserwowała brzeg przez lornetkę, uniosła pięść. Sam cofnął przepustnicę do obrotów biegu jałowego. Remi odwróciła się, pochyliła ku rufie i podała mu lornetkę.

- Spójrz na tamten klif - powiedziała. - Kierunek mniej więcej dwa osiem zero.

Sam uniosł lornetkę do oczu i przesunął wzrokiem po skalnej ścianie.

- Widzisz dwa baniany rosnące obok siebie? - spytała Remi.

- Zaczekaj... tak, widzę je.

- Wyobraź je sobie sześćdziesiąt lat temu, kiedy miały jedną trzecią obecnej wysokości i mniej gałęzi. Za to skała była trochę wyższa.

Sam popatrzył jeszcze raz, ale po chwili pokręcił głową.

- Przykro mi.

- Zmruż oczy - poradziła Remi.

Posłuchał jej i nagle, jakby ktoś przestawił jakiś przełącznik, zobaczył to. Sześćdziesiąt lat erozji spłaszczyło garb na klifie, ale nie było

wątpliwości: wypiętrzenie wraz z dwoma drzewami przypominała kozi pysk zwieńczony parą przerośniętych i splątanych rogów.

Zastanawiał się, czy ulegają autosugestii i widzą to, co chcą widzieć, czy też rzeczywiście coś tam jest. Zerknął na Remi i zrozumiał, że zastanawia się nad tym samym.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać - stwierdził.

Przełom w rafie był wąski, miał niecałe dwa i pół metra szerokości. Przyptyw powodował, że tworzyła się tam kipiela i szczyt koralowej formacji ginął pod wodą, ale znajdował się wystarczająco blisko powierzchni, by rozpruć gumowy kadłub pontonu, gdyby Sam zboczył.

Remi siedziała na dziobie z rękami opartymi o burty i wpatrywała się w wodę.

- W lewo... w lewo... w lewo - wołała. - Okej, prostuj. Tak trzymaj...

Po obu stronach pontonu Sam widział przez pianę ostre krawędzie rafy koralowej tuż pod turkusową powierzchnią. Poruszał przepustnicą i rumpel w poszukiwaniu delikatnej równowagi między prędkością sterowną a mocą. Za małą prędkość groziła zepchnięciem pontonu na rafę, a przy zbyt wysokich obrotach silnika nie zdążyłby reagować na sygnały Remi.

- Dobra... cała w prawo!

Sam pchnął rumpel i ponton skręcił w momencie, gdy fala załamała się na rafie i obróciła rufę.

- Trzymaj się!

Dodał gazu i skontrolował.

- W lewo... trochę bardziej...

- Daleko jeszcze?

- Trzy metry.

Sam zerknął przez ramię. Za nimi, na zewnętrznej krawędzi rafy, tworzyła się kilkumetrowa fala.

- Zaraz dostaniemy kopa z tyłu! - zawołał. - Przygotuj się!

- Już prawie jesteśmy... skreć w prawo, teraz prosto... dobra. Pełna moc!

Sam obrócił przepustnicę do oporu w chwili, kiedy fala załamała się pod rufą. Poczł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Śruba na moment wynurzyła się z jazgotem, potem ponton opadł z powrotem do spokojnej laguny.

Remi przetoczyła się na plecy, oparła o dziób i odetchnęła.

- Znow to powiem, Samie Fargo, naprawdę potrafisz zapewnić dziewczynie dobrą zabawę.

- Staram się, jak mogę. Witaj w lagunie Kozia Głowa.

Istny raj - stwierdził Sam i wyprostował dziób pontonu.

Po spędzeniu ostatnich ośmiu godzin najpierw w palącym słońcu, a potem na przeprawie przez przypominający paszczę rekina przełom w rafie ocieniona laguna rzeczywiście wydawała się rajem. Miała około trzydziestu metrów średnicy, a od północy i południa otaczały ją zakrzywione pasy lądu, porośnięte karłowatymi sosnami i palmami. Klif, który wznosił się pionowo na wysokość dziesięciu metrów, porastały pnącza, krzewy i wystające poza krawędź baniany, z których dwa największe tworzyły parę kozich rogów. Na lewo od klifu ciągnęło się półkole białego piasku wielkości sporego tarasu. Słońce chyliło się ku zachodowi, więc laguna tonęła w głębokim cieniu. Woda była gładka jak lustro. W górze wrzeszczały ptaki i bzyczały owady.

- Niezłe miejsce na nocleg - zgodziła się Remi. - Wprawdzie to nie Four Seasons, ale ma swój urok. Pozostaje tylko pytanie, czy trafiliśmy do celu.

- Nie znam odpowiedzi, ale jedno jest pewne: mamy tu jaskinię. - Sam wskazał grootę, skierował ponton w stronę skalnej ściany i cofnął przepustnicę, kiedy się z nią zrównał.

Woda wirowała tu ledwo zauważalnie w prawo i lekko opalizowała, co oznaczało, że jest słodka. Sam wyjął z worka marynarskiego okulary do nurkowania, przyłożył je do oczu i zanurzył twarz w wodzie. Mimo że przez cały dzień ogrzewało ją słońce, była chłodna. Dziesiątki ryb śmigwały w różnych kierunkach, walcząc o niewidoczne drobiny pokarmu, które podrywał do góry słodkowodny prąd.

Sam wynurzył głowę, zmoczył koniuszek palca i uniósł go do ust. Woda była tylko lekko słonawa.

- Podziemna rzeka? - zapytała Remi.

- Na to wygląda - odparł, strząsając wodę z włosów.

Jaskinie morskie w rejonie Bahamów są czasem połączone

z jaskiniami krasowymi i szczelinowymi, które z kolei łączą się z podziemnymi strumieniami w głębi lądu.

- Muszę spojrzeć na mapę, ale myślę, że jesteśmy tylko parę kilometrów od jeziora George. Nie zdziwiłbym się, gdyby ten system dochodził aż tutaj. Albo nawet do Salt Lake.

- Ja też nie, ale wolałabym odłożyć tę kwestię na kiedy indziej.

- Zgoda. - Sam zerknął na zegarek. Do przyływu zostało pół godziny. Jeżeli mieli zbadać jaskinię, to w ciągu najbliższej

- Wolałabym zaczekać - odrzekła - ale to twoje spojrzenie: chcesz tam wejść.

- Tak, lepiej sprowadźmy od razu, czy jesteśmy na właściwym tropie. Mamy dwadzieścia trzy metry liny. Jeden koniec przywiążemy do korzenia baniana, a drugi do mojego pasa balastowego. Jeśli wpadnę w tarapaty, będę mógł się wydostać.

- A jeśli uderzysz się w głowę i stracisz przytomność?

- Co minutę trzy razy szarpnę liną. Jeśli przestanę dawać sygnał, wyciągniesz mnie pontonem.

- Limit czasu?

- Dziesięć minut, ani sekundy dłużej.

Remi spojrzała na niego zmrużonymi oczami i westchnęła.

- Okej, panie Cousteau. Tylko pamiętaj, co ci mówiłam: jeżeli zginiesz, nigdy ci tego nie wybaczę.

Sam się uśmiechnął i mrugnął.

- Zgoda.

Kilka minut później siedział w skafandrze na dziobie. Remi zatrzymała ponton pod klifem. Sam wstał, przywiązał linę do wystającego korzenia, usiadł i przymocował drugi koniec do ucha przy swoim pasie balastowym. Remi zawróciła i zastopowała ponton trzy metry od skalnej ściany, wykonując minimalne ruchy przepustnicą, żeby utrzymać go w miejscu.

Sam splunął do maski, zanurzył ją w wodzie i włożył na głowę tak, że dolna krawędź była tuż nad brwiami. Potem wciągnął płetwy, sprawdził działanie aparatu oddechowego i skinął głową.

- Powodzenia - powiedziała Remi.

- Niebawem wrócę.

Opuścił maskę na oczy i zsunął się tyłem do wody.

Przez chwilę wisiał bez ruchu, rozkoszując się przyjemnym chłodem i przejrzystością wody w jego polu widzenia. Gdy pęcherze powietrza i piana zniknęły, przyjął pozycję pionową i zanurkował do dna, czując już ciąg prądu. Poddał mu się i przekręcił na bok, żeby móc obserwować pocętkowaną plamkami słońca powierzchnię, zanim wyłoniła się krawędź klifu i ogarnęła go ciemność. Włączył lampę nurkową i poświecił dookoła.

Otwór jaskini, mniej więcej półkolisty, miał prawie cztery metry w najszerszym miejscu i około sześciu metrów wysokości. Podczas odpływu jego szczyt prawdopodobnie wystawał tylko kilka centymetrów nad powierzchnię laguny, co w połączeniu z roślinnością na skalnej ścianie czyniło go niewidocznym. Gdyby nie wskazówka, którą stanowiła Kozia Głowa, nigdy by go nie znaleźli.

Sam popłynął ukośnie w dół, dotarł do dna i sunął palcami po piasku. Po około sześciu metrach dno nagle opadło. Przekręcił się na bok, poświecił w górę i zobaczył, że półkolisty otwór zniknął zastąpiony przez odbicie powierzchni. Spojrzał na zegarek i trzy razy szarpnął linę przy pasie: wszystko w porządku, Remi.

Nagle otoczyła go znacznie chłodniejsza woda i poczuł działanie nowego prądu, który spychał go w prawo. Uświadomił sobie, że lekko się obraca, jakby robił piruet za sprawą niewidzialnej ręki. Wir, pomyślał w panice. Prądy w lagunie i podziemnej rzece zderzały się ze sobą, chłodniejsza woda dostawała się pod cieplejszą i powstawało hydrauliczne tornado. W tej chwili znajdował się na zewnętrznej krawędzi wiru, zatem prąd był silny - prawie dwa węzły, jak oceniał - a jego siła będzie rosła w stronę środka. Skierował się ku ścianie, przynajmniej taką miał nadzieję, kilka razy machnął płetwami i wynurzył się na powierzchnię.

Wyciągniętą ręką próbował złapać się skały, lecz chwilę potrwało, zanim znalazł na występie oparcie dla palców. Przytrzymał się mocno, znowu. Trzy razy szarpnął linę i spojrzał na zegarek: minęły dwie minuty, zostało osiem. Oprócz cichego bulgotu wody przepływającej

wzdłuż ścian i odgłosów kapania dochodzących gdzieś z głębi jaskini panowała upiorna cisza.

Ściągnął zębami rękawicę z wolnej dłoni, wyprostował palce i natychmiast poczuł na mokrej skórze pęd chłodnego powietrza. Dobry znak. Połączenie jaskini z podziemną rzeką mogło powodować skażenie wody, a choć nie widzieli oznak obecności toksyn w wypływie - braku ryb, odbarwienia skał, obumarłych gąbek - istniało też niebezpieczeństwo gromadzenia się gazu. Szybki przepływ powietrza raczej je wykluczał. Sam wyjął z ust automat oddechowy i zrobił głęboki wdech przez nos. Żadnego niepokojącego zapachu. Znów zasygnalizował liną, że wszystko gra, włożył rękawicę i poświecił dookoła lampą.

Niecałe dwa metry nad głową zobaczył pierwszą wskazówkę, że są na właściwym tropie: pomost z desek zawieszony na zardzewiałych stalowych linach biegł przez całą szerokość jaskini i kończył się przy przeciwległej ścianie nad prowizorycznym drewnianym nabrzeżem na drewnianych palach wbitych w dno. W połowie długości łączył się z nim drugi pomost, który ciągnął się do tylnej ściany pod kątem prostym. Konstrukcja była prymitywna, ale ktoś włożył w nią trochę wysiłku. Dawno temu, sądząc po rdzy na linach i szlamie na deskach.

Jaskinia miała owalny kształt i około piętnastu metrów szerokości. Ze sklepienia zwisały stalaktyty. Sam przesunął snop światła wzdłuż tego, co powinno być tylną ścianą, lecz zobaczył tylko ciemność. Spodziewał się, że połączenie z podziemną rzeką będzie szczeliną w ścianie, a okazało się, że ta grotta jest po prostu przedsionkiem. Poza dziesięciometrowym zwężeniem między tylnymi ścianami nie oddzielało jej od sąsiedniej jaskini szczelinowej. Dokąd i jak daleko się ciągnęła, nie miał pojęcia.

Zastanawiał się chwilę, czy te pomosty i nabrzeże wystarczały do obsługi jednego lub dwóch miniaturowych okrętów podwodnych, i uznał, że to zależało od zakresu prac. Pojawiło się jednak następane pytanie: dlaczego nie wykonano tych prac na pokładzie „Lothringen” na morzu? Zagadka dla Selmy.

Lina przy jego pasie zaczęła gwałtownie drgać, a chociaż nie uzgodnili sygnału alarmowego ze strony Remi, Sam natychmiast się zorientował, że właśnie to przekazuje mu żona.

Wsunął automat oddechowy z powrotem między zęby, zanurkował, popłynął szybko do otworu i wciągnął się ręką za ręką po linie. Kiedy dostrzegł światło z powierzchni laguny, skierował się ku sklepieniu, przekręcił na plecy i zamachał płetwami, by pozostać z dala od skały. Minął przednią krawędź otworu i wychynął na powierzchnię pod zasłoną pnączy.

Stłumił chęć zawołania Remi i rozejrzał się wokół.

Laguna była pusta.

Ponton zniknął, a Remi wraz z nim.

Rosnącą w nim obawę zastąpiła ulga, gdy zobaczył rękę, która wyłoniła się z zarośli na przeciwległym brzegu laguny. Chwilę później z krzaków wychynęła głowa Remi, która postukała się w ucho, wskazała niebo i wykonała palcem pionowego młynka. Minęło dziesięć sekund, dwadzieścia, pełna minuta. Wreszcie to usłyszał: zbliżający się warkot helikoptera. Wystawił głowę spod pnączy i spojrział w górę, próbując zlokalizować hałas.

Nad krawędzią klifu pojawiły się wirujące łopaty rotora, a w ślad za nimi lśniąca w promieniach zachodzącego słońca krzywizna pleksiglasowej szyby. Powierzchnię wody zmarszczył podmuch, lekka mgiełka wypełniła powietrze. Sam cofnął się, Remi też zniknęła wśród zarośli.

Przez prawie pół minuty helikopter wisiał nad laguną, potem przechylił się w skřęcie i poleciał na południe wzdłuż wybrzeża. Sam zaczekał, aż warkot ucichnie, po czym dał nura pod powierzchnię i skierował się na drugą stronę laguny. Płynął, dopóki nie dotknął brzuchem piasku. Kiedy się wynurzył, zobaczył przed sobą wyciągniętą rękę żony. Chwycił ją i Remi pomogła mu wpełznąć w zarośla.

- To oni? - zapytała.

- Nie wiem, ale wolę tak zakładać, niż potem być zaskoczony. Poza tym to droga maszyna, bell 430, jak mi się zdaje. Co najmniej cztery miliony.

- Idealny dla głównej postaci ukraińskiej mafii.

- I wystarczająco duży, żeby zamieścić rosyjskiego cyngla i ośmiu jego kumpli. Widzieli cię?

- Nie jestem pewna. Pierwszy raz przeleciał szybko, ale prawie natychmiast zawrócił i zrobił jeszcze dwa przeloty. Albo są ciekawi tego miejsca, albo wiedzą, że tu jesteśmy.

- A gdzie ponton?

Remi wskazała w lewo i Sam dostrzegł skrawek szarej gumy wystający z krzaków.

- Schowałam go najszybciej, jak mogłam.

- To dobrze. - Sam zastanowił się chwilę. - Chodźmy do jaskini. Jeśli postanowią wylądować i się rozejrzeć, tam najlepiej się ukryjemy.

Nasłuchując, czy bell nie wraca, zdjął swój sprzęt i podał Remi. Zaczęła wkładać skafander.

- A ty co zamierzasz? - spytała.

- Przetniesz lagunę, wślizniesz się do jaskini i zaczekasz na mnie. Jest tam wirujący w prawo prąd, więc uważaj. Wybierz linę i zostań blisko otworu.

- Trzy szarpnięcia będą oznaczały alarm; dwa, że wszystko w porządku.

- Dobra. Przyprawdżę ponton i spróbuję wplłynąć z nim do środka. Zaczekamy, aż się ściemni, i zobaczymy, co uda nam się zdziałać.

Remi skinęła głową, rozejrzała się ostatni raz, weszła do wody i zniknęła pod powierzchnią. Sam obserwował, jak ślad pęcherzy powietrza sunie przez lagunę i ginie w jaskini, a potem doczołgał się przez zarośla do miejsca, w którym Remi ukryła ponton.

Znieruchomiał, zamknął oczy i chwilę nasłuchiwał, ale nic nie usłyszał.

Wepchnął cały luźny sprzęt do dwóch wodoszczelnych toreb SealLine, przymocował je do knag i zawiązał sobie wokół pasa dwuipółmetrowy faleń pontonu. Zsunął się do wody i popłynął żabką przez lagunę. Był w połowie drogi, gdy od strony plaży dobiegł warkot helikoptera. Bell ukazał się nad wierzchołkami palm i zawisł nad nimi. Z otwartych drzwi wychylała się postać w ciemnym kombinezonie i patrzyła w dół prosto na niego. Sam natychmiast zorientował się, że to nie porywacz Frobishera, Archipow, lecz mężczyzna, którego zdjęcie przemejlował mu Rube - Chołkow. Rozpoznał też krótki cylindryczny przedmiot w jego rękach: kompaktowy pistolet maszynowy.

Nabrał powietrza do płuc, odwrócił się i zanurkował. Jego głowa zniknęła pod powierzchnią w momencie, gdy burta pontonu eksplodowała. Po wodzie rozeszły się drobne fale i dostrzegł kątem oka spienione tory pocisków. Przy każdym trafieniu ponton podskakiwał i syczał, wreszcie zapadł się i poszedł pod wodę obciążoną przez silnik rufą w dół.

Sam mocno pracował nogami i szeroko rozpościarał ramiona, płynąc w kierunku otworu jaskini. Strzelanina ustała, lecz tylko na kilka sekund. Zmiana magazynka, pomyślał. Pociski dziurawiły powierzchnię laguny niczym grad, docierały ponad metr w dół, po czym traciły energię i opadały na dno. Gdy wpłynął pod skalny luk, otoczyła go ciemność, a odgłosy strzałów i warkot helikoptera stały się przytłumione.

Przekręcił się i uniósł, szukając rękami sklepienia. Lina... lina... gdzie ona jest? Coś otarło się o jego stopy: ponton. Kiedy tonął, porwała go woda wpływająca do jaskini. Sam poczuł szarpnięcie w pasie, faleń naprężył się i pociągnął go za sobą. Wyciągnął nóż nurkowy z pochwy na łydce, przeciął linę i sunął dalej, wsysany do środka.

Z braku tlenu bolały go płuca i łupało mu w głowie. Próbował zawiązać linę wokół rękojeści, ale nóż wysliznął mu się z dłoni i odbił od piersi. Sam złapał go, spróbował jeszcze raz i udało mu się zrobić węzeł prosty. Wypchnął się ku powierzchni i wynurzył. Kątem oka dostrzegł na prawo od siebie Remi. Trzymała się kurczowo skalnej ściany. Poczuł, że wciąga go wir.

- Sam, co...

- Daj mi tyle liny, ile masz!

Przerzucił nóż wysokim łukiem nad pomostem. Kiedy wpadł do wody, Sam już płynął w tamtą stronę. Nagle wir wessał ponton głębiej i został szarpnięty w innym kierunku, ku ścianie.

- Remi, rzuć mi linę!

- Lecil!

Usłyszał plusk, ale ponton był teraz ciężarem ponad siły. Sam został wciągnięty pod powierzchnię, woda dostała mu się do ust i nosa.

- Łap! - zawołała Remi. - Jest przed tobą!

Sam poczuł, jak coś ociera mu się o policzek, i trzepnął to ręką. Natrafiwszy palcami na linę, zacisnął dłoń wokół niej i zatrzymał się gwałtownie.

Nabrał powietrza do płuc, zaczekał, aż przejdzie mu migotanie przed oczami, i obejrzał się przez ramię.

Remi wisiała do połowy w wodzie na drugim końcu liny. Lampa nurkowa dyndała jej u pasa, cienie płały po ścianach.

- Ładny rzut - pochwalił Sam.

- Dzięki. Żyjesz? -

A ty?

- Ledwo.

Przez chwilę nie ruszali się i starali się zorientować, gdzie są.

- Wciągnę cię na pomost - powiedział Sam. - Przywiążesz linę i dołączę do ciebie.

- Okej.

Remi trzy razy w tygodniu ćwiczyła jogę i pilates, co teraz okazało się bardzo przydatne. Wspięła się po linie zwinnie jak małpa i wtoczyła na pomost. Deski zaskrzypiały, potem zatrzeszczały. Remi zamarła.

- Połóż się płasko - polecił Sam. - Rozłóż równomiernie ciężar, powoli.

Zrobiła to, a potem, naciskając deski kolanami i łokciami, sprawdziła, czy wytrzymają. Uznała, że żadna nie puści.

- Chyba jest okej - powiedziała, przywiązując linę.

- Ponton i cały nasz sprzęt wisi na moim pasie - rzekł Sam. - Spróbuję wszystko uratować.

- Dobra.

Między węzłem Remi a Samem było tylko sześć metrów liny; reszta falowała w prądzie. Sam zwinął trzy metry i zrobił prowizoryczną uprzęż, a potem po omacku zawiązał wyblinkę wokół swojego pasa i końca falenia z węzłem. Chwyciwszy prawą ręką linę nad swoją głową, pociągnął pętlę na uprzężę. Lina naprężyła się, wyłoniła z wody i wibrowała przez kilka sekund.

- Powinna wytrzymać - zawołał Sam, wspiął się i wtoczył na platformę obok Remi. Przytuliła go mocno, jej mokre włosy rozsypały się na jego twarzy.

- Myślę, że ta strzelanina wystarczy za odpowiedź na nasze pytanie - szepnęła.

- Ja też.

- Na pewno nie oberwałeś? - spytała z troską w głosie.

- Na pewno.

- Więc lepiej się ruszmy. Coś mi mówi, że oni jeszcze nie skończyli.

Sam w duchu przyznał Remi rację, ale wiedział, że ich sytuacja nie przedstawia się najlepiej. Mieli cztery możliwości: wydostać się tą samą drogą, którą się tu dostali, znaleźć inną drogę na zewnątrz, walczyć albo się ukryć. Pierwsza możliwość nie wchodziła w rachubę - wpadliby prosto w ręce swoich prześladowców; druga była wielkim znakiem zapytania - ta jaskinia mogła się okazać ślepym zaułkiem; trzecia też nie miała szans powodzenia -krótkolufowy rewolwer szewca Guido był niczym wobec karabinów szturmowych ludzi Chołkowa. Jedyłą szansę na wyjście z tego cało dawało ukrycie się.

Pozostawało pytanie, jak długo tamci będą czekali, zanim zapuszczą się do jaskini.

Sam spojrzął na zegarek i uświadomił sobie, że jedna rzecz działa na ich korzyść. Kończył się przyływ; za kilka minut woda zacznie wypływać z jaskini i utrudni wejście.

- Więc to jest tajny nazistowski schron dla okrętów podwodnych - stwierdziła Remi, zdejmując resztę sprzętu.
- Prawdopodobnie, ale nie będziemy tego pewni, dopóki nie znajdziemy...
- Nie, Sam, to nie ulega wątpliwości. Zobacz.

Remi skierowała lampę na skalną ścianę powyżej nabrzeża. Sam spojrzął w tamtą stronę. Prostokąt z wyklepanej blachy pomalowanej farbą, która przez lata prawie całkiem wyblakła, pozostał rozpoznawalny.

- Bandera nazistowskiej Kriegsmarine - wyszeptał Sam. -Duma właściciela domu, jak przypuszczam.

Remi się roześmiała.

Posuwając się ostrożnie krok za krokiem, dotarli do nabrzeża; deski skrzypiały i trzeszczały pod ich stopami, ale wytrzymały. Liny, choć pokryte grubą warstwą mazistej rdzy, okazały się równie solidne; pętle na ich końcach przymocowano do sklepienia i skalnych ścian stalowymi śrubami wielkości kciuka. Przy świetle lampy Remi Sam wrócił pomostem po linę i dociągnął zatopiony ponton do nabrzeża. Razem wydobyli go z wody. Chociaż sam ponton był w strzępach, silnik i zbiornik paliwa jakimś cudem zostały tylko draśnięte w paru miejscach. Ocalały też obie wodoszczelne torby: wprawdzie jedną podziurawiło kilkanaście pocisków, ale druga w ogóle nie ucierpiała.

Doszli do końca pomostu, żeby obejrzeć drugą grootę. Tak jak przypuszczał Sam, okazała się jaskinią szczelinową. Ściany miała nierówne, bo woda, która przez tysiące lat wygładziła powierzchnię ścian pierwszej jaskini, tu nie docierała. W miejscu połączenia biegły dwa tunele, tworzące kształt szerokiej litery V. Jeden prowadził w lewo do góry, drugi w prawo w dół. Woda spływała lewym, częściowo do jaskini, częściowo do prawego korytarza.

- Twoja rzeka - powiedziała Remi.

- Musi istnieć od niedawna - odparł Sam. - Ściany są zbyt nierówne.

- Od kiedy, twoim zdaniem?

- Najwyżej od stu lat. Daj mi lampę i złap mnie za pas. - Gdy Remi wykonała polecenie, pochylił się i oświetlił prawy tunel. -Okej, wciągnij mnie.

- I co? - spytała Remi.

- Tunel skręca jeszcze bardziej w prawo. Za zakrętem jest drugie nabrzeże i następne pomosty.

- Sytuacja się komplikuje.

Ubezpieczając się liną, której zostało im jeszcze osiemnaście metrów, ruszyli w dół prawego tunelu. Remi poszła pierwsza, a Sam popuszczał linę z pętli wokół pali. Gdy dotarła do następnego nabrzeża, zawołała:

- Okej! Jakies dziesięć metrów.

Sam wciągnął linę i przymocował do niej silnik, ponton (którego nie chcieli zostawiać, aby nie znaleźli go przeciwnicy, bo wtedy nie mieliby wątpliwości, że ich ofiary są nadal w jaskini), wodoszczelne torby i sprzęt do nurkowania. Potem wypuszczał linę, dopóki Remi nie zawołała, że wystarczy. Usłyszał jej stękanie, kiedy wyławiała sprzęt z wody, a chwilę później głos:

- Przywiązana! Możesz iść.

Od strony wejścia dobiegł bulgot, a potem charakterystyczny charkot wynurzającego się automatu oddechowego. Sam padł na brzuch, przywarł twarzą do desek nabrzeża i znieruchomiał. Rozbłysło światło latarki i omiotło ściany i sklepienie. Sam dostrzegł głowę mężczyzny, a obok niego unoszący się w wodzie obiekt w kształcie pocisku. Akumulatorowy skuter nurkowy, uświadomił sobie. To tyle, jeśli chodzi o przewagę dzięki wypływowi, pomyślał.

Mężczyzna wrzucił na pomost coś, co wyglądało na hak abordażowy, szarpnął przymocowaną do niego linę i krzyknął po angielsku z rosyjskim akcentem:

- Czysto, chodźcie!

Skierował skuter w stronę nabrzeża i popłynął przez jaskinię.

Sam szarpnął trzy razy linę, przetoczył się poza krawędź i opuścił do wody. Porwał go prąd i poniósł w dół tunelu. Kilka sekund później zobaczył następne nabrzeże. Remi klęczała na krawędzi i wybierała linę. Sam położył palec na ustach. Skinęła głową i pomogła mu wdrapać się na deski.

- Czarne charaktery - szepnął.

- Ile mamy czasu?

- Tylko tyle, żeby się ukryć.

Rozejrzał się. Sieć pomostów w kształcie litery E spinała jaskinię i łączyła to nabrzeże z kolejnym pod przeciwległą ścianą. Na obu stały stopy drewnianych skrzyń z emblematami Kriegsmarine.

Jaskinia, choć prawie dwa razy większa od poprzedniej, była szczelinowa, co oznaczało, że nie znajdą wyjścia od strony morza. A może jednak? - pomyślał Sam, świecąc lampą dookoła. Ze sklepienia w odległym kącie zwisało coś, co wcześniej wziął za wyjątkowo długi stalaktyt. Teraz w blasku lampy zobaczył, że to wysuszona płatanina korzeni i pnączy sięgająca prawie do powierzchni wody.

- Wyjście? - zapytała Remi.
- Być może. Prąd jest tu wolniej szy.
- Najwyżej pół węzła - zgodziła się.

Z pierwszej jaskini dobiegły dwa głosy, a potem w głębi tunelu rozległ się strzał, jeden, później drugi, wreszcie dziesięciosekundowa seria.

- Strzelają w wodę - szepnął Sam. - Próbują nas wypłoszyć.
- Spójrz tutaj - odparła Remi również szeptem. Skierował

snop światła na wodę w miejscach, które wskazywała.

Tuż pod powierzchnią widniał zakrzywiony kształt.

- Kadłub - szepnęła.
- Chyba masz rację.
- To może być UM-77.
- Więc bierzmy się do roboty - rzekł Sam i przedstawił żonie swój plan.

Umieścili silnik i resztę sprzętu w podziurawionym pontonie, przywiązali falaniem i zatopili ponton pod nabrzeżem. Potem odcięli dziesięć metrów liny i zaczęli robić na niej pętle co kilkadziesiąt centymetrów. Kiedy skończyli, Sam zapytał:

- Co wybierasz?
- Ty nurkujesz, ja się wspinam.

Cmoknęła go w policzek, chwyciła linę i zaczęła na wpół biec, na wpół skradać się po pomoście.

Sam zsunął się z nabrzeża i zanurkował.

Natychmiast zorientował się, że to nie jest miniaturowy okręt podwodny klasy Moich. Był krótszy co najmniej o dwa metry i miał połowę średnicy UM-34. Sam rozpoznał żywą torpedę klasy Marder. Była to konstrukcja złożona z dwóch torped G7e umieszczonych jedna na drugiej. Górną opróżniano i przerabiano na przedział akumulatorowy i kokpit z kopułą ze szkła akrylowego, dolna pozostawała odłączanym pociskiem.

Podpłynąwszy wzdłuż krzywizny kadłuba do dna, zobaczył tylko cylinder kokpitu leżący na boku z kopułą zagrzebaną do połowy w piasku. Dolnej torpedy brakowało. Sam zbliżył się do kopuły, odłożył lampę i próbował otworzyć rygle. Ani drgnęły.

Czas, Sam, czas...

Płuca zaczęły go piec. Chwycił jeden rygiel oburącz, zaparł się stopami o kadłub i pociągnął z całej siły. Nic. Spróbował jeszcze raz. Znowu nic.

Znów usłyszał przytłumione głosy, tym razem bliżej. Zgasił lampę, spojrzał w górę, by zorientować się, gdzie jest, i popłynął w stronę ściany. Gdy pale nabrzeża wyłoniły się z mroku, wślizgnął się między nie i skręcił w prawo równoległe do ściany. Wydostawszy się spod nabrzeża, uniósł się i delikatnie przebił powierzchnię.

Po ścianach jaskini i sąsiadującego z nią rzeczno tunelu płąsały światła. Chołkow i jego ludzie dotarli już do końca nabrzeża; tylko patrzeć, jak będą tutaj. Sam spojrzął na płataninę korzeni i pnączy wiszących tuż nad powierzchnią. Z bliska była nawet większa, niż ocenił, miała średnicę dwustulitrowej beczki. Podpłynął tam, zanurzył się na moment, i znalazłszy linę Remi, zaczął się wspinać.

Minutę później i pięć metrów wyżej trafił dłonią na stopę żony. Ścisnął ją uspokajająco; poruszyła się w odpowiedzi. Wsunął w pętlę stopę, a potem prawą rękę.

- Udało się? - szepnęła Remi.

- Nie. Zamknięty na amen.

- I co teraz?

- Poczekamy.

Czekanie nie trwało długo.

Ludzie Chołkowa, asekurując się linami tak jak wcześniej Sam i Remi, wkrótce dotarli do drugiego nabrzeża. Sam naliczył sześciu mężczyzn. Jeden z nich poruszał się wzdłuż nabrzeża, oświetlając latarką skrzynie, wodę i pomosty.

- Gdzie oni są, do cholery? - warknął.

Sam rozpoznał Chołkowa.

- Wy czterej wypłoscie ich! - rozkazał Rosjanin i skinął głową do piątego mężczyzny. - Ty pójdiesz ze mną!

Wraz z towarzyszem zaczął przeszukiwać skrzynie, a pozostali stanęli na krawędzi nabrzeża i strzelali krótkimi seriami w wodę. Po niecałej minucie Chołkow krzyknął:

- Przerwać ogień!

- Tam coś jest - zawołał jeden z mężczyzn, oświetlając wodę latarką.

Chołkow podszedł bliżej i wskazał dwóch swoich ludzi.

- Weźcie sprzęt i przyjrzyjcie się temu.

Mężczyźni wrócili po pięciu minutach, a po pięciu następnych zanurkowali.

- Przeszukajcie najpierw jaskinię - polecił im Chołkow. - Sprawdźcie, czy gdzieś się nie schowali.

Mężczyźni zniknęli pod powierzchnią. Sam patrzył, jak snopy światła ich latarek przesuwają się po dnie, pod obydwoma nabrzeżami i wzdłuż ścian. W końcu obaj się wynurzyli.

- Tu nie ma się gdzie ukryć - zameldował jeden z nich.

Sam odetchnął z ulgą. Przeoczyli zatopiony sprzęt.

- Może zapuścili się do rzeczno tunelu? - podsunął mężczyzna stojący obok Chołkowa.

Rosjanin zastanawiał się chwilę.

- Jesteście pewni, że nic tu nie ma? - zapytał nurków, a gdy ci zgodnie przytaknęli, odwrócił się do swojego towarzysza: - Weź Pawła, przewiąż się liną i poszukaj ich w tunelu.

Mężczyzna skinął głową, przeszedł na koniec nabrzeża i zaczął rozwijać linę.

- Przeszukajcie okręt - rozkazał Chołkow nurkom.

Włożyli do ust automaty oddechowe i zanurzyli się. Snopy

światła ich latarek sunęły wzdłuż kadłuba i zatrzymały się przy kopule kokpitu. Po chwili spod wody dobiegły stłumione dźwięki uderzeń metalem o metal. Wkrótce jeden z mężczyzn się wynurzył, wyjął automat oddechowy z ust i powiedział:

- To marder UM-77. Ale rygle ani drgną. Jest nam potrzebny łom.

Jeden z mężczyzn na nabrzeżu sięgnął do plecaka i wyjął łom.

Nurek podpłynął, wziął go i wrócił pod powierzchnię.

Przez pięć minut spod wody dochodziły odgłosy walenia metalem o metal, a potem nastąpiła cisza i na powierzchni eksplodował wielki pęcherz powietrza.

Mijały kolejne minuty, wreszcie nurkowie znów się wynurzyli. Jeden trzymał w ręku podłużny przedmiot.

- Daj mi to - rozkazał Chołkow.

Nurek dopłynął do nabrzeża i podał mu przedmiot. Sam rozpoznał drewnianą skrzynkę w kształcie bochenka chleba. Chołkow oglądał ją przez ponad minutę, obracając na wszystkie strony i przypatrując się powierzchni, po czym ostrożnie uniósł wieko. Zajrzał do środka, zamknął skrzynkę i skinął głową.

- Dobra robota.

- Na pomoc! - krzyknął ktoś z rzeczno tunelu. - Wciągnij cie nas! Wciągnijcie nas!

Kilku ludzi Chołkova pobiegło nabrzeżem i zaczęło wciągać linę. Po dziesięciu sekundach na jej końcu ukazał się mężczyzna.

Był półprzytomny, połowę twarzy miał zakrwawioną. Dźwignęli go na nabrzeże i położyli płasko.

- Gdzie Paweł? - zapytał ostro Chołkow. Ranny wymamrotał coś niezrozumiale. Chołkow uderzył go w twarz otwartą dłonią i chwycił za podbródek. - Odpowiadaj! Gdzie jest Paweł?

- Lina się urwała... Uderzył głową... Próbowałem go dosięgnąć, ale nie dałem rady. Zniknął. W jednym momencie był, w następnym zniknął... Zniknął...

- Cholera. - Chołkow odwrócił się, przeszedł pół długości nabrzeża i ruszył z powrotem. - Okej, wy dwaj weźcie go i wracajcie do laguny. - Wskazał trzeciego mężczyznę. - My podłożymy ładunki. Jeśli Fargowie jeszcze żyją, pogrzebiemy ich żywcem!

Gdy Chołkow i jego ludzie odeszli, Sam opuścił się na dół liny, rozhuścił i skinął głową Remi. Przeskoczyła na pomost, on za nią.

- Myślisz, że mówił poważnie? - spytała szeptem.
- Wątpię, czy mają dość materiału wybuchowego, żeby nas pogrzebać, ale na pewno mogą zablokować główny otwór. Sprawdziłaś, czy można się wydostać górą? - Wskazał płataninę korzeni.
- Jest tam zaledwie kilkucentymetrowa szczelina - odparła - a do powierzchni są dobre dwa metry.
- Ale widziałaś światło dzienne?
- Tak. Słońce właśnie zachodzi.
- No cóż, przynajmniej będziemy mieli dopływ powietrza. A oni mają butelkę.
- Nie wszystko naraz, Sam.
- Masz rację. Zejdźmy z tego pomostu, zanim...

Jakby na zawołanie z głównej jaskini dobiegł huk, a po chwili rozległy się dwa następne.

- Padnij! - krzyknął Sam.

Pchnął Remi na ziemię i przykrył własnym ciałem. Kilka sekund później poczuli podmuch chłodnego powietrza. Z tunelu wydobył się tuman kurzu, który wypełnił jaskinię. Cięższe cząsteczki spadały na nich jak deszcz. Fargowie spojrzeli w górę.

- Nareszcie sami - mruknęła Remi.

Sam uśmiechnął się szeroko, podniósł, otrzepał i pomógł jej wstać.

- Chcesz tu trochę zostać?
- Nie, dzięki.
- No to lepiej chodźmy do naszej kapsuły ratunkowej.

Remi oparła ręce na biodrach.

- O czym ty mówisz?

Sam odczepił latarkę od pasa i oświetlił kadłub zatopionej żywej torpedy.

- O tym.

- Nadal nie rozumiem.
- Sprawdzę, żeby się upewnić, ale raczej nie będziemy mogli wyjść tędy, którądy weszliśmy, a że nikt nie wie, gdzie dokładnie jesteśmy, nie powinniśmy liczyć na pomoc. Zostaje więc tylko jedna możliwość: rzeka.
- Masz na myśli rzekę, w której zginął jeden z ludzi Chołkowa, wessany przez nurt w otchłań?
- Ona dokądś prowadzi. Tamten tunel ma ponad cztery metry średnicy, a woda płynie szybko. Jeśli się zwięża gdzieś po drodze, zobaczymy cofający się nurt albo granicę przyływu na ścianach. Wierz mi, prąd gdzieś nas doniesie - albo na poziom gruntu do jakiegoś jeziora lub stawu, albo do innej jaskini.
- Jesteś tego pewien?
- Raczej tak.
- Mało zachęcające. - Remi zagryzła wargę. - A co powiesz na to: użyjesz swojej inżynierskiej magii i, wykorzystując ciśnienie w butli akwalungu, powiększysz szczelinę w sklepieniu.
- Takie ciśnienie nie wystarczy, a poza tym sklepienie może runąć na nas.

113

8 - Złoto Spartan

- Fakt. No to zaczekajmy do świtu i podpalmy płataninę korzeni. To będzie sygnał dymny... - urwała i zmarszczyła brwi. - Nie, ta opcja odpada. Udusilibyśmy się na długo przed nadejściem pomocy.
- Masz takie samo doświadczenie w nurkowaniu jaskiniowym jak ja - powiedział Sam. - Znasz się na geologii. Ta rzeka to nasza największa szansa. Właściwie jedyna.
- Okej. Ale jest pewien problem. Nasza kapsuła ratunkowa jest pełna wody i leży cztery i pół metra pod powierzchnią.

Sam skinął głową.

- To rzeczywiście problem.

Po upewnieniu się, że otwór wejściowy głównej jaskini jest zablokowany, wrócili do drugiej groty i zabrali się do pracy. Podnieśli z dna swój sprzęt, a potem przeszukali skrzynie Kriegsmarine w nadziei, że znajdą tam coś, co im się przyda. Oprócz skrzynki pełnej w większości zardzewiałych narzędzi znaleźli cztery latarnie i kilkanaście krótkich świec, które na szczęście udało się zapalić bez problemu. Nabrzeże i wodę wokół oświetlił chybotliwy żółty blask. Remi przeglądała pozostały sprzęt i narzędzia w skrzynce, a Sam stał na krawędzi pomostu i w zamyśleniu wpatrywał się w

wodę.

- Okej. - Głos żony wyrwał go z zadumy. - Mamy dwie butle akwalungu, jedną pełną, a drugą prawie pełną; i dwie latarki, na razie obie sprawne. Mój aparat fotograficzny roztrzaskały po ciski, ale lornetka ocalała. Rewolwer jest suchy, ale za amunicję nie ręcę. Są też dwie manierki wody i lekko wilgotna konserwa wołowa, apteczka i twoje narzędzie wielofunkcyjne Gerber Nautilus. Jedna torba wodoszczelna w dobrym stanie, druga jak ser szwajcarski i wreszcie dwa telefony komórkowe, suche, sprawne, naładowane, ale tutaj bezużyteczne.

- A silnik?

- Wytarłam go do sucha, ale nie będziemy wiedzieli, czy działa, dopóki go nie wypróbujemy. Co do zbiornika paliwa, nie zauważyłam w nim żadnych dziur i wszystkie zawory są szczelne, więc chyba jest w porządku.

Sam skinął głową i wrócił do wpatrywania się w wodę. Po dziesięciu minutach odchrząknął.

- Okej, możemy to zrobić. - Podeszedł do Remi i usiadł obok niej.

- Zamieniam się w słuch - powiedziała.

Zaczął wyjaśniać. Kiedy skończył, Remi zacisnęła usta i przechyliła głowę na bok, a potem nią skinęła.

- Od czego zaczniemy?

Dla Sama zaczęło się od pełnego napięcia, klaustrofobicznego pełzania. Nie bał się zamkniętych pomieszczeń ani wody, ale nie przepadał za połączeniem jednego z drugim.

Najpierw, tylko w masce i pasie balastowym, zanurkował kilka razy, żeby zwiększyć pojemność płuc, a potem spędził minutę na powierzchni, oddychając głęboko, żeby maksymalnie nasycić krew tlenem.

Wziął ostatni oddech i zanurkował do dna. Z latarką w wyciągniętej przed siebie ręce wśliznął się przez właz w kopule kokpitu do wraka i skierował ku rufie. Jeszcze w Pocumoke zapoznał się z konstrukcją okrętów podwodnych Kriegsmarine, wiedział więc, że w części dziobowej mardera są tylko fotel i podstawowe przyrządy sterownicze. To, czego szukał - zawory denne - znajdowało się w części rufowej. Przeciskając się przez ciasne wnętrza, szukał po omacku cylindrycznej powierzchni i czuł napór otaczającej go wody. Na chwilę ogarnął go strach, ale wziął się w garść i skoncentrował. Zawór denny, Sam. Zawór.

Poświecił latarką w lewo, w prawo, na wprost. Szukał dźwigni, cylindrycznej kryzy wystającej z kadłuba... I nagle zobaczył ją przed sobą po lewej stronie. Chwycił dźwignię i pociągnął z całej siły. Ani drgnęła. Wyjął nóż nurkowy i wetknął ostrze między dźwignię a kadłub, spróbował jeszcze raz. Ustąpiła z młaśnięciem i wytryskiem rdzy. Sam odwrócił się do przeciwnego zaworu, powtórzył czynności, po czym wycofał się i wypłynął na powierzchnię.

- Jesteś okej? - spytała Remi.

- Zdefiniuj „okej”.

- Nie śmiertelnie ranny.

- Tak, jestem okej.

Realizacja następnego punktu planu zajęła im trzy godziny. Większość tego czasu spędzili na sortowaniu i splataniu lin, które zostawili Niemcy. Połowa była albo całkowicie zgniła, albo tak słaba, że Sam wolał nie ryzykować. Mieli tylko jedną szansę zrobienia tego, co zamierzają. Jeśli im się nie powiedzie, będą musieli wrócić do pomysłu Remi - podpalić płataninę korzeni i pnączy w nadziei, że pomoc nadejdzie, zanim się uduszą dymem.

Po trzech godzinach, parę minut przed drugą nad ranem według zegarka Sama, byli prawie gotowi. Stali na krawędzi nabrzeża i przyglądali się swojemu dziełu.

Dwie poczwórnie splecione konopne liny, jedna przymocowana do knagi dziobowej okrętu podwodnego, a druga do rufowej, biegły z wody do sklepienia, gdzie Remi, doskonała alpinistka, przewlekła każdą przez ucho wiszącego pomostu. Stamtąd opadały z powrotem

i były przywiązane do lin pod deskami pomostu. Pionowe stalowe liny nośne łączyła w połowie ich długości misterna pajęczyna lin konopnych. Do jednej z lin stalowych - najdalszej od przymocowanych do wraku konopnych - Sam przyczepił butlę akwalungu.

- Powtórzmy - powiedziała Remi. - Strzelasz w butlę, wybuch rozrywa liny nośne, pomost spada, żywa torpeda się wynurza, a woda wylewa się z niej. Tak?

- Mniej więcej. Butla nie eksploduje, tylko wystartuje jak rakietka. Jeśli dobrze obliczyłem, moment obrotowy powinien spowodować pęknięcie osłabionych lin.

Ocena ciężaru okrętu i wody w jego wnętrzu oraz łącznej wagi pomostów i wytrzymałości stalowych lin przyprawiła Sama o ból głowy, ale był raczej pewien swego. Starą i zardzewiałą, lecz wciąż ostrą piłą do metalu, którą znaleźli w skrzynce narzędziowej, naciął do połowy jedenaście z osiemnastu pionowych lin nośnych pomostu.

- Bez względu na wynik jestem z ciebie dumna - zapewniła Remi, wręczając mu rewolwer. - To twoja pułapka na myszy, więc pełnij honory.

Weszli za osłonę ze skrzyń, którą ustawili na przeciwległym końcu nabrzeża, i sprawdzili, czy jest szczelna.

- Gotowa? - spytał Sam.

Remi zasłoniła dłońmi uszy i skinęła głową.

Sam oparł prawą rękę z bronią na lewym przedramieniu, wycelował i nacisnął spust.

Niemal jednocześnie z hukiem wystrzału rozległ się przeraźliwy świst i dźwięk rozrywanego metalu, a potem głośny plusk.

Sam i Remi wystawili głowy nad osłonę, ale przez kilkanaście sekund widzieli tylko lekką mgiełkę wypełniającą jaskinię. Gdy się rozviała, wyszli zza barykady, podeszli do krawędzi nabrzeża

i popatrzyli w dół.

- Ani przez chwilę nie miałam wątpliwości - mruknęła Remi.

Żywa torpeda UM-77 klasy Marder po sześćdziesięciu latach

spoczywania na dnie jaskini unosiła się pionowo na powierzchni, a z jej zaworów dennych tryskała woda.

- Piękny. - Tylko tyle zdołał powiedzieć Sam.

20

Samowi i Remi jeszcze dzwoniło w uszach, kiedy okręt podwodny zawadził o następny głaz, przechylił się mocno w lewo, wyprostował gwałtownie i zanurzył z powrotem w głównym nurcie rzeki. Woda przelała się przez kopułę kokpitu, na chwilę przesłaniając widok, po czym spłynęła. Sam włączył latarkę i poświecił przed siebie, ale zobaczył tylko uciekające w tył skalne ściany po obu stronach i wodę omywającą dziób. Mimo poważnej sytuacji poczuł się jak podczas jazdy w Disney Worldzie.

- Z tyłu okej? - zawołał.

Remi leżała za fotelem w kokpicie i zapierała się rękami o kadłub.

- Super! Jak długo już płyniemy?

Sam spojrział na zegarek.

- Dwadzieścia minut.

- Mój Boże, tylko tyle?

Kiedy otrząsnęli się z lekkiego szoku, że ich plan naprawdę wypalił, weszli do wody i zawiśli na linie dziobowej okrętu, żeby unieść go jeszcze kilka centymetrów nad powierzchnię i wypuścić resztę wody z kadłuba. Potem Remi wpełzła do środka i zamknęła oba zawory denne.

Od tego momentu mieli już niewiele do roboty: sprawdzili, czy kadłub nie przecieka, i ułożyli w środku kilka desek z pomostu. Studziwieńcdziesięciolitrowe zbiorniki balastowe - czterocalowe rury biegnące wzdłuż lewej i prawej burty od dziobu do rufy - były pełne i dobrze równoważyły okręt.

Zadowoleni, że są przygotowani do drogi, przespali się cztery godziny na nabrzeżu. O świcie wstali, zjedli na śniadanie wilgotną konserwę wołową, popili ją letnią wodą, załadowali kilka niezbędnych rzeczy i weszli na pokład. Używając deski z pomostu jako wiosła, Sam doprowadził mardera do wylotu rzecznej tunelu, a potem zamknął właz.

Dotychczas kadłub ze wzmocnionego aluminium spisywał się dobrze, a geologia też im sprzyjała. Wprawdzie ściany tunelu były nierówne, ale skały i głazy w kanale wygładziła erozja, więc nie pozostały żadne ostre krawędzie, które mogłyby go rozpruć.

- Trzymaj się! - zawołał Sam. - Duży kamień!

Dziób uderzył prosto w głaz, podskoczył na nim i skręcił w lewo. Prąd porwał część rufową, obrócił ją i rzucił kadłub na ścianę.

- Au! - krzyknęła Remi.

- Wszystko w porządku?

- Tak, tylko kolejny siniak do kolekcji.

- Zafunduję ci szwedzki masaż, jak wrócimy do Four Sea-sons.

- Trzymam cię za słowo!

Marder już od ponad dwóch godzin pokonywał kolejne bystrza. Odbijał się od ścian tunelu, przeskakiwał głazy i przechylał się z burty na burtę. Ilekroć wpływali na spokojniejsze odcinki rzeki, Sam otwierał właz, by wpuścić trochę świeżego powietrza jako uzupełnienie tlenu, który Remi dozowała z pozostałej im butli akwalungu.

Co parę minut marder uderzał w skupiska głazów i zatrzymywał się albo przewrócony na bok, albo zawieszony nad bystrzami, balansując jak huśtawka. Za każdym razem delikatnie go bujali, dopóki nie ześliznął się z powrotem do rzeki, a gdy to nie skutkowało, Sam otwierał właz i odpychał ich prowizorycznym wiosłem.

Pod koniec trzeciej godziny podróży szum płynącej wody nagle ucichł. Marder zwolnił i zaczął się leniwie obracać.

- Co się dzieje? - spytała Remi.

- Nie wiem - odparł Sam.

Przywarł twarzą do kopuły kokpitu i zobaczył sklepienie pełne stalaktytów. Usłyszał odgłos tarcia, spojrzał w lewo i dostrzegł zasłonę pnączy, która zamykała się wokół kopuły jak wirujące szczotki w automatycznej myjni samochodowej. Po chwili kokpit wypełnił żółty blask.

- Czy to słońce? - zapytała Remi.

- Żebyś wiedziała!

Kadłub zazgrzytał o piasek, zwolnił i zatrzymał się łagodnie. Sam wyrzwał na zewnątrz: osiedli na mieliźnie w innej lagunie.

- Chyba jesteśmy na miejscu - powiedział do żony.

Odryglował kopułę i odchylił ją. Chłodne, pachnące solą powietrze wdarło się przez otwarty właz. Wystawił ramiona na zewnątrz, zwiesił je luźno i zadarł głowę, by poczuć słońce na twarzy.

Na lewo od siebie usłyszał jakieś głosy, otworzył więc oczy i spojrzął w tamtą stronę. Za ledwie trzy metry dalej na piasku siedziała para młodych ludzi w płetwach i uprzężach akwalungów. Oboje zastygli z rozdziawionymi ustami i patrzyli na Sama. Mężczyzna miał ogorzałą twarz, a kobieta jasne włosy - zapewne mieszkańcy Środkowego Zachodu przeżywający przygodę w tropiku.

- Dzień dobry - powiedział Sam. - Uprawiacie nurkowanie jaskiniowe, jak widzę.

Oboje jednocześnie skinęli głowami.

- Uważajcie, żeby się nie zgubić w środku - ostrzegł ich. - Powrót może być trudny. A przy okazji, który mamy rok?

- Zostaw tych miłych ludzi w spokoju, Sam - szepnęła mu Remi do ucha.

21

Bosko - powiedziała Remi. - Po prostu bosko.

Sam dotrzymał słowa. Po powrocie do ich willi Four Seasons i wspólnym długim gorącym prysznicu najpierw zamówił wystawny lunch złożony z sałatki z owoców morza, świeżego chleba na zakwasie i miski owoców tropikalnych, a potem dwie masażystki, które przez godzinę robiły im masaż gorącymi kamieniami, zanim przeszły do szwedzkiego. Teraz Fargowie leżeli obok siebie na werandzie, cienkie zasłony wokół nich wydymała lekka tropikalna bryza. Wzdłuż plaży fale przyboju łagodnie napływały i odpływały w rytmie własnej kołysanki natury.

Sam, utrzymując się na granicy snu, wymamrotał po prostu:

- To jest życie.

Para, którą spotkali, kiedy wyłonili się z jaskini, rzeczywiście była ze Środkowego Zachodu. Mike i Sarah z Minnesoty spędzali na Bahamach miodowy miesiąc. Po trzech próbach Sama na pytanie: „Gdzie jesteście?” odpowiedzieli, że na północnym wybrzeżu

Rum Cay między Junkanoo Rock i Liberty Rock. A zatem Fargowie przepłynęli jakieś czternaście kilometrów podziemną rzeką.

Mike i Sarah wspaniałomyślnie zaoferowali im transport i holowanie mardera, do którego Sam już się zdążył przywiązać, wzdłuż wybrzeża swoją wypożyczoną łodzią. Fargowie chętnie przyjęli propozycję i czterdzieści dwie godziny po wylądowaniu przy brzegu Rum Cay wrócili na swoją plażę. Ich gospodarza, tajemniczego przeczesywacza plaż, nigdzie nie było widać, więc wpełnili minikręt podwodny w zarośla i zostawili notkę na kadłubie: „Proszę mieć na niego oko. Wrócimy po niego”. Sam nie bardzo wiedział, co właściwie planuje, ale wydawało się nie w porządku po prostu porzucić mardera.

Potem weszli na pokład bonanzy i wzięli kurs na główną wyspę i ich hotel.

Po masażu Sam i Remi leżeli przez jakiś czas na werandzie i drzemali, wreszcie wstali i weszli z powrotem do środka. Już wcześniej wysłali Selmie esemesa „Jesteśmy okej”, a teraz Sam zadzwonił do niej i włączył głośnik w telefonie. Zrelacjonował jej pokrótce ich jaskiniową odyseję.

- No cóż, nikt nie zarzuci Fargom, że nieciekawie spędzają wakacje - skomentowała. - Chyba udało mi się wyjaśnić, dlaczego to Chołków państwa ścigał. Dzwonił Rube. Grigorija Archipowa znaleziono martwego na jakimś parkingu w Jałcie. Nie miał dłoni i stóp.

Zostały odstrzelone. Rube prosił o przekazanie...

- Żebyśmy byli ostrożni - wszedł jej w słowo Sam. - Jesteśmy.
- Powstaje pytanie: jak Chołkow państwa znalazł?
- Też się nad tym zastanawiamy. Sprawdziłaś nasze...
- Nie było żadnej analizy zdolności kredytowej konta, z którego państwo korzystali, a wszystkie nasze komputery są zabezpieczone, więc wątpię, żeby poznał plan państwa podróży w ten sposób. To samo z aktami paszportowymi; takie rzeczy są ściśle chronione przez władze.
- Pozostają linie lotnicze albo... - zaczęła Remi.
- Jakiś trop, który oni mają, a my nie - dokończył Sam. - Dlaczego w takim razie jeszcze nie spenetrowali jaskiń?
- Będę dalej nad tym pracowała - powiedziała Selma - ale nie sądzę, żeby to wyszło od nas.
- Dopóki się nie dowiemy, musimy zakładać najgorsze i stale oglądać się za siebie - odparła Remi.
- Słusznie. A co do tego okrętu podwodnego...
- Żywej torpedy UM-77 - podpowiedział Sam.
- Zgadza się. Chcą państwo, żebym go tu sprowadziła?
- Lepiej tak - odrzekła Remi - bo inaczej Sam będzie się dąsał.
- To kawałek historii - mruknął jej mąż.

Uzgodnili wcześniej, że gdy to wszystko się skończy, zawiadomią o istnieniu schronów dla okrętów podwodnych władze niemieckie i bahamskie i zostawią tę sprawę obu krajom do załatwienia między sobą.

- A jeśli nikt go nie zechce? - spytała wtedy Remi.
- Postawimy go na kominku - zaproponował Sam.
- Właśnie tego się obawiałam - jęknęła.
- Zajmę się tym - powiedziała Selma. - To może zająć kilka dni, ale sprowadzę go tutaj. - Westchnęła. - Więc Chołkow zdobył butelkę.
- Niestety. Masz jeszcze jakieś wiadomości?
- Owszem, jest kilka rzeczy, które mogą państwa zainteresować. Chcą państwo zgadnąć, co oprócz plującego żuka występuje tylko na Wyspach Toskańskich?

Remi wyrwała się pierwsza.

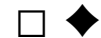
- Nasza czarna róża.
- Brawo. Będziemy musieli ustalić czas, ale wydaje się prawdopodobne, że etykiety opisano podczas pobytu Napoleona na Elbie.
- Albo później atramentem stamtąd - dodał Sam. - Tak czy owak, to jest następny kawałek układanki.
- Mam jeszcze jeden - odrzekła Selma. - Nasza butelka to coś w rodzaju cebuli z zagadką. Skórzana etykieta składa się z dwóch

warstw. Udało mi się oddzielić wierzchnią bez żadnych uszkodzeń.

- I?
- Nie ma na niej atramentu, ale jest wytrawiona siatka symboli: osiem rzędów po cztery kolumny, razem trzydzieści dwa.
- Co to za symbole?
- Różne. Od alchemii przez cyrylicę do astrologii i wszystko pomiędzy. Moim zdaniem to jakieś szyfry graficzne. Zapewne pan wie, co to takiego.

Wiedział. Podczas szkolenia w ośrodku CIA Camp Perry przez trzy dni poznawali historię kryptografii.

- To szyfr podstawieniowy - wyjaśnił żonie. Wziął bloczek do notatek i długopis z nocnego stolika i narysował trzy symbole:



- Teraz założmy - kontynuował - że pierwszy symbol oznacza literę „k”, drugi „o”, a trzeci „t”.

- Kot - powiedziała Remi. - Wydaje się całkiem proste.

- I teoretycznie jest, ale w praktyce to szyfr właściwie nie do złamania. Wojsko używa jego wersji nazywanej szyfrem z kluczem jednorazowym. Teoria jest taka: dwóch ludzi ma książkę do kodowania i dekodowania. Jeden wysyła wiadomość, używając szyfru graficznego, a drugi ją rozszyfrowuje, zastępując literami znaki graficzne. Bez książki kodowej widzisz tylko przypadkowe symbole, które niewtajemniczonym nic nie mówią.

- A my nie mamy książki kodowej.

- Nie. Selmo, możesz nam przysłać...

- Już jest w drodze. To nie jest oryginalny rysunek, który wzięłam z etykiety, ale Wendy użyła edytora grafiki wektorowej do odtworzenia niektórych symboli. To będzie tylko próbka.

Chwilę później zadzwęczała poczta elektroniczna Sama i wywołał taki obraz:



- Co do rozszyfrowania tego, mam pewien pomysł, a przynajmniej punkt zaczepienia - powiedziała Selma. - Pamiętajcie państwo tajemniczego majora, który wynajął przemytnika Arienne'a do rejsu na Świętą Helenę?

- Oczywiście - odparła Remi.

- Chyba wiem, kim był major. Natrafiłam na mało znaną niemiecką biografię Napoleona z lat czterdziestych XIX wieku. W roku 1779 dziewięcioletni Bonaparte został wysłany do francuskiej szkoły wojskowej w Brienne-le-Chateau niedaleko Troyes. Tam zaprzyjaźnił się z chłopcem nazwiskiem Arnaud Laurent. Byli razem w Ecole Royale Militaire, potem w szkole artylerii i tak dalej, aż do Waterloo. Według autora do połowy lat czterdziestych XVIII wieku, prawie do pierwszej kampanii włoskiej, Laurent miał rangę o stopień wyższą niż Napoleon, który nawet gdy już był cesarzem, w najbliższym otoczeniu żartobliwie nazywał go „majorem”. Napoleon miał na przestrzeni lat kilku powierników, ale z żadnym nie był w tak zażyłych stosunkach jak z Laurentem.

- Pozostały po nim jakieś pamiątki? - zapytał Sam. - Może przypadkiem biblioteka Arnauda Laurenta?

- Niestety nie. Nie ma wiele informacji o Laurencie, ale udało mi się ustalić, że kiedy zmarł w 1825 roku, zaledwie cztery lata po Napoleonie, został pochowany ze „swoją najcenniejszą własnością”, jak to określono.

- Którą mógł być pierścień szyfrujący - powiedział Sam.

- Albo książka kodowa - dodała Remi. - Selmo, gdzie on jest pochowany?

- Po klęsce pod Waterloo Napoleon poddał się na pokładzie HMS „Bellerophon” razem ze swoim sztabem, w którego skład, jak przypuszczam, wchodził Laurent, ówczesny główny doradca wojskowy Bonapartego. „Bellerophon” pożeglował do Plymouth, gdzie po dwóch tygodniach oczekiwania Napoleon został przeniesiony na HMS „Northumberland” - sam, bez sztabu - którym odbył podróż na Świętą Helenę. Kiedy Laurent zmarł, wdowa po nim, Marie, poprosiła Brytyjczyków o pozwolenie na pochowanie go na Świętej Helenie obok Napoleona, ale odmówili, więc zrobiła to, co uważała za najlepsze w tej sytuacji: złożyła jego szczątki na Elbie.

- Poetyczne - rzekł Sam. - Dowódca Laurenta i jego najlepszy przyjaciel zmarł i został pochowany na wygnaniu. Wdowa po

Laurencie wybrała miejsce... - chwilę szukał właściwych słów - symbolicznej solidarności.

Remi przechyliła głowę i spojrzała na męża.

- To piękne, Sam.
- Miewam chwile natchnienia. Selmo, czy szczątków Napoleona nie zabrano ze Świętej Heleny?
- Owszem. To bardzo ciekawa historia. W 1830 Burbonowie, którzy odzyskali tron po upadku Bonapartego, zostali obaleni przez dynastię orleańską. Nowi władcy zwrócili się do Brytyjczyków z petycją o pozwolenie na sprowadzenie prochów Napoleona do ojczyzny i po siedmiu latach uzyskali zgodę. Szczątki przetransportowano ze Świętej Heleny do Paryża i złożono w Pałacu Inwalidów. Grób Laurenta, a właściwie krypta jest nadal na Elbie. Pytanie, jak państwo chcą się tam dostać? Przypuszczam, że wolelibyście uniknąć włamania się do środka i odgrywania roli hien cmentarnych.
- Oczywiście - przytaknął Sam.
- Więc będzie potrzebne pozwolenie. Na szczęście żyje daleka krewna Laurenta. Mieszka w Monako.
- Ach, Monako wiosną - rozmarzył się Sam. - Czy możemy powiedzieć: nie?
- Nie możemy - odparła Remi.

22

Księstwo Monako, Riwiera Francuska

Sam wjechał wypożyczonym oliwkowym SUV-em porsche cayenne na obsadzony bzami podjazd i zatrzymał się przed ozdobioną stiukami i krytą dachówką trzypiętrową willą z widokiem na zatokę Point de la Veille.

Okazało się, że daleka krewna Arnauda Laurenta, Yvette Fournier-Desmarais, jest wręcz nieprzyzwoicie bogata, odziedziczywszy po zmarłym mężu udziały w licznych firmach oraz kilka nadmorskich ośrodków wypoczynkowych i klubów sportów motorowych. Według plotkarskich gazet ta pięćdziesięcioletnia wdowa była najlepszą partią w Monako i od śmierci męża piętnaście lat wcześniej cieszyła się zainteresowaniem wielu znanych i bogatych Europejczyków, od książąt przez celebrytów do czołowych biznesmenów. Spotykała się ze wszystkimi, ale z żadnym dłużej niż cztery miesiące. Mieszkała w swojej willi z nieliczną służbą i ukochanym szkockim chartem o imieniu Henri.

Ku swemu zaskoczeniu Sam i Remi umówili się na spotkanie z milionerką bez większego kłopotu. Prawniczka Yvette, której przedstawili swoją prośbę, zgodziła się skontaktować ze swoją klientką. Yvette przysłała im mejla jeszcze tego samego dnia i nalegała, żeby przyjechali niezwłocznie.

Wysiedli z samochodu, weszli na dziedziniec i ścieżką między dwiema bulgoczącymi fontannami ruszyli do dwuskrzydłowych frontowych drzwi z mahoniem i witrażowego szkła. Sam nacisnął dzwonek i w środku zabrzmiał cichy kurant.

- *A Marcia de Muneghu* - powiedziała Remi.
- Co?
- Kurant wygrywa *A Marcia de Muneghu*, czyli Marsz Monako, tutejszy hymn narodowy.

Sam się uśmiechnął.

- Czytało się przewodniki w samolocie, tak?
- Kiedy wejdziesz między wrony...

Drzwi się otworzyły i stanął w nich chudy jak szczapa mężczyzna w średnim wieku w luźnych granatowych spodniach i koszulce polo tego samego koloru.

- Państwo Fargo? - spytał i, nie czekając na odpowiedź, odsunął się na bok.

Weszli do urządzonego prosto, ale gustownie holu: jasnoszara egipska terakota na podłodze i tynk w kolorze śródziemnomorskiego błękitu na ścianach, lustro w srebrnej ramie nad XIX-wiecznym półokrągłym malowanym stolikiem konsolą w angielskim stylu Sheraton.

- Nazywam się Langdon - przedstawił się mężczyzna, zamykając drzwi. - Pani jest na werandzie. Tędy proszę.

Przebiegli za nim hol, minęli pokoje przeznaczone do przyjmowania gości i znaleźli się w prywatnej części domu. Wyszli przez drzwi balkonowe na wielopoziomowy taras z lśniącego drewna orzechowego.

- Znajdą ją państwo tam. - Langdon wskazał w górę schodów przy ścianie willi. - A teraz przepraszam... - Odwrócił się i zniknął z powrotem w domu.

- Mój Boże, spójrz na ten widok - powiedziała Remi, podchodząc do balustrady. Sam dołączył do niej. Poniżej skalistego brzegu porośniętego palmami i kwitnącymi tropikalnymi krzewami rozciągało się Morze Śródziemne, indygowy dywan pod bezchmurnym niebem.

- Ja też nigdy nie mam go dosyć - zawołał kobiecy głos.

Odwrócili się. Kobieta w prostej białej sukience na ramiącz-

kach i złotym kapeluszu z szerokim rondem stała na szczycie schodów. Fargo wie domyślili się, że to Yvette Fournier-Desmarais, ale żadne z nich nie dałoby jej więcej niż czterdzieści lat. Miała opaloną, ale nie spieczoną twarz i ledwo dostrzegalne zmarszczki wokół piwnych oczu.

- Sam i Remi, tak? - spytała, zeszła na dół i wyciągnęła rękę. - Yvette. Cieszę się, że przyjechaliście. - Mówiła po angielsku z leciutkim francuskim akcentem.

Wymienili uściski dłoni i weszli za nią po schodach na odkrytą werandę, na której stały tekowe krzesła i szezlongi. Duży brązowo-czarny pies o lśniącej sierści, siedzący w cieniu obok jednego z krzeseł, zaczął wstawać na widok Sama i Remi, ale na cichy rozkaz swojej pani usiadł z powrotem. Kiedy wszyscy się usadowili, Yvette zagadnęła:

- Nie tak sobie mnie wyobrażaliście, prawda?
- Szczerze mówiąc, pani... - zaczął Sam.
- Po prostu Yvette.
- Szczerze mówiąc, Yvette, zupełnie inaczej.

Roześmiała się, jej białe zęby zaśmiały w słońcu.

- Pewnie spodziewaliście się zobaczyć obwieszoną biżuterią francuską snobkę z pudłem pod pachą i kieliszkiem szampana w drugiej

ręce?

- Przepraszam, ale tak - odparła Remi.
- Na Boga, nie przepraszaj. Takie kobiety to tutaj bardziej reguła niż wyjątek. Prawda jest taka, że urodziłam się w Chicago i chodziłam tam przez parę do szkoły lat, zanim moi rodzice przenieśli się z powrotem do Nicei. Oboje byli prostymi ludźmi, zamożnymi, ale mieli niewyszukane gusty. Gdyby nie oni, pewnie wyglądałabym tak, jak się spodziewaliście.

Langdon wszedł na werandę i postawił na stoliku między nimi tacę z dzbankiem mrożonej herbaty i szklankami.

- Dziękuję ci, Langdon. - Yvette skinęła głową.
- Tak, proszę pani. - Odwrócił się, żeby odejść.
- Baw się dobrze wieczorem, Langdon. I powodzenia.
- Tak, proszę pani. Dziękuję.

Kiedy znalazł się poza zasięgiem głosu, Yvette pochyliła się do przodu i szepnęła:

- Langdon od roku spotyka się z pewną wdową. Zamierza ją poprosić o rękę. Langdon to jeden z najlepszych kierowców Formuły 1 w Monako.
- Naprawdę? - zdziwił się Sam.
- O tak.
- Więc dlaczego...
- Pracuje u mnie?

Sam skinął głową.

- Jesteśmy razem od trzydziestu lat - wyjaśniła - odkąd za częłam się spotykać z moim zmarłym mężem. Dobrze mu płacę i lubimy się wzajemnie. Tak naprawdę nie jest kamerdynerem, tyl ko raczej... zabrakło mi słowa... W futbolu amerykańskim byłby nazywany... jest taki rodzaj tylnego obrońcy...

- *Free safety?*

- Otóż to. Langdon pełni u mnie wiele funkcji. Był kiedyś komandosem brytyjskiej Special Air Service. Twardy facet. W każdym razie wyprawimy tu wesele, jeśli ona powie „tak”, oczywiście. Powinniście przyjść, naprawdę. Chyba nie macie nic przeciwko mrożonej herbacie? - Naląła im. - Nie jest wprawdzie napojem bogaczy, ale ja ją uwielbiam.

Sam i Remi wzięli szklanki.

- A więc. Interesuje was Arnaud Laurent... Mój praprapra-cośtamdziadek?
- Bardzo - potwierdziła Remi. - Mogę najpierw zapytać, dlaczego zgodziłaś się z nami spotkać?
- Czytałam o waszych przygodach i o waszej działalności charytatywnej. Podziwiam wasz sposób na życie. Wiecie, są tu tak obrzydliwie bogaci ludzie, że nie zdołaliby wydać wszystkich swoich

pieniędzy, nawet gdyby nie wiem jak się starali, a jednak nic nikomu nie dają. Moim zdaniem im bardziej kurczowo trzymasz się pieniędzy, tym mocniej one trzymają cię w garści. Zgadza się ze mną?

- W stu procentach - odrzekł Sam.

- I dlatego zgodziłam się z wami spotkać. Wiedziałam, że was polubię, i nie myliłam się. Zaintrygowało mnie też, co Arnaud ma wspólnego z tym, czego szukacie. Bo szukacie, prawda? Dla przygody?

- Mniej więcej.

- Wspaniale. Może i ja przeżyję coś ciekawego? Przepraszam, za dużo mówię. Zdradzcie mi, nad czym pracujecie?

Remi i Sam wymienili spojrzenia i jedno odczytało minę drugiego. Instynkt, który rzadko ich zawodził, powiedział im, że mogą ufać Yvette Fournier-Desmarais.

- Natknęliśmy się na butelkę wina, która może mieć związek z Arnaudem... - zaczął Sam.

- Zaginiona piwnica Napoleona, tak?

- Możliwe.

129

9 - Złoto Spartan

Yvette się roześmiała.

- To fantastycznie! Cudownie. Jeśli ktoś powinien znaleźć tę piwnicę, to właśnie wy! Oczywiście pomogę, na ile będą mogła. Postąpicie słusznie, jestem pewna. Wracając do Arnauda, powiem wam uczciwie, że nie wy pierwsi o niego pytacie. Jakiś mężczyzna zadzwonił do mojej prawniczki kilka miesięcy temu...

- Znasz jego nazwisko? - spytał Sam.

- Tak, ale w tej chwili nie pamiętam. Chyba rosyjskie. W każdym razie był dość natarczywy, nawet niegrzeczny, więc postanowiłam, że się z nim nie spotykam. Widzę po waszych minach, że domyślacie się, o kogo chodzi.

- Chyba tak - przyznał Sam. - My też mieliśmy do czynienia z Rosjaninem o złych manierach, a biorąc pod uwagę to, jak daleko był gotów się posunąć, prawdopodobnie mówimy o tej samej osobie.

- Nie miałaś żadnego niepożądanego towarzystwa? - spytała Remi.

- Nie, i nie obawiam się tego. Z Langdonem, trzema jego ludźmi, którzy czają się gdzieś tutaj, systemem alarmowym i moim Henrim czuję się całkowicie bezpieczna. Nie mówiąc o tym, że doskonale strzelam.

- Więc ty i Remi macie coś wspólnego - roześmiał się Sam.

- To prawda, Remi? Jesteś snajperką?

- Nie nazwałabym siebie...

Yvette pochyliła się i poklepała Remi po kolanie.

- Jak będziecie mogli zostać dłużej, to pójdziemy sobie po strzelacę, tylko my, dziewczyny. Znam fantastyczny klub na plaży w Menton niedaleko stąd; mają tam krytą strzelnicę. A wracając do naszego rosyjskiego czarnego charakteru, bardzo się interesowałam kryptą Arnauda na Elbie. Przypuszczam, że dlatego spotkał się ze mną.

Remi przytaknęła.

- Nic mu nie powiedziałam - ciągnęła Yvette. - Podejrzewałam, że już tam był i wrócił zawiedziony, dlatego tak źle się zachowywał.

- To znaczy?

Yvette pochyliła się jeszcze trochę i zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu:

- Kilka lat temu na Elbie doszło do aktów wandalizmu. Ponoć jakieś nastolatki dostały amoku, ale dało mi to do myślenia. Biorąc pod uwagę, kim był Arnaud i jak... fanatyczni potrafią być niektórzy Napoleonofile, postanowiliśmy przenieść sarkofag Arnauda.

- Dokąd? - spytał Sam. - Poza wyspę?

- O nie, nadal tam jest. Arnaud nie zgodziłby się na zabranie go z Elby. Znaleźliśmy inny cmentarz z pustą kryptą i złożyliśmy go tam. Jest cały i zdrowy. Przypuszczam, że chcielibyście, żebym wam pozwoliła zajrzeć do jego sarkofagu.

Sam się uśmiechnął.

- Cieszę się, że ty to powiedziałaś. Nie bardzo wiedziałem, jak się pyta krewnych, czy pozwolą obejrzeć szczątki ich przodka.

Yvette zbyła to wyznanie machnięciem ręki.

- Bez obaw. Jestem pewna, że okażecie mu szacunek, cokolwiek weźmiecie, później zwrócicie.

- Oczywiście - zapewniła Remi. - Chociaż może zaglądnienie do sarkofagu nie będzie konieczne. Podobno Arnauda pochowano z jakimiś rzeczami osobistymi. Może wiesz, co to było?

- Niestety nie. To wiedziała tylko jedna osoba, jego żona Marie. I mogę wam zapewnić, że sarkofag nie był otwierany od jego śmierci. A teraz chętnie wam powiem, gdzie znajdziecie kryptę, ale pod jednym warunkiem.

- Słuchamy - rzekł Sam.

- Oboje zostaniecie u mnie na kolacji.

- Z przyjemnością - powiedziała Remi.

- Cudownie! Kiedy dotrzecie na Elbę, będziecie w Rio Marina. Stamtąd pojedziecie na zachód drogą SP26...

Elba, Morze Tyrreńskie

Sam pozwolił, żeby żuk wpadł mu na palec, zanim innym palcem strącił go na dłoń. Wstał z przysiadu przy drodze gruntowej i odwrócił się do żony, która fotografowała morze daleko w dole.

- Historia bywa zabawna - powiedział.
- Czemu?
- Ten żuk może być spokrewniony z tamtym, z którego Napoleon zrobił atrament.
- Napłuł na ciebie?
- Nie, a skąd ci to przyszło do głowy?
- Selma powiedziała, że atrament był z plującego żuka.
- Nie zrozumiałaś mnie. Gdzie twoja fantazja?

Remi opuściła aparat i spojrzała na niego.

- Przepraszam, zapomniałem, do kogo mówię - rzekł z uśmiechem.

Zerknęła na zegarek.

- Lepiej ruszajmy. Dochodzi trzecia. Ubywa światła dzień nego.

Kolacja u Yvette Fournier-Desmarais przeciągnęła się do późnego wieczoru i gospodyni namówiła ich do odwołania rezerwacji w hotelu i przenocowania u niej. Następnego ranka zjedli na werandzie śniadanie złożone z croissantów, świeżego ananasa i jajecznicy po francusku z porem, pieprzem i miętą, po czym pojechali na lotnisko.

Z nieznanymi im przyczynami na Elbę latały codziennie tylko samoloty linii InterSky, startujące jedynie z trzech miast: Friedrichshafen, Monachium i Zurychu. Dwaj inni przewoźnicy, SkyWork i Elbafly, obsługiwali więcej tras na wyspę, ale tylko trzy dni w tygodniu, więc Forgowie polecili z Nicei Air France do Florencji, tam wsiadli w pociąg do Piombino, które ma połączenie promowe z Rio Marina na wschodnim wybrzeżu Elby.

Ich wypożyczony samochód - kompaktowa lancia delta z 1991 roku - nie mógł się równać z porsche cayenne, ale klimatyzacja działała, a silnik, choć niewielki, pracował równo.

Zgodnie z instrukcją Yvette pojechali z Rio Marina w głąb lądu. Mijali jedno urocze tokańskie miasteczko po drugim - Togliatti, Siverę, San Lorenzo - zapuszczając się coraz wyżej w góry, aż dotarli na to wzniesienie z widokiem na wschodnią stronę wyspy.

Elba kojarzy się niemal wyłącznie z Napoleonem, a szkoda, bo ma długą i ciekawą historię.

Na przestrzeni stuleci najeżdżali ją i okupowali Etruskowie, Rzymianie i Saraceni, aż w XI wieku znalazła się pod władzą republiki Pizy. Potem kilka razy przechodziła z rąk do rąk, sprzedawana lub anektowana, i w roku 1860 stała się protektoratem królestwa Włoch.

Remi pstryknęła jeszcze kilka zdjęć, potem wrócili do samochodu i ruszyli dalej.

- Gdzie dokładnie Napoleon spędził zesłanie? - spytał Sam.

Remi przerzuciła zaznaczone karteczkami samoprzylepnymi

strony przewodnika Frommera.

- W Portoferraio, na północnym wybrzeżu. Miał dwie rezydencje, Villa San Martino i Villa dei Mulini, prawie tysiąc osób służby i tytuł cesarza Elby.

- Cesarza Elby? To chyba był dla niego policzek - rzekł Sam. - Dla władcy sporego kawałka Europy tytuł cesarza małej wyspy musiał być rozczarowaniem.

- To prawda. Jeszcze jeden ciekawy fakt: przed wyruszeniem na Elbę Napoleon próbował się otruć.

- Nie żartuj.

- Serio. Nosił truciznę w buteleczce na szyi: mieszankę opium, belladony i ciemiernika. Kazał zrobić tę miksturę podczas kampanii rosyjskiej.

- Pewnie nie chciał wpaść w ręce Kozaków.

- No cóż, wcale mu się nie dziwię. Tak czy owak, wypił truciznę, ale okazała się za słaba. Napoleon przez całą noc zwijał się z bólu, ale przeżył.

- Remi, j esteś istną kopalnią wiedzy.

Zignorowała tę uwagę i mówiła dalej.

- Historycy nie są zgodni co do tego, jak właściwie uciekł. Na całej wyspie stacjonowały francuskie i pruskie straże, a wody przybrzeżne patrolował brytyjski okręt wojenny.

- Sprytny mały czort.

- Samochód za nami - powiedział Sam kilka minut później.

Remi odwróciła się i spojrzała przez tylną szybę. Kilka metrów dalej kremowy peugeot pokonywał zakręt na górskiej drodze. Na chwilę zniknął z widoku za zboczem, potem znów się pojawił.

Odkąd opuścili Bahamy, byli bardzo czujni i stale wypatrywali, czy ktoś ich nie śledzi, ale dotychczas niczego takiego nie zauważyli. Problem z taką małą wyspą jak Elba polegał na tym, że miała niewiele punktów wjazdowych i pieniądze Bondaruka mogły tu wiele załatwić.

Sam ścisnął mocniej kierownicę i raz po raz zerkał w lusterko wsteczne.

Kilka minut później peugeot znalazł się tuż za ich zderzakiem. Blask słońca pozwalał dostrzec tylko sylwetki pasażerów, ale Sam rozpoznał postacie dwóch mężczyzn.

Wystawił rękę przez okno i pokazał, żeby go wyprzedzili.

Peugeot jeszcze przez chwilę siedział im na ogonie, po czym nagle wyskoczył do przodu i zaczął przyspieszać. Sam napiął mięśnie stopy, gotowy w każdym momencie wcisnąć hamulec. Remi zerknęła przez swoje okno; za najwęższym z nieutwardzonych poboczy, jakie kiedykolwiek widziała, był ostry spadek. Sto pięćdziesiąt metrów poniżej pasły się kozy, które wyglądały jak mrówki. Sam zjechał kilka centymetrów na prawo i żwir posiekał bok karoserii. Odbił w lewo i wrócił na asfalt.

- Przypięta? - spytał przez zęby.

- Tak.

- Gdzie oni są?

- Właśnie do nas dochodzą.

Peugeot zrównał się z drzwiami lancii. Śniady mężczyzna z podkreślonymi wąsami patrzył na Sama z siedzenia pasażera. Skinął głową i kierowca przyspieszył. Peugeot wyrwał do przodu i zniknął za następnym zakrętem.

- Mili faceci - mruknęła Remi.

Sam rozluźnił chwyt na kierownicy i rozprostował palce, żeby krew znów do nich dopłynęła.

- Daleko jeszcze? Remi

rozłożyła mapę.

- Jakież osiem, dziesięć kilometrów.

Dotarli do celu późnym popołudniem. Rio nell'Elba, usadowione na zboczach Monte Capanello i otoczone sosnowymi lasami liczy dziewięćset mieszkańców. Leży u stóp XI-wiecznego zamku Volterraio i jest typowym przykładem średniowiecznego tokańskiego miasteczka, z wąskimi brukowanymi uliczkami, ocienionymi placami i kamiennymi balkonami pełnymi orchidei i opadającej kaskadami lawendy.

- W przewodniku napisali - powiedziała Remi - że Rio nell'El ba to tokańska stolica kolekcjonerów skał. Wciąż trafiają na ko palnie z czasów Etrusków.

Znaleźli miejsce parkingowe naprzeciwko Pustelni Świętej Katarzyny i wysiedli. Ich kontakt, niejaki Umberto Cipriani, był kustoszem Museo dei Minerali. Remi znalazła muzeum na planie miasta i dotarli tam dziesięć minut później.

Kiedy przecinali plac, Sam zaproponował:

- Zrobię ci tu zdjęcie. Stań na tle fontanny.

Zrobiła to, a Sam pstryknął kilka fotek. Gdy dołączyła do niego, pokazał jej zdjęcia na wyświetlaczu aparatu cyfrowego.

- Powinniśmy zrobić jeszcze jedno - powiedziała. - Wyszłam trochę nieostro.

- Spójrz na to, co jest ostre - odparł. - Uśmiechaj się i udawaj zadowoloną.

Remi przyjrzała się fotografii. Piętnaście metrów za swoją rozmytą postacią zobaczyła przód kremowego samochodu wystający z wylotu zacienionego zaułka. Kierowca obserwował ich przez lornetkę.

Remi przytuliła policzek do twarzy Sama i szepnęła:

- Nasi przyjaciele z szosy. Zbieg okoliczności?
- Chciałbym, ale zastanawia mnie ta lornetka. Chyba że to miejski obserwator ptaków
- Albo śledzi byłą dziewczynę.
- Lepiej założyć najgorsze.
- Widzisz gdzieś drugiego, tego z wąsami?
- Nie. Chodź, wejdziemy do środka. Zachowuj się swobodnie. Nie rozglądaj się.

Weszli do muzeum, zatrzymali się przy ladzie recepcyjnej i zapytali o Ciprianiego. Recepcjonistka podniosła słuchawkę telefonu, powiedziała parę słów po włosku i chwilę później w drzwiach na prawo od nich pojawił się tęgi mężczyzna z przerzedzonymi siwiejącymi włosami.

- *Buon giorno* - powitał ich. - *Posso aiutarla?*
- Ty z nim rozmawiaj - poprosił Sam żonę. Choć oboje znali kilka języków, włoski jakoś nigdy mu nie leżał; Remi miała ten sam problem z niemieckim, który jemu nie sprawiał żadnych trudności.
- *Buon giorno* - odrzekła. - *Signor Cipriani?*
- *Si.*
- *Parla inglese?*

Cipriani uśmiechnął się szeroko.

- Tak, mówię po angielsku, ale pani włoski jest bardzo dobry. Czym mogę służyć?
- Nazywam się Remi Fargo, a to jest mój mąż Sam. - Wszyscy uścisnęli sobie dłonie.
- Oczekiwałem państwa - powiedział Cipriani.
- Możemy gdzieś spokojnie porozmawiać?
- Oczywiście. W moim gabinecie. Tędy, proszę.

Zaprowadził ich krótkim korytarzem do pokoju z oknem wychodzącym na plac. Kiedy wszyscy usiedli, Sam wyjął z kieszeni

list Yvette i podał Ciprianiemu, który przeczytał go uważnie i oddał z powrotem.

- Przepraszam... mógłbym zobaczyć jakieś dowody tożsamości?

Sam i Remi podali mu swoje paszporty.

- A jak się miewa Yvette? - zapytał Cipriani, oddając im dokumenty. - Mam nadzieję, że dobrze.

- Owszem - potwierdził Sam. - Przesyła pozdrowienia.

- A z jej kotką Moirą też wszystko w porządku?

- To właściwie pies i wabi się Henri.

Cipriani rozłożył ręce i się uśmiechnął.

- Jestem ostrożny, być może przesadnie - wyjaśnił. - Yvette mi zaufała. Chcę być pewien, że na to zasługuję.

- Rozumiemy - powiedziała Remi. - Długo pan ją zna?

- O, ze dwadzieścia lat albo więcej. Ona ma tu willę, przy *ca-stello*. Były pewne problemy prawne związane z ziemią. Udało mi się jej pomóc.

- Pan jest prawnikiem?

- Nie, nie. Po prostu znam ludzi, którzy znają innych ludzi.

- Rozumiem. Będzie pan w stanie nam pomóc?

- Oczywiście. Chcą państwo tylko obejrzeć kryptę, tak? Nie zamierzają państwo zabrać sarkofagu?

- Nie.

- Więc to powinno być bardzo proste. Ale na wszelki wypadek zaczekajmy, aż się ściemni. Mieszkańcy Elby są wścibscy. Mają państwo jakąś kwaterę?

- Jeszcze nie.

- Więc zatrzymacie się u nas, to znaczy u mojej żony i u mnie.

- Nie chcielibyśmy... - zaczął Sam.

- To żaden kłopot. Będą państwo moimi gośćmi. Zjemy kolację i pojedziemy na cmentarz.

- Dziękujemy - rzekł Sam. - Mógłby pan użyczyć nam na kilka minut swojego gabinetu? - spytał.

- Oczywiście. Proszę się nie spieszyć.

Gdy Cipriani wyszedł i zamknął za sobą drzwi, Sam wyjął telefon satelitarny i wybrał numer Selmy. Po dwudziestu sekundach pikania i buczenia na linii rozległ się głos:

- Witam, panie Fargo. Wszystko okej?
- Na razie tak. A u was? Żadnych problemów?
- Cisza i spokój.
- Chciałbym, żebyś sprawdziła pewien numer rejestracyjny. To może być trudne; jesteśmy na Elbie. Jeśli będziesz miała problem, skontaktuj się z Rube'em Haywoodem. - Podał jej numer do gabinetu Ciprianiego.
- Zobaczę, co da się zrobić. Niedługo się odezwę.

Oddzwoniła po dwudziestu minutach.

- Trochę to trwało, ale na szczęście baza danych włoskiego odpowiednika naszego Departamentu Pojazdów Mechanicznych nie jest systemem, który bym nazwała zabezpieczonym przed hakerami.
- Dobrze wiedzieć - rzekł Sam.
- Samochód o tym numerze rejestracyjnym to kremowy peugeot, zgadza się?
- Tak.
- No to mam złą wiadomość. Należy do funkcjonariusza lokalnej policji. Właśnie wysyłam panu szczegóły.

Sam czekał trzy minuty. Kiedy mejl w końcu przyszedł, przeczytał go, podziękował Selmie i się rozłączył.

- Albo nieświadomie za szybko jechałem, albo ktoś się nami interesuje - powiedział do Remi.
- Gdyby to było oficjalne działanie, zatrzymaliby nas na przystani promowej w Rio Marina - odparła.
- Fakt.
- No cóż, przynajmniej dostaliśmy ostrzeżenie.
- I znamy twarz naszego prześladowcy.

Poświęcili godzinę na zwiedzanie Rio nell'Elba, ale robili to ostrożnie: trzymali się w granicach miasteczka i blisko tłumów. Nigdzie nie widzieli peugeota ani jego pasażerów.

- Myślałem o tym, co nam mówiła Yvette o Chołkowie - powiedział Sam. - Podejrzewa, że już tu był i szukał krypty Laurenta. Bondaruk wiedział, że w końcu się tu zjawimy.
- Więc siedzi z założonymi rękami i czeka, aż odwalimy całą robotę - odparła Remi.

Sam skinął głową.

- Sprytne.

O wpół do szóstej wrócili do muzeum, które Cipriani właśnie zamykał.

Domek kustosza był oddalony o niecałe półtora kilometra. Si-gnora Cipriani, tęga jak mąż i z błyszczącymi piwnymi oczami, powitała ich uśmiechem i cmoknięciami w oba policzki. Wymieniła z Umberto kilka zdań po włosku, przy czym gospodarz zaprowadził gości na werandę i wskazał im krzesła. Białe powojniki zwisające z okapu tworzyły przytulną altankę.

- Przepraszam na chwilę - powiedział Cipriani. - Jestem po trzebnym żonie w kuchni.

Sam i Remi usiedli, a kilka minut później dołączyli do nich Umberto i jego żona Teresa.

- Mam nadzieję, że lubicie limoncello - powiedział Cipriani, stawiając na stoliku tacę z czterema szklankami napełnionymi żółtawym schłodzonym płynem.

- Owszem - odparł Sam.

Limoncello było lekko osłodzoną lemoniadą zmieszaną z solidną porcją wódki.

Umberto uniósł swoją szklankę.

- *Cento anni di salute e felicità.* - Zna pani ten toast?

Remi zastanowiła się.

- Sto lat zdrowia i szczęścia?

- Brawo! Wypijmy. Niedługo będzie jedzenie.

Po kolacji wrócili na werandę. Siedzieli w zapadającym zmierzchu, obserwując świetliki wśród drzew i sącząc espresso. Z domu dochodziło pogrękiwanie naczyń, które zmywała Teresa.

Kategorycznie odmówiła, kiedy Sam i Remi zaferowali jej pomoc, i wygoniła ich na dwór trzepnięciami fartucha.

- Długo tu mieszkasz, Umberto? - spytał Sam.

- Całe życie, a moja rodzina od ponad trzystu lat. Po dojściu do władzy Mussoliniego mój ojciec i wujowie wstąpili do partyzantki i żyli wśród tych wzgórz przez kilka lat. Kiedy w czterdziesty czwarty na Elbie wylądowali Brytyjczycy...

- Operacja „Brassard” -wtrącił Sam.

- Tak, zgadza się. Kiedy zjawili się Brytyjczycy, mój ojciec walczył ramię w ramię z komandosami Królewskiej Marynarki Wojennej. Został nawet za to odznaczony.

- Przeżył wojnę? - zapytała Remi.

- On tak, ale wszyscy moi wujowie zginęli. Zostali złapani i rozstrzelani przez nazistowski szwadron śmierci, który Hitler przysłał, żeby rozgromić partyzantów.

- Przykro mi.

Cipriani rozłożył ręce i wzruszył ramionami w geście bezradności.

Sam sięgnął do kieszeni po komórkę i zerknął na Remi. Skinęła głową. Już to omówili.

- Umberto, znasz to nazwisko?

Cipriani wziął telefon, popatrzył na wyświetlacz i oddał Samowi aparat.

- Tak, oczywiście. Carmine Bianco. Pozwólcie, że najpierw spytam, skąd wy je znacie?

- Śledził nas dziś samochód, który jest zarejestrowany na Carmine Bianco.

- Kiepska sprawa. Bianco to policjant, ale skorumpowany. Siedzi w kieszeni Unione Corse, korsykańskiej mafii. Ciekawe, dlaczego się wami interesują?

- Podejrzewamy - odparła Remi - że wyświadczają komuś przysługę.

- Aha. Tak czy owak, miejcie się na baczności. Bianco to wyjątkowy drań. Tylko on był w samochodzie?

Sam pokręcił głową.

- Towarzyszył mu śniady facet z podkreconymi węsami.

- Nie kojarzę nikogo takiego.

- Dlaczego policja nie zajmie się tym Bianco? - zapytała Remi. - Skoro wiadomo, że jest skorumpowany, to czy nie mogą go aresztować?

- Na kontynencie pewnie tak by było, ale tutaj, na Sardynii i na Korsyce sprawy nie wyglądają tak prosto. Chyba znam odpowiedź na to pytanie, ale muszę je zadać: może dacie się namówić na wyjazd? Jeszcze dziś, zanim Bianco coś zrobi?

Fargowie wymienili spojrzenia i Sam odpowiedział za oboje:

- Dzięki, ale musimy doprowadzić to do końca.

Umberto skinął głową.

- Tak myślałem.

- Nie chcemy narażać ciebie i Teresy - powiedziała Remi. - Je śli dasz nam wskazówki, jak...

Cipriani już wstawał.

- Drobnostka. Zaczekajcie tu. - Wszedł do domu i wrócił po chwili z pudełkiem na buty. Podał je Samowi. - Będzie wam to potrzebne.

W pudełku był oryginalny pistolet Luger kaliber 9 milimetrów z czasów II wojny światowej i dwa pełne magazynki.

- Mój ojciec uwolnił od niego oficera gestapo, który rozstrzelał moich wujów. Niemiec już go nie potrzebował. - Umberto uśmiechnął się smutno i mrugnął.

- Nie możemy tego przyjąć - rzekł Sam.

- Oczywiście, że możecie. Jak będzie po wszystkim, zwróćcie mi go. Poza tym mam drugi. Mój ojciec był wyjątkowo dobry w uwalnianiu Niemców od broni. Chodźmy.

Umberto wyjaśnił im, że cmentarz, na który Yvette kazała przenieść szczątki Laurenta, nie ma nazwy, chociaż istnieje od setek lat, od czasów, kiedy Elba należała jeszcze do Francji. Nie widnieje też na żadnej mapie.

Wsiadli do lancii, dojechali główną drogą do granic miasteczka, skręcili na północ i zapuścili się wyżej w góry, całkowicie pogrążone w mroku po zachodzie słońca. Dziesięć minut później siedzący z tyłu Umberto poprosił, żeby się zatrzymali.

- Co się stało? - spytał Sam.

- Po prostu stań.

Sam to zrobił i zgasił światła. On i Remi spojrzeli na Umberto. Pocierał czoło, wyraźnie zafrasowany.

- Muszę się przyznać do strasznej rzeczy - powiedział.

- Do czego?

- Prowadzę was w pułapkę.

- O czym ty mówisz? - spytała Remi.

- Po południu, kiedy jeszcze byliśmy w mieście, Bianco przyszedł do mojego domu i rozmawiał z Teresą. Zagroził, że nas zabije, jeśli mu nie pomożemy.

- Dlaczego nam to mówisz?

- Pistolet, tego lugera, mój ojciec zabrał człowiekowi, który zagrażał jego rodzinie i jego przyjaciołom. Na pewno też się bał, tak jak ja teraz, ale podjął walkę. Muszę zrobić to samo. Bardzo was przepraszam.

Fargowie milczeli dłuższą chwilę, wreszcie Remi powiedziała:

- Ostrzegłeś nas. To wystarczy. Czekają na nas na cmentarzu.

- Nie, ale się tam zjawia. - Spojrzał na zegarek. - Najdalej za pół godziny. Mam wam pozwolić otworzyć kryptę i wziąć to, po co przyjechaliście. Potem oni to zabiorą i pewnie was zabiją. Mnie może też.

- Ilu ich będzie? - zapytał Sam.

- Nie wiem. - Umberto wyjął z kieszeni zapasowy magazynek do swojego lugera i podał mu go nad oparciem fotela. - Naboje w twoim to ślepaki.

- Dzięki, ale po co w ogóle dałeś nam broń?
- Żeby zyskać wasze zaufanie. Mam nadzieję, że mi wybaczą.
- Dowiesz się za godzinę. Jeśli nas wystawisz...
- Możecie mnie zastrzelić.

Sam popatrzył mu w oczy.

- Trzymam cię za słowo.
- A co z Teresą? - spytała Remi. - Czy ona...
- Już wyjechała - odparł Umberto. - Do mojej rodziny w Ni sporto; będą ją chronić.
- Mamy telefon satelitarny. Wezwij policję.

Umberto pokręcił głową.

- Nie zdążą na czas.
- Możemy zawrócić albo pojechać na cmentarz i uwinąć się, zanim Bianco i jego ludzie tam dotrą.
- Na cmentarz prowadzą tylko dwie drogi - odparł Cipriani -i Bianco na pewno kazał je obserwować.

Remi spojrzała na Sama.

- Nic nie mówisz.
- Myślę. - Szukał eleganckiego rozwiązania, ale szybko sobie uświadomił, że zbyt dogłębnie analizuje sytuację. Tak jak przed starciem z Archipowem na złomowisku kotłów, tak i teraz nie mieli czasu ani środków na ułożenie finezyjnego planu.
- Odważnym szczęście sprzyja - powiedział w końcu.
- O nie...
- Do odważnych świat należy - dodał Sam.
- Wiem, co to oznacza - mruknęła Remi.
- Co? - spytał Umberto. - O co chodzi?
- Wymyślimy coś na poczekaniu.

Sam włączył silnik, wrzucił bieg i ruszył.

Cmentarz, otoczony z trzech stron przez pagórki porośnięte sosnami i dębami korkowymi, nie miał nawet pół hektara i był ogrodzony metrowym parkanem z kutego żelaza, które dawno poddało się rdzy i pnączom. Wieczorna mgła wisiała nisko nad ziemią, spowijając nagrobki i krypty. Na bezchmurnym niebie świecił księżyc w pełni.

- Już dostałam gęsiej skórki - powiedziała Remi, wyglądając przez przednią szybę, kiedy Sam zatrzymał lancie przed bramą i wyłączył silnik. Gdzieś wśród drzew zahukała sowa.
- Brakuj e tylko wyjątych wilków - szepnęła Remi.
- Na Elbie nie ma wilków - uspokoił ją Umberto. - Są tylko dzikie psy. I dużo węży.

Cmentarz urządzono chaotycznie, bez zważania na odstępy czy symetrię. Nagrobki sterczały spomiędzy trawy i chwastów pod dziwnymi kątami, niektóre niecałe pół metra od sąsiednich; krypty rozmaitych kształtów i wielkości były w większości zaniedbane i porośnięte mchem.

- Chyba nikt się tu nie przejmuje planowaniem przestrzennym - zauważył Sam.
- To bardzo stary cmentarz, ale władze jakoś nie mogą się zdecydować na interwencję - odparł Umberto. - Prawda jest taka, że nie pamiętam, kiedy ostatnio kogoś tu pochowano.
- Ile jest tu grobów?
- Kilkaset. Jedne głębokie, inne płytkie. Zmarli spoczywają jedni na drugich.
- Gdzie jest krypta Laurenta? - zapytała Remi. Umberto

pochylił się i wskazał przez przednią szybę.

- To tamta w rogu, z kopułowym dachem.

Sam zerknął na zegarek.

- Czas sprawdzić, jak lancie wytrzymuje brutalne traktowanie.

Uruchomił silnik, zawrócił na żwirowym podjeździe i ruszył

z buksowaniem kół przez łąkę, szorując podwoziem po wysokiej trawie. Dojechał wzdłuż parkanu na tyły cmentarza i zatrzymał się za kryptą Laurenta.

- Dokąd prowadzą te ślady kół? - zapytał Ciprianiego, wskazując przez okno dwie koleiny znikające za wzgórzem w lesie niecały kilometr dalej.
- Nie mam pojęcia. To stara droga górnicza. Nieużywana od siedemdziesięciu lat.
- Mało uczęszczana - mruknęła Remi.

- Już niedługo - odparł Sam.

Wysiadł z samochodu, Remi i Umberto poszli w jego ślady.

- Zaczekaj tutaj - polecił żonie. - Usiądź za kierownicą i miej oczy szeroko otwarte. Zaraz wrócimy.

Podeszli z Umberto do parkanu i przeskoczyli na drugą stronę.

W porównaniu z sąsiednimi krypta Laurenta była mała, niewiele większa od ściennej szafy, ale kiedy Sam ją okrążył i przyjrzał się jej od frontu, zobaczył, że zapadła się w ziemię na głębokość kilkudziesięciu centymetrów. Trzy omszałe stopnie prowadziły do z grubsza ociosanych drewnianych drzwi. Sam wyjął z kieszeni mikrolatarkę diodową i oświetlił zamek, który Umberto otworzył kluczem. Zawiasy zaskrzypiały, gdy Cipriani uchylił drzwi. Obejrzał się na Sama i uśmiechnął niepewnie.

- Zostań tu i rozglądaj się - powiedział Sam.

Zszedł po stopniach, przekroczył próg i w świetle latarki zobaczył zasłone pajęczyn. Używając dłoni jak ostrza, przeciął ją przez środek; wysuszone muchy i ćmy posypały się na ziemię. Sam wszedł głębiej.

W pomieszczeniu o długości półtora metra i szerokości dwóch i pół unosiła się woń kurzu i szczurzych odchodów. Sarkofag bez żadnych oznaczeń i ozdób stał pośrodku na metrowej platformie z czerwonych cegieł. Sam podszedł do niego i, wetknąwszy latarkę między zęby, pchnął wieko. Było lżejsze, niż się spodziewał, i przesunęło się o kilka centymetrów z głuchym zgrzytem.

Sam odepchnął je jeszcze trochę, chwycił za wystający koniec i obrócił wieko prostopadle do sarkofagu. Poświecił do środka.

- Miło wreszcie pana poznać, monsieur Laurent - szepnął.

Arnaud Laurent, teraz już tylko szkielet, został pochowany w mundurze napoleońskiego generała, wraz z paradną szablą. Między jego stopami w wysokich czarnych butach leżała drewniana skrzynka wielkości dużej książki. Sam wziął ją ostrożnie, zdmuchnął z niej warstwę kurzu, przyklęknął i postawił skrzynkę na podłodze.

W środku znalazł grzebień z kości słoniowej, spłaszczoną kulę muszkietową upstrzoną brązową luszczącą się substancją - krwią,

jak się domyślił - kilka medali w jedwabnych woreczkach, owalny złoty medalion z portretem kobiety - zapewne żony Laurenta, Marie - i wreszcie oprawioną w skórę książeczkę wielkości dłoni.

Wstrzymał oddech, otworzył ją w połowie grubości i w wąskim snopie światła latarki zobaczył rząd symboli:

XV©rf>9<S>A®

- Bingo - szepnął.

Włożył inne rzeczy z powrotem do skrzynki, umieścił ją między stopami Laurenta i już miał zamknąć wieko, gdy w blasku jego latarki zaśniło coś metalowego. Między butem Laurenta a bokiem sarkofagu tkwił nie większy od kciuka kawałek stali. Sam wyjął go i rozpoznał stempel matrycę, przypominający dłuto kamieniarskie. Jeden koniec był spłaszczony jak główka gwoźdźca, drugi wklęsły, z ostrą krawędzią wokół. Sam oświetlił wgłębienie i dostrzegł kontur cykady.

- Dziękuję, generale - szepnął. - Szkoda, że nie mogliśmy się poznać dwieście lat temu.

Schował stempel do kieszeni, zamknął wieko sarkofagu i wyszedł z krypty.

Cipriani zniknął.

Sam wspiął się na poziom gruntu i rozejrzał.

- Umberto? - szepnął. - Umberto, gdzie...

W bramie cmentarza rozbłysły dwa samochodowe reflektory. Oślepiiony jasnym światłem, zmrużył oczy i osłonił je ręką.

- Nie ruszaj się, Fargo. - Męski głos z rosyjskim akcentem roz niósł się echem po cmentarzu. - Karabin jest wycelowany w twoją głowę. Ręce do góry.

Sam wykonał polecenie i mruknął cicho:

- Remi, uciekaj.

- To będzie problem, Sam.

Odwrócił wolno głowę i spojrzał przez ramię. Carmine Bianco stał przy drzwiach lancii i przyciskał lufę do skroni Remi.

Bianco popatrzył na Sama z szerokim uśmiechem samozadowolenia. Reflektory zgasły Sam odwrócił głowę z powrotem w kierunku bramy i zobaczył dwie postacie idące w jego stronę, a za nimi ciemny kontur SUV-a.

- Remi, nic ci się nie stało? - zawołał przez ramię.

- Zamknij się! - warknął Bianco.

Sam go zignorował.

- Remi?

- Nic mi nie jest.

Chołkow zatrzymał się w odległości trzech metrów od Sama. Na prawo od niego stał Wąsacz, który trzymał karabin myśliwski z lunetą i celował Samowi w pierś.

- Masz broń, jak przypuszczam - powiedział Chołkow.

- Wydawało się to roztropne - odparł Sam.

- Oddaj mi ją, Fargo. Tylko spokojnie.

Sam wolno wyciągnął lugera z kieszeni i rzucił na ziemię.

Chołkow się rozejrzał.

- Gdzie jest Cipriani?

- Związany i zakneblowany w swojej stodole - skłamał Sam. -Po łagodnej perswazji przyznał się do współpracy z wami.

- Jego pech. Tak czy owak, jesteśmy tutaj. Daj mi książkę.

- Najpierw odwołaj Bianco.

- Daj mi książkę - powtórzył Rosjanin - bo inaczej każę Bianco zastrzelić twoją żonę. Potem mój kolega zastrzeli ciebie i weźmiemy książkę.

Trzy metry za Chołkowem i na lewo od niego jakaś ciemna postać wyrosła z chwastów wokół innej krypty i zaczęła się skradać naprzód.

Sam nie odrywał wzroku od Rosjanina.

- Skąd mam wiedzieć, że nas nie zastrzelicie, jak dostaniecie książkę?

- Znikąd - odparł Chołkow. - Stoisz na przegranej pozycji.

Postać zatrzymała się za Rosjaninem w odległości wyciągniętej ręki.

Sam uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Niezupełnie.

- Co to ma znaczyć?

- Chyba chodzi mu o mnie - odezwał się Umberto.

Chołkow stęzał, ale nawet nie drgnął. Natomiast Wąsacz zaczął się odwracać w stronę Ciprianiego, który warknął:

- Jeśli ruszy się jeszcze centymetr, z przyjemnością go rozwalę.

- Stój! - rozkazał Chołkow.

Wąsacz zamarł.

- Przepraszam, że zniknąłem, Sam - powiedział Umberto. - Zobaczyłem ich i miałem tylko sekundę na podjęcie decyzji.
- Wybaczam ci - odparł Sam i zwrócił się do Chołkowa: - Niech Bianco da Remi broń i dołączy do nas.

Rosjanin się zawahał. Sam widział, jak pulsują mu mięśnie szczęki.

- Nie będę powtarzał, Chołkow - ostrzegł.
- Bianco, daj jej broń i przejdź przez płot.

Bianco coś odkrzyknął. Chociaż Sam znał niewiele włoskich słów, domyślił się, że odpowiedź dotyczyła odchodów albo stosunków cielesnych, albo jednego i drugiego.

- No już, Bianco! - rzucił i, nie odwracając się, zawołał przez ramię: - Remi?
- Mam broń. On już przechodzi przez płot.
- Chołkow, każ swojemu wąsatemu kumpłowi wziąć karabin za lufę i cisnąć za płot między drzewa.

Chołkow wydał rozkaz i mężczyzna go wykonał. Bianco pojawił się na lewo od Sama, minął go i dołączył do towarzyszy. Sam wskazał głową Chołkowa.

- Teraz ty.
- Ja nie mam broni.
- Pokaż.

Chołkow zdjął kurtkę, odwrócił na wewnętrzną stronę, potrząsnął nią i rzucił na ziemię.

- Koszula.

Rosjanin wyciągnął ją ze spodni i obrócił się wolno dookoła. Sam skinął głową do Umberto, który okrążył Chołkowa, cofnął się przez otwartą przestrzeń, podniósł lugera i podał go Samowi.

- *Stronzo!* - warknął Bianco.
- Co on powiedział!? - zapytał Sam.
- Chyba uważa, że moi rodzice nie byli małżeństwem, kiedy się urodziłem.
- Zabiję cię! - warknął Bianco. - Twoją żonę też!
- Zamknij się. Teraz rozpoznaję tego z wąsami.

- Kto to jest?
- Nikt ważny. Drobnym złodziejem - odparł Umberto i zawołał do mężczyzny: - Wiem, kim jesteś! Jeśli jeszcze raz cię zobaczę, utnę ci nos!
- Rozegramy to tak, Chołkow - powiedział Sam - połóżcie się wszyscy na ziemi, a my odjedziemy. Jeżeli pojedziecie za nami, spalę książkę.
- Łiesz. Nie zrobisz tego.
- Zakład? Dla ratowania naszego życia zrobię to bez namysłu.

Kłamał i wiedział, że Chołkow o tym wie, ale miał nadzieję

zasiać chociaż trochę wątpliwości, aby umożliwić im ucieczkę. Rozwagał inne ewentualności - związanie napastników, unieruchomienie ich samochodu, wezwanie policji - ale instynkt mówił mu, że trzeba się jak najszybciej oddalić od Chołkowa. Nie brał pod uwagę czwartej możliwości: zabicia ich na miejscu. Nie był tego rodzaju człowiekiem i nie chciał mieć na sumieniu zabójstwa z zimną krwią.

Chołkow, doskonale wyszkolony żołnierz, znał więcej sposobów zabijania niż większość kucharzy przepisów kulinarnych, więc każda minuta spędzona w obecności jego i tych ludzi zwiększała niebezpieczeństwo, że role się odwrócą.

- Nie wydostaniecie się z wyspy - warknął Rosjanin, kładąc się na ziemi.
- Być może, ale spróbujemy.
- A nawet jeśli, i tak was znajdę.
- Nie będziemy się tym martwić na zapas.
- Sam, wyświadczy mi przysługę - poprosił Umberto. - Chciałbym zabrać Bianco. Dopilnuję, żeby nie sprawiał kłopotu.
- Po co?
- Później ci wyjaśnię.

Sam się zastanowił chwilę i skinął głową.

- Ruszaj! - rozkazał Umberto policjantowi. - Ręce do góry!

Trzymany przez niego na muszce Bianco zaczął iść w kierunku

parkanu. Kiedy znaleźli się po drugiej stronie i stanęli przy samochodzie, Umberto odczepił policjantowi kajdanki od pasa, zatrzasnął mu je na nadgarstkach i go obszukał. Potem wepchnął Bianco na tylne siedzenie i zajął miejsce obok niego. Remi włączyła silnik, otworzyła drzwi mężczyźnie i przesunęła się na fotel pasażera.

Sam wsiadł za kierownicę, wrzucił bieg, zawrócił i pojechał wokół parkanu do głównej drogi.

- Jak myślisz, ile odczekają? - zapytała Remi.

Sam zerknął przez boczną szybę. Chołkow i Wąsacz już wstali i biegli z powrotem przez cmentarz.

- Jakieś pięć sekund - odparł i dodał gazu.

27

Pędząc wzdłuż parkanu do głównej bramy, Sam widział kątem oka, jak Chołkow i Wąsacz gnają między nagrobkami w tym samym kierunku.

- Będzie na styk - mruknął.

- Dokąd jedziesz? - spytała Remi. - Słyszałeś, co powiedział Umberto... Bianco na pewno kazał obserwować drogi.

- Jak dziś z twoją celnością?

- Co? Aha... - Uniosła broń Bianco, jakby nagle sobie przypomniała, że ją ma. - W porządku. Dlaczego...

- Przejadę obok ich SUV-a. Spróbuj przestrzelić opony. Umberto, na pewno sobie z nim poradzisz?

Bianco rozpierał się na tylnym siedzeniu z szerokim uśmiechem samozadowolenia. Umberto odwrócił lugera w dłoni i walnął go w skroń. Bianco zwiotczał i zsunął się na podłogę.

- Na pewno.

Narożnik parkanu zbliżał się błyskawicznie; dziesięć metrów za nim i nieco w prawo stał SUV. Chołkow wyprzedził Wąsacza i tylko sekundy biegu dzieliły go od bramy.

- Przygotuj się! - krzyknął Sam.

Remi opuściła szybę, wystawiła pistolet przez okno i oparła ramię o drzwi.

- Jedziesz za szybko! - zawołała.

- Muszę. Postaraj się. Jeśli nie trafisz w opony, wal w przednią szybę. Cholera!

Chołkow wypadł z bramy, zatrzymał się z poślizgiem przy drzwiach kierowcy i otworzył je. Zapaliła się lampka oświetlająca wnętrze.

Remi oddała dwa strzały, ale oba pociski odbiły się wśród snopów iskier od tylnego błotnika.

- Za szybko! - zawołała.

- Przednia szyba! - odkrzyknął Sam.

Remi cztery razy nacisnęła spust i na przedniej szybie SUV-a pojawiły się trzy dziury otoczone pajęczynami pęknięć.

- Zuch dziewczyna!

W tym samym momencie Chołkow wyłonił się w przysiadzie zza przodu auta i uniósł broń. Sam skręcił ostro w lewo. Tył Lancii zarzucił, przednie koła zabuksowały na wilgotnej trawie. W samochodzie rozległy się dwa metaliczne dźwięki, kiedy pociski Chołkowa trafiły w bagażnik. Sam przyspieszył, wyprostował tor jazdy i skierował się przez łąkę ku wzgórzom.

- Wszyscy cali? - zapytał.

Umberto wetknął głowę między oparcia przednich siedzeń, skinął nią i znów zniknął.

- Przepraszam, że nie udało mi się przestrzelić opon - powiedziała Remi. - Za szybko jechaliśmy.

- Nie szkodzi. Załatwiłaś przednią szybę; to ich spowolni. Będą musieli ją wybić albo jechać z głowami wychylonymi przez boczne okna.

Remi obejrzała się i zobaczyła, że Chołkow i Wąsacz stoją na masce SUV-a i kopią w przednią szybę.

- Wariant a - oznajmiła.

Szyba wpadła do środka. Chołkow i Wąsacz uklękli, wyciągnęli ją na zewnątrz i cisnęli na bok. Chwilę później reflektory SUV-a rozbłysły i auto wystartowało przez łąkę.

- Jadą. Mają napęd na cztery koła...

- Wiem - mruknął Sam. - Trzymajcie się!

Lancia zatańczyła, gdy przednie koła wskoczyły w koleiny na nierównej drodze. Sam dał po hamulcach i szarpnął kierownicę. Kiedy wyczuł, że tylne koła idą śladem przednich, znów nacisnął gaz. Lancia wystrzeliła pod górę. Droga była bardzo wąska, nie szersza niż dwa metry. Kiedy osiągnęli szczyt wzgórza, drzewa zamknęły się wokół nich, przesłaniając niebo. Po chwili przez tylną szybę wlał się blask reflektorów goniącego ich SUV-a.

Sam przyspieszył, ale natychmiast przyhamował, bo droga zaczęła ostro skręcać głębiej w las. SUV wyskoczył w powietrze na szczycie wzniesienia i ciężko opadł z powrotem.

- Nie zmieści się - uznała Remi.

Miała rację. Wciąż odbijając się po lądowaniu, SUV przestrzelił zakręt i zatrzymał się z poślizgiem z maską wśród gałęzi. Sam zobaczył w lusterku wstecznym, jak zapalają się światła stopu SUV-a. Lancia pomknęła w dół. Sam dostrzegł przed sobą tarkę.

- Trzymajcie się! - krzyknął.

Koła podskakiwały z dudnieniem, amortyzatory głośno protestowały, ale lancia pokonała wyboisty odcinek, wspięła się na kolejne wzniesienie i zjechała po drugiej stronie na prostą. Sam dodał gazu.

Gałęzie smagały przednią szybę, sosnowe szyszki odbijały się od maski i dachu. SUV znów się pojawił za nimi; jego światła podrygiwały wściekle, gdy Chołkow pokonywał tarkę.

Choć wytrzymałszy i mocniejszy od lancii, SUV był też o ponad pół metra szerszy, co teraz stanowiło poważną niedogodność. Konary sosen, które prześlizgiwały się po lancii, waliły w maskę SUV-a i otwór po przedniej szybie. Gałęzie łamały się, wbijały w osłonę chłodnicy i splątywały z wycieraczkami. Wkrótce światła SUV-a zostały z tyłu.

- Sam, uważaj!

Oderwał wzrok od lusterka wstecznego i zdażył zobaczyć głaz na wprost. Skręcił ostro w prawo i wprowadził lancję w boczny poślizg. Nacisnął gaz, ale za późno. Tylne drzwi uderzyły w głaz i boczna szyba się rozprysła. Impet obrócił tył lancii i auto wypadło z drogi pod sosnowe konary. Przedni zderzak trzasnął w pień i zatrzymali się gwałtownie. Silnik zakrzusił się i zgasł. Sosnowe igły posypały się na przednią szybę.

- Naszą kaucję diabli wzięli - powiedziała Remi.

- Wszyscy cali? - spytał Sam.

- Tak - odparła Remi.

- Jasne - zawołał Umberto.

- A Bianco?

- Jeszcze drzemie.

Zobaczyli blask reflektorów SUV-a za drzewami. Sam przekręcił kluczyk w stacyjce. Nic.

- Jest na biegu - powiedziała Remi.

- Cholera. Dzięki.

Przesunął dźwignię automatycznej skrzyni biegów w pozycję parkowania i spróbował jeszcze raz. Silnik się odezwał, ale nie zaskoczył. Sam znów włączył rozrusznik.

- No, dawaj...

SUV był już w połowie prostej i zbliżał się do głazu.

Silnik lancii zaskoczył, wszedł na obroty i zdechł.

- Ostatnia szansa, Sam - powiedziała Remi przez zaciśnięte zęby.

Zamknął oczy, zmówił szybką modlitwę i przekręcił kluczyk. Silnik zapalił. Sam wrzucił bieg, obrócił kierownicę w prawo i wyjechał z powrotem na drogę.

- Umberto, spowolnij ich!

- Okej!

Cipriani wystawił lugera przez okno i oddał dwa strzały, a po chwili jeszcze dwa. Pociski trafiły w osłonę chłodnicy i roztrzaskały reflektor po stronie kierowcy. SUV skręcił gwałtownie w lewo, prosto na głaz, i odbił w prawo. Boczne lusterko zawadziło o skałę, urwało się i odpadło.

Światła SUV-a wypełniły wnętrze lancii. Sam zmrużył oczy i przestawił lusterko wsteczne. Zerknął przez ramię i zobaczył rękę z bronią w otworze po przedniej szybie.

- Na dół! - krzyknął.

Remi zsunęła się na podłogę.

Broń w SUV-ie huknęła, lufa błysnęła ogniem z ciemnego wnętrza.

Umberto wystawił głowę zza oparcia.

- Spowolnię ich. - Wychylił się z lugerem przez boczne okno.

- Nie rób tego! - ostrzegł Sam i w tym momencie rozległy się dwa strzały.

Umberto wrzasnął i wtoczył się z powrotem do samochodu.

- Dostałem!

- Gdzie?

- W przedramię. Nic mi nie jest - wydyszał.

- Do diabła z tym - mruknął Sam. - Trzymajcie się! Nacisnął

hamulec, policzył do dwóch i znów dał gazu. SUV

wpadł w poślizg, skręcił gwałtownie i uderzył w zderzak lancii. Sam dobrze to wyliczył i przyspieszył tuż przed kolizją. Odskoczyli od SUV-a. Sześć metrów... dziesięć... cztery długości samochodu.

- Ha!

Nagle drzewa po obu stronach drogi zniknęły.

Remi uniosła głowę.

- O nie!

Koła lancii wjechały na poprzeczny garb i poszybowały w powietrze. Za przednią szybą ukazała się otwarta przestrzeń. Lancia wylądowała, odbiła się i spod opon wytrysnął żwir.

- Pobocze! - zawołała Remi.

- Widzę - odparł Sam i obrócił kierownicę w lewo. Tył lancii zarzucił. Sam skontrował w prawo, wyprostował tor jazdy i spoj rzał przez boczne okno. Usiana głazami skarpa opadała kilkadziesiąt metrów do wąwozu.

SUV Chołkowa skoczył do góry z rykiem silnika i spadł na drogę.

- Nie wyrobi się - powiedziała Remi.
- Miejmy nadzieję.

Chołkow przesadził z kontrą i prawe tylne koło znalazło się na kamieniach wzdłuż pobocza. Podwozie szorowało po ziemi, zbliżając się centymetr za centymetrem do przepaści; wreszcie SUV znieruchomiał, częściowo nad nią zawieszony.

Sam zdjął nogę z gazu. Piętnaście metrów za nimi SUV balansował na krawędzi skarpy. Poza rytmicznym skrzypieniem pracującego metalu panowała zupełna cisza.

Remi usiadła prosto i się rozejrzała.

- Ostrożnie - szepnął Sam.
- Pomożemy im? - zapytała.

Z ciemnego wnętrza SUV-a wyłoniła się ręka trzymająca rewolwer. Lufa błysnęła ogniem. Pocisk trafił w zderzak lancierki.

- Do diabła z nimi - warknął Sam i nacisnął gaz.
- Powinni być ci wdzięczni - powiedziała Remi. - Mogłeś zepchnąć ich do wąwozu.
- Coś mi mówi, że będę żałować, że tego nie zrobiłem.

28

Marsylia, Francja

Kiedy Sam dał napiwek boyowi hotelowemu i zamknął za nim drzwi, Remi zadzwoniła z iPhone'a do Selmy. Odebrała po pierwszym sygnale.

- Cali i zdrowi? - spytała.
- Tak - odparła Remi, usiadła na łóżku i zrzuciła buty. - A teraz powiedz mi, dlaczego jesteśmy w Marsylii?

Zostawiwszy Chołkowa i Wąsacza na krawędzi przepaści, pomknęli z maksymalną prędkością do Nisporto. Umberto, z przedramieniem owiniętym własną koszulą, uprzedził przez telefon satelitarny swoich krewnych o ich przyjeździe.

Nisporto, miasteczko liczące kilkuset mieszkańców, leży nad zatoczką w kształcie litery V piętnaście kilometrów na północ od Portoferraio. Kiedy przyjechali, żona Umberta i pięciu jego kuzynów czekali przy tylnych drzwiach. Teresa opatrywała mężowi ranę - na szczęście niegroźną, bo pocisk

ominął kości i żyły - a kuzyni zamknęli przytomnego już Bianca w garażu. Ciotka Umberta, Brunela, wprowadziła Sama i Remi do domu, posadziła przy kuchennym stole i poczęstowała domowym makaronem z cebulą, kaparami, oliwkami i czerwonym sosem. Pół godziny później dołączył do nich Umberto.

- Naraziliśmy cię na niebezpieczeństwo - powiedział Sam.
- Drobnostka. Pomogliście mi odzyskać honor. Ojciec byłby ze mnie dumny.
- Na pewno - rzekła Remi i pocałowała go w policzek. -Dzięki.
- Co zamierzasz zrobić z Bianco? - spytał Sam.
- Tu i na Korsyce jest nietykalny. Ale na kontynencie... -Umberto wzruszył ramionami. - Wykonam kilka telefonów. Sądzę, że *carabinieri* chętnie się nim zaopiekują. Co do tego drugiego, jego kompana... to tchórz. Wszystko będzie dobrze, moi drodzy. Skończcie jeść i zajmijmy się wyekspediowaniem was z wyspy.

Znając wpływy Bondaruka i upór Chołkowa, uznali, że próba odlotu z lotniska w Marina di Campo byłaby zbyt ryzykowna, zaangażowali więc kuzyna Umberta, Ermete'a, właściciela łodzi czarterowej dla wędkarzy, do przewiezienia ich do Piombino w kontynentalnej części Włoch. Stamtąd wrócili do Florencji, zameldowali się w Palazzo Magnani Feroni i zadzwonili do Selmy.

Poprosiła, żeby przemejlowali jej sfotografowane symbole z książki szyfrów Laurenta i polecili do Marsylii. Następnego ranka wysłali książkę pocztą do San Diego i pojechali na lotnisko.

- Po co ta cała tajemnica? - zapytała teraz Remi i włączyła głośnik w telefonie.
- Żadna tajemnica - odparła Selma. - Analizowałam różne szczegóły, ale wiedziałam, że tak czy inaczej będą państwo chcieli wybrać się do Marsylii. A przy okazji, Pete i Wendy właśnie pracują nad symbolami. To fascynująca sprawa, ale stan książki jest wielkim znakiem..
- Selmo - przerwał jej Sam.
- Och, przepraszam. Pamiętają państwo Wolfganga Mullera, kapitana UM-77? Znalazłam go.
- Masz na myśli...
- Tak, on jeszcze żyje. Okazuje się, że był na pokładzie „Lothringen” w chwili zdobycia okrętu. Po wojnie miał wrócić do Niemiec przez Marsylię. Zszedł ze statku, ale nie wsiadł do pociągu do kraju. Mieszka ze swoją wnuczką. Mam ich adres...

Następnego ranka poszli na śniadanie do oddalonej o kilka przecznic od hotelu kawiarni Le Capri przy Rue Bailli de Suffren. Roztaczał się stamtąd wspaniały widok na Vieux Port, czyli Stary Port, pełen jachtów różnych kształtów i rozmiarów, których żagle łopotały w morskiej bryzie. Woda lśniła w jasnym porannym słońcu. Przy wejściu do portu, na północnym i południowym brzegu, wznosiły się forty Saint Jean i Saint Nicholas, a nad nimi, na zboczach wzgórz - opactwo Saint Victor i

kościół Saint Vincent i Saint Catherine. Dalej, w Zatoce Marsylskiej, leżał złożony z czterech wysp archipelag Frioul.

Sam i Remi byli w Marsylii trzy razy, ostatnio kilka lat temu w drodze do Camargue, gdzie co roku w maju zbierało się około dwudziestu tysięcy Cyganów z zachodniej i wschodniej Europy, by uczcić swoje dziedzictwo.

Po śniadaniu złapali taksówkę i podali kierowcy adres w Panier, średniowiecznej dzielnicy pełnej ciasno słoczonych pastelowych domów, wciśniętych między ratusz a Vieille Charite. Wolfgang Muller mieszkał przy Rue de Cordelles w piętrowym jasnożółtym domu z białymi okiennicami. Zapukali do drzwi, które otworzyła dwudziestokilkuletnia blondynka.

- *Bonjour* - powiedział Sam.

- *Bonjour*.

- *Parlez-vous anglais?*

- Tak, mówię po angielsku. Sam

przedstawił siebie i Remi.

- Szukamy pana Mullera. Zastaliśmy go?

- Tak, oczywiście. Mogę spytać, o co chodzi?

Już to omówili i zgodnie uznali, że szczerść to najlepsza opcja.

- Chcielibyśmy porozmawiać z nim o UM-77 i „Lothringen” -odparła Remi.

Kobieta przechyliła głowę i zmrużyła oczy. Najwyraźniej dziadek opowiadał jej o swoim udziale w wojnie.

- Proszę chwilę poczekać. - Nie zamykając drzwi, poszła w głąb korytarza i zniknęła za rogiem. Chwilę z kimś rozmawiała, po czym wróciła. - Proszę wejść. Mam na imię Monique. Tędy, proszę.

Zaprowadziła ich do pokoju od frontu. Muller siedział w bujanym fotelu przed wyciszonym telewizorem i oglądał prognozę pogody. Był w szarym, zapiętym pod szyję swetrze, nogi miał przykryte kocem w niebiesko-żółtą kratę. Był całkiem łysy i miał pomarszczoną twarz. Spojrzał na nich łagodnymi niebieskimi oczami.

- Dzień dobry - odezwał się zaskakująco mocnym głosem. Wskazał drżącą ręką kanapę w kwieciste wzory naprzeciwko siebie. - Proszę usiąść. Może kawy?

- Nie, dziękujemy - odparła Remi.

- Monique powiedziała mi, że znaleźliście „Ilse”.

- Ilse? - spytał Sam.

- Tak nazwałem UM-77. Imieniem mojej żony. Zginęła podczas bombardowania Drezna kilka miesięcy po naszym wypłynięciu z Bremerhaven. Znaleźliście ją w jaskini na Rum Cay?

Remi przytaknęła.

- Prowadziliśmy badania i natknęliśmy się na nią. Spoczywała na dnie w niemal idealnym stanie.

- Nadal tam jest?

Sam się uśmiechnął.

- Niezupełnie. Mielśmy... problem. Użyliśmy jej, można by rzec, jako tratwy ratunkowej.

- Nie rozumiem.

- Główne wejście się zawaliło. Spłynęliśmy UM-77...

- „Ilsą”.

- Spłynęliśmy „Ilsą” w dół podziemnej rzeki i wydostaliśmy się przez inną jaskinię.

Muller zrobił wielkie oczy.

- Niesamowite. Cieszę się, że została dobrze wykorzystana.

- Załatwiliśmy przetransportowanie jej do Stanów Zjednoczonych. Jeśli pan chce, każemy ją dostarczyć...

Muller pokręcił głową.

- To bardzo uprzejme z waszej strony, ale nie. Zatrzymajcie ją i dbajcie o nią. - Uśmiechnął się i pogroził im palcem. - Coś mi się zdaje, że przebyliście taki kawał drogi nie tylko po to, żeby mi

o tym powiedzieć.

- Znaleźliśmy też UM-34.

Muller pochylił się w fotelu.

- A Manfreda?

- Kapitan Boehm był wciąż na pokładzie. - Sam zrelacjonował odkrycie okrętu podwodnego, nie wspominając o Bondaruku i Chołkowie. - Władze właśnie wydobywają molcha.

- *Mein Gott...* Zawsze obawialiśmy się złej pogody. Te okręciaki nie nadawały się do żeglugi po pełnym morzu. - Zapatrzył się w przestrzeń na dziesięć sekund, po czym zamrugał i znów skupił wzrok na gościach. - Manfred był moim bliskim przyjacielem. Zawsze dręczyło mnie, że nigdy się nie dowiedziałem, co wtedy zaszło. Dziękuję wam.

- Jesteśmy tu z powodu wina - wyjaśniła Remi.

- Wina? A, tamtych butelek... Tak, mieliśmy nimi uczcić zakończenie operacji. Ocalały?

- Tak. Jedna na pokładzie UM-34, druga na „Ilsie”.

- A trzecia? Manfred miał trudniejsze zadanie, więc dałem mu dwie butelki.
- Znaleźliśmy kawałek szkła w pobliżu jego okrętu. Nie wiemy, jak wypadł na zewnątrz.

Muller machnął ręką.

- Dziwactwa wojny.
- Tak z ciekawości - zagadnął Sam - może nam pan zdradzić, jakie dostaliście zadania? Czego pan i Boehm próbowaliście dokonać?

Muller zmarszczył brwi i zastanawiał się chwilę. Wreszcie odrzekł:

- To już chyba bez znaczenia... Mogę wam powiedzieć. To by ła naprawdę idiotyczna operacja, pomysł samego Fuhrera. Manfred miał popłynąć w górę zatoki Chesapeake i zaatakować bazę marynarki wojennej w Norfolk. W tym samym czasie ja miałem zaatakować skład amunicji w Charleston, ale zepsuła się śruba „Ilsy” i byliśmy opóźnieni. Zanim zdążyliśmy ją naprawić, zostaliśmy wezwani z powrotem do Bremerhaven. Resztę znacie,

o „Lothringen” i tak dalej.

- Zatrzymaliście się na Rum Cay w celu zmiany wyposażenia. Jakiego?
- Akumulatorów na silniejsze, żeby zwiększyć zasięg naszych okrętów. Następny idiotyczny pomysł. Manfred i ja wiedzieliśmy, że ta operacja to samobójstwo.
- Więc dlaczego zgłosiliście się na ochotnika?

Muller wzruszył ramionami.

- Poczucie obowiązku. Młodzieńczy brak rozwagi. Żaden z nas nie należał do zwolenników Hitlera ani partii, ale to była nasza ojczyzna. Chcieliśmy zrobić, co w naszej mocy.
- Czy wie pan coś więcej o butelkach? - spytała Remi. - Skąd się wzięły?
- Czemu to państwa interesuje?
- Jesteśmy kolekcjonerami, a te butelki okazały się bardzo stare i bardzo rzadkie.

Muller zachichotał.

- Nie wiedziałem. Ale mogłem się domyślić, że są ważne. Mój brat Karl dał mi je, zanim wypłynęliśmy z Bremerhaven. Powiedział, że znalazł je tutaj, w okolicach Marsylii. Służył w wojsku i był w siłach okupacyjnych.
- Gdzie dokładnie je znalazł?

- Niech pomyślę... - Muller podrapał się w głowę. - Pamięć już nie ta, co kiedyś. W jakimś zamku... Nie, nie w zamku. W forcie. - Westchnął z frustracji, potem oczy mu zabłyśły. - Na jednej z wysp w zatoce... Pamiętacie *Hrabiego Monte Christo* Dumasa?

Sam i Remi czytali tę powieść, więc natychmiast zorientowali się, o czym mówi Muller.

- Wyspa If?

- Tak, zgadza się. Znalazł je w zamku If.

Mimo trzykrotnego pobytu w Marsylii Fargo nie udało się dotychczas włączyć archipelagu Frioul i zamku If do planu swojej podróży. Zamierzali to naprawić tej nocy, zwiedzając go prywatnie, wątpili bowiem, żeby personel zamku pozwolił im zbadać każdy zakamarek wyspy. Choć żadne nie wiedziało, czego właściwie mają szukać i czy to rozpoznają, jeśli się pojawi, ta wyprawa wydawała się im logicznym posunięciem.

Od Mullera pojechali taksówką do Malmousque, nadmorskiej dzielnicy z widokiem na Frioul, i znaleźli cichą kawiarnię. Usiedli pod parasolem na patio i zamówili dwa podwójne espresso.

Półtora kilometra od brzegu wznosił się zamek If, bryła w kolorze spłowiełej ochry, z pionowymi szańcami i kamiennymi łukami.

Cała wyspa miała powierzchnię około trzech hektarów, natomiast sama warownia była kwadratem o boku stu metrów. Główną

161

11 - Złoto Spartan dwupiętrową budowlę otaczały z trzech stron cylindryczne wieże zwieńczone blankami ze szczelinami strzelniczymi dla armat.

Zamek, wzniesiony na rozkaz króla Franciszka I w latach dwudziestych XVI wieku do obrony miasta przed atakami z morza, wkrótce zamieniono w więzienie dla politycznych i religijnych wrogów Francji. Tak jak Alcatraz w San Francisco, miał opinię miejsca, z którego nie sposób uciec z powodu jego położenia i zabójczych prądów morskich. Kłam temu twierdzeniu, przynajmniej w postaci fikcji literackiej, zadała powieść Aleksandra Dumasa *Hrabia Monte Christo*, której bohater Edmund Dantes po czternastu latach spędzonych w lochach zdołał z If zbiec.

Sam otworzył prospekt, który wziął z biura turystycznego w Starym Porcie.

- „Czarniejszy niż morze, czarniejszy niż niebo, wyrasta niczym zjawa granitowy olbrzym, którego sterczące granie wydają się ramionami wyciągniętymi po ofiarę” - przeczytał. - Tak Dantes opisał wyspę.

- Stąd nie wygląda tak źle.

- Spróbuj wytrzymać w lochu czternaście lat.

- Masz rację. Co jeszcze?

- W więzieniu obowiązywał ścisły podział klasowy. Bogaci osadzeni mogli sobie wykupić pojedyncze cele na górnych kondygnacjach, z oknami i kominkiem. Biednym pozostawały lochy w podziemiach i pomieszczenia zwane *oubliette*, czyli...

- Nazwa pochodzi od słowa *oublier*, „zapomnieć”. To były zamykane klapą doły w podłodze lochu. - Francuski Remi też znała lepiej niż mąż. - Wrzucają cię tam i zostawiają, żebyś zgnił.

Zadzwęczał telefon Sama. Spojrzał na wyświetlacz i odebrał. Dzwoniła Selma.

- Panie Fargo, mam coś dla państwa.

- Mów. - Sam włączył głośnik w telefonie, żeby Remi słyszała.

- Rozszyfrowaliśmy dwie pierwsze linijki symboli na etykiecie butelki - zaczęła Selma. - Reszta zajmie jeszcze trochę czasu. Chyba brakuje nam jakiegoś klucza. W każdym razie treść jest taka: „Szaleństwo Kapetyngów, rewelacja Sebastiena; miasto pod armatami”. I dalej: „Z trzeciego królestwa zapomnianych znak, że wieczny Szeol zawiedzie”. Pracujemy nad rozwiązaniem tego...

- Nie trzeba - wszedł jej w słowo Sam. - Chodzi o zamek If.

- Słucham?

Opowiedział Selmie o spotkaniu z Wolfgangiem Mullerem.

- Jego brat znalazł butelki w fortecy. Wyjaśnienie wydaje się oczywiste. Z dynastii Kapetyngów wywodził się król Franciszek I, który kazał zbudować tę fortecę. Sebastien to imię Vaubana, inżyniera, który musiał oświadczyć rządowi, że fort jest niemal bezużyteczny. Z niewiadomej przyczyny architekci zaprojektowali go tak, że najmocniejsze fortyfikacje i stanowiska armat nie były zwrócone ku morzu i ewentualnym najeźdźcom, lecz ku miastu, stąd „miasto pod armatami”.

- Jestem pod wrażeniem, panie Fargo.

- To wszystko jest w prospekcie. A znaczenia drugiego fragmentu nie rozumiem.

- Ja chyba się domyślam - wtrąciła Remi. - W języku hebrajskim „szeol” oznacza miejsce pobytu zmarłych lub podziemny świat. Przeciwnostwo - wieczny szeol - to nieustanne życie. Pamiętajcie cykadę na butelce?

Sam skinął głową.

- Z herbu Napoleona: nieśmiertelność i wskrzeszenie. A druga część: „trzęcie królestwo zapomnianych”?

- To nawiązanie do *oubliette*, którego nazwa pochodzi od słowa „zapomnieć”. Jeżeli się nie mylimy, gdzieś w podziemiach zamku jest cykada czekająca na odnalezienie. Ale po co w ogóle ta zagadka?

- zastanawiała się Remi. - Dlaczego nie napisali wprost: „Udaj się tu i tu, a znajdziesz to i to”?

- I tutaj zaczyna być naprawdę interesująco - odparła Selma. - Z tego, co udało mi się dotąd przetłumaczyć, książka Lau renta to po części pamiętnik, po części klucz do szyfru. Wynika z niej całkiem jasno, że nie chodzi o same butelki. One są nazywane „strzałkami na mapie”.

- Strzałkami dokąd? - zapytała Remi. - I dla kogo?

- Tego Laurent nie pisze. Dowiemy się więcej, jak skończę przekład.

- Wydaje się oczywiste - powiedział Sam - że Laurent robił to wszystko na rozkaz Napoleona, a skoro zadali sobie tyle trudu, żeby ukryć butelki, na końcu mapy musi być coś niezwykłego.

- Co by tłumaczyło, dlaczego Bondaruk morduje bez skrępowań - zauważyła Remi.

Rozmawiali jeszcze kilka minut, po czym się rozłączyli.

- Oho - szepnęła Remi do męża. - Zobacz, kto tu jest.

Sam się odwrócił. Chołkow szedł przez patio w ich stronę z rękami w kieszeniach kurtki. Fargowie stężeli, gotowi do działania.

- Spokojnie, myślicie, że byłbym taki głupi, żeby was zastrzelić w biały dzień? - spytał Chołkow,

zatrzymawszy się przy nich. Wyjął ręce z kieszeni i uniósł do góry. - Nie mam broni.

- Widzę, że wyszedłeś cało z tamtej drobnej stłuczki - zauważyła Remi.

Chołkow przysunął sobie krzesło i usiadł.

- Proszę się do nas przyłączyć - mruknął Sam.

- Mogliście zepchnąć nas w przepaść - rzekł Chołkow. - Czemu tego nie zrobiliście?

- Zastanawialiśmy się nad tym, możesz mi wierzyć. Gdyby nie twój lubiący strzelać kumpel, to kto wie?

- Przepraszam za niego. Przesadził.

- Pewnie nam nie zdradzisz, jak nas wytropiłeś - powiedziała Remi.

Na twarzy Chołkova pojawił się uśmiech, ale oczy pozostały poważne.

- A wy pewnie nie zdradzicie mi, po co tu przyjechaliście.

- Słuszne przypuszczenie - odparła Remi.

- Cokolwiek zaproponujesz, my w to nie wejdziemy - uprzedził Sam. - Twój koleś porwał, torturował i omal nie zabił naszego przyjaciela, a ty dwa razy próbowałeś zabić nas. Co tu robisz?

- Mój szef proponuje rozejm. Partnerstwo.

Remi roześmiała się cicho.

- Niech zgadnę: my pomożemy wam znaleźć to, czego szukacie, a potem wy nas zabijecie.

- Wcale nie. Połączymy siły i podzielimy się osiemdziesiąt do dwudziestu.

- Nawet nie wiemy, czego szukamy - zauważył Sam.

- Czegoś o ogromnej wartości historycznej i materialnej.

- A która bardziej interesuje Bondaruka? - spytała Remi.

- To jego sprawa.

Sam i Remi nie mieli złudzeń. Zamiary Bondaruka wobec nich były łatwe do przewidzenia. Bez względu na motywy Ukraińca i rodzaj zdobyczy nie zamierzali dopuścić, żeby wpadła ona w jego ręce.

- Nazwijmy te rzeczy rodzinnym dziedzictwem - dodał Chołkow. - On po prostu stara się dokończyć coś, co się zaczęło dawno temu. Jeśli mu pomożecie, odpowiednio was wynagrodzi.

- Nic z tego - odparł Sam.
- I przekaż mu wiadomość od nas - dodała Remi. - Nie ma szans.
- Powinniście się zastanowić jeszcze raz - zasugerował Chołkow. - Rozejrzyjcie się.

Sam i Remi zrobili to. Po drugiej stronie patio stali trzej mężczyźni - same znajome twarze z jaskini na Rum Cay.

- Banda w komplecie - stwierdził Sam.
- Nie, mam ich więcej. Dokądkolwiek się wybierze, będziemy tam. W ten czy inny sposób dostaniemy to, czego chcemy. Musicie zdecydować, czy chcecie przeżyć.
- Poradzimy sobie - zapewniła Remi.

Chołkow wzruszył ramionami.

- Wasz wybór. Przypuszczam, że nie jesteście tacy głupi, żeby mieć przy sobie książkę szyfrów.
- Nie - potwierdził Sam. - I nie jesteśmy tacy głupi, żeby ją trzymać w hotelu, ale możesz to sprawdzić, proszę bardzo.
- Już to zrobiliśmy. Domyślam się, że trafiła do rąk pani Wond-rash.
- Albo j est w skrytce bankowej - rzuciła Remi.
- Wątpię. Myślę, że wasi ludzie właśnie próbują złamać szyfr. Być może złożymy im wizytę. Słyszałem, że San Diego jest piękne

o tej porze roku.

- Powodzenia - odrzekł Sam, starając się zachować obojętną minę.
- Myślisz o waszym systemie bezpieczeństwa? - Chołkow machnął lekceważąco ręką. - To nie będzie żaden problem.
- Najwyraźniej nie znasz mojego życiorysu - powiedział Sam.

Chołkow się zawahał.

- A tak, inżynier. Pomajstrowałeś przy systemie alarmowym, zgadza się?
- Tak.
- I nawet jeśli się z nim uporasz - dodała Remi - kto wie, co zastaniesz w środku. Sam wspomniałeś, że nie jesteśmy głupi.

Chołkow zmarszczył brwi w momencie niepewności, który natychmiast minął.

- Zobaczmy. Macie ostatnią szansę, państwo Fargo. Potem przestajemy działać w rękawiczkach.
- Już ci odpowiedzieliśmy - rzekł Sam.

30

Wieczorem zaczęło mżyć, a teraz, gdy zbliżała się północ, padało na dobre. Deszcz bębnił w liście drzew i bulgotał w rynsztokach, ulice lśniły w zamglonym żółtym blasku latarni. Spóźnieni przechodnie przemylkali chodnikami pod parasolami lub złożonymi gazetami albo czekali w grupkach na zadaszonych przystankach autobusowych.

Sam i Remi stali w zaułku naprzeciwko hotelu i obserwowali wejście do holu.

Przecnicę dalej przy krawężniku stał szary citroen xsara. Dwie postacie w ciemnym wnętrzu były ledwo widoczne, ale wcześniej

Remi zobaczyła przez okno ich pokoju hotelowego twarz kierowcy: towarzyszył Chołkowowi w kawiarni w Malmousque. Nie wiedzieli, czy wokół jest więcej obserwatorów, zakładali jednak, że tak.

Po rozstaniu z Chołkowem kilka godzin spacerowali po Mal-mousque, robili zakupy i podziwiali widoki. Nigdzie nie widzieli ani Chołkowa, ani jego ludzi. Dopiero gdy wracali do hotelu, dwaj motocykliści jechali za ich taksówką.

Mimo pozornie lekceważącej reakcji na groźby Chołkowa Sam

i Remi potraktowali je poważnie. W obawie przed podsłuchem w swoim pokoju znaleźli cichy kąt w pustym na ogół barze hotelowym i zadzwonili z iridium do Haywooda. Nie było go w kwaterze głównej CIA w Langley, ale złapali go w domu.

Sam włączył głośnik w telefonie i cicho wyjaśnił sytuację oraz powody ich niepokoju.

- Znam pewnego faceta w Long Beach - rzekł Rube. - Pracował w służbie ochrony dyplomatów, a teraz prowadzi własny interes. Chcecie, żebym mu kazał wysłać paru ludzi do waszego domu?
- Bylibyśmy wdzięczni.
- Dajcie mi dziesięć minut.

Oddzwonił po pięciu.

- Załatwione. Będą tam za dwie godziny. Powiedźcie Selmie, że będą mieli identyfikatory Kozal Security Group. Zapytają o panią French.
- Dobra.

- Nie uważacie, że czas na fajrant? - spytał Rube. - Widzieliście, do czego ci faceci są zdolni. Nic nie jest tego warte.
- Nawet nie wiemy, co to jest - odparła Remi.
- Ale wiecie, o co mi chodzi. Boję się o was.
- Doceniamy to, Rube, ale zamierzamy doprowadzić sprawę do końca.

Haywood westchnął.

- Przynajmniej pozwólcie mi wam pomóc.
- Co masz na myśli? - spytał Sam.
- Przyjrzałem się dokładniej Chołkowowi. Kilka lat temu był w Czeczenii; podejrzewamy, że działał jako pośrednik handlarza sprzedającego kałasznikowy na czarnym rynku. Mogę wykonać parę telefonów i zwrócić na niego uwagę DCPJ - użył skrótu nazwy Direction Centrale Police Judiciaire, Centralnego Zarządu Policji Sądowej, francuskiego odpowiednika FBI. - Nie mieliby go za co aresztować, ale mogliby go zatrzymać na jakiś czas razem z jego kumplami.
- Zrób to. Przyda nam się chwila oddechu.
- Pytanie tylko, czy zdołają go znaleźć.

Trzy godziny później Rube zadzwonił jeszcze raz. DCPJ rozpoczął poszukiwania Chołkowa, ale Haywood miał wiedzieć coś więcej dopiero za kilka godzin, jeśli w ogóle. Francuzi, jak powiedział, niechętnie dzielą się informacjami.

- Może znasz jakiegoś francuskiego odpowiednika szewca Guido?
- Sam, we Francji nie ma żartów z handlem bronią. Nie życzyłbym ci złapania z niezarejestrowaną spluwą. Ale znam faceta imieniem Maurice...

Podał przyjacielowi numer telefonu i się rozłączyli.

Remi postawiła kołnierz kurtki i przytuliła się mocniej do Sama pod parasolem.

- Nie widzę nikogo więcej.
- Ja też nie. Idziemy?

Rozejrzeli się po raz ostatni, wyszli z zaułka i ruszyli chodnikiem.

Przez godzinę kluczyli ulicami na północ od portu, od czasu do czasu zawracając lub wstępując do kawiarni i wychodząc tylnymi drzwiami. Wreszcie, pewni, że nikt ich nie śledzi, złapali taksówkę i kazali kierowcy zawieźć się na Rue Loge w Starym Porcie.

Zgodnie z obietnicą kierownika wypożyczalni łodzi na stanowisku cumowniczym w północno-zachodnim krańcu portu czekał szary pięcioipółmetrowy mistral. Była to motorowa łódź wieloryb- nicza z oszkloną sterówką niewiele większą od budki telefonicznej, ale miała szeroki kadłub i niezawodny cichy silnik Lombardi. Liczyli, że nada się do ich celów.

Kluczem dostarczonym przez posłańca Sam otworzył kłódkę spinającą cumy, a Remi uruchomiła silnik i skierowała łódź w stronę wyjścia z portu.

Dziesięć minut później na prawo od dziobu pojawił się falochron. Za rufą światła Marsylii odbijały się w lekko rozfalowanej powierzchni wody. Krople deszczu spływały po przedniej szybie sterówki, zgarniająca je pojedyncza wycieraczka stukała cicho.

Sam stał obok Remi za kołem sterowym.

- Myślałem o tym, co powiedział Chołkow. -Widząc jej minę, szybko uściślił: - Nie o jego propozycji; tylko o zainteresowaniu Bondaruka tym, czego szukamy. Nazwał to dziedzictwem, więc może warto się przyjrzeć historii jego rodziny.

- Masz rację - odparła Remi, mijając boję z lewej burty mistrała.

- Poprosimy Selmę, żeby się tym zajęła. - Spojrzała na Sama. -Chyba się nie wahasz?

- Tylko jeśli chodzi o ciebie. Remi

uśmiechnęła się w ciemności.

- Wychodziliśmy cało z gorszych tarapatów.

- Na przykład?

- Choćby wtedy w Senegalu, kiedy obraziłeś szamana...

- Cofam pytanie.

Pół godziny później przed nimi zamajaczyła wyspa If, biała bryła wyrastająca z ciemnego morza. Zamek zamknięto o wpół do szóstej, więc poza jednym czerwonym światłem nawigacyjnym, które pulsowało na tle nocnego nieba, wyspa była pogrążona w całkowitej ciemności.

- W nocy nie wygląda zachęcająco, prawda? - powiedziała Remi.

- Ani trochę - zgodził się Sam.

W ramach przygotowań do zwiedzania po godzinach skorzystali z Google Earth, poszukując miejsca do zacumowania, gdzie nie zauważąby ich nie tylko Chołkow, gdyby się pojawił ze swoimi ludźmi, ale również patrol portowy. Znaleźli takie miejsce od strony morza.

Remi skierowała mistrała w lewo. Przez pół godziny okrążali wyspę w poszukiwaniu innych łodzi lub jakichkolwiek oznak życia. Nie zobaczyli żadnych, zmienili więc kurs i popłynęli wzdłuż północnego brzegu. Na wprost ukazała się najbardziej wysunięta na zachód wieża zamku, najwyższa z trzech. Remi wpłynęła do zatoczki poniżej, przymknęła przepustnicę i pozwoliła, by mistral ślizgiem dotarł do podnóża muru. Gładką powierzchnię wody burzył tylko deszcz. Sam rzucił kotwicę i bosakiem przyciągnął łódź bliżej skał. Remi wyskoczyła na brzeg z cumą rufową w rękę i wsunęła linę pod kamień wielkości piłki do koszykówki.

Wzięli się za ręce i ruszyli wzdłuż muru. Przeskakiwali z jednego śliskiego od deszczu głazu na drugi, aż dotarli do szczególnie wysokiego, który widzieli na zdjęciach satelitarnych. Sam wspiął się na niego, stanął pod szczeliną strzelniczą dla łuczników, podskoczył

i chwycił się wewnętrznego występu muru. Podciągnął się do góry, wdrapał na szczyt, pomógł Remi przejść na drugą stronę i zeskoczył

na dół obok niej.

- Dzięki Bogu za kiepską architekturę - powiedział.

Gdyby nie zwrócone wstecz fortyfikacje twierdzy, potrzebo waliby rozsuwanej drabiny, żeby się dostać do środka.

- Nikogo nie widzę, a ty? - zapytała Remi.

Sam pokręcił głową. W trakcie swoich badań nie natrafili na żadną wzmiankę, że na wyspie są zatrudnieni po godzinach jacyś strażnicy, ale na wszelki wypadek zachowywali ostrożność.

Podkradli się wokół zakrzywionej ściany wieży do jej styku z prostym murem i dotarli do jego końca. Kamienie nagrzane w ciągu dnia przez słońce, a potem zmoczone przez deszcz pachniały jak kreda. Remi wyjrzała zza rogu.

- Czysto - szepnęła.

W kieszeni Sama zawibrował irydium. Wyjął go i odebrał połączenie. Dzwonił Rube.

- Złe wieści, Sam. DCPJ nie może znaleźć Chołkowa ani jego kumpli. Ustalili, że wjechał do kraju na własnym paszporcie, ale żaden hotel ani wypożyczalnia samochodów nie ma go w rejestrze.

- Pewnie zmienił paszport na fałszywy - domyślił się Sam.

- Pewnie tak. W każdym razie nadal może swobodnie działać. Uważajcie na siebie.

- Dzięki, Rube. Będziemy w kontakcie.

Sam rozłączył się i przekazał Remi wiadomość.

- Nie jesteśmy w gorszej sytuacji niż przedtem - zauważyła. Ruszyli dalej wzdłuż muru, okrążyli następną wieżę i dotarli do bocznego wejścia do zamku, łukowego zadaszenia prowadzącego na dziedziniec.

- Stój - szepnął Sam - i bardzo wolno ukucnij.

- Co jest? - szepnęła Remi, gdy oboje przykucnęli.

- Na wprost.

W odległości stu metrów od nich, po drugiej stronie placu, stały dwie przybudówki z czerwonymi dachami. Lewa, w kształcie ściętej litery J, przylegała do muru wzdłuż północnego brzegu wyspy. Pod okapem widać było cztery okna, czarne prostokąty w mroku. Czekali bez ruchu przez minutę, potem dwie. Po trzech Remi spytała szeptem:

- Zobaczyłeś coś?

- Tak mi się zdawało. Pewnie się pomyliłem. Chodźmy.

- Zaczekaj. Nie pomyliłeś się. Tam, w przeciwległym rogu. Sam spojrzał w kierunku, który wskazała. Dopiero po chwili

dostrzegł ledwo widoczny w ciemności owal męskiej twarzy.

31

Mężczyzna był niemal jak posąg; od czasu do czasu odwracał głowę, by spojrzeć za siebie i na boki, ale poza tym się nie ruszał.

- Strażnik? - szepnęła Remi.

- Być może. Ale czy leniwy strażnik, starający się nie moknąć na deszczu, stałby tak spokojnie? Zmieniałby pozycję albo chociaż palił papierosa. - Sam wolno sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki

i wyciągnął lunetę Nikon. Wycelował ją w stronę przybudówki i ustawił ostrość na twarz mężczyzny. - Nie przypomina żadnego z ludzi Chołkowa, których widzieliśmy.

- Jeśli tu są, to jak się tutaj dostali? Nie widzieliśmy żadnej łodzi.

- To dobrze wyszkoleni komandosi, Remi. Potrafią się przyciąć.

Sam dokładnie zlustrował teren. Przyglądał się mrocznym zakamarkom i ciemnym wejściom, ale nie zobaczył nikogo więcej.

- Mam wspaniały pomysł na prezent gwiazdkowy - powiedział.

- Luneta noktowizyjna.

- Proszę bardzo.

- Nie widzę nikogo więcej. Zaczekaj...

Mężczyzna pod okapem właśnie się odwrócił, by spojrzeć przez ramię. Na rękawie miał jakąś naszywkę, a przy pasie latarkę i klucze na kółku.

- Z zadowoleniem melduję, że się myliłem - mruknął Sam. -To strażnik. Mimo to pewnie lepiej, żebyśmy nie zostali przyłapa ni na zakradaniu się do francuskiego pomnika historii w środku nocy.

- Racja.

- Na mój znak wejdiesz wolno do tunelu i zatrzymasz się mniej więcej w połowie drogi. Nie wchodź na dziedziniec.

- Dobra.

Sam obserwował strażnika przez lunetę, czekając, aż znów spojrzy w bok.

- Teraz.

Remi schyliła się i szybko dotarła do rogu, a potem przemknęła wzdłuż muru pod łuk. Sam czekał. Trwało to prawie dwie minuty, ale w końcu mężczyzna ponownie się odwrócił i Sam mógł dołączyć do żony.

- Serce mi wali - wyznała.

- Adrenalina.

Podkradli się do wylotu tunelu i wyjrzeni na dziedziniec.

Na lewo od wejścia stała drewniana ławka. Na prawo wzdłuż wewnętrznej strony muru wznosiły się kamienne schody z poręczą z kutego żelaza. Prowadziły do wieży, gdzie odgałęziały się do przejścia wokół dziedzińca. Sam i Remi uważnie obserwowali przejście, zatrzymując wzrok na każdym prostokątnym otworze drzwiowym lub okiennym. Nic nie zobaczyli.

Jeszcze raz spojrzeli na dziedziniec i przejście i już mieli iść dalej, gdy Sam dostrzegł pogrążone w mroku łukowe wejście pod schodami.

Nic się nie poruszało. Poza bębnieniem deszczu wszędzie panowała cisza.

Sam nachylił się do Remi i szepnął jej do ucha:

- Na mój znak wejdiesz po schodach do wieży. Będę tuż... Za

nimi blask latarki wypełnił tunel.

- Teraz, Remi!

Wystartowała jak sprinter z bloków i zaczęła się wspinać po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Sam padł na ziemię i zamarł. Światło latarki omiotło tunel, cofnęło się na zewnątrz i zgasło. Sam wyczołgał się na dziedziniec, wstał i dołączył do Remi.

- Widział nas? - spytała.

- Za chwilę się okaże.

Czekali ponad minutę, na wpół spodziewając się zobaczyć strażnika wychodzącego spod łuku, ale się nie pojawił. Sam rozejrzał się po ciemnym wnętrzu wieży.

- Jesteśmy we właściwej?

Remi skinęła głową. Na planie w prospekcie było kilka zejść na poziom *oubliette*, jedno w tej wieży.

- Chyba podest niżej. - Wskazała spiralne schody.

Ruszyli po stopniach w dół, Remi pierwsza. Na następnym podejściu zobaczyli drewnianą klapę w kamiennej podłodze, zamkniętą na zasuwę i kłódkę. Sam wyciągnął zza pasa miniaturowy łom. Pamiętając słowa Mullera, że jego brat znalazł butelki „w jakimś zakamarku”, uznali, że narzędzie może się przydać.

Kłódka wyglądała na nową, natomiast zasuwa skorodowała przez lata oddziaływania słonego powietrza. Remi skierowała na zasuwę mikrolatarkę diodową, ale Sam powstrzymał żonę przed włączeniem jej.

- Zaczekajmy, aż nie będziemy na widoku.

Delikatne podważanie zasuwy końcem łomu zajęło pół minuty. Sam uniósł klapę, odsłaniając drewnianą drabinę, która opadała w głąb ciemnego szybu.

- Sprawdź ją - powiedziała Remi. Usiadła, opuściła nogi do otworu i ruszyła w dół. Dziesięć sekund później szepnęła: - Okej. To jakieś trzy i pół metra. Schodź ostrożnie. Drabina jest przyśrubowana do kamienia, ale wygląda na tak samo starą jak zasuwa.

Sam stanął na drugim szczeblu, schylił się i zamknął klapę, zostawiając szparę na palce, żeby umieścić zasuwę z powrotem na miejscu; przy odrobinie szczęścia przechodzący strażnik nie powinien niczego zauważyć.

Sam zaczął po omacku schodzić na dół. Drabina zaskrzypiała

i zachybotała, śruby zazgrzytały w kamiennych otworach. Zamarł, wstrzymał oddech, policzył do dziesięciu i ruszył dalej.

Szczebel pod jego dolną stopą pękł z trzaskiem. Sam obsunął się i złapał boków drabiny, żeby nie

spaść. Ale nagłe przemieszczenie jego ciężaru spowodowało, że drabina się obróciła. Śruby puściły z odgłosem przypominającym wystrzał korka od szampana i Sam runął w dół. Przygotował się tuż przed uderzeniem w kamienną podłogę i spadł na plecy.

- Sam! - Remi podbiegła do niego i uklękła. Jęknął,

zamrugał gwałtownie i uniósł się na łokciach.

- Nic ci się nie stało? - spytała.

- Chyba nie. Tylko moja duma trochę ucierpiała.

- I kość ogonowa.

Pomogła mu wstać.

Zniszczona drabina leżała przed nimi. Boki się rozeszły, szczeble sterczały pod dziwnymi kątami.

- No cóż - powiedziała Remi - teraz przynajmniej wiemy, jak stąd nie wyjdziemy.

- Zawsze jest jakaś jasna strona - zgodził się Sam.

Remi włączyła latarkę diodową. Za sobą mieli kamienną ścianę; na wprost korytarz niewiele wyższy od Sama ciągnął się w ciemność. W przeciwieństwie do muru fortu tutaj kamienie były ciemnoszare i tylko z grubsza ociosane, widniały na nich ślady dłuta sprzed ponad czterystu lat. Stali na górnym poziomie lochów; pod nimi był jeszcze jeden, a niżej znajdowały się *oubliette* - „królestwo zapomnianych”.

Remi zgasiła latarkę. Wzięli się za ręce i ruszyli korytarzem.

Po dwudziestu krokach Sam zapalił swoją latarkę i rozejrzał się. Nie dostrzegł końca korytarza. Zgasił latarkę i ruszyli dalej. Po kolejnych dwudziestu krokach Remi ścisnęła dłoń męża.

- Usłyszałam echo - szepnęła. - Na lewo od nas.

Sam oświetlił tunel latarką. Po każdej stronie było sześć cel. Dla bezpieczeństwa drzwi ze stalowej kraty usunięto. Weszli do najbliższej celi i się rozejrzeli.

Ciemna kłitka robiła przygnębiające wrażenie. Przewodnicy zamkowi ponoć dzielili wycieczki na kilkusobowe grupki, a potem gasili światło i wszyscy stali w milczeniu przez pół minuty. Sam i Remi bywali już w podobnych sytuacjach - ostatnio na Rum Cay -ale cele w zamku If budziły w nich grozę, jakby towarzyszyli uwięzionym tu duchom.

- Wystarczy - powiedział Sam i wyszedł.

Od głównego korytarza odchodził następny tunel. Był trochę dłuższy i mieściło się w nim dwadzieścia cel. Przyspieszyli i mijali jeden boczny tunel za drugim, aż dotarli do końca korytarza, gdzie zobaczyli drewniane drzwi. Były zamknięte, ale nie miały zasuw ani zamka. Na tabliczce obok drzwi widniał napis w języku francuskim: „Wstęp wzbroniony. Wejście tylko dla personelu”.

- Dlaczego nie ma zamka? - zdziwiła się Remi.

- Pewnie go wymontowano, żeby jacyś zabłąkani turyści nie zatrzasnęli się tu przypadkiem - odparł Sam.

Wsadził palec do dziury po zasuwie i delikatnie pociągnął. Drzwi się uchyliły ze skrzypieniem zawiasów. Sam wziął głęboki oddech i otworzył je na całą szerokość.

Remi weszła pierwsza, on za nią. Puścił drzwi, które się zamknęły za nimi. Chwilę nasłuchiwali, po czym Remi osłoniła dłońmi latarkę i włączyła ją. Stali na podeście o wymiarach metr na metr. Na prawo od drzwi biegł występ muru; za ich plecami były spiralne schody prowadzące tylko w dół. Wyjrzeni za występ muru, ale niewiele zobaczyli, bo snop światła latarki diodowej sięgał na odległość zaledwie dziesięciu kroków.

32

Podążając za snopami niebieskawego światła latarek, zeszli po schodach na niższy podest. Tu też zobaczyli drewniane drzwi, a obok nich tabliczkę z zakazem wstępu. Sam obawiał się, że stare zawiasy zaskrzypią, ale ku jego zaskoczeniu drzwi otworzyły się bezdźwięcznie. Przystąpili próg i weszli do kolejnego tunelu.

Miał szerokość około metra i wysokość zaledwie półtora, musieli więc pochylić głowy. Po obu stronach były prostokątne wejścia do cel, ale w przeciwieństwie do tych na górnym poziomie pozostały w nich drzwi z pionowych prętów, wszystkie otwarte i przywiązane do zaczepów w kamieniu kawałkami sznurka. Sam obejrzał najbliższe drzwi w blasku latarki. Miały zasuwę i zamek.

- A już myślałam, że nie może być bardziej przygnębiająco -szepnęła Remi.

Szli korytarzem, przyglądając się uważnie ścianom. Po około dwudziestu metrach zobaczyli z lewej strony mniej więcej trzymetrowy boczny tunel, zakończony prostokątnym otworem sięgającym pasa. Uklękli i Sam zajrzał do środka. Pół metra za otworem w podłodze był właz. Oświetlił go.

- Następna drabina - szepnął. - Ma jakieś dwa metry. Chyba jesteśmy na miejscu.

- Zejdę pierwsza. - Remi opuściła nogi do włazu i po chwili zawołała: - Okej. Drabina wydaje się stabilna.

Sam zszedł na dół i przykucnął obok niej. Ten korytarz okazał się jeszcze węższy: miał niecały metr szerokości i nieco ponad metr wysokości. Wzdłuż jednej ściany ciągnął się rząd zakratowanych włazów, czarnych kwadratów, które zdawały się wchłaniać światło latarek.

- Boże Wszechmogący - wyszeptał Sam.

- Jak myślisz, ile ich jest? - spytała Remi.

- Jeśli ten tunel ma taką samą długość jak tamten na górze... czterdzieści albo nawet pięćdziesiąt.

Remi milczała chwilę, po czym wyszeptała:

- Ciekawe, po jakim czasie ludzie dostawali tu obłądu.

- Zależy kto, ale po dniu czy dwóch umysł zaczynał żywić się sam. Brak poczucia czasu, brak punktów odniesienia, brak bodźców zewnętrznych... Chodź, miejmy to z głowy. Jak brzmiał ostatni fragment zagadki?

- „Z trzeciego królestwa zapomnianych”.

Ostrożnie, żeby nie stracić równowagi, przeszli wzdłuż ściany do trzeciego wjazdu. W świetle latarki Remi Sam obejrzał kratę. Zawiasy i zasuwę usunięto, a pręty skorodowały. Dotknął jednego; rdza posypała się do *oubliette*. Chwycił za pręty, uniósł kratę i odłożył na bok.

Loch znajdował się na dnie wąskiego szybu o głębokości dwóch metrów i miał kształt sześcianu o boku nieco ponad metra, żeby więzień nie mógł się wyprostować ani leżąc, ani stojąc.

- Lepiej ja tam zejść - powiedziała Remi. - Jestem mniejsza, no i nie mogłabym cię wciągnąć z powrotem na górę.

Sam skinął głową.

- Okej - odparł, podając żonie miniaturowy łom.

Remi zdjęła kurtkę i wetknęła łom za pas. Sam opuścił ją do szybu, gdzie skoczyła w dół z wysokości kilkudziesięciu centymetrów. Włączyła latarkę i, wetknąwszy ją między zęby, zaczęła

12 - Złoto Spartan

177

oglądać kamienne ściany i podłogę. Po dwóch minutach pełzania mruknęła:

- Tu jesteś...

- Plujący żuk?

- Tak, w całej krasie. Wryty w rogu kamiennego bloku. Widzę tu sporą szczelinę... Zaczekaj.

Wsunęła łom w jedną szparę, potem w drugą i poluzowała blok. Ze stęknieniem odciągnęła go na bok, położyła się na brzuchu i poświeciła w dziurę.

- Cholera...

- Co się stało? - zaniepokoił się Sam.

Remi podniosła się na czworaki i spojrzała na niego.

- To podłoże skalne. Nie ma innych szczelin ani otworów. Tu jest pusto, Sam.

Poświeciła jeszcze dwie minuty na upewnienie się, że niczego nie przeoczyła, po czym wsunęła blok z powrotem. Gdy Sam wyciągnął ją na górę, powiedziała:

- Karl Muller znalazł tu trzy butelki. Coś mi mówiło, że nie znajdziemy reszty. I miałem rację.

Sam skórą głową.

- Cokolwiek Laurent wymyślił, nie ukrył wszystkie razem.
- Jednak warto było spróbować. Teraz przynajmniej jesteśmy pewni, że używał swojego stempla z cykadą.

Wrócili na górę i ruszyli tunelem, ona przyciśnięta do jednej ściany, on do drugiej. Trzy metry przed końcem korytarza Sam nagle wpadł do jakiejś wnęki i wylądował na tyłku.

- Co się stało? - zawołała Remi.
- Chyba coś znalazłem - odparł.

W głębi metrowej wnęki dostrzegł właz bez kraty.

Remi podpełzła bliżej i opuściła się do włazu za mężem. Sam włączył na chwilę latarkę. Prostopadle do tunelu powyżej biegł niski korytarz.

Zaczęli pełznąć na czworakach, Remi przodem, on zamykał tyły. Aby nie przeoczyć jakiegoś odgałęzienia, co chwilę wyciągali ręce i dotykali ścian po obu stronach.

Po minucie Sam klepnął żonę w pupę na znak, że zarządza postój, i znów zapalił latarkę. Korytarz biegł dalej na wprost.

- Zwróciłeś uwagę na ściany? - spytała Remi.
- Tak.

Korytarza nie zbudowano z kamiennych bloków, lecz wydrążono w skale.

Ruszyli dalej. Po kolejnej minucie Remi się zatrzymała.

- Odgałęzienie w prawo - szepnęła.

Skręcili i po pięciu metrach dotarli do następnego skrzyżowania, tym razem w lewo. Pokonali krótką prostą, potem dwa zakręty, w prawo i lewo i znaleźli się pod włazem w suficie. Remi kucnęła i oznajmiła:

- Widzę występ, a za nim spadek do jakiegoś pomieszczenia.
- Poradzisz sobie?
- Chyba tak. - Podciągnęła się do góry i zniknęła. Dziesięć sekund później zawołała: - Okej.

Sam wstał, przeczołgał się przez występ i opadł na ziemię obok Remi, która już badała wzrokiem pomieszczenie. Miało trzy na trzy metry i podobnie jak korytarz zostało wydrążone w podłożu skalnym. Wzdłuż trzech ścian wisiały drewniane szafki z pionowymi przegrodami na miecze lub

muszkiety, jak przypuszczali, a na czwartej był wysoki otwór zwieńczony łukiem.

- To musi być oryginalna część fortu - szepnął Sam. - Prawdopodobnie ostatnia kryjówka i zbrojownia dla obrońców.
- Co oznacza, że jest tu drugie wyjście.
- Chyba że je zlikwidowali, kiedy zamieniali zamek w więzienie.
- Mam nadzieję, że nie.
- Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć.

Dali nura pod łuk i weszli do tunelu za nim.

Przez następną godzinę wędrowali przez istny labirynt korytarzy. Napotykali ślepe zaułki, szli tunelami w kształcie podkowy, pokonywali schody w górę i w dół, aż w końcu Sam zarządził postój. Tunel na wprost rozgałęział się na trzy odnogi jak szprychy w kole wozu.

- Co to za miejsce? - wysapała Remi.
- Nie wiem, czy ma jakąś nazwę - odparł Sam - ale domyślam się, że to nadal część ostatniej kryjówki. Atakujący wdzierają się tu, błądzą i wreszcie zostają wciągnięci w zasadzkę przez obrońców. - Polizał i uniośł palec. - Czuję ruch powietrza. - Odwrócił się, żeby zlokalizować kierunek, i pokręcił głową. - Nie mogę się zorientować, skąd napływa.

Remi nie słuchała. Miała zamknięte oczy i, trzymając ręce na biodrach, odwracała się to w jedną, to w drugą stronę i poruszała palcami raz lewej, raz prawej dłoni.

- Odtwarzam naszą trasę - szepnęła w końcu. - Tam jest dziedziniec. - Wskazała w głąb lewej odnogi. - Jeśli istnieje jakieś ukryte wejście, musi być właśnie tam.

- To mi wystarczy - powiedział Sam.

Wziął ją za rękę i znów ruszyli w drogę.

Ileć tunel się rozgałęział, Remi przystawała, powtarzała powolny obrót z zamkniętymi oczami i wskazywała kierunek.

Po godzinie dotarli do ślepego zaułka, a raczej prawie ślepego, bo przy ścianie stała drewniana drabina. Wyglądała na zrobioną z czerwonego dębu, boki i szczeble miała trochę krzywe. Poświecili latarkami i ponad dziesięć metrów wyżej dostrzegli drewnianą klapę.

- Czujesz ten zapach? - spytała Remi. - To deszcz, Sam. Jesteśmy blisko.

Machinalnie skinął głową, wpatrzony w drabinę.

- Jest bardzo stara - mruknął. - Może mieć kilkaset lat.

- To cudownie, ale w tej chwili obchodzi mnie tylko to, czy wytrzyma nasz ciężar.

Poruszył drabiną i stanął na dolnym szczeblu. Drewno zaskrzypiało, ale wytrzymało jego ciężar.

- Podaj mi łom - poprosił Remi.

Gdy to zrobiła, wetknął łom za pas i wspiął się do włazu.

- Zaryglowany - zawołał w dół.

Wsunął łom pod krawędź klapy, podważył ją kilka razy i zasuwa puściła. Otworzył właz. Do środka wdarło się świeże powietrze.

- Jesteśmy w jednej z wież - powiedział.

Podciągnął się i wydostał przez otwór. Remi poszła w jego ślady. Kiedy wystawiła głowę nad krawędź, usłyszeli za drzwiami szurnięcie buta na kamieniu. Sam pomógł żonie wyjść i razem podkradli się do drzwi.

Przez balustradę zobaczyli strażnika - tego samego co wcześniej, jak przypuszczali. Szedł przez dziedziniec, świecąc latarką w lewo i prawo. Odwrócił się, omiótł światłem przejścia i po chwili zniknął pod łukiem.

Poczekali, aż oddalił się na bezpieczną odległość, po czym zbiegli po schodach w dół, przecięli dziedziniec i wpadli do tunelu, którym weszli na początku.

Wciąż padało, a temperatura spadła o dobrych dziesięć stopni. Zrobiło się zimno. Spojrzeli na przybudówki z czerwonymi dachami po drugiej stronie placu. Pozycję strażnika wskazywało światło latarki; był w odległości stu metrów i szedł w stronę recepcji.

- Wystarczy myszkiowania na jedną noc? - zapytał Sam.

- Tak - odparła Remi. - Zwłaszcza że, jak cię znam, czeka nas jeszcze wiele wrażeń.

- Możesz być pewna.

Grand Hotel Beauvau, Marsylia

Godzinę później, po gorącym prysznicu, Sam i Remi siedzieli na balkonie i, delektując się zamówionym do pokoju drinkiem

Bombay Sapphire Gibson, patrzyli na Stary Port. Światła miasta odbijały się w wodzie mozaiką czerwieni, żółci i błękitu. W oddali buczała smętnie syrena okrętowa, bliżej od czasu do czasu zadzwierała boja.

Odezwała się komórka Sama. Spojrzał na wyświetlacz: Rube. Kiedy wrócili do hotelu, Sam zatelefonował do Haywooda, celowo zdał mu mętłą relację z nocnej wyprawy i poprosił, żeby oddzwonił.

Teraz zamknął drzwi balkonowe, odebrał połączenie i włączył głośnik.

- Mam nadzieję - powiedział - że Chołkow i jego wesoła kompania są za kratkami.
- Przykro mi, ale DCPJ wciąż nie może ich znaleźć - odparł Haywood.
- Jakoś nie jestem zaskoczony.
- Ja też nie. Gotowi do zwinięcia żagli i powrotu do domu?
- Nigdy w życiu - odparł Sam.
- A ty, Remi?
- Nie ma mowy.
- Na pociechę, nazwisko i zdjęcie Chołkova są wszędzie. Jeśli spróbuje opuścić Francję samolotem, statkiem lub pociągiem, zgarną go.
- Wspominałeś mi kiedyś, że Specnaz szkoli swoich ludzi w przenikaniu przez granice - rzekł Sam.
- A Chołkow nie zrobił na mnie idioty, który mógłby pojechać na lotnisko.
- Racja.
- A co z Bondarukiem? - spytała Remi. - Jest jakaś szansa, żeby dowiedzieć się, co nim kieruje?
- To możliwe. Pułkownik irańskiego Pasdaranu, który prowadził Bondaruka podczas wojny granicznej, kilka lat temu podpadł ajatollahowi. Nie wiemy, o co poszło, ale pułkownik, niejaki Aref Ghasemi, uciekł do Londynu i teraz pracuje dla Brytyjczyków. Mam kogoś, kto do niego dotrze.

Następnego ranka wstali o dziewiątej i zjedli śniadanie na balkonie. Nocny deszcz ustąpił miejsca błękitnemu niebu z rozproszonymi pierzastymi obłokami. Przy kawie zadzwonili do Selmy. Jeszcze

nie spała, chociaż w Kalifornii dochodziła północ. Wiedzieli, że pięć godzin snu na dobę w zupełności jej wystarcza. Sam powiedział Selmie, że skrytkę w zamku If zastali pustą.

- Ale cykada tam jest - dodała Remi - i wygląda na identycznie z tą na stemplu Laurenta.
- Lepsze to niż nic - odrzekła Selma. - Robię postępy w rozszyfrowywaniu trzeciej i czwartej linijki na etykiecie, ale co do reszty - zero. I chyba wiem dlaczego: jest jakiś trzeci klucz.
- To znaczy? - spytał Sam.
- Książka Laurenta to jeden klucz, a nasza butelka to drugi, a przynajmniej są nim cztery pierwsze linijki. Domyślam się, że trzecim kluczem jest inna butelka. Musimy mieć wszystkie trzy, żeby rozszyfrować cały tekst.
- Brzmi to skomplikowanie - stwierdziła Remi.
- Z naszej perspektywy, być może, ale trzeba pamiętać, że Laurent zamierzał ukryć dwanaście butelek z oryginalnej skrzynki pojedynczo, w różnych miejscach - punktach jego „strzałek na mapie”, wskazujących drogę do tego, co jest na końcu.
- Musimy ustalić, co to takiego - powiedział Sam.

Remi wzruszyła ramionami.

- Może złoto Napoleona - zasugerowała.
- To mi odpowiada.
- No dobrze - zgodziła się Selma. - Przyjmijmy, że złoto Napoleona. Przypuszczam, że wymyślił to tak: znajdź jedną butelkę, rozszyfruj ją z książką i podążaj według wskazówek do następnej butelki...
- Potem - podchwycił Sam - wykorzystaj szyfr na etykiecie wraz z książką i pierwszą butelką do odczytania następnej linijki...
- I jej zagadki, która prowadzi do kolejnej butelki... i tak dalej. Dobra wiadomość jest taka, że prawdopodobnie nie ma żadnej sekwencji dla szyfru. Innymi słowy, Laurent zaplanował to tak, że dowolna butelka doprowadzi do następnej zagadki.
- Jeśli masz rację, to dlaczego ukrył trzy butelki razem w zamku If? - zapytała Remi.
- Nie mam pojęcia - odparła Selma.
- Pomijamy pewien problem - wtrącił się Sam. - Wiemy na sto procent, że jedna z butelek przepadła; świadczy o tym kawałek szkła z Pocomoke. Bez tamtej butelki może nam zabraknąć ostatniej zagadki, tej, która wskazuje miejsce ukrycia złota Napoleona.

Remi skinęła głową.

- Myślałam o tym samym. Ale nie będziemy tego wiedzieli, dopóki nie dotrzemy do końca.
- Selmo, jakie są szanse, że butelka zdobyta przez Chołkova na Rum Cay może im się na coś przydać? - zapytał Sam.
- Nikłe. Chyba że mają jakąś książkę szyfrów. Ale sądząc po tym, jak depczą państwu po piętach, błędzą po omacku.
- To jest drugi problem - zauważyła Remi. - W pewnym momencie będziemy musieli odebrać im butelkę z Rum Cay.
- Co oznacza - powiedział Sam - wyprawę do jaskini Iwa.

Sewastopol

Trzy tysiące dwieście kilometrów na wschód od Marsylii Hadeon Bondaruk siedział za swoim biurkiem z dłońmi splecionymi przed sobą. Na bordowym skórzanym blacie leżało kilkanaście kolorowych zdjęć o wysokiej rozdzielczości. Każde pokazywało inny rząd symboli. Po raz dziesiąty w ciągu godziny Bondaruk sięgnął po podświetlane szkło powiększające i obejrzał kolejno wszystkie fotografie, skupiając się na detalach każdego symbolu: kącie prostym kwadratu, krzywiznie pętli ściętej omegi, pochyleniu półksiężyca...

Nic. Zupełnie nic!

Cisnął szkło powiększające przez biurko i ruchem przedramienia rozrzucił zdjęcia po blacie.

Mimo sporej wartości materialnej pojedyncza butelka była dla niego bezużyteczna, a teraz, kiedy Fargowie mieli książkę Arnau-da Laurenta, musiał zakładać, że wkrótce złamią szyfr. Chociaż chciałby winić Chołkova za utratę książki, musiał przyznawać, że nie docenił Fargów. Byli poszukiwaczami skarbów i przygód. Ani on, ani Chołkow nie spodziewał się, że okażą się takim problemem. Powinni byli to przewidzieć. W końcu Fargowie są bardzo doświadczeni dzięki swoim licznym eskapadom.

Na szczęście ich środki nie mogły się równać z jego możliwościami. Na samego Napoleona wydał setki tysięcy dolarów. Zatrudnieni przez niego badacze prześledzili życie Bonapartego krok po kroku od kołyski do grobu. Wytropili nie tylko wszystkich jego potomków, ale również potomków dziesiątek przyjaciół, doradców i kochanek, którym Napoleon mógł się zwierzać, z Ar-naudem Laurentem włącznie. Każda książka o cesarzu została ze-skanowana do ich komputerowej bazy danych i przeanalizowana pod kątem ewentualnych wskazówek. Dzieła sztuki z epoki - od scen batalistycznych przez portrety do szkiców - zbadano w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłoby wskazać drogę - symbolu na guziku kurtki mundurowej, palca wycelowanego w coś w tle, książki na półce za głową Napoleona...

I wszystkie te wysiłki poszły na marne. Miał tylko bezużyteczną butelkę wina i piktogram jakiegoś cholernego owada.

Telefon na biurku zadzwieczał. Bondaruk podniósł słuchawkę.

- To ja - powiedział Władimir Chołkow.
- Gdzie się podziewałeś? - warknął Bondaruk. - Miałeś zadzwonić wczoraj wieczorem. Co się dzieje?
- Namierzyliśmy ich w Marsylii wczoraj po południu. Spotkałem się z nimi i zaproponowałem rozejm i współpracę.
- Co?! Nie dostałeś od mnie takiego polecenia!
- Zaproponować rozejm i utrzymać rozejm to dwie różne rzeczy, panie Bondaruk. Tak czy inaczej, nie zgodzili się.
- Gdzie teraz są?
- Zostali w Marsylii.
- Zostali? Co to znaczy?
- Musiałem się wynieść z Francji; jestem w La Jonquera, po drugiej stronie granicy z Hiszpanią. Francuska policja mnie szuka. Ktoś ich na mnie napuścił.
- Fargowie. Na pewno. Ale jak to zrobili?
- Właśnie to sprawdzam. I cały czas mam ich na oku. Jeśli się ruszą, będę o tym wiedział.
- Skąd? Chołkow

wyjaśnił.

- A co z książką? - zapytał Bondaruk.
- Mój człowiek obserwuje ich dom, ale Fargowie nie blefo-wali: mają system bezpieczeństwa. Myślę, że byłoby z nim więcej kłopotu niż to warte. A ponieważ będziemy wiedzieli, dokąd się wybierają i kiedy, możemy im pozwolić odwalić za nas czarną robotę.
- Zgoda.

Bondaruk się rozłączył, podszedł do okna i wziął głęboki oddech. Chołkow ma rację, pomyślał. Jest jeszcze czas. Fargowie ich wyprzedzają, ale muszą przebyć długą drogę i pokonać wiele przeszkód, zanim dotrą do celu. Prędzej czy później popełnią błąd. A Chołkow to wykorzysta.

Sam zjechał wypożyczonym oplem coupe z drogi gruntowej i zatrzymał się kilkadziesiąt centymetrów od krawędzi klifu. Do zmierzchu została godzina, słońce chyliło się już ku zachodowi i nadawało powierzchni Morza Czarnego złocisto-czerwoną barwę. Dokładnie pod nimi wysokie strome urwiska przylądka Fio-lent opadały do niebieskozielonej wody, a wokół skał przy brzegu spienione fale przyboju tworzyły wiry.

W oddali krzyczała mewa. Po chwili ucichła i został tylko szum wiatru.

- Trochę groźnie - mruknęła Remi.
- Fakt - zgodził się Sam. - Ale to pasuje do jego reputacji.

Mówił o Hadeonie Bondaruku. Wiedząc, że bez następnej butelki nie złamią całego szyfru, Fargowie postanowili ukraść tę, którą zdobył Ukraińiec.

Pomysł był ryzykowny, jeśli nie głupi, ale przeżyte przygody nauczyły ich kilku rzeczy. Jedną z nich Sam nazywał „odwrotnością prawa siły i założenia nietykalności”. Kto przy zdrowych zmysłach spróbowałby okraść potężnego i owianego złą sławą Bondaruka? Będąc od lat czołową postacią ukraińskiej mafii, zaczął prawdopodobnie wierzyć w to, co o nim pisano. Bondaruka i jego posiadłości na pewno dobrze strzeżono, ale istniała szansa, że podobnie jak długo niećwiczone mięśnie ochrona trochę się rozluźniła - przynajmniej taką Sam miał nadzieję.

Oczywiście nie zamierzali ryzykować, opierając się tylko na domysłach, poprosili więc Selmę, żeby ustaliła, czy ochrona domu Bondaruka ma słabe punkty, które można by wykorzystać. Okazało się, że tak. Po pierwsze, Bondaruk trzymał swoją kolekcję antyków na widoku w rezydencji, zbiorami opiekował się mały zespół ekspertów. Po drugie, jego posiadłość była rozległa, co zdaniem Selmy na pewno im ułatwi dostanie się do środka.

Wysiedli z samochodu, podeszli do krawędzi klifu i spojrzeli na północ wzdłuż pofalowanego wybrzeża. Półtora kilometra dalej, przed skalnym mostem sterczącym ze ściany urwiska, leżała czterdziestohektarowa posiadłość Bondaruka nazywana Chotynem. Most, niszczone od tysiącleci przez erozję, ciągnął się do skalnego słupa, który wyrastał z morza niczym wieżowiec.

Rezydencja Bondaruka, czteropiętrowa budowla w stylu twierdzy na Rusi Kijowskiej o powierzchni dwóch tysięcy ośmiuset metrów kwadratowych, miała spadziste dachy łupkowe, głęboko osadzone okienka szczytowe i wieżyczki z cebulastymi miedzianymi kopułami. Otoczona była otynkowanym na biało niskim kamiennym murem i serpentynowymi zagajnikami wiecznie zielonych drzew.

Chotyn wzniesiono w połowie XVIII wieku jako siedzibę jednego z władców Chanatu Krymskiego, którego ród w XVI stuleciu oddzielił się od mongolskiej Złotej Ordy, by osiąść w tej okolicy. Po stu latach klan władcy wyparły siły Księstwa Moskiewskiego

pod wodzą pewnego hetmana Kozaków Zaporoskich, który uznał posiadłość za łup wojenny, ale trzydzieści lat później utracił ją na rzecz potężniejszego hetmana.

W czasie wojny krymskiej Chotyn zarekwirował najwybitniejszy admirał Floty Czarnomorskiej cara Mikołaja II, Paweł Stiepanowicz Nachimow, któremu posiadłość służyła za miejsce wypoczynku. Potem jej rola zmieniała się czterokrotnie: najpierw urządzono w niej muzeum poświęcone oblężeniu Sewastopola, podczas II wojny światowej miał tu kwatery główną Wehrmacht, w latach czterdziestych XX wieku była ośrodkiem wypoczynkowym wyższych dowódców sowieckich i wreszcie popadła w ruinę. Aż do upadku Związku Radzieckiego Chotyn stał opuszczony i dopiero w 1997 roku Bondaruk odkupił go od potrzebującego pieniędzy ukraińskiego rządu.

Zważywszy na bogatą historię posiadłości, Selma nie miała trudności ze znalezieniem obiecujących kierunków badań, ale w końcu to jedna z najbardziej podstawowych ludzkich motywacji - chciwość - wskazała jej słaby punkt Chotyna.

- Opowiedz mi to jeszcze raz - poprosił Sam żonę, kiedy obserwował posiadłość przez lornetkę.
- Nazywał się Bogdan Abdank - zaczęła - i był Kozakiem Zaporoskim, który przejął Chotyn od Mongołów.
- Pamiętam.
- Ale Abdank był Kozakiem w niepełnym wymiarze godzin. Przez resztę czasu zajmował się przemytem futer, klejnotów, alkoholu, niewolników, szmugłował wszystko, co mógł sprzedać na czarnym rynku. Problem polegał na tym, że mnóstwo innych kozackich watażków z Rusi Kijowskiej chciało przejąć jego interesy.
- Stary Bogdan był jednak przebiegły - rzekł Sam, wielce zainteresowany tematem.
- I przedsiębiorczy.

Według archiwów online Uniwersytetu Narodowego imienia Tarasa Szewczenki w Kijowie, do których Selmie udało się dostać, Abdank wykorzystał niewolników do wydrążenia w klifach i wzgórzach wokół Chotynu ciągów tuneli, gdzie ukrywał swoje nielegalne towary. Płynące na Zachód statki pełne rumuńskich soboli, tureckich diamentów albo gruzińskich prostytutek rzucały kotwice na wodach nieopodal Chotyna. Tam odbywał się przeładunek na szalupy, które znikwały w ciemności nocy, by następnie dokonać rozładunku w tunelach przemytnika pod posiadłością.

- Znowu czeka nas eksploracja jaskiń - powiedziała Remi.
- Na to wygląda. Powstaje pytanie, jak dobrze Bondaruk zna historię Chotyna? Jeśli tunele istnieją, to czy o nich wie i je zablokował?
- Albo czy poszedł w ślady Abdanka i ich używa?

Sam spojrzął na zegarek.

- Niedługo się przekonamy.

Informacje o Chotynie zebrane przez Selmę dały im nie tylko podpowiedź, którądy mogą zakraść się do posiadłości, ale również - mieli nadzieję - dokładne wskazówki, jak się do tego zabrać.

Kierownik archiwum Uniwersytetu imienia Tarasa Szewczenki, niejaki Petro Bohuslaw, szczerze nienawidził swojej pracy i rozpaczliwie pragnął przenieść się do Triestu we Włoszech, by otworzyć tam księgarnię. Szybko więc doszedł do porozumienia z Selmą: za odpowiednią cenę zgodził się odsprzedać jeszcze nie-zarchiwizowane plany Chotyna i podzielić swoją wiedzą o posiadłości.

Spotkali się z nim w małej rodzinnej knajpce z widokiem na port w Bałakławie, kilka kilometrów w dół wybrzeża. Zanim tam dojechali, zapadła ciemność i wewnątrz lokalu oświetlały lampy sztormowe ustawione na stolikach. Z głośników ukrytych za wiszącymi paprociami płynęła cicha muzyka ludowa. Pachniało kielbaskami i cebulą.

Kiedy weszli, mężczyzna w narożnym boksie uniósł głowę, przyglądał się im uważnie przez kilka sekund, po czym wrócił do studiowania menu. Uśmiechnął się do hostessy w jaskrawoczerwonej spódnicy i białej bluzce, Sam wskazał głową mężczyznę i skierowali się między stolikami do boksu.

- Pan Bohusław? - zapytała Remi po angielsku.

Mężczyzna miał rzadziejące siwe włosy i kartoflowaty nos pijaka. Skinął głową.

- Państwo Jones?

- Zgadza się.

- Proszę siadać. Coś do jedzenia? Do picia?

- Nie, dziękujemy - odparła Remi.

- Chcecie się dostać do Chotyń, tak?

- Tego nie powiedzieliśmy - odrzekł Sam. - Jesteśmy pisarzami, pracujemy nad książką o wojnie krymskiej.

- Wiem, wasza asystentka mi mówiła. Twarda z niej kobieta.

Remi się uśmiechnęła.

- Owszem.

- Ta książka, którą piszecie, będzie o oblężeniu Sewastopola czy o wojnie?

- O jednym i drugim.

- Potrzebujecie informacji. Jesteście gotowi za nie zapłacić?

- To będzie zależało od wartości informacji - odpowiedział Sam.

- Czy wiecie, kto tam teraz mieszka?

Remi wzruszyła ramionami.

- Nie, a dlaczego?

- W latach dziewięćdziesiątych Chotyń kupił pewien ciemny typ. Przestępca. Nazywa się Bondaruk. Mieszka tam i ma mnóstwo ochroniarzy.

- Dzięki za informację, ale nie planujemy inwazji - skłamał Sam. - Niech pan nam opowie o sobie. Skąd pan tyle wie o Chotyńcu? Nie tylko z planów, mam nadzieję.

Bohusław uśmiechnął się szeroko, odsłaniając trzy srebrne zęby z przodu.

- Nie. Również z autopsji. Bo widzicie, po wojnie, gdy wy parliście Niemców, stacjonowałem tam. Byłem kucharzem jednego generała. Potem, w pięćdziesiątym trzecim, przeniosłem się do Kijowa i podjąłem pracę na uniwersytecie. Zaczynałem jako dozorca, a zostałem asystentem naukowym na wydziale historii. Gdy w sześćdziesiątym dziewiątym władze postanowiły urządzić w Chotyńcu muzeum, poprosiły uniwersytet o pokierowanie projektem. Wybrałem się razem z kolegami z wydziału na oględziny. Spędziłem tam miesiąc na robieniu szkiców, zdjęć, badań... Mam wszystkie moje notatki, rysunki i fotografie.

- Plany też?

- Też.

- Problem w tym - powiedziała Remi - że to było czterdzieści lat temu. Od tamtego czasu wiele się mogło zmienić. Kto wie, co zrobił nowy właściciel.

Bohusław uniósł triumfalnie palec.

- Ha! Myli się pani. Ten człowiek, Bondaruk, zatrudnił mnie w zeszłym roku jako konsultanta do spraw renowacji. Potrzebował mojej pomocy, bo chciał, żeby Chotyn wyglądał tak jak w czasach Kozaków Zaporoskich. Spędziłem tam dwa tygodnie. Oprócz wystroju nic się nie zmieniło. Chodziłem prawie wszędzie, gdzie chciałem, przeważnie bez eskorty.

Sam i Remi wymienili spojrzenia. Kiedy usłyszeli od Selmy

o ofercie Bohusława, najpierw się zaniepokoiли, że Bondaruk zastawia na nich pułapkę, ale po namyśle uznali, że to mało prawdopodobne. Głównie z powodu „odwrotności prawa siły i założenia nietykalności”, ale również kwestii, która dręczyła ich od początku podróży: czy Bondaruk, nie mogąc samodzielnie rozwiązać zagadki, pozwala im swobodnie działać w nadziei, że doprowadzą go do tego, co nazwali złotem Napoleona? Było to całkiem możliwe.

Mimo małego prawdopodobieństwa pułapki wciąż zastanawiała ich motywacja Bohusława. Suma, jakiej zażądał - pięćdziesiąt tysięcy ukraińskich hrywien, czyli dziesięć tysięcy dolarów amerykańskich - wydawała się śmiesznie niska, zważywszy, co by mu groziło ze strony Bondaruka, gdyby jego zdrada wyszła na jaw. Sam i Remi podejrzewali desperację, ale z jakiej przyczyny?

- Dlaczego pan to robi? - zapytał Sam.

- Dla pieniędzy. Chcę wyjechać do Triestu...

- Słyszeliśmy. Ale dlaczego naraża się pan Bondarukowi? Jeśli jest takim ciemnym typem, jak pan mówił...

- Jest.

- Więc po co to ryzyko?

Bohusław westchnął.

- Wiecie, co to jest Prypeć?

- Miasto w pobliżu Czarnobyla - odparł Sam.

- Zgadza się. Moja żona Olena mieszkała tam, kiedy nastąpił wybuch w elektrowni jądrowej. Jej rodzina wyprowadziła się z Prypeci jako jedna z ostatnich. Teraz Olena ma raka jajników.

- Bardzo nam przykro - powiedział Sam.

Bohusław z rezygnacją wzruszył ramionami.

- Zawsze pragnęła zobaczyć Włochy, mieszkać tam, więc obiecałem spełnić jej marzenie. Chciałbym dotrzymać słowa, zanim umrze. Bardziej obawiam się złamania tej obietnicy niż Bondaruka.

- Co pana powstrzyma od sprzedania nas Bondarukowi za wyższą cenę?

- Nic. Poza tym, że nie jestem głupi. Co miałbym zrobić? Pójść do niego i powiedzieć, że zamierzałem go zdradzić, ale za większą sumę zrezygnuję z tego? Bondaruk się nie targuje. Ostatni człowiek, który tego spróbował - pewien chciwy policjant - zniknął z całą swoją rodziną. Nie, przyjacielu, wolę układ z wami. Mniej pieniędzy, ale przynajmniej będę żył i mógł się nimi cieszyć.

Sam i Remi spojrzeli na siebie, potem na Bohusława.

- Mówię prawdę - powiedział. - Dajecie mi pieniądze, a ja obiecuję, że będziecie wiedzieli o Chotynie więcej niż Bondaruk.

35

Remi pochyliła się nad stołem nawigacyjnym oświetlonym czerwoną lampą i za pomocą kompasu i cyrkla wyznaczyła ich obecną pozycję. Ołówkiem zrobiła kilka obliczeń na marginesie mapy morskiej, potem zakreśliła punkt na linii kursowej i szepnęła: - Jesteśmy.

Stojący za sterem Sam zdławił silniki i wyłączył zapłon. Kuter zwolnił, chwilę sunął przez mgłę wśród szumu wody wzdłuż burt i wreszcie się zatrzymał. Sam wyszedł ze sterówki, wyrzucił kotwicę za burtę i wrócił do środka.

- To powinno być na lewo od dziobu - powiedziała Remi.

Uniósł lornetkę do oczu i zlustrował ciemność. Najpierw widział tylko mgłę, potem dostrzegł w oddali słabe, pulsujące wolno białe światło.

- Dobra robota - pochwalił.

Ten cypel oddalony o pięć kilometrów od latarni morskiej był najważniejszym punktem orientacyjnym w ich nocnym rejsie. Wypożyczony kuter nie miał GPS-u, musieli więc polegać na nawigacji zliczeniowej, by płynąć we właściwym kierunku.

- Gdyby to była najtrudniejsza część - westchnęła Remi.

- Chodź, ubierzemy się.

Poprzedniego wieczoru zadzwonili do Selmy, żeby zaaprobowała przelew pieniędzy na konto Bohusława, pojechali za nim na stację kolejową w Bałakławie i zaczekali w samochodzie, aż

wyjmie skórzaną torbę na ramię z wynajętego schowka na bagaż. Sprawdzenie jej zawartości potwierdziło, że Bohusław nie kłamał: szkice, notatki, zdjęcia i plany wyglądały na autentyczne, chyba że mieli do czynienia z zawodowym fałszerzem.

Wróciwszy do hotelu w Jewpatorii, osiemdziesiąt kilometrów w górę wybrzeża od Sewastopola, rozłożyli zawartość torby na łóżku i zabrali się do pracy, co Selma obserwowała przez kamerę internetową. Po godzinie porównywania dokumentacji z tym, co już wiedzieli o posiadłości Bondaruka, nabrali pewności, że materiały Bohusława są prawdziwe. Doliczyli się wszystkich wejść, klatek schodowych i pomieszczeń, ale co ważniejsze, potwierdziły się pogłoski o przemysłowych tunelach Bogdana Abdanka. Pod Chotyнем były ich całe kilometry. Zaczynały się w ścianie urwiska poniżej rezydencji, gdzie wyładowywano towar, i rozgałęziały w mnóstwo magazynów i wyjść na powierzchnię ziemi, niektórych półtora kilometra za terenem posiadłości.

193

13 - Złoto Spartan

Bardziej zaskoczyło ich odkrycie, że nie tylko Abdank korzystał z tuneli. Wszyscy późniejsi rezydenci, od admirała Nachimowa przez nazistów do Armii Czerwonej, używali ich do różnych celów: jako składów amunicji, schronów przeciwoatomowych, prywatnych burdeli i jako skarbców na własne łupy wojenne.

Ale w dokumentacji Bohusława brakowało najpotrzebniejszej im informacji - gdzie Bondaruk może trzymać butelkę z zaginionej piwnicy Napoleona.

- Oczywiście istnieje możliwość - powiedziała Remi - że ulokował ją gdzie indziej.
- Wątpię - odparł Sam. - Bondaruk to facet, który musi mieć kontrolę nad każdą istotną sprawą. Nie zaszedłby tam, gdzie jest, gdyby zostawiał coś ważnego przypadkowi. Na pewno trzyma tę butelkę pod ręką.
- Słusznie.
- Zakładając, że masz rację - wtrąciła się Selma - w planach mogą być jakieś wskazówki. Bondaruk jest poważnym kolekcjonerem, musi więc przechowywać najcenniejsze okazy w odpowiednich warunkach, co oznacza oddzielne klimatyzowane segmenty, systemy kontroli wilgotności, generatory awaryjnego zasilania, urządzenia gaśnicze... Prawdopodobnie to wszystko jest w wydzielonej części rezydencji. Niech państwo sprawdzą, czy w notatkach Bohusława nie ma wzmianek o takich miejscach.

Przeglądanie gryzmołów Bohusława zajęło im kolejną godzinę, ale w końcu Remi znalazła w zachodnim skrzydle rezydencji miejsce opisane jako „bezpieczne pomieszczenie gospodarcze”.

- Lokalizacja pasuje - stwierdziła Selma.

- Jest jeszcze coś - rzekł Sam i przeczytał inną notatkę: - „Brak dostępu od zachodniej strony”. Dodajmy to do bezpiecznego pomieszczenia gospodarczego i może będziemy mieli nasz „X”.

Paradoksalnie, rezydencja miała kształt symbolu pokoju. Od głównej, środkowej części odchodziły trzy skrzydła: jedno w kierunku południowo-wschodnim, drugie w północno-wschodnim, a trzecie na zachód. Całość otaczał niski kamienny mur.

- Problem w tym - powiedziała Remi - że z planów wynika, iż tunele przemytnika łączą się z posiadłością w dwóch miejscach: w stajniach kilkaset metrów na północ od domu i w południowo-wschodnim skrzydle.

- Więc albo będziemy musieli przebiec przez otwartą przestrzeń do zachodniego skrzydła i mieć nadzieję, że znajdziemy jakieś wejście - rzekł Sam - albo wyłonić się w południowo-wschodnim skrzydle i przejść przez dom, modląc się, żebyśmy zdołali ominąć ochroniarzy.

Nie byli zaskoczeni, że Selma znalazła w Jewpatorii źródło zaopatrzenia w ekwipunek - sklep ze starymi radzieckimi nadwyżkami Armii Czerwonej prowadzony przez byłego żołnierza przekwalifikowanego na blacharza samochodowego. Na nocną wyprawę wzięli kombinezony maskujące komandosów marynarki wojennej z czasów zimnej wojny i półtorametrowy ponton z zasilanym z akumulatora silnikiem elektrycznym.

Ubrali się, pomalowali twarze czarną farbą, napompowali ponton, przymocowali silnik do pawęży, opuścili łódź na burtę kutra, założyli plecaki i wsiedli. Remi odepchnęła kuter, a gdy Sam włączył silnik, usiadła na dziobie, wycelowwała kompas w latarnię morską, uniosła rękę i wskazała kierunek.

- Raz kozie śmierć - powiedział Sam, zwiększając obroty silnika.

Silnik elektryczny był cichy, ale słaby, więc płynęli z prędkością zaledwie trzech węzłów. Minęła godzina, zanim Remi, która trzymała stały namiar na pulsujące światło latarni morskiej, uniosła rękę w geście „stop”. Sam zmniejszył obroty silnika.

Wokół panowała cisza, tylko fale uderzały z pluskiem w burty pontonu. Gęsta mgła ograniczała widoczność do kilkudziesięciu centymetrów. Sam już miał się odezwać, gdy usłyszał w oddali przytłumiony huk fal. Remi spojrzała na niego, skinęła głową i znów wskazała kierunek.

Na wprost znajdowała się pierwsza przeszkoda. Znając naturę czarnomorskich prądów, postanowili zbliżyć się do celu od południa; choć nie zmagali się z pływem, musieli wybierać drogę między skałami w zatoce poniżej posiadłości Bondaruka, co było nocą ryzykowne, zwłaszcza we mgle. Co gorsza, zakładając obecność ochroniarzy na klifach, zrezygnowali z używania latarek. Polegali tylko na czułym słuchu Remi i szybkim refleksie Sama.

Utrzymując średnie obroty silnika, skierował dziób pontonu tam, gdzie wskazywała Remi. Po trzydziestu sekundach zmniejszył obroty i oboje zaczęli nasłuchiwać. Na prawo i lewo od nich dobiegał z oddali szum fal. Remi zamknęła oczy, odwróciła głowę w jedną stronę, potem w drugą i wskazała kierunek kilka stopni w lewo od dziobu. Sam zwiększył obroty i popłynął tym kursem.

Po dwudziestu sekundach ręka Remi wystrzeliła do góry. Sam zredukował moc silnika do takiej, żeby tylko pozostać na pozycji. Chwilę później usłyszeli huk fal bardzo blisko prawej burty, potem lewej i wreszcie za rufą. Byli otoczeni.

Nagle tuż przed dziobem z mgły wyłoniła się skalna ściana poprzecinana strumieniami spienionej wody. Spiętrzone fale uniosły ponton i pchnęły naprzód.

- Sam! - wychrypiała Remi.

- Trzymaj się!

Skąła górowała nad dziobem jak wieża. Sam zczekał, aż łódź opadnie w dolinę fali, dał pełne obroty silnika i skręcił ostro w prawo. Śruba wgrzyła się w wodę i ponton wstrzelił ku ścianie, zanim zmienił kierunek. Przeszkoda przesunęła się wzdłuż lewej burty za rufę i zniknęła w mroku. Sam policzył do dziesięciu i znów zredukował moc. Nasłuchiwali.

- Chyba bardziej z prawej - szepnęła Remi.

- Mnie się wydaje, że bardziej z lewej - odparł Sam.

- Rzucamy monetą?

- Nie ma mowy. Masz lepszy słuch niż ja - rzekł Sam i wysterował w lewo.

- Stop! - zawołała Remi dziesięć sekund później. - Czuj esz to?

- Tak - potwierdził i rozejrzał się dookoła.

Ponton zbaczał z kursu i nabierał szybkości. Żołądki podeszły im do gardeł, gdy łódź wzniosła się na grzbiecie następnej fali. Trzy metry na prawo dostrzegli poszarpaną skałę, którą po chwili spowiła mgła.

- Wiosła! - zarządził Sam i porwał swoje z dna pontonu. Na dziobie Remi zrobiła to samo.

- Za tobą! - krzyknęła.

Sam odwrócił się i uniósł wiosło jak włócznię.

Skąła była na wyciągnięcie ręki.

Wbił w nią koniec wiosła, napał na nie całym swoim ciężarem i odepchnął się, ale fala była zbyt silna i łódź po prostu obróciła się wokół własnej osi.

- Z drugiej strony! - zawołał przez zaciśnięte zęby.

- Dobra!

Remi odwróciła się przodem do przeciwległej burty z uniesionym wiosłem i wbiła je z trzaskiem w skałę. Ponton odbił się od przeszkody i znów obrócił.

Sam odchylił się do tyłu, żeby przenieść swój środek ciężkości z powrotem do łodzi i sięgnął do regulatora obrotów silnika. Jego ręka była w połowie drogi, kiedy poczuł, jak żołądek znów podchodzi mu do gardła, i usłyszał wycie śruby, gdy rufa wynurzyła się z wody.

Miał tylko ułamek sekundy, by krzyknąć „Remi!”, zanim został wyrzucony w powietrze. Wiedząc, że skała jest blisko, ale nie mając pojęcia, w jakiej odległości, odwrócił głowę, żeby poszukać jej wzrokiem. I wtedy zobaczył, jak wyłania się z mgły tuż przed jego twarzą.

36

Sekundy, minuty lub godziny później Sam poczuł, że odzyskuje przytomność. Jeden po drugim, jego zmysły zaczęły znowu pracować.

Najpierw coś dotknęło lekko jego policzka, potem dotarł do niego charakterystyczny znajomy zapach zielonych jabłek.

Włosy, pomyślał, włosy ocierają się o moją twarz. Kokos i migdały.

Szampon Remi.

Zmusił się do otwarcia oczu i zobaczył odwróconą do góry nogami twarz żony. Rozejrzał się. Leżał na dnie pontonu z głową na jej podołku.

- Nic ci nie jest? - zapytał.
- Czy mnie nic nie jest? - szepnęła. - Ze mną jest wszystko w porządku, głupku. To ty o mało nie utonąłeś.
- Co się stało?
- Walnąłeś głową w skałę, to się stało. Obejrzałam się w momencie, kiedy zacząłeś się zsuwać do wody. Rzuciłam ci linę. Jeszcze nie straciłeś przytomności, więc gdy krzyknęłam, żebyś ją złapał, zrobiłeś to i wciągnęłam cię z powrotem.
- Długo byłem nieprzytomny?
- Dwadzieścia, może dwadzieścia pięć minut.

Zacisnął powieki.

- Głowa mnie boli.
- Masz rozcięte czoło. Skaleczenie jest dość długie, ale nie zbyt głębokie.

Dotknął zranionego miejsca koniuszkami palców i wyczuł bandaż elastyczny.

- Wyraźnie widzisz? - spytała Remi.
- Samą ciemność.
- To dobry znak; jest noc. Okej, ile palców ci pokazuję?

Sam jęknął.

- Daj spokój, Remi, nic mi nie jest...
- Przekonaj mnie.
- Szesnaście.
- Sam!
- Cztery. Mam na imię Sam, a ty jesteś Remi i płyniemy pon tonem po Morzu Czarnym, żeby ukraść butelkę wina z zaginionej piwnicy Napoleona pewnemu mafijnemu bossowi. Zadowolona?

Cmoknęła go w usta.

- Wszystko się zgadza, z wyjątkiem tego o pontonie.
- Co?
- Kiedy cię wyłowiałam, przybiłam do brzegu. Nie wiem, gdzie jesteśmy.
- Ominęłaś resztę skał? Cholera, powinnaś sterować przez cały czas.
- Fart i desperacja.
- Dobra nazwa dla łodzi. A przy okazji, co z nią? Chodzi mi o ponton.
- Nie zauważyłam żadnych przecieków. Wciąż się nadaje do żeglugi.
- Która godzina?
- Tuż po północy. Czujesz się na siłach, żeby się rozejrzeć?

Jeszcze bardziej niezwykle od tego, że Remi przepłynęła między skałami, było to, że znalazła kawałek łupkowej plaży, gdzie stał teraz ponton. Plaża miała trzy metry szerz, sześć wzdłuż

1 zwężała się z obu stron do kamienistych ścieżek o szerokości pół metra.

Kiedy Sam stanął pewnie na nogach, ruszyli na południe, ale po zaledwie kilkuset metrach drogę zagroziła im skalna ściana. Wędrówka na północ poszła im lepiej, bo pokonali prawie kilometr, zanim natknęli się na rozchwiane drewniane schody, które prowadziły w górę klifu. Wspięli się na szczyt i rozejrzeli.

Tu, wysoko nad powierzchnią morza, wiatr rozwiał mgłę, ale daleko w dole nadal przesłaniała wodę. Za pomocą kompasu zorientowali się, gdzie są.

- Albo oddaliłaś się na południe od posiadłości - orzekł Sam - albo ją minęłaś w kierunku północnym. Po jakim czasie znalazłaś plażę?

- Po dwudziestu minutach. Ale na pewno zrobiłam kilka pętli, więc to o niczym nie świadczy.
- Jaki był prąd?
- Przeważnie silny i prawie prosto na dziób.
- Więc prawdopodobnie odpłynęłaś na południe. - Sam uniósł lornetkę do oczu i zaczął lustrować horyzont. - Widzisz światło?
- Widzę - odrzekła i wskazała. Sam spojrzał wzdłuż jej wyciągniętego ramienia. - Zaczekaj na nie - szepnęła.

Minęło kilka sekund i w ciemności błysnęło pojedyncze białe światło.

- Najwyżej trzy kilometry - ocenił Sam. - Nie wypadliśmy

z g^ry.

Dziesięć minut później byli z powrotem na wodzie i płynęli na północ, tym razem uważając, by trzymać się w zasięgu odgłosu fal rozbijających się o klify. Nastąpiło przesilenie pływu i fale przetaczały się wolno, ale Sam i Remi wiedzieli, że gdzieś na lewo od nich są skały. Mimo odpływu nie chcieli ryzykować ponownej przeprawy przez labirynt.

Po półgodzinie żeglugi Sam zredukował obroty silnika i pozwolił, by ponton sunął naprzód. Gdy Remi obejrzała się przez ramię z pytającą miną, osłonił zgiętą dłonią ucho, wskazał w bok od dziobu i szepnął:

- Łódź.

Przez mgłę dobiegł warkot potężnego silnika pracującego na jałowym biegu. Ktoś szedł kursem od lewej strony do prawej gdzieś przed nimi.

Odezwało się radio, potem metaliczny głos powiedział coś, czego ani Sam, ani Remi nie zrozumieli.

Minęło dziesięć sekund.

Na prawo od nich szperacz rozbłysnął we mgle i snop światła zaczął omiatać wodę bliżej plaży. Po kolejnych trzydziestu sekundach reflektor zgasł i łódź zaczęła się oddalać w kierunku, z którego Sam i Remi nadpłynęli.

- Ochroniarze Bondaruka? - szepnęła Remi.

- Albo przybrzeżny patrol ukraińskiej marynarki wojennej - odrzekł Sam. - W każdym razie ktoś, z kim lepiej się nie spotkać. Ale jeśli to ludzie Bondaruka, możemy to uznać za dobry omen.

- Dlaczego?

- Gdyby nas zauważyli, wysłaliby więcej niż jedną łódź.

Przez następną godzinę podążali na północ wzdłuż wybrzeża,

bawiąc się w kotka i myszkę z tajemniczą łodzią patrolową, która krążyła we mgle wokół nich. Jej silniki warczały, szperacz zapalał się od czasu do czasu, omiatał wodę i znów gasł. Trzy razy Sam musiał zatoczyć łuk, by się oddalić od ruchomego snopa światła.

- Działają według harmonogramu - powiedziała Remi. - Mierzę czas.

- Dobrze - odrzekł Sam. - Staraj się nie pogubić.

- To na pewno ludzie Bondaruka. Gdyby to była marynarka wojenna, nie patrolowaliby stale tego samego kawałka wody.

- Słuszna uwaga.

Po kilku minutach hałas silników łodzi znów ucichł i Sam wrócił na kurs. Wkrótce zobaczyli blask światła z prawej strony wysoko na klifie. Remi wzięła namiar na latarnię morską i oznajmiła:

- Jesteśmy na miejscu. To Chotyn.

Sam wysterował w kierunku brzegu. Gdy Remi uniosła rękę i wskazała w lewo, skręcił w tamtą stronę i zobaczył, jak z mgły wyłania się ściana urwiska. Popłynął wzdłuż niej.

Odgłos elektrycznego silnika odbijał się echem od kamiennych ścian, kiedy znaleźli się pod mostem poniżej posiadłości. Z rysunków i planów wyspy wiedzieli, że to otwarty na drugim końcu tunel

o wysokości dwóch i pół i szerokości prawie dwustu metrów, przez sto metrów biegnący równoległe do brzegu. Wystarczająco szeroki, by pomieścić średniej wielkości statek wycieczkowy.

- Musimy zaryzykować zapalenie światła - szepnął Sam.

Remi skinęła głową, wyjęła z kieszeni zakończoną stożkowo

latarkę, włączyła ją i zaczęła oświetlać mijaną skałę.

- Teraz się przekonamy, czy Bohusław nas nie oszukał - po wiedziała. Ledwo skończyła to zdanie, mruknęła: - No cóż, o wil ku mowa. Tam, dokładnie tam, gdzie snop światła. Cofnij, Sam, cofnij.

Sam zmniejszył obroty, dał wsteczny bieg i wolno cofał ponton, dopóki nie zrównali się z miejscem, które oświetlała Remi.

Ze skalnej ściany na wysokości półtora metra sterczał boleć przypominający gwóźdź do przybijania szyn kolejowych do podkładów. Trzydzieści centymetrów nad nim był drugi, wyżej następny... Remi uniosła latarkę i oświetliła drabinkę z regularnie rozmieszczonych bolców.

Jeśli trzymają się harmonogramu, to już płyną z powrotem - powiedziała Remi. - Będą tu za cztery, maksymalnie pięć minut.

Obecność łodzi patrolowej zmieniła podstawę ich strategii odwrotu. Gdyby zostawili ponton na brzegu, niemal na pewno zostałby znaleziony i podniesiono by alarm. A że nie mieli czasu na szukanie miejsca do ukrycia go, pozostało im tylko jedno wyjście.

Gdy założyli plecaki, Sam znalazł uchwyty dla dłoni w skalnej ścianie i przytrzymał ponton, a Remi wspięła się po barkach męża na pierwszy bolec. Kiedy weszła na tyle wysoko, by zrobić miejsce dla niego, otworzył swój szwajcarski scyzoryk i przeciął burtę pontonu od dziobu do rufy. Potem chwycił się bolca i podciągnął na ścianę, a ponton zatonął pod nim z cichym sykiem.

- Czas? - zapytał Sam.
- Około trzech minut - odparła Remi i zaczęła się wspinać.

Pokonali połowę drogi, kiedy Sam usłyszał warkot silników

zaburtowych. Tak jak wcześniej odgłos silnika pontonu, ton silników łodzi patrolowej rozszedł się echem pod łukiem.

- Mamy towarzystwo - mruknął Sam.
- Natrafiłam na jakiś tunel - odparła. - Biegnie poziomo, ale nie wiem, jak daleko...
- Każda kryjówka jest dobra. Wejdziesz tam.
- Okej.

Warkot silników był teraz dokładnie pod nimi i przesuwiał się wzdłuż ściany. Sam spojrzął w dół. Mgła przesłaniała samą łódź, ale rozstępowała się przed jej dziobem jak dym opływający obiekt w tunelu aerodynamicznym. Szperacz rozbłysnął i snop światła zaczął omiatać klif, posuwając się zygzakiem coraz wyżej.

- Jestem w środku - szepnęła Remi z góry.

Przenosząc wzrok z bolców nad nim na szybko zbliżającą się plamę światła pod nim, Sam wspiał się ostatnich kilkadziesiąt centymetrów i poczuł dłoń żony na swojej. Podkulił nogi i odepchnął się, jednocześnie podciągając się rękami. Wtoczył się do tunelu w momencie, gdy światło zatrzymało się na moment na otworze, zanim powędrowało dalej.

Leżeli obok siebie w ciemności, nasłuchując. Łódź się oddalała i wreszcie warkot silników ucichł.

- To jest to miejsce? - spytał Sam, uniósł się na łokciach i rozejrzał. Tunel miał kształt zbliżony do owalu, około półtora metra wysokości i niecałe dwa szerokości.
- Chyba tak - odparła Remi i wskazała głową w górę.

Do sufitu przy wylocie tunelu był przyśrubowany dębowy krzyżak podparty pokrytymi grubą warstwą smoły pionowymi belkami. Zwiślał z niego zardzewiały wielokrążek połączony grubą liną okrętową z ręczną wciągarką przymocowaną do stempli. Na drewnianych podkładach leżały dwie szyny wąskiego toru. Żwirowa podsypka ciągnęła się w ciemność.

- Wciągarka nie jest oryginalna, to pewne - powiedział Sam. - Chyba że technika Kozaków Zaporoskich daleko wyprzedza ła swoją epokę. Spójrz tutaj... te śruby są zrobione maszynowo. Mogą pochodzić z czasów wojny krymskiej, ale przypuszczam, że raczej z drugiej światowej. Popatrz na te kątowe złącza... to urządzenie mogłoby unieść tysiące kilogramów. - Podeszedł do wylotu tunelu i wyjrzał za krawędź. - Pomysłowe. Widzisz, umieścili to tuż nad naturalnym wybrzuszeniem. Nawet w dziennym świetle jest niewidoczne z wody.

- Widzę.

- O rany, spójrz na to...

- Sam.

- Co?

- Przykro mi, że hamuję twoją wyobraźnię, ale mamy butelkę wina do ukradzenia.

- Słusznie, przepraszam. Chodźmy.

Zapuscili się w głąb tunelu. W ruchomym świetle ich latarek Sam widział na ścianach ślady robót strzałowych, ale większość korytarza wyglądała na wykutą starym sposobem - młotkiem i dłutem.

Gdzieś na podłodze walały się drewniane skrzynki narzędziowe, zwoje na wpół zgniłej liny, zardzewiałe kilofy i dwuręczne młoty, para zniszczonych skórzanych butów i płócienne kombinezony, które częściowo się rozpadły, kiedy Remi szturchnęła je nogą... Po obu stronach co trzy metry na ścianach wisały lampy olejne z czarnymi od sadzy szklanymi kloszami i pokrytymi zieloną patyną zbiornikami z brązu. Sam stuknął w jedną palcem wskazującym i usłyszał chłupot w środku.

Po pięćdziesięciu metrach Remi przystanęła, popatrzyła uważnie na szkic posiadłości i oznajmiła:

- Powinniśmy być dokładnie pod zewnętrznym murem. Jesz cze jakieś sto metrów i znajdziemy się pod domem.

Pomyliła się tylko o kilka metrów. Po dwóch minutach doszli do poszerzonego skrzyżowania; tunel i szyny bieły dalej prosto, a także w prawo. Pod lewą ścianą stało rzędem pięć staromodnych wagoników górniczych, a szósty na torze północ-południe.

- Na wprost są stajnie, a z prawej strony wschodnie skrzy dła - powiedział Sam. Spojrzał na zegarek. - Chodźmy najpierw do stajni.

Niecały kilometr dalej Remi nagle się zatrzymała, położyła palec na ustach i wymówiła bezgłośnie słowo „muzyka”. Nasłuchiwali w milczeniu przez kilka sekund, po czym Sam nachylił się do żony i szepnął jej do ucha:

- To *Summer Wind* Franka Sinatry.

Skinęła głową.

- Słyszę głosy. Śmiechy i śpiewy.

- Ja też.

Ruszyli dalej. Wkrótce tunel się skończył ślepym zaułkiem przy kamiennych stopniach, które prowadziły w górę do drewnianej kłapy w suficie. Sam uniósł głowę i pociągnął nosem.

- Obornik.

- Więc jesteśmy we właściwym miejscu.

Muzyka i śmiechy stały się głośniejsze i zdawały dochodzić dokładnie znad ich głów. Sam postawił nogę na najniższym stopniu i w tym momencie ktoś tupnął w klapę. Sam zamarł. Rozległo się kolejne tupnięcie, potem jeszcze dwa. W szparach w klapie poruszały się cienie, to zasłaniając, to odsłaniając światło.

Jakaś kobieta zachichotała i powiedziała po angielsku z rosyjskim akcentem:

- Przestań, Dmitrij, to łaskocze.
- I o to chodzi, *łapoczka*.
- O, podoba mi się to... Uspokój się, co z twoją żoną?
- A co ma być?
- Wracajmy na przyjęcie, zanim ktoś nas zobaczy.
- Nigdzie nie pójde, dopóki mi nie obiecasz - odrzekł mężczyzna.
- Dobrze, obiecuję. Następny weekend w Bałakławie.

Para odeszła i po chwili trzasnęły drewniane drzwi. Gdzieś w górze zarżał koń, po czym zapadła cisza.

- Trafiliśmy na jedno z tych cholernych przyjęć Bondaruka -szepnęła Remi. - To się nazywa pech...
- A może szczęście - odparł Sam. - Spróbujmy to wykorzystać.
- Co masz na myśli?
- Są szanse, że oprócz Bondaruka nikt nie wie, jak wyglądamy.
- O nie, Sam.

Uśmiechnął się szeroko.

- Gdzie twoje maniery, kochanie? Nie izolujmy się. Upewniwszy się, że na górze nikogo nie ma, wszedł po stopniach do wjazdu. Uchylił go, rozejrzał się i odwrócił do Remi.
- To ubikacja. Chodź.

Wszedł i przytrzymał klapę dla żony, a potem zamknął za nią wjazd. Za otwartymi drzwiami ubikacji było pomieszczenie na uprzęż, oświetlone lampami w teatralnym stylu wzdłuż desek przypodłogowych. Podeszli do przeciwnych drzwi, przestąpili próg i znaleźli się w wysypanym żwirem przejściu z boksami dla koni po obu stronach. W wysokim sklepionym suficie były wentylatory wyciągowe i świetliki, przez które sączyło się blade światło księżyca. Konie parskały cicho i grzebały kopytami. Na końcu stajni, w odległości około trzydziestu metrów, zobaczyli wrota. Podeszli do nich i wyjrzeli.

Przed nimi rozciągał się niemal półhektarowy trawnik otoczony żywopłotem i płonącymi chybotliwie pochodniami. Różnokolorowe jedwabne transparenty trzepotały na drutach rozciągniętych nad trawą. Dziesiątki mężczyzn w smokingach i kobiet w wieczorowych sukniach stały w grupach, spacerowały, gawędziły i śmiały się. Kelnerzy w nieskazitelnie białych uniformach poruszali się w tłumie, przystając od czasu do czasu, by zaproponować przekąski i koktajle. Ze źródła *Summer Wind* Sinatry,

głośników na słupach wokół trawnika, płynął teraz jakiś kawałek jazzowy.

Na prawo Sam i Remi widzieli górne piętra rezydencji Bondaruka, jej wieżyczki z cebulastymi kopułami odcinały się na tle ciemnego nieba. Na lewo, przez przejście między żywopłotami, Sam miał widok na zwirowy parking pełen bentleyów, mercedesów, lamborghini i maybachów wartych miliony dolarów.

- Jesteśmy nieodpowiednio ubrani - mruknęła Remi.

- Fakt - zgodził się Sam. - Nie widzę go, a ty?

Remi przysunęła się do szczeliny i przyjrzała tłumowi.

- Nie, ale w świetle pochodni trudno powiedzieć.

Sam zamknął drzwi.

- Chodźmy obejrzyć południowo-wschodnie skrzydło.

Wrócili przez właz do tunelu, poszli z powrotem i skręcili we wschodnią odnogę. Niemal natychmiast napotkali boczne korytarze rozmieszczone co pięć do dziesięciu metrów w północnej ścianie.

- Magazyny i wyjścia - domyślił się Sam.

Remi oświetliła latarką szkic i przytaknęła.

- Bohusław je zaznaczył, nie ma jednak żadnego opisu, dokąd prowadzą.

Poświecili latarkami w ciemność, ale widzieli na odległość zaledwie trzech metrów. Gdzieś w oddali usłyszeli świst wiatru.

- Nie wiem jak ty, ale ja proponuję ominąć następny labirynt lochów, jeśli to możliwe.

- W porządku.

Ruszyli dalej i po kilkuset metrach zatrzymali się przed kolejnymi kamiennymi schodami.

Tym razem Remi wspięła się pierwsza, ukucnęła pod włazem i nasłuchiwała, dopóki nie nabrała pewności, że droga jest wolna. Uniosła klapę, wyjrzała i dała nura z powrotem.

- Ciemno jak diabli. Nie wiem, gdzie jesteśmy.

- Wyjdźmy. Zobaczymy, czy wzrok nam się przyzwyczai.

Remi wyszła przez właz i stanęła z boku, żeby Sam mógł do niej

dołączyć. Zamknął klapę i ostrożnie wyciągnął ręce, żeby zorientować się w rozmiarach

pomieszczenia. Miało mniej więcej metr dwadzieścia na metr dwadzieścia. Po trzydziestu sekundach ich wzrok zaczął się powoli przyzwyczajać do ciemności i dostrzegli wąski prostokąt światła na lewo od nich. Sam podkradł się do ściany, przycisnął oko do szczeliny, cofnął się, zmarszczył brwi i spojrzał jeszcze raz.

- Co widzisz? - spytała Remi.
- Książki - szepnął. - To półka z książkami.

Pomacał wzdłuż ściany i natrafił na wgłębienie z drewnianą zasuwką. Podniósł ją, położył dłoń na ścianie i delikatnie pchnął. Ściana odsunęła się bezdźwięcznie na ukrytych zawiasach, odsłaniając otwór o szerokości trzydziestu centymetrów. Sam zajrzał do środka i natychmiast cofnął głowę. Ledwie odwrócił regał z powrotem, męski głos zapytał:

- Olga, to ty?

Rozległy się kroki na dywanie i oddaliły w przeciwnym kierunku.

- Olga?

Dziesięć sekund ciszy, potem dźwięk lejącej się wody, znów cisza, kroki, w końcu odgłos otwierania i zamykania drzwi. Sam znów pchnął regał i wyrztał.

- Czysto - szepnął do Remi.

Oboje weszli do pomieszczenia i zamknęli regał za sobą.

Byli w sypialni, która łączyła się z łazienką. W pokoju stały ciężkie orzechowe meble i masywne łóżce z baldachimem. Na podłodze leżały wytarte tureckie dywaniki.

- Co teraz? - zapytała Remi.

Sam wzruszył ramionami.

- Wystroimy się i przyłączymy do zabawy.

38

Mówisz poważnie?

- A czy nie wyglądam poważnie?
- Owszem. I to mnie niepokoi.
- Dlaczego?
- Bo to szaleństwo.
- Jest cienka granica między szaleństwem a pomysłowością.
- A jeszcze cieńsza między pomysłowością a głupotą. Sam zachichotał.

- Nie widziałem żadnych ochroniarzy na przyjęciu, a ty?
- Nie.
- Co oznacza, że koncentrują się na pilnowaniu obrzeży posiadłości. Wszyscy goście zostali prześwietleni i prawdopodobnie przeszukani. Tam jest sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt osób i nie zauważyłem, żeby ktoś sprawdzał zaproszenia. Znasz zasadę: „Wyglądaj jak swój, to nim będziesz”.
- Brzmi raczej jak fargoizm niż zasada.
- Lubię uważać, że to jedno i to samo.
- Wiem.
- Co do ochroniarzy, wątpię, żeby odróżnili nas od króla i królowej Anglii. Myślisz, że Bondarukowi w ogóle przyszłoby do głowy, że zakradniemy się do jego domu? Wykluczone. Ma na to zbyt wybujałe ego. Odważnym szczęście sprzyja, Remi.
- Następny fargoizm. A jeśli Bondaruk się pojawi?
- Będziemy go unikać. I obserwować gości. Biorąc pod uwagę reputację Bondaruka, będą najlepszym systemem wczesnego ostrzegania. Kiedy gospodarz nadejdzie, rozpierzną się jak ławica ryb na widok rekina.

Remi westchnęła.

- Na ile jesteś pewien?
- Której części?
- Wszystkiego.

Sam uśmiechnął się i ścisnął jej dłoń.

- Odpręż się. W najgorszym wypadku pokręcimy się, pozna my rozkład posiadłości, a potem tu wrócimy i zaplanujemy na stępny krok.

Remi przygryzła wargę, zastanowiła się i wreszcie skinęła głową.

- Okej, zobaczymy, czy Olga nosi mój rozmiar.

Rozmiar nie był idealny, ale kilkoma agrafrkami znalezionymi w łazience Remi zdołała tak wymodelować czarną wieczorową suknię z głębokim dekoltem, że tylko projektant mody mógłby stwierdzić, czy została uszyta dla niej czy nie. To samo zrobiła z klasycznym czarnym smokingiem Sama, spinając spodnie w pasie i koszulę u dołu pleców. Umyli twarze i uczesali włosy, schowali kombinezony maskujące i plecaki za regałem z książkami, przyrzekli sobie jeszcze raz, Sam włożył do kieszeni kilka niezbędnych rzeczy i wyszli.

Ruszyli pod rękę korytarzem, który tak jak sypialnię zdobiło ponure ciemne drewno, ciężkie chodniki, gobeliny i olejne pejzaże. Po drodze liczyli drzwi, ale przestali przy trzydziestu; wydawało się oczywiste, że to skrzydło dla gości.

209

14 - Złoto Spartan

- Mamy problem - mruknęła Remi, kiedy dotarli do końca korytarza i weszli do holu z wysokim sufitem i dwoma ciągami spiralnych schodów z brązowego granitu po bokach. Resztę przestrzeni

zajmowały pogrupowane w różnych miejscach zużyte skórzane fotele i sofy. Tu i tam kinkiety rzucały plamy łagodnego światła na ściany. Łukowe przejścia z prawej strony i na wprost prowadziły do innych części domu.

- Jaki? - spytał Sam.
- Żadne z nas nie zna rosyjskiego ani ukraińskiego.
- To prawda, ale znamy mowę międzynarodową - odparł.
- To znaczy?
- Uśmiech i uprzejme skinienie głową - wyjaśnił i pozdrowił w ten sposób przechodzącą parę, która odwzajemniła mu się tym samym. Kiedy znaleźli się poza zasięgiem głosu, powiedział: - Widzisz? Magia.

Przed nimi pojawił się kelner z tacą kieliszków szampana. Wzięli po jednym i kelner zniknął.

- A jeśli ktoś spróbuje nawiązać rozmowę? - zapytała Remi.
- Dostaniesz napadu kaszlu. To idealny pretekst, żeby odejść.
- Więc dokąd idziemy?
- Na zachód. Jeśli kolekcja jest w Chotyńcu, to tam ją znajdziemy. Masz szkic?
- Za dekoltem.
- Mhm.
- Zachowuj się.
- Przepraszam. Okej, sprawdzimy, jak blisko uda nam się podejść do bezpiecznego pomieszczenia gospodarczego, zanim zobaczymy oznaki nadzoru. Na razie nie widziałem żadnych kamer, a ty?
- Też nie.

Zbliżała się następna para. Fargowie unieśli kieliszki, uśmiechnęli się i poszli dalej.

- Coś mi przyszło do głowy - powiedziała Remi. - Co będzie, jeśli natkniemy się na Olgę i jej męża i oni rozpoznają swoje ubrania?
- To rzeczywiście byłby problem.

Weszli do sali, którą Bohuslaw nazwał podczas swoich oględzin „mieczową”. Ledwo przekroczyli próg, zdali sobie sprawę, że nazwa jest żałośnie nieadekwatna. Pomieszczenie o wymiarach dwadzieścia na dwanaście metrów miało pomalowane na czarno ściany i podłogę pokrytą czarnymi, z grubsza ociosanymi łupkami. Środek zajmowała prostokątna szklana gablota oświetlona od wewnątrz reflektorkami punktowymi w dnie. Wypełniała ją co najmniej pięćdziesiąt sztuk starej broni, od toporów i mieczy do pik i sztyletów. Każda spoczywała na osobnym marmurowym piedestale i była opatrzona tabliczką w językach rosyjskim i angielskim.

Po sali krążyło osiem czy dziesięć par oglądających kolekcję. Na ich twarze padało z dołu światło, gdy wskazywali różną broń i mruczeli do siebie. Fargowie przyłączyli się do nich, ale uważali, by się nie odzywać.

Sam, miłośnik historii, od razu rozpoznał wiele okazów: sławny szkocki miecz obosieczny; berdysz, rosyjski topór; krótki, zakrzywiony francuski bułat; szamszir, perską szablę; omański handżar z rękojeścią z kości słoniowej; japońską kataną, broń samurajów; klasyczny rzymski krótki miecz znany jako gladius.

Ale inne były dla niego nowością: brytyjska szabla zwana ma-melucką; turecki jatagan; służący do rzucania topór bojowy wikingów o nazwie mammen; wysadzana rubinami marokańska kumia.

Remi nachyliła się do męża i szepnęła:

- Niezbyt oryginalne, prawda?
- Co takiego?
- Morderca kolekcjonujący noże. Byłoby o wiele bardziej interesujące, gdyby tę gablotę wypełniały porcelanowe lalki.

Dotarli do końca gabloty, skręcili za róg i przystanęli, by podziwiać lśniący egipski chopesz w kształcie sierpa. Z drugiej strony pomieszcza dobiegł szmer głosów. Sam i Remi unieśli głowy i zobaczyli, jak pary usuwają się na bok, by zrobić miejsce postaci wchodzącej do sali.

- Zjawił się rekin - szepnęła Remi.
- A ja nie mam wiadra zatrutej przynęty - odszepnął Sam.

Salę wypełnił donośny bas Hadeona Bondaruka mówiącego po angielsku z lekkim akcentem:

- Dobry wieczór, panie i panowie. Widzę po waszych minach, że jesteście zafascynowani moją kolekcją.

Z rękami złączonymi za plecami kroczył wzdłuż gabloty niczym generał na inspekcji przed szeregiem żołnierzy.

- Narzędzia wojenne często wywołują taką reakcję - podjął. -Jako tak zwani cywilizowani ludzie staramy się udawać, że nie fascynuje nas śmierć i przemoc, ale mamy to w genach. W duchu wszyscy jesteśmy neandertalczykami walczącymi o przetrwanie.

Bondaruk przystanął i rozejrzał się, jakby rzucał wyzwanie każdemu, kto się z nim nie zgadza. Nie widząc oponentów, ruszył dalej. W przeciwieństwie do swoich gości nie nosił smokingu, lecz czarne spodnie i czarną jedwabną koszulę. Był szczupły, miał ostre rysy, błyszczące czarne oczy i gęste czarne włosy związane w krótki kucyk. Dobiegał pięćdziesiątki, ale wyglądał co najmniej dziesięć lat młodziej.

Nie zwracał uwagi na swoich gości, którzy z szacunkiem usuwali się z drogi. Mężczyźni obserwowali go nieufnie, kobiety przyglądały mu się z minami od przerażonych do zaciekawionych.

Bondaruk zatrzymał się i postukał palcem w szybę.

- Kris - powiedział do nikogo konkretnego. - Tradycyjny sztylet malajski. Piękny ze swoim wężykowatym ostrzem, ale niezbyt praktyczny. Broń bardziej ceremonialna niż bojowa. - Poszedł dalej, by za chwilę znów przystanąć. - To jest wspaniały okaz: chiński miecz dao. Bodaj najlepsza biała broń, jaką kiedykolwiek wyrabiano.

Szedł wzdłuż gabloty, zatrzymując się co kilka kroków i opisując jakąś broń. Wyjaśniał krótko jej historię lub wyrażał swoją opinię na temat jej skuteczności. Kiedy zbliżył się do końca gabloty, Sam cofnął się niedbale i pociągnął Remi ze sobą pod ścianę. Twarz Bondaruka odbijała się w szybie. Skręcił za róg i przystanął, by zachwycić się prawie dwumetrową halabardą. Był teraz w odległości niecałych dwóch metrów od Fargów.

Remi zacisnęła dłoń na przedramieniu męża. Sam stęzał, gotowy zaatakować w momencie, gdy Bondaruk odwróci się w ich stronę.

Nie mieli wątpliwości, że ich rozpozna, a czy Sam zdoła go obezwładnić i wykorzystać jako żywą tarczę, stało pod znakiem zapytania. Bez takiej przewagi ochroniarze otoczyliby ich w jednej chwili.

- Halabarda - oznajmił Bondaruk. - Tylko Brytyjczycy mogli wymyślić broń równie brzydką i bezużyteczną.

Goście zachichotali i zaszemrali potakująco, a Bondaruk ruszył dalej, skręcił za następny róg i podjął wykład po drugiej stronie gabloty. Wygłosiwszy kilka komentarzy, skierował się do drzwi, odwrócił do gości, skinął krótko głową i zniknął.

Remi odetchnęła z ulgą.

- Ma osobowość, muszę mu to oddać.

- To okrucieństwo - szepnął Sam. - Nosi je jak pelerynę. Niemal można je poczuć węchem.

- Chołkow wydziela taki sam odór.

Sam skinął głową.

- Przez moment myślałam, że się na niego rzucisz - wyznała Remi.

- Przez moment ja też tak myślałem - odparł. - Chodźmy poszukać tego, po co przyszliśmy, zanim zmienię zdanie.

39

Główna część domu była ośmiobokiem z salonami i bibliotekami wokół głównego holu. Po dwudziestu minutach wędrówki znaleźli się w oranżerii pełnej palm w donicach i półścianek z wiszącymi treliazami z kwitnącymi pnączami. Przez łukowy szklany sufit widzieli gwiazdy, diamentowe okruchy na tle czarnego nieba. Na lewo od nich, za szklanymi ścianami, ciągnęła się długa weranda otoczona żywopłotem.

Okrążyli oranżerię w poszukiwaniu kamer i żeby sprawdzić, czy są sami, po czym skierowali się do pojedynczych drzwi w północno-zachodniej ścianie. Okazały się zaryglowane.

Gdy Sam sięgał do kieszeni po komplet wytrychów, za nimi rozległ się męski głos:

- Przepraszam pana, czy mogę spytać, co pan robi?

Sam zareagował odruchowo. Odwrócił się do mężczyzny i warknął po angielsku ze znośnym, miał nadzieję, rosyjskim akcentem:

- Nareszcie! Gdzie pan był? Wie pan, że przestały działać czujniki wilgotności?

- Pan wybaczy...

- Pan jest z ochrony, tak?
- Tak, proszę pana, ale...
- Pan Bondaruk powiedział nam, żebyśmy przyszli tutaj i że ktoś się tu z nami spotka. Czekamy już... ile, kochanie, pięć minut?

Remi energicznie skinęła głową.

- Co najmniej.

Ochroniarz zmrużył oczy i popatrzył na nich.

- Zechcą państwo poczekać chwilę, potwierdzą...
- W porządku, niech pan robi, co pan musi, ale czy widział pan kiedykolwiek, co może zrobić kondensacja z dziewięćsetlet-nim berdyszem z rękojeścią z mongolskiego czerwonego klonu?

Ochroniarz pokręcił głową z radiem w połowie drogi do ust.

- Niech pan spojrzy na tę palmę - ciągnął Sam. - To doskonały przykład tego, o czym mówię. Widzi pan te liście?

Dał krok naprzód, stanął po lewej stronie ochroniarza i wskazał pobliską palmę. Mężczyzna z naturalną ciekawością odwrócił głowę, żeby zobaczyć.

W tym momencie Sam obrócił się na prawej pięcie, zatoczył lewą stopą krótki łuk, zahaczył nią kostkę ochroniarza i podciął. Kiedy mężczyzna zataczał się do tyłu, Sam wykonał drugi obrót i precyzyjnie wymierzonym hakiem trafił go prosto w podbródek. Ochroniarz stracił przytomność, zanim upadł na podłogę.

- O rany - wydyszała Remi. - A myślałam, że dzudo to tylko twoje hobby.
- I słusznie. Ale tak się składa, że to bardzo użyteczne hobby. A przy okazji, następny jest twój.
- Znajdź mi floret i umowa stoi. Mongolski czerwony klon? Istnieje coś takiego?
- Nie mam pojęcia.

Sam przykleknął, zabrał mężczyźnie radio i przeszukał go. Znalazł pistolet Glock kaliber 9 milimetrów w kaburze biodrowej, kajdanki, kartę magnetyczną i pęk kluczy. To ostatnie rzucił Remi, która zaczęła dopasowywać klucze do zamka w drzwiach. Sam przetoczył ochroniarza na brzuch, skuł mu ręce za plecami i zakneblował jego własnym krawatem. Potem zaciągnął mężczyznę w kąt i zasłonił kilkoma palmami, żeby trudniej było go zauważyć.

- Mam - oznajmiła Remi, unosząc jeden z kluczy.
- Sprawdziłaś drzwi?

Przytaknęła.

- Nie widać żadnych przewodów od alarmu. Zamek wygląda na standardowy.

- Będziemy wiedzieli na pewno za jakieś pięć sekund - odrzekł Sam, wsunął klucz do zamka i obrócił gałkę drzwi. Cisza. Żadnego wycia alarmu.

- Może być cichy alarm - powiedziała Remi.

- To prawda. Szybko, tam.

Pobiegli w kąt i ukucnęli obok ochroniarza. Minęła minuta i nic. Po dwóch też nie rozległo się dudnienie kroków ani komunikaty przez głośniki.

- To nie może być aż takie łatwe - mruknęła Remi.

- Zapewne. Ale teraz już nie mamy odwrotu. Chyba że chcesz?

- Ja? - zapytała z uśmiechem. - Dopiero zaczynam się dobrze bawić.

- To rozumiem.

Po drugiej stronie drzwi zobaczyli trzymetrowy korytarz pomalowany na biało i oświetlony lampami fluorescencyjnymi w suficie. Na jego przeciwległym końcu były następne drzwi - ciężkie, stalowe, z czytnikiem karty magnetycznej na ścianie.

- Bardzo sprytne - stwierdził Sam. - Widzisz ten przezroczy sty ekran wielkości ćwierćdolarówki nad czytnikiem?

- Widzę.

- To biometryczny skaner odcisku kciuka.

- Co oznacza, że gdzieś tu jest centrum kontroli bezpieczeństwa.

- Właśnie. Wygląda na to, że będzie nam potrzebny nasz nieprzytomny przyjaciel. Zaczekaj tu.

Sam wyszedł pierwszymi drzwiami i po minucie wrócił, wlokąc ochroniarza za sobą. Podał żonie kartę magnetyczną, po czym razem dźwignęli mężczyznę, tak żeby Sam mógł go otoczyć ramionami w pasie, a Remi miała dostęp do jego skutych rąk.

- Mamy tylko dwie szanse, zanim coś włączymy i ściągniemy tu większe towarzystwo - ostrzegł Sam.

- Najpierw karta, potem odcisk kciuka?

- Zgadza się.

- Super.

Gdy Sam dowlókł bezwładnego mężczyznę do czytnika, Remi przeciągnęła kartę, chwyciła ochroniarza za kciuk i przycisnęła jego palec do skanera.

Odezwał się brzęczyk.

- Pierwsze podejście nieudane - powiedział Sam.
- Jestem zdenerwowana.
- Do dwóch razy sztuka. Pośpiesz się, zaczyna mi być ciężko.

Wzięła głęboki oddech i znów spróbowała.

Rozległ się cichy, zachęcający gong, a potem metaliczny dźwięk, gdy zamek się odblokował.

- Uchyl drzwi, zanim zamek ponownie się zablokuje - polecił Sam, odsunął się kawałek i położył ochroniarza. - Zaraz wrócę.

Wywłókł mężczyznę pierwszymi drzwiami i przyszedł z powrotem.

- Widać coś? - zapytał.

Remi uchyliła drzwi nieco szerzej, przycisnęła oko do szpary na kilka sekund, cofnęła się i szepnęła:

- Nie widzę żadnych kamer.
- Chodźmy.

Weszli do okrągłego pomieszczenia o szarych ścianach. Lampy w suficie rzucały plamy światła na podłogę pokrytą granatowym dywanem. Dokładnie przed nimi, na godzinie dziesiątej i drugiej, były drzwi z czytnikami kart magnetycznych. Sam podszedł do lewych, Remi do prawych i sprawdzili, czy nie ma jakichś przewodów. Żadnych nie znaleźli.

Powtórzyli sztuczkę z czytnikiem i skanerem najpierw przy lewych drzwiach. Za progiem był mały podest i schody, które prowadziły jakieś cztery metry w dół do korytarza z bordowym dywanem i rozłokowanym wzdłuż listew przypodłogowych oświetleniem o łagodnym blasku.

Remi uchyliła prawe drzwi.

- Kwadratowa wnęka, mniej więcej trzymetrowa - szepnęła. - Na wprost są następne drzwi. Z zasuwką, ale bez zamka. Na prawo jest ściana, szklana od wysokości pasa do sufitu, a za nią coś w rodzaju dyspozytorni z paroma stanowiskami komputerowymi i konsolą radiową. Dalej jeszcze jedno drzwi.
- Jasno?
- Ciemno, z wyjątkiem poświaty monitorów.
- Kamery?

Remi znów zerknęła do środka, tym razem w przysiadzie, z wyciągniętą szyją.

- Widzę tylko jedną; zielona lampka błyska pod sufitem w prawym rogu.
- Nieruchoma?
- Nie, obraca się.
- Nasz fart, ich pech.
- Jak to?
- W takim małym pomieszczeniu powinni zainstalować nieruchomą kamerę z obiektywem rybie oko. Nie byłoby żadnego martwego pola do ukrycia się. Policz, ile sekund trwa obrót między skrajnymi punktami.

Remi zrobiła to.

- Cztery.

Sam zmarszczył brwi.

- Krótko. Masz jakieś preferencje?
- Nie.
- To chodźmy najpierw w lewo.

Wywlekli ochroniarza za próg, zostawili na podeście i zeszli po schodach, schyleni, żeby widzieć korytarz przed nimi. Nie zauważyli żadnych błyskających zielonych lampek kamer. Ruszyli dalej.

Po dziesięciu metrach korytarz skończył się przed dębowymi drzwiami ze złotą tabliczką zapisaną cyrylicą. Choć żadne z nich nie umiało czytać po rosyjsku, styl tabliczki sugerował jej treść: „Wstęp wzbroniony”. Gałka drzwiowa też była złota. Sam ją obrócił. Drzwi okazały się niezaryglowane. Otworzył je.

Znaleźli się w okrągłym pomieszczeniu o średnicy około dziesięciu metrów. Było wyłożone lśniącą orzechową boazerią, a podłogę pokrywał ręcznie tkany dywan.

- To dosemealti - szepnęła Remi.
- Słucham?
- Ten dywan to dosemealti. Utkany przez koczowników Yoruk. Wyjątkowo rzadki i wyjątkowo drogi. Czytałam artykuł o tych dywanach. W każdym metrze kwadratowym jest prawie dwieście tysięcy szytych ręcznie supełków.
- Imponujące.
- Tak, ale coś mi mówi, że nie to jest najcenniejsze w tym pokoju.
- Nie żartuj.

Wzdłuż zakrzywionych ścian stały co kilkadziesiąt centymetrów lśniące szklane gabloty z militariami na marmurowych piedestałach. Mrok w pomieszczeniu rozjaśniały tylko pojedyncze halogenowe lampy w gablotach. Ale w przeciwieństwie do sali mieczowej wystrój tego pokoju świadczył, że tę kolekcję ogląda wyłącznie Bondaruk. Jakikolwiek wątpliwości rozwiewał skórzany fotel z wysokim

oparciem na samym środku pomieszczenia.

- Przypomina tron? - zauważył Sam.
- To samo pomyślałam.

Rozdzielili się i każde poszło wzdłuż innej ściany, oglądając zbiory.

- Tu jest gerron. - Sam zatrzymał się przed gablotą z owalną wiklinowo-skórzaną tarczą. - Używała ich lekkobrojna piechota perska.

- Ja mam tutaj perski miecz - powiedziała Remi. - Nazywa się akinakes. Nosili go Nieśmiertelni, gwardia królów perskich z dynastii Achemenidów.

- Ciekawe, bo właśnie patrzę na sagaris, perski topór bojowy, też z okresu Achemenidów.

Kontynuowali zwiedzanie, czytając głośno tabliczki. Tarcze, włócznie, sztylety, łuki... wszystko z czasów starożytnej perskiej dynastii Achemenidów, rodu Kserksesa I.

- Chyba ktoś ma obsesję na tym punkcie - zauważyła Remi, kiedy spotkali się przy drzwiach.

- Owszem - zgodził się z nią Sam. - Jeśli się nie mylę, mogliśmy właśnie znaleźć Bondarukowego trupa w szafie.

- Być może, ale co to wszystko ma wspólnego z zaginioną piwnicą Napoleona?

Wrócili do rotundy z granatowym dywanem. Remi przykucnęła przy prawych drzwiach, otworzyła je i wyjrzała.

- Nic się nie zmieniło.

- Okej, zrobimy tak - rzekł Sam. - Wejdę do środka, a jeśli kamera przestanie się obracać, zamkniesz drzwi i gdzieś się schowasz, bo to może oznaczać, że coś zauważyli i ochroniarze są w drodze.

- A co z tobą?

- Martw się o siebie. Ja sobie poradzę.

Zamienili się miejscami przy drzwiach. Sam zaczekał, aż kamera obróci się maksymalnie w prawo, padł na ziemię i wczuł się za próg. Znalazłszy się przy ścianie, podpełzł wzdłuż niej do następnych drzwi.

Słyszał teraz cichy warkot silniczka obracającego kamerę. Remi, klęcząca przy drzwiach, dwa razy stuknęła paznokciem w podłogę: kamera odwrócona. Sam uniósł głowę i zajrzał przez szybę. Zbadał wzrokiem sufit i ściany nad stanowiskami komputerowymi w poszukiwaniu kamer; nie zauważył ani jednej. Remi stuknęła paznokciem - kamera wraca - i Sam się schylił.

Minęło pięć sekund. Remi stuknęła dwa razy. Sam sięgnął w górę do gałki drzwi. Nie były zaryglowane. Przetoczył się w lewo i klęknął, uważając, by trzymać głowę poniżej szyby. Zaczekał, aż Remi podwójnym stuknięciem znów da mu sygnał, że jest czysto, po czym obrócił gałkę, otworzył pchnięciem drzwi, przeczołgał się przez nie i zamknął za sobą. Trzy sekundy później stał przyciśnięty do ściany pod kamerą. Pokazał Remi uniesiony kciuk i po piętnastu sekundach dołączyła do niego.

Dyspozytornia była dwa razy większa od wnęki. Pod szklaną od połowy ścianą biegł długi, biały melaminowy blat z dwoma komputerami i dwudziestoczerocalowymi monitorami LCD. Cztery metry dalej były kolejne drzwi.

Sam postukał się w ucho, wskazał kamerę, a potem siebie: może mieć mikrofon; sprawdzę. Remi zrozumiała i skinęła głową.

Synchronizując ruchy z obracaniem się kamery, Sam najpierw dał nura w lewo, następnie w prawo i wspinał się na palce, by ją obejrzeć.

- Nie ma dźwięku - powiedział do Remi. - Sprawdzę drzwi. Daj mi sygnał.

Czekali, obserwując, jak kamera obraca się nad ich głowami.

- Teraz.

Sam przesunął się w lewo wzdłuż ściany, sięgnął do gałki drzwi, stwierdził, że nie są zaryglowane, i wrócił.

- Szczęście nadal nam sprzyja.

- I dlatego się denerwuję - odparła Remi.

Kamera obracała się tak szybko, że mieli bardzo mało czasu, by otworzyć następne drzwi, wyjrzeć i albo się wycofać, albo ruszyć dalej.

- Musimy zaryzykować.

- Wiem.

- Gotowa?

Oddechnęła głęboko i skinęła głową.

Obserwowali kamerę, czekając, aż maksymalnie odwróci się od nich, potem rzucili się wzdłuż ściany, otworzyli drzwi i przekroczyli próg.

Powitało ich oślepiające białe światło i usłyszeli pytanie zadane ze szkockim akcentem:

- Hej, kim jesteście? Co tu...

Sam zasłonił dłonią oczy, wyszarpnął glocka i wycelował w kierunku głosu.

- Ręce do góry!

- Okej, okej, na litość boską, niech pan nie strzela.

Odzyskali zdolność widzenia. Byli w jakimś laboratorium o białych ścianach i podłodze pokrytej białą, antystatyczną, przeciwbak-teryjną gumową wykładziną. Środek pomieszczenia zajmował stół do pracy o wymiarach trzy i pół na dwa metry otoczony stołkami na kółkach. Na półkach i stole stały - warte co najmniej ćwierć miliona dolarów, jak ocenił Sam - urządzenia renowacyjne: autokławy, oszklone z przodu chłodziarki, dwa stereomikroskopy Zeissa, mikroskop polaryzacyjny i fluorescencyjny oraz przenośny spektrometr fluorescencji rentgenowskiej. Na blacie z plastikowego laminatu leżały przedmioty podobne do eksponatów z kolekcji Bondaruka - złamane drzewce włócznie, obosieczny topór bojowy, poczerniała i zgięta szabla kawaleryjska z okresu wojny secesyjnej. Trzy przegubowe lampy halogenowe z nierdzewnej stali świeciły z sufitu.

Mężczyzna, który stał przed nimi, był niski i łysy, z wyjątkiem kępek rudych włosów nad uszami. Miał biały laboratoryjny fartuch do kolan i grube okulary w czarnej oprawce, komicznie powiększające oczy.

- Znajomy widok - powiedziała Remi, wskazując monitor, który pokazywał kawałek popękanej skóry z siatką symboli.

- W rzeczy samej - mruknął Sam i zwrócił się do mężczyzny: -Kim pan...

Ledwo wymówił te słowa, mężczyzna odwrócił się gwałtownie i ruszył sprintem ku przeciwległej ścianie do - uświadomił sobie Sam - czerwonego przycisku alarmu.

- Stać! - krzyknął Sam. Bez skutku. - Niech to szlag!

Zza jego pleców skoczyła Remi. Porwała ze stołu drzewce włócznie i rzuciła. Broń poszybowała płaskim łukiem, trafiając mężczyznę w nogę. Jęknął, poleciał do przodu, z głuchym odgłosem walnął głową w ścianę tuż pod przyciskiem i nieprzytomny osunął się na podłogę.

Sam wytrzeszczył oczy i z wciąż uniesionym pistoletem popatrzył na żonę. Odwzajemniła spojrzenie, wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się szeroko.

- Rzucałam pałką w dzieciństwie.

- To widać. Założę się, że jesteś dobra w rzucaniu podkową.

- Mam nadzieję, że go nie zabiłam. O Boże, nie zabiłam go, prawda?

Sam podszedł do leżącego mężczyzny, przyklęknął i odwrócił go na plecy. Na jego czole widniał purpurowy jajowaty guz. Sam sprawdził tętno.

- Żyje - oznajmił. - Po prostu zapadł w długą drzemkę. Głowa będzie go bolała przez kilka dni, ale nic więcej.

Remi stała przed monitorem, który wyświetlał siatkę symboli.

- Myślisz, że to butelka z Rum Cay? - zapytała.

- Mam nadzieję. Jeśli nie, oznacza to, że Bondaruk ma więcej niż jedną. Rozejrzyjmy się, może gdzieś tu jest.

Sprawdzili w szafkach z kontrolowaną wilgotnością, w chłodziarkach i w szufladach pod stołem do pracy, ale nie znaleźli ani butelki, ani etykiety.

- To prawdopodobnie obraz cyfrowy - powiedziała Remi, patrząc uważnie na monitor. - Widzisz tę krawędź z lewej? Kolor wygląda na wzmocniony.

- Chociaż bardzo bym chciał zabrać Bondarukowi butelkę, to może nam wystarczyć. Spróbuj zrobić wydruk... - urwał i nasta-wił ucha. - Słyszałaś to?... O cholera! - Wskazał róg pomieszczenia.

Częściowo zasłonięta szafką zamontowana na ścianie kamera przestała się obracać, obiektyw celował prosto w nich.

- Będziemy mieć towarzystwo - powiedziała Remi.

- Spróbuj wydrukować obraz etykiety. Szybko!

Zaczęła pisać na klawiaturze, a Sam popędził w róg, wyrwał przewód zasilający pod kamerą, podbiegł do drzwi, zgasił światło i wrócił do żony.

- Mam! - oznajmiła, naciskając jakiś klawisz. Rozbłysły zielone kontrolki na drukarce laserowej i ożyła z buczeniem.

Usłyszeli, jak drzwi w dyspozytorni otwierają się, zamykają i znów otwierają. Na linoleum rozległy się kroki, po czym zapadła cisza.

- Na podłogę - szepnął Sam, padając i pociągając Remi ze sobą. - Zostań tu i weź wydruk. - Przeczółgał się wzdłuż krótkiego boku stołu i wystawił głowę.

Gałka drzwi się obracała. Wycelował z glocka w wejście.

Drukarka laserowa zaczęła rytmicznie buczeć.

- Drukuje - szepnęła Remi.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i na tle poświaty monitorów LCD w dyspozytorni pojawiła się jakaś postać. Sam strzelił. Pocisk trafił mężczyznę w goleń tuż poniżej kolana. Ranny wrzasnął i przewrócił się do przodu. Jego broń - kompaktowy pistolet maszynowy Heckler & Koch MP5 - odbiła się od gumowej podłogi i wylądowała kilkadziesiąt centymetrów od Sama. Usłyszał, jak w dyspozytorni ktoś warknął coś przyciszonym głosem po rosyjsku - przekleństwo, sądząc po tonie. Postrzelony mężczyzna jęczał i pełził z powrotem do drzwi.

- Gotowe! - zawołała Remi. - Idealna jakość. Będziemy mogli to wykorzystać.

- Chodź - szepnął do niej Sam. Gdy wyczołgała się z za rogu i klepnęła go w kostkę, odwrócił się i podał jej glocka. - Na mój sygnał strzelisz trzy razy przez drzwi. Celuj w szklaną ścianę.

- Okej.

Sam uklęknął i wziął głęboki oddech.

- Teraz!

Remi podniosła się, otworzyła ogień i szyba zaczęła się rozpryskiwać. Sam wypadł przewrotem z za stołu, sięgnął w lewo, chwycił MP5 i dał nura z powrotem za osłonę.

- Na co oni czekają? - spytała Remi.

- Chyba na posiłki albo lepszą broń. Musimy się stąd wydostać, zanim dostaną wsparcie.

Jakby na zawołanie, z za framugi drzwi wyłoniła się ręka i coś rzuciła. Przedmiot odbił się od boku stołu, upadł na gumową podłogę, zawirował i znieruchomiał.

- Padnij, Remi! - krzyknął Sam przekonany, że rozpoznał rzucony przedmiot. Poderwał się, skoczył i odkopnął go z powrotem w kierunku drzwi. W progu nastąpiła eksplozja. Oślepiające białe światło i ogłuszający huk wypełniły laboratorium. Sam zatoczył się do tyłu i klapnął na podłogę za stołem.

- Co to było, na Boga? - spytała Remi, kręcąc głową.

- Granat błyskowo-hukowy. Siły specjalne i drużyny SWAT używają ich do rozpraszania czarnych charakterów. Mnóstwo hałasu i blasku, ale nie ma odłamków.

- Skąd wiedziałaś?

- Z Discovery Channel. Teraz przynajmniej jesteśmy pewni, że oni starają się uniknąć strzelania tutaj.

- A co powiesz na małe rozproszenie z naszej strony? - spytała Remi, wskazując glockiem.

Na ścianie naprzeciwko włącznika alarmu Sam zobaczył plek-siglasową skrzynkę wielkości książki.

Był w niej żółty grzybek z piktogramem kropli wody.

- To wystarczy - odparł.
- Dwa strzały, jeśli można prosić.
- Załatwione.
- Teraz.

Remi poderwała się i nacisnęła spust, a Sam rzucił się do ściany i walnął kolbą pistoletu w bok pleksiglasowej skrzynki. Kiedy odpadła od muru, szarpnął dźwignię w dół. Przez niewidoczne głośniki wygenerowany komputerowo kobiecy głos nadał komunikat najpierw po rosyjsku, a potem po angielsku: „Uwaga. Został włączony system gaśniczy. Natychmiast przeprowadzić ewakuację. Uwaga. Został włączony system gaśniczy”. Sam wrócił pędem za stół.

- Będzie padać, Remi. Schowaj wydruk!
- Już go schowałam.
- Za dekołt?
- Lepiej. Znalazłam foliową torbę z zamkiem strunowym. Na

prawo od siebie Sam dostrzegł kątem oka ruch w drzwiach.

Odwrócił się błyskawicznie i oddał trzy szybkie strzały. Monitor w dyspozytorni eksplodował wśród snopów iskier, po czym zaczął dymić. Sam znów dał nura za stół.

Srebrzyste dysze opuściły się z warkotem z sufitu, a po sekundzie rozległ się syk i wytrysnęły z nich stożkowe strumienie wody.

Sam wyrzwał zza stołu w samą porę, by zobaczyć, jak ktoś biegnie przez wnękę i znika za drzwiami.

- Chodźmy, zanim przybędzie kawaleria - wychrypiał przez szum wody.
- Zaczekaj, sprawdzam, ile mam amunicji... Zostało mi dziewięć naboii.
- Jak wystartuję, strzel trzy razy w wejście i biegnij za mną.
- Dobra.
- Teraz!

Sam wstał i popędził. Kiedy mijał koniec stołu, wyciągnął rękę i chwycił jeden ze stołków na kółkach. Trzy metry od drzwi pchnął go przed siebie i kopnął. W tym momencie w wejściu wyrosła jakaś postać. Stołek, który już się przewracał, uderzył mężczyznę w nogi. Ten zamachał rękami i zatoczył się do tyłu na wciąż dymiący monitor komputera. Sam przekroczył próg po trzech susach. Odwrócił MP5 i zdzielił mężczyznę w środek twarzy, miazdząc mu nos. Ranny osunął się bezwładnie z nogami wciąż zaplątanymi w stołek.

Sam podniósł upuszczony przez mężczyznę MP5 i podał go Remi.

- Co teraz? - zapytała, odgarniając mokre włosy z twarzy.
- Jak to co? Uciekamy.

Weszli pierwszymi drzwiami do wnęki i wyszli drugimi -z czytnikiem karty magnetycznej - na korytarz, gdzie woda sięgała do kostek. Sufitowe lampy fluorescencyjne zgasły.

- Masz jakiś plan? - zapytała Remi.
- Nie nazwałbym tego planem. Najwyżej zarysem.
- To mi wystarczy.

Odwrócił się do niej i wziął za wolną rękę.

- Na pewno? Może będziesz musiała zrobić coś, czego nie chcesz.

Remi się uśmiechnęła. Strużki wody spływały jej po policzkach.

- Zabić kogoś? Bez obaw; to oni zaczęli.
- To rozumiem. Okej, wchodzimy na trzy. Trzymaj się nisko

i kieruj w lewo za osłonę. Jak coś się ruszy, strzelaj.

- Nie omieszkam. Sam

ujął gałkę drzwi.

- Jeden... dwa...

41

Trzy!

Sam jednym ruchem otworzył drzwi.

Mrok oranżerii rozjaśniało tylko światło księżyca sączące się przez sufit. W oddzielnym od laboratorium pomieszczeniu try-skacze nie działały. Woda z korytarza wpłynęła do środka i zaczęła się rozlewać po podłodze.

Sam i Remi czekali. Cisza. Żadnego ruchu.

- Gdzie oni... - szepnęła Remi.

Granat błyskowo-hukowy odbił się od ściany i wylądował u ich stóp. Sam odkopnął go piętą i zatrzasnął drzwi. Po drugiej stronie rozległ się huk; biały błysk wypełnił szpary.

Sam uchylił drzwi. Usłyszał tupot i zobaczył światła latarek. Ktoś szedł w ich kierunku przez oranżerię.

- Mogę pożyczyć? - zapytał, biorąc od Remi MP5. - Jak za cznę strzelać, biegnij w prawo. Wydostań się przez okno na patio.

- A ty?

- Zamierzam rozwalić ten dom. Teraz!

Otworzył pchnięciem drzwi, wycelował oba MP5 w sufit i nacisnął spusty. Remi wystartowała w kierunku patio, wylot lufy jej glocka błyskał pomarańczowo po każdym strzale.

Sam przypuszczał, że szkło jest pancerne, więc skierował ogień na złącza wsporników blisko szczytu. Puściły z trzaskiem. Pierwsza szyba runęła w dół, a za nią następne. Spadały na palmy i treliże. Rozległy się okrzyki po rosyjsku i niemal natychmiast zamieniły się we wrzaski, gdy pierwsza tafla uderzyła w podłogę. Kawałki szkła poszybowały przez oranżerię jak szrapnele, rozrywając rośliny i siekając ściany.

Sam, już w biegu, widział to wszystko kątem oka. Pociski z glocka roztrzaskały jedną ze szklanych ścian. Remi już kuciała na patio i przywoływała go gestami. Poczł szarpnięcie za rękaw, a potem trzy ułknięcia w twarz. Nie zwalniając, schylił głowę, uniósł ręce i przeskoczył przez otwór, który zrobiła Remi.

- Krwawisz - powiedziała.

- Może nie będzie blizny. Chodźmy!

Oddał jej jeden MP5 i popędził w kierunku żywopłotu. Trzymając ręce przed sobą jak klin, przebił się przez płataninę gałęzi na otwartą przestrzeń, sięgnął do tyłu i przeciągnął Remi na drugą stronę. Za żywopłotem słyszeli co kilka sekund dźwięk roztrzaskującego się szkła i głośne nawoływania po rosyjsku i angielsku.

Przykucnęli w trawie, by złapać oddech i zorientować się, gdzie są. Pięćdziesiąt metrów na prawo od nich był mur posiadłości od strony klifów. Za nimi wznosiło się zachodnie skrzydło, główna część rezydencji i skrzydło wschodnie. Na wprost, w odległości trzydziestu metrów, stał gęsty rząd sosen, a przed drzewami rosły berberysy.

Sam zerknął na zegarek: czwarta nad ranem. Niedługo zaczną świtać.

- Weźmy jeden z samochodów - zaproponowała Remi. Zdjęła szpilki, odłamała obcasy i włożyła pantofle z powrotem. - Poje-dziemy do Sewastopola i znajdziemy jakieś miejsce pełne ludzi. Bondaruk nic nam nie zrobi przy świadkach.

- Nie licz na to. Poza tym do tej pory na pewno już obstawili posiadłość. Bondaruk może się dowiedzieć, że to my, tylko na dwa sposoby: albo z nagrania kamery wideo, albo pokazując nasze zdjęcia facetowi w laboratorium. Na razie wie tylko tyle, że ktoś rozpętał piekło. Postarajmy się, żeby to pozostało zagadką.

- Jak?

- Wycofując się po własnych śladach. Nie wpadną na to, że uciekliśmy tą samą drogą, którą się tu dostaliśmy.

- Przez tunel? A potem co? Dopłyniemy wpław do kutra?

Sam wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie doszedłem do tej części. Ale uważam, że to naj lepsze wyjście.

Remi zastanawiała się tylko przez kilka sekund.

- Niech będzie ten tunel. Chyba że gdzieś po drodze zobaczymy jakiś helikopter albo czołg.

- Jeśli znajdziesz mi czołg, Remi Fargo, to już nigdy nie przekroczę dozwolonej prędkości.

- Obiecanki cacanki.

Ze wszystkich niewiadomych na temat posiadłości Bondaruka dwie niepokoiły Sama i Remi najbardziej. Po pierwsze, czy Bondaruk ma psy stróżujące. Po drugie, ilu ludzi ma na miejscu lub w rezerwie, gotowych przybyć na wezwanie. Nie znając odpowiedzi na żadne z tych pytań, postanowili założyć najgorsze i uciec, dopóki trwa zamieszanie i zanim gospodarz zdąży wprowadzić do akcji wszystkie siły, jakimi dysponuje.

Schyleni dobiegli zrywami do końca żywopłotu, zatrzymali się, by sprawdzić, czy droga jest wolna, i puścili się pędem przez otwartą przestrzeń trawnika do linii berberysów. Sam zdjął marynarkę i dał ją Remi, po czym padł na ziemię i przeczołgał się przez cierniste krzewy na wąski pas trawy przed sosnowym zagajnikiem. Po chwili Remi dołączyła do niego i zaczęła ściągać czarną marynarkę.

- Zostań w tym - powiedział. - Temperatura spada.

Uśmiechnęła się.

- Dżentelmen jak zawsze. Sam, twoje ręce.

Spojrzał w dół. Ciernie berberysów podarły rękawy koszuli

i poraniły skórę; na białym materiale widniały krwawe smugi.

- Wygląda gorzej, niż j est, ale przez tę koszulę mogą nas złapać.

Wpełzli między sosny. Sam nabrał garść ziemi i zaczął ją wcierać w przód koszuli, rękawy i twarz. Remi zrobiła to samo z jego plecami, a potem ze swoimi ramionami i twarzą. Sam nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Wyglądamy, jakbyśmy byli na koktajl party w piekle - stwierdził.

- Niedaleko. Spójrz tam.

Zobaczyli przez szerokość trawnika, jak trzy zapalone latarki wylaniają się z za rogu domu i kierują wzdłuż ściany w ich stronę.

- Słyszysz jakieś psy? - zapytał Sam.

- Nie.

- Miejmy nadzieję, że tak zostanie.

Weszli głębiej między drzewa i klucząc między nisko zwisającymi gałęziami, dotarli do wąskiej ścieżki, którą ruszyli na północ w kierunku stajni. Sosnowy zagajnik rósł dziewiczo od co najmniej stu lat, co było jednocześnie przekleństwem i błogosławieństwem: splątane konary zmuszały ich do czołgania się i kra-biego chodu, ale zarazem stanowiły doskonałą osłonę. Podczas kilku postojów na złapanie oddechu obserwowali, jak ochroniarze poruszają się równoległe do nich po drugiej stronie linii drzew, w odległości niecałych dziesięciu metrów.

- W końcu wyślą tu kogoś - szepnął Sam - ale jeśli dopisze nam szczęście, będziemy już daleko.

- Ile jeszcze do stajni?

- W linii prostej niecałe pół kilometra, ale ścieżka zygzakuje, więc pewnie dwa razy więcej. Gotowa?

- W każdej chwili.

Przez dwadzieścia minut posuwali się przez zagajnik, przystając co kilkanaście kroków i nasłuchując. Widzieli światła latarek i ciemne postacie, czasem tak blisko, że kładli się płasko, nie mając odwagi oddychać ani nawet drgnąć.

Wreszcie zagajnik zaczął się przerzedzać i dotarli do trawiastej polany, za którą zobaczyli południową ścianę stajni. Sam wysunął się naprzód, zrobił szybkie rozpoznanie i wrócił do Remi.

- Trawnik, na którym było przyjęcie, jest na prawo od nas. Gości już nie ma, ale wszystkie samochody nadal stoją na parkingu.

- Pewnie Bondaruk zabrał ich do środka na przesłuchanie -mruknęła Remi.

- Nie byłbym zaskoczony. Zauważyłem tylko jednego ochroniarza i jak na złość stoi przy narożniku stajni tuż obok wejścia.

- Jest jakaś szansa, żeby go zdjąć?

- Musiałbym umieć lewitować. Facet stale się rozgląda i nasłuchuje. Ale mam pomysł.

Wyjaśnił Remi swój plan.

- Czy to daleko? - zapytała, gdy skończył.

- Pięćdziesiąt, najwyżej sześćdziesiąt metrów.

- I po drugiej stronie stajni - mruknęła. - To będzie, nomen omen, strzał w ciemno.

Przez kilka minut buszowali między drzewami, aż zebrali kilka kamieni wielkości piłek golfowych. Sam wziął jeden, podkraść się do granicy polany, zaczekał, aż ochroniarz się odwróci, i rzucił. Kamień poszybował wysokim łukiem nad dachem stajni. Sam wrócił do żony i przez chwilę oboje nasłuchiwali.

Cisza.

- Chybiłeś - szepnęła Remi.

Sam chwycił drugi kamień i powtórzył rzut. Znów chybił. Podobnie za trzecim i czwartym razem. Podniósł piąty kamień, potrząsnął nim w dłoni jak kością do gry i podsunął go Remi przed usta.

- Na szczęście.

Przewróciła oczami, ale chuchnęła na kamień. Sam odczołgał się, zaczekał chwilę i cisnął go. Po dwóch sekundach z parkingu dobiegł odgłos tłuczonego szkła, a potem rytmiczny dźwięk alarmu samochodowego.

- Zatopiłeś czyjś okręt wojenny - powiedziała Remi.

W tym samym momencie ochroniarz przy drzwiach stajni odwrócił się i popędził na parking, a z innych części posiadłości dobiegły głosy krzyczących ludzi.

Sam i Remi rzucili się sprintem do ściany i zgięci w pół przemknęli wzdłuż niej do rogu. Przed sobą zobaczyli pięciu czy sześciu ochroniarzy, którzy gnali na łeb, na szyję przez teren, gdzie wcześniej odbywało się przyjęcie.

- Teraz - wyszeptał Sam.

Wychynęli zza rogu i przestąpili próg drzwi stajni. Nie zdążyli zrobić dwóch kroków, gdy przed nimi wyrósł wielki ciemny kształt. Sam odepchnął Remi w lewo i przetoczył się w prawo. Czarny jak smoła arabski ogier stanął dęba i zamachał kopytami w powietrzu tuż przed jego twarzą. Parsknął, opadł na ziemię, pogalopował w głąb przejścia i zniknął w otwartym boksie.

Za Samem drzwi się otworzyły. Ochroniarz zobaczył najpierw Remi, odwrócił się do niej gwałtownie i uniósł MP5. Zanim zdążył nacisnąć spust, Sam zdzielił go pięścią w skroń. Mężczyzna zatoczył się i upadł. Remi chwyciła jego broń, a Sam zamknął drzwi i opuścił sztabę. Z zewnątrz dobiegł tupot nóg na żwirze.

- To tyle, jeśli chodzi o cichy odwrót - mruknął Sam.

- W tej chwili zadowolony mnie każdy odwrót - odparła Remi.

Popędzili do pomieszczenia z uprzężą.

Ledwo tam dotarli, rozległo się walenie w drzwi stajni. Obejrzel się odruchowo.

- Jak myślisz, ile mamy czasu? - spytała Remi, wchodząc za Samem do ubikacji. Uklękli przy klapie w podłodze.

- Za pół minuty otworzą ogień - odparł - a za następne pół zmagdrzeją i znajdą coś do wsunięcia w ościeżnicę i podważenia antaby. Najwyżej dwie minuty.

- Ten plan, o którym wspomniałeś...

- Zarys.

- Wszystko jedno. Mów. Wyjaśnienie zajęło

mu dziesięć sekund.

- Moglibyśmy po prostu spróbować uciec - odrzekła.

- Owszem, ale jeśli są szybsi, niż oceniam, dogonią nas na klifie

i wystrzelają jak kaczki.

- Słusznie.

- Ja się zajmę ciężkim sprzętem, a ty zgromadź zapasy. Jeżeli zrobimy to jak należy, powinniśmy ich spowolnić albo nawet zawrócić.

- Wieczny optymista.

Sam dał nura do pomieszczenia z uprzężą, chwycił krzesło zza biurka i przyniósł do ubikacji. Zamknął drzwi i zaklinował krzesło pod galką. Remi już otworzyła włącznik i schodziła na dół. Sam dołączył do niej i zamknął klapę za sobą.

W świetle latarek zabrali się do pracy. Sam potruchtał do skrzyżowania i zaczął przesuwając wagoniki górnicze spod ściany na szyny, a Remi pobięła tunelem w kierunku klifu.

W oddali zabrzmiał terkot automatów.

- Miałaś rację! - zawołała Remi z ciemności.

- Miałem nadzieję, że się pomylę o trzy lub cztery godziny - odpowiedział, przepychając drugi wagonik.

Minutę później na torze stał trzeci. Remi wybiegła z korytarza, niosąc lampy olejne. Cisnęła po dwie, trzy do każdego wagonika

i upewniła się, że rzuciła je z wystarczającą siłą, by zaczęły przeciekać.

Strzały na górze ucichły.

- Teraz główkują - oznajmił Sam.

Popędzili razem w głąb tunelu, chwytając po drodze lampy, i wrócili z dwunastoma następnymi, które wrzucili do wagoników.

- Podpałka - powiedziała Remi i pobiegli z powrotem. Zbierali wszystko, co mogło się zapalić, od drewnianych skrzynek narzędziowych, przez buty i kombinezony, do zwojów zmurszałej liny, a gdy wrócili, podzielili to na trzy sterty i wrzucili je do wagoników.

- Czujesz to? - spytała Remi.

Sam odwrócił głowę w kierunku wylotu tunelu i poczuł chłodną bryzę wiejącą od strony klifu.

- Mamy szczęście.

Uciął scyzorykiem trzy podłużne pasy z kombinezonów, zawiązał je na końcach i zanurzył węzły w oleju na dnie czołowego wagonika.

- Czekamy czy... - Remi przerwała, bo w pomieszczeniu z uprzężą rozległo się walenie w klapę włącznika. - Zapomnij, że pytałam.

Sam przytknął płomień zapalniczki kolejno do każdego knota trzymanego przez Remi. Kiedy wszystkie się zajęły, podała dwa mężowi. Wrzucił je do dwóch pierwszych wagoników, a ona swój do ostatniego. Cofnęli się i poczekali chwilę.

Nic się nie stało.

- No, dalej... - mruknęła Remi.

- Tego się obawiałem - rzekł Sam. - Olej jest zbyt mulisty.

Z tunelu dobiegł trzask drewna i odgłos otwierania drzwi.

Sam patrzył na wagoniki, mięśnie szczęki pulsowały mu z wściekłości.

- Niech to szlag!

W tym momencie jeden z wagoników stanął w płomieniach i zaczął się z niego wydobywać czarny tłusty dym. Tuż po nim zapłonęły drugi i trzeci wagonik i po kilku sekundach gęsta chmura kłębiła się pod sufitem. Popychana przez bryzę, zaczęła przesłaniać skrzyżowanie i wypełniać boczne korytarze.

Sam i Remi, kaszląc od duszącego dymu, cofali się od wagoników.

- Jeśli to ich nie spowolni, to już nic - wykrztusił Sam.

- Możemy wreszcie opuścić przyjęcie? - zapytała Remi.

- Panie przodem.

Popędzili w głąb tunelu i zatrzymali się z poślizgiem u jego wylotu. Na zewnątrz mgła się podniosła i przyćmiony blask księżyca oświetlał skalny most. Fale pluskały i szumiały u podnóża klifu. Mimo bryzy chmura dymu sunęła ku nim, a z tunelu dobiegały słabe odgłosy kasłania i odruchów wymiotnych.

- Kiedy dotrzemy do wody, pozwolimy, żeby poniósł nas prąd - instruował Sam żonę. - Powinien płynąć z północy na południe wzdłuż brzegu. Bałakława jest jakieś pięć kilometrów stąd. Tam wyjdziemy na brzeg.

- Dobra.

- Masz wydruk?

Remi poklepała suknię na wysokości talii.

- Jest cały.

Sam przysunął się do krawędzi, spojrział w dół i w tym momencie pocisk trafił w skałę obok jego głowy. Odskoczył do tyłu i padł płasko na ziemię.

- Co... - wydyszała Remi.

- Na dole jest łódź patrolowa - odparł Sam. - Stoi dokładnie pod bolcami.

- Jesteśmy w pułapce.

- Jak cholera. Chodźmy.

Pomógł Remi wstać i pobiegli z powrotem.

- Zechcesz mnie oświecić? - zapytała.

- Nie ma czasu. Zaraz sama zrozumiesz.

Z każdym ich krokiem dym gęstniał, tak że latarki przestały być przydatne. Biegli, trzymając się za ręce, z pochylonymi głowami i zmrużonymi oczami.

- Prawie jesteśmy - zawołał Sam i wyciągnął przed siebie wolną rękę.

Dźwięki kasłania i odruchów wymiotnych stały się głośniejsze i zdawały dochodzić zewsząd wokół nich. Ktoś krzyknął coś po rosyjsku i otrzymał chrapliwą odpowiedź po angielsku:

- Wracać... wracać...!

Sam potknął się, i, upadając, pociągnął Remi za sobą. Wstali i pobiegli dalej. Po chwili natrafił ręką na coś gorącego. Cofnął ją szybko, przykłęknął i tym razem celowo pociągnął Remi w dół. Gdzieś w pobliżu żwir zazgrzytał pod butami. Snopy światła latarek przecięły dym i zniknęły w mroku.

- Co się dzieje? - szepnęła Remi.

Sam postukał knykciami w wagonik górniczy.

- Zdejmij marynarkę - polecił, a gdy to zrobiła, wsunął ręce w rękawy i zwinął marynarkę w kłębek. - Rękawice kuchenne - wyjaśnił.

Remi wreszcie zrozumiała.

- Bomba głębinowa?

- Zgadłaś.

- Sprytne.

- Jak zacnie się toczyć, popchniesz mnie.

- Okej.

Sam okrążył wagonik, rozstawił szeroko nogi, oparł dłonie w rękawicach o bok wagonika i pchnął. Wagonik nawet nie drgnął. Spróbował ponownie. Znowu nic. Usłyszał metaliczny stuk, a potem szept Remi:

- Hamulec blokował koło. Spróbuj teraz.

Sam wziął głęboki oddech, zacisnął zęby i pchnął jeszcze raz. Ze zgrzytem stali o stal wagonik ruszył naprzód. W tunelu rozległy się strzały, ale Sam zignorował je i pchał dalej. Kiedy minął Remi, dołączyła do niego i przycisnęła dłonie do jego pleców. Wagonik szybko nabierał prędkości. Bryza zwiewała płomień i dym nad ich głowy niczym ogon komety.

Nagle dym się rozrzedził i jakieś pięć metrów przed nimi pojawił się wylot tunelu.

- Hamowanie! - krzyknął Sam, odchylając się do tyłu i wbił pięty w żwirową podsypkę. Remi, z rękami wokół jego pasa, zrobiła to samo. Ich wspólny ciężar zaczął spowalniać wagonik. Otwór

się zbliżał. Trzy metry... półtora... Sam obliczył szybko w pamięci, że prędkość jest właściwa, i puścił. Zatoczyli się do tyłu, przewrócili i podnieśli wzrok w samą porę, by zobaczyć, jak płonący wagonik spada poza krawędź wylotu tunelu.

Po trzech sekundach rozległ się ogłuszający huk.

Sam i Remi podpełzli na czworakach do otworu i spojrzeli w dół. Ogarnięta płomieniami łódź patrolowa przechyliła się mocno na lewą burtę, woda wylewała się z dziury w pokładzie rufowym. Po chwili na powierzchni pojawiły się dwie głowy; jeden rozbitek zaczął odpływać, ale drugi pozostał nieruchomy. Łódź poszła rufą pod wodę i zniknęła z widoku.

- To się nazywa strzał w dziesiątkę - pochwaliła Remi, kładąc się na brzuchu.

Sam położył się obok niej. Czarny dym nad ich głowami zaczynał się unosić poza most.

- No cóż, uważam, że poważnie nadużyliśmy gościnności gospodarza - rzekł Sam. - Kończymy na dziś?

- Z wielką chęcią - odparła Remi.

43

Monako

Piwnie oczy Yvette Fournier-Desmarais patrzyły ponad brzegiem nieruchomej filiżanki, gdy słuchała relacji Sama z wyprawy na Elbę.

- Potem - zakończył - pojechaliśmy do Nisporto i wróciliśmy na kontynent.

- Niesamowite - powiedziała Yvette. - Oboje niewątpliwie okazaliście się godni waszej reputacji.

Był wczesny poranek i siedzieli w trójkę na patio willi Yvette z widokiem na Point de la Veille. Promienie słoneczne odbijały się w spokojnych, gładkich wodach Morza Śródziemnego.

Kiedy łódź patrolowa Bondaruka zatonąła pod skalnym mostem, Sam i Remi zeszli na dół po drabince z bolców. Znaleźli dwa pomarańczowe kapoki, które uniknęły losu łodzi, uczepili się ich i pozwolili, by prąd niósł ich na południe wzdłuż wybrzeża. Gdy słońce wyłoniło się zza horyzontu, wciąż dryfowali, obserwując kłęby czarnego dymu zbierające się nad Chotyńem i słuchając narastającego wycia syren wozów strażackich. W oddali dostrzegli kilka innych łodzi patrolowych Bondaruka, ale ich załogi koncentrowały się na klifach poniżej posiadłości.

Godzinę później, znalazłszy się na wysokości plaż na północ od Bałakławy, dopłynęli do brzegu i poszli do miasta. Tam zadzwonili do Selmy, a potem pojechali limuzyną do Kerczu, leżącego sto sześćdziesiąt kilometrów na północ od Bałakławy nad Morzem Azow-skim. Czekał tam kurier, który na polecenie Selmy wziął ich paszporty, karty kredytowe i bagaż z hotelu w Jewpatorii. Odebrali je i godzinę później byli na pokładzie czarteru lecącego do Stambułu.

Wiedzieli, że muszą czekać, aż Selma rozszyfruje wydruk wyniesiony z laboratorium Bondaruka. Potrzebowali bezpiecznej kryjówki, więc zadzwonili do Yvette, która natychmiast wysłała po nich prywatnym gulfstreamem Langdona, swojego ochroniarza i byłego komandosa SAS.

- No cóż, trzeba oddać Umberto sprawiedliwość, że przyznał się do wszystkiego - powiedziała teraz Yvette. - Bardzo się tego wstydzi.

- Zrehabilitował się z nawiązką - odrzekła Remi.
- To prawda. Zapewniłam go, że mu wybaczam, skoro wy to zrobiliście.
- A co się stało z Carmine Bianco? - zapytał Sam.
- Z kim?
- Z gliniarzem z Elby na usługach korsykańskiej mafii.
- A, z nim... Zdaje się, że jest teraz gościem włoskich władz. Chodzi o usiłowanie zabójstwa.

Sam i Remi się roześmieli.

- Pamiętnik Laurenta okazał się pomocny? - spytała Yvette.
- To prawdziwe wyzwanie - odparła Remi. - Szyfr jest bardzo skomplikowany, ale jeśli ktokolwiek potrafi go złamać, to tylko Selma.

Od razu po przybyciu do willi przefaksowali jej wydruk. Langdon przyniósł następny dzbanek kawy i nalał wszystkim do filiżanek.

- I jaką dostałeś odpowiedź? - zagadnął go Sam.
- Słucham?
- Zgodziła się?

Langdon odchrząknął i zacisnął usta.

- Na litość boską, Langdon... - wtrąciła się Yvette, a potem wyjaśniła Fargom: - On jest taki powściągliwy, taki układny. Langdon, wolno ci się podzielić dobrą wiadomością, wiesz o tym. No, powiedz im.

Langdon pozwolił sobie na ledwo dostrzegalny uśmiech.

- Tak, zgodziła się wyjść za mnie.
- Gratulacje.

Remi uniosła filiżankę.

- Za przyszłego pana młodego.

Wszyscy troje wzniesli toast, a Langdon zrobił się czerwony jak burak. Skinął głową w podziękowaniu i wymamrotał do Yvette:

- Jeśli nie jestem już potrzebny, proszę pani...

- Idź, Langdon, zanim dostaniesz udaru.

Zniknął.

- To niestety oznacza, że go stracę - powiedziała Yvette. - Bę dzie teraz utrzymankiem. Żigolo, jeśli wolicie.

- Niezła fucha - stwierdził Sam.

Remi trzepnęła go w ramię.

- Zapominasz o dobrych manierach, Fargo.

- Powiedziałem tylko, że są gorsze posady.

- Wystarczy.

Gawędzili przy kawie, dopóki pół godziny później nie wrócił Langdon.

- Pani Wondrash chce porozmawiać z państwem Fargo - rzekł.

Przeprosili Yvette i poszli za Langdonem do gabinetu. Otwarty MacBook Air stał na mahoniowym biurku, przy którym Langdon ustawił dwa fotele klubowe. Kiedy usiedli, wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Ekran laptopa wyświetlał obraz pracowni Selmy w La Jolla.

- Selmo, jesteś tam? - zawołał Sam.

Na ekranie pojawiła się opalona twarz Pete'a Jeffcoata. Uśmiechnął się do nich.

- Cześć, Sam. Cześć, Remi.

- Jak się masz, Pete?

- Fantastycznie, nie mogłoby być lepiej.

Optymizm Pete'a nie znała granic. Zawsze myślał pozytywnie, nigdy nie tracił pogody ducha.

- A Wendy?

- W porządku, chociaż dostaje lekkiego świra od siedzenia w zamknięciu. Ochroniarze są super, ale trochę wymagający.

- To dla waszego dobra - odparł Sam. - Miejmy nadzieję, że niedługo się skończy.

- Jasne, bez obaw, jesteśmy wyluzowani. A oto i szefowa...

Pete zniknął z widoku i zastąpiła go Selma. Usadowiła się na

stołku przed kamerą, zanurzając torebkę herbaty ekspresowej w parującym kubku.

- Dzień dobry państwu.
- Witaj, Selmo.
- Wolą państwo najpierw dobrą wiadomość czy złą?
- Obie naraz - odrzekł Sam.
- Jak państwo sobie życzą... Wydruk, który przefaksowaliście, spełnił swoją rolę. Bardzo dobry obraz, wysoka rozdzielczość. Udało mi się odczytać następne linijki szyfru. Niestety zagadka zabiła nam klina. Może państwu bardziej się poszczęści.

Wzięła ze stołu notatnik i wyrecytowała:

Cierpiący Domowi Towarzysze w bursztynie uwięzieni;

Tassilo i Pepere Garbaty Baia strzegą bezpieczeństwa miejsca hadżdż;

Geniusz z Jonii, jego krok walką rywali;

Trio Węglów, czwarty zgubiony, wskaże drogę do Fryzyngi.

- To wszystko - zakończyła. - Przemejlowałam tekst do państwa iPhone'ów ze standardowym kodowaniem Blowfish. Będziemy dalej nad nim pracować, ale ten fragment jest trochę trudniejszy niż ostatni.
- Na to wygląda - przyznała Remi, już głęboko zamyślona.
- Selmo - odezwał się Sam - to słowo w ostatniej linijce, „Węgrów”...
- „Węglów”.
- Jesteś pewna?
- Całkowicie. Sprawdziałam trzy razy, a potem kazałam to zrobić Pete'owi i Wendy. A dlaczego pan pyta?
- „Węgieł” to termin architektoniczny. Inaczej narożnik.
- Ale czego? - spytała Remi.
- Oto pytanie za milion dolarów. Musimy przyjąć, że odpowiedź wyniknie z kontekstu.
- Chyba że chodzi o coś innego - powiedziała Selma. - Narożnik to może być kant albo...

- Klin - podsunęła Remi.
- Właśnie.
- Więc to ma coś wspólnego z narożnikami i klinami.
- Jeśli potraktować węgly dosłownie - odrzekł Sam. - Ale jeśli to przenośnia, może oznaczać cokolwiek. Klin może coś podtrzymywać albo rozdzielać jakieś elementy. Tak samo narożnik.
- Jest nam potrzebny kontekst - zgodziła się Remi. - Bierzemy się do pracy, Selmo, dzięki.
- Jeszcze dwie sprawy, zanim się pożegnamy. Odcyfrowuję też pamiętnik Laurenta i myślę, że znalazłam wyjaśnienie paru tajemnic. Po pierwsze, dowiedziałam się, dlaczego on i Napoleon stworzyli szyfr i zagadkę zamiast zwykłej mapy z dużym znakiem „X”.

Według Laurenta Napoleon wpadł w depresję wkrótce po dotarciu na Świętą Helenę. Uciekł z Elby tylko po to, by zostać pokonany cztery miesiące później pod Waterloo. Zwierzył się Laurentowi, że uważa, iż jego los jest przesądzony. Był pewien, że umrze na wygnaniu na Świętej Helenie.

- Miał rację - wtrącił Sam.
- Zaczął rozmyślać nad swoim dziedzictwem - ciągnęła Selma. -Miał jednego syna, Franciszka Karola Ludwika, Napoleona II, z drugą żoną Marią Ludwiką. Kiedy przegrał pod Waterloo, abdykował na jego rzecz, ale zaledwie dwóch tygodniach sojusznicy przypuścili szturm na Paryż i zdetronizowali go. Napoleon był załamany i wściekły. Uważał, że gdyby jego syn pokazał „prawdziwy charakter Bonaparte”, nie doszłoby do tego. Mimo że chłopiec miał tylko cztery lata.
- Nie byłoby mu łatwo dorównać ojcu - zauważył Sam.
- Nie zdołaliby. W każdym razie Napoleon kazał Laurentowi stworzyć mapę-łamięłówkę, która - cytuję - „skonfunduje naszych wrogów, dowiedzie siły charakteru nowego cesarza i wskaże drogę do cennej zdobyczy, która pomoże przywrócić wielkość nazwisku Bonaparte”. Niestety, po obaleniu Napoleona II przez sojuszników wyekspediowano go do Austrii, gdzie otrzymał honorowy tytuł księcia Reichstadtu i był praktycznie więźniem, dopóki nie zmarł na gruźlicę w roku 1832. O ile mi wiadomo, nigdy nawet nie próbował odzyskać władzy ani znaleźć mapy. Choć Laurent nie podaje, dlaczego.
- Co do drugiej tajemnicy - dlaczego Napoleon i Laurent wybrali butelki wina na podpowiedzi do rozwiązania ich zagadki - to według pamiętnika sam Bonaparte kazał zniszczyć szereg Lacanau: nasiona, winnicę i całą resztę. Wiedział, że dzięki temu ukryte butelki staną się cennymi okazami kolekcjonerskimi i gdyby któraś została odnaleziona, trafiłaby do muzeum lub do prywatnych zbiorów, gdzie byłaby bezpieczna, dopóki nie pojawiłby się jakiś potomek Bonaparteego znający ich sekret.
- Więc ojciec nie był pewien „siły charakteru” swojego syna, jak to określił - stwierdziła Remi. -Asekurował się.

241

16- Złoto Spartan

- Na to wygląda. Kiedy Napoleon abdykował po raz drugi i ostatni, obowiązywały ustanowione przez niego wcześniej zasady sukcesji. Stanowiły one, że tron dziedziczy Napoleon II, gdyby zaś to się nie udało, starszy brat Napoleona, Józef i jego męscy potomkowie, a w dalszej kolejności młodszy brat Ludwik i jego męska linia.
- I żaden z nich nie podążył wiadomym tropem - zauważyła Remi.

- Jeśli w ogóle o nim wiedzieli - odparła Selma. - Wciąż pracujemy nad tą częścią. W każdym razie wydaje się oczywiste, że cały trud Napoleona i Laurenta poszedł na marne. Dotychczas nikt nawet nie miał pojęcia o istnieniu ich planu.

- A teraz wiemy o nim tylko my i Bondaruk - podsumował Sam.

- To bardzo smutne - westchnęła Remi. - Napoleon stał się zdesperowanym, załosnym paranoikiem czekającym, aż ktoś przywróci chwałę rodzinie. I pomyśleć, że u szczytu władzy trzymał pod butem spory kawałek Europy.

- „Tyran jest największym tyranem dla siebie” - zacytował Sam.

- Słucham?

- To słowa George'a Herberta, walijskiego poety. Nie sądzę, by miał na myśli akurat Napoleona, ale sens się zgadza. Selmo, a ta „cenna zdobycz”, o której napisał Laurent. Nie znalazłaś o niej nic więcej?

- Na razie nie.

- Załóżę się, że chodzi o pieniądze - powiedziała Remi. - Albo o coś, co syn mógłby spieniężyć i mieć fundusze na zorganizowanie armii.

Sam skinął głową.

- Takiej, żeby nowy Bonaparte ponownie podbił Francję i mo że Europę.

Pożegnali się z Selmą i wrócili na patio. Byli w połowie schodów na górę, gdy zadzwieczał telefon Sama. Spojrzał na ekranik. Dzwonił Haywood. Sam włączył głośnik.

- Chyba znalazłem trupa w szafie Bondaruka - oznajmił Rube.

- Zamieniamy się w słuch.

- Facet, którego wysłałem do Londynu, żeby pogadał z dawnym irańskim instruktorem wojskowym Bondaruka...

- Arefem Ghasemim - wtrąciła Remi.

- Zgadza się. Ghasemi początkowo był trochę nieufny, ale w końcu się otworzył. Potwierdził, że prowadził Bondaruka przez cały okres trwania wojny granicznej z Rosjanami. Szczegółów nie zna, ale w pewnym momencie Bondaruk nabrał przekonania, że jest w prostej linii potomkiem perskiego króla...

- Kserksesa I - dokończył Sam.

- Właśnie. Skąd wiedziałeś?

Sam opisał pokrótce prywatne muzeum poświęcone dynastii Achemenidów, które zobaczyli w rezydencji Bondaruka.

- Więc masz potwierdzenie - stwierdził Rube.

- A co sądzi Ghasemi? - zapytał Sam. - Uważa, że Bondaruk może pochodzić z rodu Kserksesa?

- Uważa, że to możliwe, ale ten Ghasemi to podejrzany typ. Bryty nie wierzą w nic, co mówi, bez dokładnego sprawdzenia tego.

- Dziwna historia - powiedziała Remi.

- Też tak pomyślałem - przyznał Rube. - W każdym razie Bondaruk wydał miliony na zbadanie tej hipotezy, więc albo jest stuknięty, albo znalazł jakiś dowód na potwierdzenie.

Sam zwrócił się do żony.

- Pamiętajsz, co Chołkow powiedział nam w Marsylii o celu Bondaruka?

Remi zamknęła oczy, przypominając sobie słowa Chołkowa, i zacytowała:

- „Nazwijmy te rzeczy rodzinnym dziedzictwem. On po prostu chce dokończyć to, co się zaczęło dawno temu”.

- Wątek Kserksesa może być kluczem - rzekł Sam. - Ale czym są „te rzeczy”? Czymś, co Kserkses stracił dawno temu?

- Następne zadanie dla Selmy i zespołu.

- Nieważne, czy Bondaruk rzeczywiście pochodzi w prostej linii od Kserksesa - powiedział Rube.
- On w to wierzy i to nim powoduje. A czego szuka, to inna sprawa. Dowiedzcie się, to będziecie mieć połowę drogi za sobą.

- Więc wracamy do punktu wyjścia - podsumował Sam. - Co, do diabła, może mieć wspólnego Kserkses i dynastia Achemeni-dów z zaginioną piwnicą Napoleona?

Sama obudził dźwięk jego iPhone'a. Odwrócił się. Czerwone cyfry na wyświetlaczu LCD pokazywały trzecią dwanaście. Sięgnął po telefon i sprawdził, kto dzwoni. Brak identyfikacji. Odebrał.

- Halo?

- Czas, żebyśmy porozmawiali bez pośredników - oznajmił męski głos.

Sam, nie całkiem rozbudzony, dopiero po chwili go rozpoznał.

- Wyrwałeś mnie ze snu, Bondaruk. Masz złe maniery. Pewnie nie zechcesz mi zdradzić, skąd masz mój numer?

- Pieniądze to doskonały środek perswazji, Fargo.

- Pieniądze to po prostu pieniądze. Liczy się to, co z nimi robisz.

- Mówisz jak prawdziwy uszczęśliwiacz innych na siłę.

Remi obudziła się i usiadła obok męża. W odpowiedzi na jej

pytającą minę wymówił bezgłośnie: „Bondaruk”.

- Czego chcesz? - rzucił do słuchawki.

- Byliście wśród gości na moim przyjęciu, tak?

- Staliśmy tuż za tobą podczas twojego wykładu w sali mieczowej. Odnieśliśmy wrażenie, że lubisz słuchać tego, co sam mówisz.

- Jesteście odważni, muszę wam to przyznać. Zakradliście się do mojego domu. Gdybyście byli kimś innym..
- To już byśmy nie żyli. Daruj sobie groźby i przejdź do rzeczy. Chciałbym jeszcze trochę pospać.
- Daję wam ostatnią szansę. Działamy razem. Jak będzie po wszystkim, wy dostaniecie butelki, ja wezmę to, czego szukam i się rozstaniemy. Nikomu nic złego się nie stanie.
- Skoro mowa o tym, czego szukasz... To chyba nie ma nic wspólnego z twoim prywatnym perskim miejscem rozrywki pod laboratorium? - Bondaruk nie odpowiedział. - Tak myślałem -ciągnął Sam. - Nie sądzisz, Bondaruk, że posuwasz się trochę za daleko w tym swoim zauroczeniu Kserksesem? To niezdrowe.
- Popełniasz błąd, Fargo.
- Nam się wydaje, że to ty popełniasz błędy. A tak przy okazji, wiemy, że twoi ludzie wzięli na celownik nasz dom w San Diego. Jeśli któryś z nich choćby dotknie gazety na podjeździe, to połowa biura szeryfa hrabstwa San Diego zwali się na nich jak lawina.
- W porządku. Ostatni raz grzecznie proszę.
- Dzięki za ostrzeżenie - odparł Sam i się rozłączył.
- Prywatne perskie miejsce rozrywki? - odezwała się Remi. -Nieźle powiedziane.
- Miewam chwile natchnienia.

Dysponując następnym fragmentem zagadki i szerokopasmowym połączeniem internetowym, Sam i Remi zamknęli się w gabinecie Yvette i zabrali do pracy. Yvette, zawsze uprzejma gospodyni, poleciła Langdonowi zaopatrzyć ich w przekąski i napoje, długopisy i papier, drugi laptop, markery i białą tablicę o wymiarach metr dwadzieścia na metr osiemdziesiąt. Napisali na niej dużymi drukowanymi literami:

Cierpiący Domowi Towarzysze w bursztynie uwięzieni;

Tassilo i Pepere Garbaty Baia strzegą bezpieczeństwa miejsca hadżdż;

Geniusz z fonii, jego krok walką rywali;

Trio Węglów, czwarty zgubiony, wskaże drogę do Fryzyngi.

Zaczęli od sporządzenia listy słów, który można było nadać wiele znaczeń. Znaleźli szesnaście: „cierpiący”, „domowi”, „towarzysze”, „uwięzieni”, „garbaty”, „strzec”, „bezpieczeństwo”, „miejsce”, „hadżdż”, „geniusz”, „krok”, „walka”, „rywale”, „trio”, „wskażyć”, „droga”.

Potem zapisali ich synonimy po przeciwległej stronie tablicy w układzie jakby pajęczej sieci. Rozgałęzienia prowadziły do nici, a te do znaków zapytania.

Następnie skoncentrowali się na słowach, które ich zdaniem miały wyraźny związek z historią: „bursztyn”, „Tassilo”, „Baia”, „hadżdż”, „Geniusz”, „Jonia”, „węgły”. Wypisali je na tablicy w oddzielnych kolumnach i zaczęli szukać w Internecie odsyłaczy do źródeł historycznych. Kolejne informacje dołączali do każdego wyrazu.

Pięć słów - „bursztyn”, „Tassilo”, „Baia”, „hadżdż” i „Jonia” - wiązało się ze znanymi miejscami, postaciami lub rzeczami. Bursztyn to skamieniała żywica używana w jubilerstwie; Tassilo to nazwa dynastii bawarskich książąt; hadżdż to doroczna pielgrzymka muzułmanów do Mekki; Baia, czyli „kopalnia”, to nazwa miasta w Rumunii nad Mołdawą; a Jonia to grecka wyspa w północnej części Morza Egejskiego.

Niestety, podobnie jak lista synonimów, wszystkie te informacje były zbiorami faktów, podwójnych znaczeń i krzyżowych powiązań.

Przerywając tylko, by coś zjeść, wypić i odświeżyć się w przyległej do gabinetu łazience, pracowali nad tym od rana do późnego popołudnia. Nic to nie dało, więc postanowili zmienić taktykę: skoncentrować się na jednej linijce zagadki w nadziei, że jej rozwiązanie wywoła efekt domina. Wybrali drugi wers.

- „Tassilo i Pepere Garbaty Baia strzegą bezpieczeństwa miejsca hadżdż” - wyrecytowała Remi, stukając się w zamyśleniu ołówkiem w skroń. - „Pepere” to łatwe. Tak się mówi po francusku na dziadka.

- Zgadza się. I jeśli nie umyka nam jakieś inne ważne odniesienie do Tassilo, możemy przyjąć, że dotyczy to Bawarii, jej historii, charakterystycznych obiektów, kultury. Czegoś bawarskiego.

- A co z „Garbatym Baia”?

Poświęcili już dwie bezowocne godziny na studiowanie historii Rumunii w nadziei, że doznają jakiegoś olśnienia.

- „Garbaty” mówi się o Księżycu.

- Myślisz, że o to chodzi?

- Nie wiem. „Garbaty Księżyc” to faza Księżyca między pełnią a trzecią kwadrą.

- A jakieś inne skojarzenie?

Sam pomyślał chwilę, zmarszczył brwi i zaczął przekładać książki na biurku.

- Garbaty i Baia...

Remi już pisała na laptopie. Choć wiele odnośników znajdowali na stronach internetowych bibliotek, wobec ich braku zaglądali do dobrego starego Google'a.

- Coś mam - oznajmiła po kilku minutach. - Jak połączysz jedno z drugim, dowiadujesz się, że Baia jest częścią wyrażenia „ludzie z Baia”. Brzmi to podobnie do słowa „Bawaria”.

- Więc co? Garbaty z Bawarii? - zapytał Sam.

- Nie, nie... - Remi znów postukała w klawiaturę i przyjrzała się wynikom poszukiwań. - Jest! Tassilo III, władca Bawarii w latach 748-787, osadzony na tronie przez Pepina Krótkiego, ojca Karola Wielkiego i dziadka Pepina Garbatego.

- Nareszcie - rzekł Sam. - Więc Tassilo i dziadek garbusa, Pepin Krótki, „strzegą bezpieczeństwa miejsca hadźdz”.

- Problem w tym, że nie mogę znaleźć żadnego związku któregośkolwiek z nich ani Bawarii z Mekką.

- To musi być metafora - stwierdził Sam.

- Albo jakiś muzułmański artefakt gdzieś w Bawarii.

Sam szybko poszukał na własnym laptopie.

- Nie, nic nie wyskakuje. Spróbujmy z inną linijką.

- Cofnijmy się do początku: „Cierpiący Domowi Towarzysze w bursztynie uwięzieni”. Mamy już

etymologię i synonimy słów „cierpiący”, „domowi”, „towarzysze”, „bursztyn” i „uwięzieni”. Jak to się wszystko krzyżuje?

Sam opadł na krzesło, odchylił głowę do tyłu i ścisnął grzbiet nosa palcem wskazującym i kciukiem.

- Nie mam pojęcia... Choć w tej linii cej est coś znaj omego.
- Co konkretnego?
- Nie wiem. Ale mam to przed oczami. Niemal to widzę.

Siedzieli w milczeniu prawie pół godziny, każde pogrążone w myślach. Wreszcie Remi spojrzęła na zegarek.

- Już prawie północ. Chodźmy spać. Jutro wrócimy do tego ze świeżymi umysłami.
- Masz rację. Coś mi świta, tylko nie mogę tego sprecyzować.

Cztery godziny później, kiedy spali w apartamencie gościnnym Yvette, Sam nagle usiadł na łóżku i wymamrotał:

- Tu jesteś!

Remi miała lekki sen, więc natychmiast się obudziła.

- Co? Co się stało, Sam?
- Nic. Chyba wreszcie to mam.

W piżamach wrócili do gabinetu, zapalili światło i włączyli swoje laptopy. Sam przez dwadzieścia minut siedział przy klawiaturze, pisał i korzystał z linków, a Remi przyglądała mu się z fotela w rogu. W końcu odwrócił się i uśmiechnął.

- To z książki, którą czytałem w college'u: *Dni prawości* faceta nazwiskiem... Roche. Pisze w niej o pochodzeniu słowa „hugenot”.
- To francuscy kalwini, tak? - zapytała Remi. - Protestanci?

- Zgadza się. Całkiem liczni w okresie od XVI do XVIII wieku. Jest kilka koncepcji dotyczących etymologii słowa „hugenot”. Niektórzy uważają, że to hybryda niemieckiego *Eidgenosse*, czyli „konfederat”, i nazwiska Besancona Huguesa związanego z początkami historii kalwinów. Ale większość historyków jest zdania, że określenie pochodzi od flamandzkiego słowa *huisgenooten*. Tak we flamandzkiej części Francji nazywano ludzi studiujących Biblię. *Huisgenooten* zbierali się potajemnie w domu któregoś z nich, więc termin ten znaczy dosłownie „domowi towarzysze”.

Remi popatrzyła na męża ze szczerym podziwem.

- Sam, to genialne.
- Byłoby genialne, gdybym na to wpadł osiemnaście godzin temu.
- Lepiej późno niż wcale. Okej, więc mówimy o hugenotach.
- Cierpiących hugenotach - poprawił.

Remi wstała, podeszła do tablicy i zakreśliła markerem listę synonimów słowa „cierpiący”. Była długa, ale nie dostrzegła żadnego związku między którymkolwiek z nich a hugenotami.

- Porozmawiajmy o bursztynie - zaproponował Sam. - „W bursztynie uwięzieni”. Jak można zostać uwięzionym w bursztynie?

Rozważali to przez kilka minut, w końcu Remi podsunęła:

- Spróbujmy tak: co się dzieje, kiedy coś zostaje uwięzione w bursztynie?
- Następuje śmierć - odparł Sam.
- A przedtem unieruchomienie.
- Zastygnięcie w miej scu.
- Właśnie. - Remi spuściła głowę, przymknęła oczy i zaczęła spacerować tam i z powrotem po pokoju. - Zastygnięcie w miejscu... Jak na fotografii.
- Albo na obrazie - dodał Sam.
- Otóż to!

Sam odwrócił się na krześle, wpisał do laptopa hasła „obraz” i „hugenoci” i spojrział na wyniki poszukiwań.

- Jest coś? - zapytała Remi.
- Masakra - mruknął.
- Co?
- „Masakrę” można uznać za daleki synonim „cierpienia”, prawda?
- Oczywiście.
- Więc co ty na to: obraz Francois Dubois *Masakra w dniu świętego Bartłomieja*.
- W jakim kontekście?

Sam przebiegł wzrokiem artykuł i podsumował:

- Francja, rok 1572. Od sierpnia do października tego roku tłumy katolików atakowały mniej szość hugenocką w całym kraju... - Odchylił się na krześle i zmarszczył brwi. - Zginęło, według różnych szacunków, od dziesięciu do stu tysięcy hugenotów.

- Jeśli to nie jest cierpieniem, to nie wiem, co nim jest - mruknęła Remi. - Okej, połączmy to z Bawarią...

Sam pochylił się nad laptopem i znów zaczął wpisywać hasła, tym razem „Dubois”, „święty Bartłomiej” i „Bawaria” w połączeniu z „dzień” i „masakra”.

- Można dorzucić nasze skojarzenia z „hadżdż” - zaproponowała Remi i podyktowała z tablicy: - „Mekka”, „pielgrzymka”, „islam”, „pielgrzym”...

Sam skończył pisać i nacisnął „Enter”.

- Mnóstwo wyników - szepnął, przewijając stronę. - Ale nic oczywistego.

- Zaczniemy odejmować i mieszać słowa.

Robili to przez następną godzinę, tworząc kombinacje haseł, aż w końcu, tuż przed świtem, Sam znalazł coś interesującego w połączeniu „święty Bartłomiej”, „Bawaria” i „pielgrzym”. Uśmiechnął się szeroko i oznajmił:

- Światełko właśnie się zapaliło.

- Co masz? - Remi przysunęła się i odczytała z ekranu: - Kościół pielgrzymkowy Świętego Bartłomieja, Bawaria, Niemcy.

45

Schonau, Bawaria

Nie do wiary - szepnął Sam.

Podeszli do drewnianej balustrady w punkcie widokowym i popatrzyli na panoramę poniżej.

- Myślę, że słowo „pięknie” nie wystarczy, żeby to oddać - powiedziała Remi. - Dlaczego dopiero teraz tu przyjechaliśmy?

- Nie mam pojęcia - odparł, uniósł cyfrowy aparat fotograficzny Canon EOS i zrobił zdjęcie. Byli już w Bawarii, ale nigdy tutaj. - Nawet „zapierające dech” to za słabo, prawda?

- Tak. Niemal słyszę *Dźwięki muzyki*.

Pod nimi lśniły szmaragdowe wody Königssee (Jeziora Królewskiego). Mierzące niecały kilometr w

najszerszym miejscu i otoczone gęsto zalesionymi granitowymi skarpami i poszarpanymi zaśnieżonymi szczytami Königssee meandruje od miasteczka Schonau na północy do Obersee (Jeziora Górne) osiem kilometrów na południe. Odcięte dawno temu od Jeziora Królewskiego przez osuwisko Obersee leży w owalnej dolinie wśród malowniczych alpejskich łąk i wodospadów, które przyciągają miłośników przyrody i zapalonych fotografów z całego świata. Specjalne stateczki wycieczkowe kursują z Schonau do Salet nad Obersee.

Poza kilwaterami elektrycznych stateczków przemierzających bezdźwięcznie Königssee powierzchnia jeziora była idealnie gładka, niczym upstrzone plamkami słońca zwierciadło, w którym odbijały się zieleń, szarość oraz ochra lasów i urwisk. Gdziekolwiek Sam i Remi spojrzeli, widzieli piękną, doskonale skomponowaną pocztówkę z Alp.

W dwóch trzecich długości Königssee, gdzie jezioro zwęża się do zaledwie kilkuset metrów przed skrętem na południowy wschód ku Obersee, na polanie na półwyspie Hirschau stoi kościół pielgrzymkowy Świętego Bartłomieja.

Stanowi on swego rodzaju architektoniczną hybrydę, jest to bowiem stary bawarski domek narciarski z otynkowanymi na biało zewnętrznymi ścianami, stromym szarym dachem krytym gontem i ciężkimi drewnianymi okiennicami pomalowanymi na zielono i żółto, połączony z trzema czerwonymi cebulastymi kopułami, z których wyrastają dwie wieże: jedna kopułowa bez okien, a druga, bliżej krawędzi wody, bardziej tradycyjna, z czterospadowym dachem i wąskimi oknami.

- Hitlerowi też się tu podobało. Czy to nie dziwne? - zapytała Remi.

W gminie Berchtesgaden, gdzie leży Königssee, znajdowała się góraska rezydencja Adolfa Hitlera zwana Orlim Gniazdem.

- Nikt nie jest obojętny na piękno - odrzekł Sam. - Nawet on nie był.

Choć Fargowie rozwikłali tylko pierwszą część ostatniej zagadki, byli na tyle pewni swoich ustaleń, że natychmiast zadzwonili do Selmy i poprosili ją o zorganizowanie im podróży z Monako do Bawarii. Przed południem podziękowali Yvette za gościnność i obiecali, że wrócą, by opowiedzieć jej o swoich poszukiwaniach. Potem pojechali na lotnisko w Nicei, skąd odlecieli do Paryża, a stamtąd do Salzburga, gdzie wypożyczyli samochód i pokonali nim pozostałych pięćdziesiąt kilometrów do Schonau nad Königssee.

- O której odpływa nasz stateczek? - spytała Remi.

- O dziewiątej. Przypomnij mi, żebym sprawdził prognozę pogody.

Nawet teraz, późną wiosną, pogoda w okolicy Königssee była kapryśna. Zdarzały się dni, kiedy w ciągu jednej godziny najpierw prażyło słońce, a potem niebo zasłaniały ciemne chmury i padał śnieg. Przewrotni turyści zawsze mieli ze sobą zapasowe swetry lub wiatróvky.

Kościół Świętego Bartłomieja był położony w takim miejscu, że Sam i Remi mogli się tam dostać tylko na dwa sposoby: stateczkiem z Schonau albo pieszo przez górskie przełęcze. Choć ta druga

możliwość nęciła ich, uwielbiali bowiem takie wędrówki, wiedzieli, że będą musieli z tym poczekać do następnego przyjazdu. Czas nie działał na ich korzyść. Dzięki wyprawie do posiadłości Bondaruka wyprzedzali go o krok, ale biorąc pod uwagę, jak długo szuka zaginionej piwnicy i jakimi środkami dysponuje, ich przewaga mogła szybko stopnieć. Nie widzieli śladu Chołkowa ani jego ludzi, zakładali jednak, że dopóki nie poznają tajemnic kościoła Świętego Bartłomieja i nie będą bezpieczni daleko stąd, dopóty będą śledzeni. Co więcej, byli pewni, że ich wizyta w Cho-tynie rozwścieczyła i tak już sfrustrowanego Bondaruka. Jeśli do tej pory coś go hamowało, teraz pozbył się wszelkich skrupułów. A świetnie zdawali sobie sprawę, do czego potrafi się posunąć.

O ile Königssee wydało im się szczytem alpejskiego piękna,

o tyle Schonau uznali za uosobienie słowa „urocze”.

Pięcioletnie miasteczko, położone na obu brzegach rzeki zasilającej Königssee, to skupisko budynków, z których każdy jest architektoniczną perłą. Po wschodniej stronie portu w kształcie ściętej litery S, na południe od rzędu kawiarni, restauracji i hoteli, ciągnie się rząd hangarów dla łodzi.

Jadąc obsadzoną drzewami drogą, widzieli stateczki wycieczkowe wpływające i wypływające z hangarów. Ich kilwatery tworzyły półprzezroczyste wachlarze na powierzchni szmaragdowej wody.

Kilka minut później dotarli na parking hotelu Schiffmeister. Fasadę z biało-czerwonymi markizami i balkonami pełnymi kolorowych kwiatów zdobiły namalowane brązową farbą rokokowe ornamenty. Kiedy parkingowy zajął się ich samochodem, a boy hotelowy bagażami, weszli do holu i znaleźli recepcję. Chwilę potem zaprowadzono ich do apartamentu od strony jeziora.

Wzięli prysznic, owinęli się frotowymi płaszczami kąpielowymi, zamówili kawę do pokoju i usiedli na balkonie z widokiem na wodę. Słońce chowało się za górami na zachodzie, jezioro miało złocistą barwę, a po ulicach w dole spacerowali turyści, oglądając wystawy sklepowe i fotografując port.

Sam sięgnął po iPhone'a i wpiął się do hotelowego satelitarnego łącza internetowego.

- Coś od Selmy - powiedział, przeglądając pocztę.

Z typową dla niej operatywnością przygotowała materiał o Kserksesie I i dynastii Achemenidów w dwóch wersjach: jednej skondensowanej i drugiej bardziej szczegółowej. Sam przesłał obie do iPhone'a Remi i przez następne pół godziny czytali o antycznym perskim królu.

Kserkses I, ósmy potwierdzony władca z dynastii Achemenidów, zasiadł na tronie w wieku trzydziestu pięciu lat i od tej pory nieustannie udawał, że zasługuje na miano wojowniczego. Najpierw zdusił rewoltę w Egipcie, a potem w Babilonie, gdzie usunął złoty posąg boga Marduka i kazał go stopić, skutecznie krusząc duchowe podstawy imperium.

Dwa lata później Kserkses skierował swój gniew na Ateńczyków, którzy narazili się dynastii Achemenidów w bitwie pod Maratonem, gdzie pokonali wojska Dariusza I i udaremnili jego próbę podbicia całej Grecji.

W 483 roku p.n.e. rozpoczął przygotowania do inwazji na Grecję, przerzucając most nad Hellespontem, a potem przekopując żeglowny kanał w poprzek półwyspu Athos.

Z Sardes Kserkses i jego armia parli na północ przez Trację i Macedonię, dopóki nie zatrzymali ich pod Termopilami król Leonidas wraz ze Spartanami, którzy mimo bohaterskiej obrony zostali wybici do nogi. Teraz Kserkses bez przeszkód kontynuował marsz na południe wzdłuż wybrzeża do Aten, gdzie splądrował opuszczone miasto. Okazało się to apogeum jego inwazji; wkrótce stracił dużą część swojej floty w bitwie pod Salaminą, a później większość sił lądowych w bitwach pod Platejami i Mykale w 479 roku p.n.e.

Pozostawiwszy armię pod wodzą Mardoniusza, Kserkses wycofał się do Persepolis, dzisiejszego Iranu, gdzie spędził resztę życia. Zginął z ręki komendanta swojej straży przybocznej, być może na rozkaz własnego syna Artakserksesa I, który objął tron w 464 roku p.n.e.

- Co za splątana sieć - westchnęła Remi, kiedy skończyła czytać.
- Kserkses nie był sympatycznym facetem - rzekł Sam.

Remi się uśmiechnęła.

- A ktoś z nich był?
- Mało który. No cóż, jeśli mamy znaleźć w biografii Kserksesa podpowiedzi, czego szuka Bondaruk, to pierwszą rzeczą, jaka mi się nasuwa, jest posąg Marduka z Babilonu, ale historycy mówią, że został stopiony.
- A jeśli się mylą? Jeśli Kserkses kazał stopić kopię, a oryginał zabrał i potem gdzieś stracił?
- Mogło tak być. - Sam napisał szybko mejla do Selmy i wysłał. Kilka minut później otrzymał odpowiedź: „Sprawdzamy to”. - Okej, inne możliwości?
- Wygląda na to, że Kserksesowi wszystko się zawaliło po inwazji na Grecję. Zrzekł się dowodzenia armią, wrócił do domu, poobijał się parę lat, a potem został zamordowany. Może podczas kampanii stracił coś, co według niego rzuciło klątwę na jego rządy.
- A Bondaruk uważa, że odzyskanie tego jakoś wyrówna szalę - dokończył Sam. - Wyprostuje sprawy rodu Achemenidów.
- Jak powiedziałaś, wszystko wskazuje na Marduka, ale historycy uważają bunt w Babilonie za drobny kłopot dla Kserksesa.
- A rewolta w Egipcie? Miała miejsce mniej więcej w tym samym czasie.

Remi westchnęła.

- To możliwe. Problem z historią, zwłaszcza starożytną, polega na tym, że często tylko najważniejsze wydarzenia wzbudzają zainteresowanie. Ale przecież wiadomo, że w jakimś

starożytnym tekście w jakiejś bibliotece albo muzeum jest spis skarbów ukra dzionych przez Kserksesa.

Sam się uśmiechnął.

- Super. Gdzie zaczniemy?

- Wybieraj: Kair, Luksor, Sztambuł, Teheran... Jeśli zaczniemy szukać dzisiaj, skończymy za dziesięć, dwanaście lat.

- Więc to nie najlepszy pomysł. Okej, spróbujmy zawęzić poszukiwania. Kserkses panował przez dwadzieścia lat. W tym czasie przeprowadził trzy główne kampanie: egipską, babilońską i grecką. Najważniejsza z nich, grecka, była punktem zwrotnym jego rządów. Skoncentrujmy się na wojnie grecko-perskiej i zobaczmy, dokąd zajdziemy.

Remi zastanowiła się i skinęła głową.

- Brzmi sensownie.

Sam dostał sygnał, że przyszedł mejl. Przeczytał go i zwrócił się do żony.

- Od Selmy. Stopienie Marduka jest raczej pewne. Istnieje mnóstwo rzekomych relacji z pierwszej ręki, zarówno Persów, jak i Babilończyków.

- Więc ta opcja odpada - odparła Remi. - Zatem Grecja.

Po godzinie badania okresu wojny grecko-perskiej za rządów Kserksesa zrobili sobie przerwę na kolację na tarasie restauracji z widokiem na ciemny już port. Połączenie wysokości, zapierającej dech scenerii i zmęczenia podróżą sprawiło, że umierali z głodu. Jedli z apetytem bawarskie potrawy: *kalte Braten*, cienko krojoną pieczeń wieprzową na zimno podawaną z chrzanem i chlebem; *Kartoffelsalat*, sałatkę ziemniaczaną w zalewie octowej; filety z troci smażone w *Kristallweissbier* z frankońskim winem Bacchus podawanym w tradycyjnej płaskiej butelce zwanej *Bocksbeutel*. Na koniec zamówili dwa kufle lodowato zimnego *Weizenbier*. Wybór napoju o temperaturze poniżej pokojowej wzbudził ciekawość pary mieszkańców Schonau siedzącej przy sąsiednim stoliku, ale jednowyrazowe wyjaśnienie Sama - „Amerykanie” - skwitowali kiwnięciem głowami i postawili następną kolejkę.

Syci i lekko wstawieni Fargowie wrócili do pokoju, zamówili dzbanek kawy i zabrali się do pracy.

- Wydaje się, że cała kampania miała na celu ograbienie Aten - powiedziała Remi. - Ośrodek greckiej władzy.

- Tracja i Macedonia były tylko rozgrzewką przed główną ba talią - zgodził się Sam. - Ale przyjmijmy inne założenie. Kserkses podporządkował sobie Babilończyków, kradnąc i niszcząc posąg Marduka. Czy nie zamierzał zrobić tego samego z Grekami?

Remi już przeglądała materiał Selmy.

- Zdawało mi się, że widziałam coś ciekawego... Tak, mam, Delfy.

- Te od wyroczni?

- Te same. Kserkses miał je na celowniku.

Delfy, ośrodek kultu Apollina położony sto sześćdziesiąt pięć kilometrów na północny zachód od Aten na zboczach góry Parnas, były kompleksem obejmującym grootę nimfy Korykii, źródła Kastalia, ołtarz ludu Chian, stoę Ateńczyków, świątynię Apollina, gdzie rezydowała wyrocznia, oraz liczne skarbcce, stadiony i teatry.

W czasach zarówno starożytnych, jak i nowożytnych najczęściej odwiedzano świątynię będącą siedzibą wyroczni delfickiej. Poszukiwacze prawdy przybywali tam ze wszystkich stron świata, by zapytać aktualnie urzędującą Pytię, zwykle miejscową kobietę wybieraną czasowo na ziemską przedstawicielkę wyroczni, o swoją przyszłość.

W ciągu ostatnich kilku lat naukowcy uwolnili Delfy od magicznych właściwości, sugerując, że trans, w który wpadała rzekomo wszechwiedząca Pytia, w rzeczywistości powodowały opary metanu, dwutlenku węgla i siarkowodoru wydobywające się ze szczeliny w skale pod świątynią.

Sam i Remi uznali, że atak na Delfy byłby zgodny z modus operandi Kserksesa. Ich splądrowanie równałoby się unieszkodliwieniu greckich bogów podobnemu do tego, co zrobił w Babilonie z Mardukiem.

- Po rozgromieniu Spartan pod Termopilami - ciągnęła Re mi - Kserkses wysłał do Delf siedmiotysięczny oddział, żeby je złupili. Według legendy zawróciła ich kamienna lawina, którą wywołał sam Apollo.

- Co mogło być prawdą lub nie - wtrącił Sam.

Remi skinęła głową.

- Historycy nie są w tej kwestii zgodni. Okej, przyjmijmy, że ludzie Kserksesa nie zostali zawróceni. Co mogli zabrać?

- Samą Pytię, ale nie wydaje się to prawdopodobne, chyba że Bondaruk szuka jakiegoś szkieletu. Może omfalos?

Omfalos, „pępek”, to wydrążony w środku kamień w kształcie ananasa, wymodelowany na wzór kawałka skały owiniętego

w pieluszki przez matkę Zeusa Reę, żeby oszukać jego ojca Kro-nosa, który w szale zazdrości pożerał swoje dzieci. Według starożytnych umożliwiał bezpośrednie komunikowanie się z bogami, ale współcześni naukowcy przypuszczają, że wydrążenie w kamieniu to po prostu komin, przez który halucynogenne gazy trafiały do płuc Pytii.

- Raczej nie - odparła Remi. - Jest mnóstwo relacji, że omfalos przetrwał najazd Persów. Chociaż, kto wie, jaka jest prawda? Czy gdyby Brytyjczycy zdołali wykraść Deklarację Niepodległości podczas wojny w 1812, rząd Stanów Zjednoczonych byłby skłonny *to* potwierdzić?

- Racja. Co jeszcze?

- W Delfach było mnóstwo cennych rzeczy, głównie w skarbcu Ateńczyków i w skarbcu Syfnińczyków. Oba miały pewne znaczenie religijne, ale pełniły rolę przede wszystkim depozytów złota i srebra.

Sam wzruszył ramionami.

- Możliwe, ale Chołkow powiedział, że Bondaruk szuka „rodzinnego dziedzictwa”. To raczej coś bardziej osobistego niż łup pochodzący z grabieży w starożytnym banku.

- No i użył słów „dokończyć to, co się zaczęło dawno temu”. To wygląda na jakąś misję.

Sam ziewnął.

- Mój mózg traci parę. Zostawmy to do jutra.

Chołkow przeszedł rękawem lotniczym z samolotu do terminalu. Kiedy znalazł się w hali przylotów, włączył swojego black-berry, żeby sprawdzić pocztę głosową. Po chwili nagle się zatrzymał i spojrzał na ekran. Jego trzej towarzysze też przystanęli.

- Co j est? - zapytał j eden z nich.

W odpowiedzi Chołkow tylko uśmiechnął się szeroko, podszedł do pobliskich krzeseł i usiadł. Wyjął z nesesera laptop, włączył go i nacisnął szereg klawiszy. Po trzydziestu sekundach mruknął:

- Mam was!

- Namierzyłeś ich?

- Jednak nie jesteśmy tacy sprytni, co, Fargo? - wymamrotał Chołkow i podniósł wzrok na kompanów. - Są kawałek na południe od nas, w Bawarii. Idziemy!

46

A już niedługo będą państwo podziwiać mój talent muzyczny -oznajmił kapitan. Mówił dobrze po angielsku, ale z wyraźnym akcentem. Zredukował obroty silnika i stateczek zaczął zwalniać. -Z prawej widzą państwo Echowand; po angielsku to „Ściana Echa”.

Wraz z dwudziestoma innymi pasażerami Sam i Remi odwrócili się na siedzeniach i spojrzeli za sterburtę. Byli na pokładzie jednego z

osiemnastu krytych stateczków wycieczkowych użytkowanych przez Towarzystwo Żeglugowe Konigssee. Po jeziorze kursowały dwa typy statków: osiemnastometrowy, który zabierał osiemdziesiąt pięć osób, i taki, jakim płynęli Sam i Remi - pięćioipółmetrowy, mieszczący dwudziestu pięciu pasażerów.

Przez poranną mgłę widzieli gęsto zalesiony klif wyrastający z wody. Kapitan wyjął spod konsoli sterowniczej łśniący *Flugelhorn*, przyłożył go do ust i zagrał kilka żalonych tonów. Minęły dwie sekundy i dźwięk odbił się od ściany w idealnej tonacji.

Pasażerowie roześmieli się i zaklaskali.

- Szanowni państwo, ponieważ mój występ nie jest wliczony w cenę biletu, a od trąbienia ma się pragnienie, będę wdzięczny, jeśli przed zejściem na ląd zechcecie wrzucić *Trinkgeld* do jednego z kubków, które zobaczycie na przegrodach. Dochodem podzielę się z moim przyjacielem w górach, który odpowiedział na mój sy gnał.

Znów rozległy się śmiechy.

- Co to jest *Trinkgeld*? - zapytał ktoś.

- Pieniądze na picie, oczywiście - wyjaśnił kapitan. - *Flugel horn* straszliwie wysusza. No dobrze, płyniemy dalej. Następny postój: kościół pielgrzymkowy Świętego Bartłomieja.

Podróż upływała w niemal zupełnej ciszy, tylko elektryczne silniki stateczku buczały miarowo, a woda z szumem omywała burty. Sunęli naprzód jakby zawieszeni we mgle. Było bezwietrznie, ale tak chłodno, że Sam i Remi widzieli obłoczki pary własnych oddechów.

Wstali o szóstej i po lekkim śniadaniu w pokoju zabrali się do pracy. Przed położeniem się spać Remi wysłała do dawnych kolegów ze studiów mejla z trzema pytaniami: Jakie skarby były w Delfach podczas inwazji Kserksesa? Gdzie są teraz? Czy istnieją jakieś relacje, że Kserkses zrabował delfickie lub ateńskie skarby?

Rano w jej skrzynce odbiorczej czekało sporo odpowiedzi, ale większość tylko nasuwała dalsze pytania.

- Wciąż nic od Evelyn - powiedziała teraz, sprawdzając mejle w iPhone.

- Przypomnij mi - poprosił Sam. - Evelyn...

- Evelyn Torres z Berkeley. Jeszcze pół roku temu była asystentką kustosa Delfickiego Muzeum Archeologicznego. Nikt nie wie więcej o Delfach niż ona.

- Racja. Na pewno odezwie się do nas. - Sam pstryknął kilka zdjęć, odwrócił się i zobaczył, że Remi wpatruje się w swojego iPhone'a ze zmarszczonym czołem. - Co się stało?

- Obawiałam się, że Chołkow znów się pojawi, i właśnie za stanawiałam się, ile razy już nas namierzył.

Sam pomyślał chwilę.

- Nie licząc Pocomoke, na Rum Cay, w Marsylii i na Elbie. Trzy razy.

- Ale nie na Ukrainie, nie w Monako i nie tutaj, tak?

- Odpukaj.

- Nie trzeba.

- Co masz na myśli?

- Nie jestem pewna, ale jeśli pamięć mnie nie myli, to coś łączy Ukrainę, Monako i Bawarię.

- Co?
- W żadnym z tych miejsc nie używałam iPhone'a, bo mieliśmy iridium. Nawet go nie włączałam do wczorajszego wieczoru... Chociaż nie. Sprawdziałam pocztę, kiedy wylądowaliśmy w Salzburgu.
- Jesteś pewna?
- Raczej tak. Mogli zainstalować w nim pluskwę?
- Technicznie to wykonalne, ale kiedy mieliby to zrobić? Przecież nie spuszczałaś go z oka, prawda?
- Zostawiłam go w pensjonacie, gdy wybraliśmy się podnieść molcha.
- Cholera. A na Rum Cay, w Marsylii i na Elbie tylko go włączałaś czy wchodziłaś do Internetu?
- Jedno i drugie.
- Chołkow mógł zainstalować transponder. Ilekroć włączysz zasilanie lub wejdiesz do Internetu, transponder wepnie się do GPS-u iPhone'a i wyśle Chołkowowi sygnał „tutaj”.

Remi westchnęła ciężko.

- Myślisz, że oni... - zaczęła się obracać dookoła, ale Sam ją powstrzymał.
- Przekonamy się, jak będziemy schodzili na ląd. Kiedy ostatni raz włączyłaś zasilanie? W hotelu?
- Tak.
- Nie zauważyłem, żeby ktoś nas śledził dziś rano.
- Ja też nie, ale przy tych tłumach trudno być pewnym.
- Niestety Schonau to małe miasteczko. Mogli nas po prostu zobaczyć z daleka i obserwować, jak wsiadamy na stateczek.
- Więc co zrobimy?
- Najpierw skopiujemy zagadki i badania do folderu burn -odparł Sam. - Nie możemy ryzykować, że Chołkow dostanie je w swoje ręce.

Tak jak w przypadku większości ich domowych i osobistych gadżetów, pomajstrował przy iPhone'ach, dodając aplikacje, łącznie z fast folder eraser. Próba otwarcia folderu bez hasła spowodowałaby natychmiastowe usunięcie zawartości.

Kiedy przenieśli swoje dane, Sam powiedział:

- A teraz musimy liczyć na cud.

- To znaczy?

- Że się mylisz. Problem w tym, że to się rzadko zdarza. Pokaż mi swój telefon.

Dała mu iPhone'a, a Sam wyjął swój szwajcarski scyzoryk i zabrał się do pracy.

Przyglądał się dłuższą chwilę rozebranemu iPhone'owi na swoim podółku i wreszcie mruknął:

- Tu jesteś. Remi

schyliła się.

- Masz coś?

Przy użyciu pęsety w scyzoryku Sam wyjął z telefonu czip wielkości paznokcia małego palca. Dwa jednowłóknowe przewody biegły w dół do baterii.

- Oto sprawca - oznajmił.

Na szczęście pluskwa została ustawiona na nadawanie tylko wtedy, kiedy telefon jest włączony, więc żaden sygnał nie mógł zaalarmować Chołkowa, że ją znaleźli. Sam odłączył przewody, schował czip do kieszeni koszuli i zaczął składać iPhone'a.

Dwadzieścia minut później okrążyli półwysep Hirschau. Mgła już się rozviała, więc wyraźnie widzieli kościół Świętego Bartłomieja. Jego czerwone cebulaste kopuły lśniły w słońcu, a za nimi wznosiły się ośnieżone granitowe szczyty. Łąka, na której stał kościół, leżała na kilkunastohektarowym klinie wybrzeża, który ciągnął się do lasu. Były tam dwie przystanie: jedna dla przyplływających i odpływających gości, a druga, bliżej świątyni, z hangarem dla łodzi. Za kościołem, na wyspach zielonej trawy z krętymi ścieżkami, wznosiło się kilkanaście drewnianych budynków różnej wielkości, od rozmiarów domku kempingowego do wysokich jak stodoła.

Kapitan okrążył przystań, czekając, aż inny stateczek wysadzi pasażerów, po czym dopłynął do nabrzeża. Jeden z członków załogi przeskoczył na pomost, przycumował dziób i rufę i otworzył reling.

Przyglądając się towarzyszom podróży w poszukiwaniu znajomych twarzy, Sam i Remi zeszli z pokładu, wrzuciwszy *Trinkgeld* do kubka na przegrodzie.

- Nikogo nie widziałem - rzekł Sam, znalazł się na pomoście i podał rękę żonie. - A ty?

- Też nie.

Ich stateczek przybił do brzegu jako drugi tego ranka. Pasażerowie pierwszego kręcili się jeszcze po przystani i wokół sklepu z pamiątkami, pstrykali zdjęcia i studiowali mapki. Sam i Remi ruszyli wzdłuż otaczającego przystań drewnianego płotu, uważnie przyglądając się twarzom mijanych ludzi.

Przez paplaninę turystów przebijały się głosy przewodników:

- Zbudowany w XII wieku kościół Świętego Bartłomieja, patrona alpejskich rolników i dójek...
- ...wnętrze zaprojektowano na wzór katedry salzburskiej, a stiuki na zewnątrz wykonał słynny salzburski artysta Josef Schmidt...
- ...do roku 1803 sąsiadujący z kościołem domek myśliwski należał do książąt proboszczów Berchtesgaden, z których ostatni...
- ...kiedy Berchtesgaden stało się częścią Bawarii, domek myśliwski upodobał sobie Wittelsbach...

Sam i Remi okrążyli przystań i znaleźli się z powrotem przy nabrzeżu. Nie zobaczyli żadnych znajomych twarzy. Niecały kilometr od nich dwa następne stateczki opływały półwysep.

- Możemy tu poczekać i przyjrzeć się pasażerom - powiedział Sam - albo wmieszać się w tłum i zacząć szukać wskazówek.
- Nie przepadam za czekaniem - odparła Remi.
- Ja też nie. Chodźmy.

Weszli do sklepu z pamiątkami, gdzie kupili dwie bluzy sportowe - jedną jasnożółtą, drugą granatową - i dwa miękkie kapelusze z opadającym rondem. Zapłacili i od razu włożyli nowe stroje. Gdyby Chołkow i jego ludzie śledzili ich od przystani w Schonau, to prowizoryczne przebranie pomogłoby im zgubić się w tłumie, który urósł już do ponad dwustu osób.

- Gotowa? - spytał Sam.
- Jak zawsze - odparła Remi, chowając włosy pod kapelusz.

Kręcili się po przystani, fotografując jezioro i góry, aż po mniej

więcej półgodzinie Remi powiedziała:

- Widzę go.
- Gdzie? - zapytał Sam, nie odwracając się.
- Na statku, który krąży w oczekiwaniu na przybicie do przy stani. Prawa burta, czwarte okno od rufy.

Sam odwrócił się, wycelował obiektyw w jezioro i uchwycił nadpływający stateczek w rogu klatki. Zrobił zbliżenie, pstryknął kilka zdjęć i opuścił aparat.

- Tak, to Chołkow. I jeszcze trzech innych. Zaczekaj tu.

Zsunął kapelusz na oczy i ruszył w kierunku nabrzeża.

- Proszę poczekać! - zawołał do członka załogi, który przy gotowywał się do odcumowania statku. - Zapomniałem zostawić *Trinkgeld*.
- Uniósł banknot o nominale dziesięciu euro.
- Oczywiście, proszę bardzo - odpowiedział mężczyzna.

Sam wskoczył na pokład, wrzucił pieniądze i transponder do

kubka na *Trinkgeld* i wrócił na nabrzeże. Kiedy był w sklepowej toalecie, przymocował do czipu zapasową baterię do zegarka samoprzylepnymi metkami z ceną z bluz. Przypuszczał, że bateria będzie zasilala transponder najwyżej pół godziny, ale uznał, że to wystarczy.

- Myślisz, że się uda? - zapytała Remi.
- Na pewno. Muszą pójść za transponderem, nie mają wybo ru. Pytanie, jak Chołkow to rozegra?

Sam i Remi wmieszali się w tłum, który zdązał szeroką, wysypaną białym żwirem ścieżką w stronę kościoła. Były tam głównie grupy prowadzone przez przewodników, ale i całkiem sporo amatorów samodzielnego zwiedzania. Chołkow i jego trzech towarzysze właśnie schodzili na ląd.

- Myślisz, że są uzbrojeni? - spytała Remi.
- Mogę się założyć.
- Spróbujmy poszukać ochroniarzy, pewnie jacyś tu są.
- Nie chcę nikogo narażać. Kto wie, co zrobi Chołkow? Poza tym wciąż jesteśmy krok przed nimi. Szkoda to zmarnować. Chodźmy dalej, znajźmy to, po co przyjechaliśmy, i wynośmy się stąd.
- Okej - zgodziła się Remi. - Więc wróćmy do zagadki. Pierwszą część rozwiąaliśmy, ale zostały nam dwie linijki: „Geniusz z Jonii, jego krok walką rywali” i „Trio Węglów, czwarty zgubiony, wskaże drogę do Fryzyngi”. Coś w tej pierwszej linijce nie daje mi spokoju.
- Co konkretnie?
- Coś z historii. Umyka mi jakiś związek.

Za nimi rozległ się głos:

- Przepraszam... przepraszam...

Odwrócili się i zobaczyli kobietę o kulach, która próbowała ich wyprzedzić. Usunęli się na bok. Kobieta uśmiechnęła się w podzięcie, gdy ich mijała. Remi zmrużyła oczy i popatrzyła za nią.

- Znam tę minę - powiedział Sam. - Coś ci nie pasuje?

Remi skinęła głową, nie odrywając wzroku od kobiety.

- Jej kule. Prawa jest krótsza.
- No i?
- Ujmę to inaczej: jej krok nie jest „walką rywali” - odparła Remi nagle rozpromieniona. - Chodź. - Pobieglą ścieżką w stronę kościoła, zatrzymała się przy ogrodzeniu, upewniła, że są z dala od wścibskich uszu, i zaczęła stukać w ekran swojego iPhone'a. - Mam! Słyszałeś o Związku Jońskim, konfederacji greckich miast-państw utworzonej po drugiej wojnie perskiej?

- Owszem.
- Jednym z członków Związku Jońskiego była wyspa Samos, miejsce urodzenia Pitagorasa zwanego również „geniuszem z Samos”.
- Nadal nie nadążam.
- Kule tamtej kobiety... jedna krótsza od drugiej. Jeśli wysilisz wyobraźnię, to tworzą trójkąt nierównoboczny.

Teraz Sam załapał. Uśmiechnął się.

- Pitagoras był autorem twierdzenia dotyczącego trójkąta równoramiennego...
- „Jego krok walką rywali” - zacytowała Remi.
- Więc szukamy trójkąta równoramiennego.
- Zgadza się. Prawdopodobnie oznaczonego stemplem cykady Laurenta. Zostaje nam jedna linijka: „Trio Węglów, czwarty zgubiony, wskaże drogę do Fryzyngi”.

Sam obejrzał się przez ramię i obserwował tłum, dopóki nie zauważył Chołkowa, który okrążał przystań. Jego ludzie musieli być niedaleko. Już miał odwrócić się z powrotem, gdy zobaczył, jak Chołkow wyjmuje z kieszeni blackberry i patrzy na ekran. Podniósł gwałtownie głowę, rozejrzał się dookoła i przywołał gestem kogoś w tłumie. Dziesięć sekund później podeszli jego trzej kompani. Coś do nich mówił i po chwili dwaj pobiegli w stronę nabrzeża, a Chołkow i trzeci mężczyzna ruszyli ku ścieżce do kościoła.

- Chwycili przynętę - powiedziała Remi.
- Ale nie wszyscy. Tego się obawiałem. Pytanie, kiedy Chołkow uświadomi sobie oczywiste.
- To znaczy?
- Że jesteśmy w pułapce. Jedyne, co muszą zrobić, to obstawić nabrzeże i czekać, aż wrócimy.

Węgieł - mruknęła Remi, myśląc na głos. - Musi chodzić o coś związanego z architekturą. Nie widzę innej możliwości.

Sam przytaknął z roztargnieniem, zaabsorbowany obserwacją Chołkowa i jego partnera, którzy byli w połowie ścieżki do kościoła i rozglądali się bacznie na wszystkie strony.

- Tutaj jest mnóstwo narożników - ciągnęła Remi - ale musimy założyć, że nie chodzi o żaden z drewnianych budynków.

Dotarli do *Biergarten* otoczonej niskim żywopłotem. Bawarska orkiestra dęta grała jakąś ludową melodię, a goście siedzący przy stolikach pod parasolami klaskali i śpiewali. Fargowie minęli piwiarnię i przeszli wokół tylnej części kościoła do trawnika od północy.

Tam Sam przystanął.

- Popatrz - powiedział do żony.

Remi powiodła wzrokiem za jego wyciągniętą ręką. Trzydzieści metrów od nich, na środku trawnika, stał mniej więcej metrowy kamienny postument. Na jego szczycie zamontowano ozdobny sekstant z brązu, przyrząd używany niegdyś do mierzenia wysokości słońca nad horyzontem. Był kilka razy większy od typowego sekstantu, miał bowiem boki długości około metra dwadzieścia, a jego teleskop przypominał lufę garłacza.

Fargowie podeszli bliżej.

- Jest jakaś tabliczka - powiedziała Remi. - Po niemiecku.

Sam pochylił się, odczytał napis i przetłumaczył:

- Podarowany w sierpniu 1806 roku elektorowi Maksymilianowi I Józefowi z rodu Wittelsbach, członkowi Związku Reńskiego i królowi Bawarii, przez Napoleona I, cesarza Francji.

- Jeśli to nie jest wskazówka, to nie wiem, co może nią być - rzekła Remi, kucając przy postumencie. - Spójrz na to, Sam.

Podszedł do żony i przykucnął obok niej. Pionowe ramię sekstantu przesuwające się po łuku z nacięciami, z których każde oznaczało jedną szóstą stopnia, było ustawione na siedemdziesiąt stopni.

- To nie trio - stwierdziła Remi. - Szkoda, że nie jest ustawione na trzy.

Sam nagle chwycił ją za ramię i pociągnął za postument. Przez sekstant zobaczyli, jak Chołkow i jego towarzysz idą ścieżką w stronę budynków wznoszących się bliżej drzew.

- A gdy przyjąć - myślał głośno Sam - że te „węgły” to nie narożniki, tylko kliny - jakaś ilość nacięć na łuku sekstantu...

- Mów dalej - ponagliła go Remi.
- Pamiętasz ostatnią linijkę: „Trio Węglów, czwarty zgubiony, wskaże drogę do Fryzyngi”. Może czwarty klin dopełnia całości. Całość to ile procent?
- Sto.
- Zatem każdy klin to ćwierć całości. Ile jest nacięć na łuku?

Remi sprawdziła.

- Sto czterdzieści dwa.

Sam obliczył w pamięci:

$$142 : 4 \text{ kliny} = 35,5 \text{ } 35,5$$

$$\times 3 \text{ kliny} = 106,5$$

Spróbujmy sobie wyobrazić - kontynuował - że teleskop jest ustawiony pod kątem stu sześciu stopni.

Oboje ukłękli za sekstantem i wyobrazili sobie teleskop w innej, wyższej pozycji. Celowałby prosto w najbardziej wysuniętą do przodu wieżyczkę na szczytach cebulastych kopuł.

- Chyba o tym się mówi, że X wyznacza punkt - powiedziała Remi.
- T rój kąt wyznacza punkt - poprawił ją Sam. - Miej my nadzieję.

Nie zdążyli zrobić dziesięciu kroków w stronę kościoła, gdy przez głośniki podano komunikat, najpierw po niemiecku, potem po angielsku:

- Uwaga, zwiedzający. Przepraszamy za niedogodność, ale właśnie zostaliśmy ostrzeżeni, że nadciąga burza. Z powodu spodziewanego silnego wiatru będziemy zmuszeni wcześniej zamknąć kompleks. Prosimy o bezzwłoczne, ale spokojne udanie się na przystań i stosowanie się do poleceń personelu kompleksu. Dziękujemy.

Wokół Sama i Remi rozległy się głosy rozczarowania. Turyści podnosili głowy i patrzyli na błękitne niebo.

- Nie widzę żadnych... - zaczął Sam.
- Tam - weszła mu w słowo Remi.

Na południowym zachodzie nad szczytami gór przetaczał się wąski pas ciężkich czarnych chmur. Spływały po zboczach w kierunku jeziora niczym spowolniona fala.

Turyści ruszyli w stronę przystani, niektórzy truchtem, inni spacerowym krokiem. Członkowie personelu w jasnoniebieskich koszulkach zachowywali się jak pasterze, ponaglając maruderów i pomagając rodzicom zbierać dzieci.

- Nie wiem jak ty - rzekł Sam - ale ja się nie palę do...
- Ja też nie - znów weszła mu w słowo. - Zostajemy. Musimy znaleźć jakąś kryjówkę.
- Chodźmy.

Ruszyli ku brzegowi jeziora, gdzie można było skręcić w lewo do lasu albo w prawo do przystani.

Skręcili w lewo i zaczęli biec truchtem, mijając turystów, którzy podążali w przeciwnym kierunku. Jakiś mężczyzna prowadzący dwóch kilkunastoletnich chłopców zawołał do nich po niemiecku:

- Biegniecie w złą stronę! Przystań jest tam.
- Zgubiłem kluczyki do samochodu - odpowiedział Sam. - Zaraz wracamy.

Chwilę później byli wśród drzew. Ścieżka skręcała w lewo do budynków, ale oni skierowali się na wprost, dając nura pod barierkę i w zarośla. Po trzydziestu metrach zatrzymali się i przykucnęli za rozłożystą sosną. Ołowiane chmury już nadciągnęły nad półwysep i przesłaniały słońce.

Przez następny kwadrans obserwowali turystów gromadzących się na przystani. Jeden ze stateczków wycieczkowych zbliżał się do brzegu, a dwa inne, nadpływające z północy, przedzierały się przez grzywiaste fale.

Kakofonia głosów powoli cichła i od strony przystani dobiegały tylko stłumione okrzyki: „Wszyscy na pokładzie!”. Głośniki, które powtarzały komunikat o ewakuacji, umilkły.

Remi opasała się ramionami.

- Robi się zimno.

Sam wyjął z plecaka ich wiatrówki i wełniane czapki.

- Myślisz, że Chołkow i jego ludzie odплыnęli z innymi? - spytała Remi, zapinając kurtkę.
- Nie mam pojęcia. Gdybym ja był na miejscu Chołkowa, poczekałbym na ostatni stateczek i szukał nas wśród pasażerów wchodzących na pokład.
- Coś mi mówi, że właśnie tak zrobił.
- Zgadzam się z tobą.

Po półgodzinie ostatni stateczek odbił od przystani. Wiatr przybierał na sile, sosnowe szyszki spadały na ziemię, liście fruwały wśród zarośli. Śnieg zaczynał się gromadzić za pniami drzew i na trawie, ale natychmiast topniał na nagranych słońcem żwirowych ścieżkach, z których unosiły się smugi pary tworzące maleńkie wiry w podmuchach wiatru.

- Chodźmy się rozejrzeć - zaproponował Sam. - Trzeba się gdzieś ogrzać.

Wrócili na ścieżkę, ruszyli nią w głąb lądu i dotarli do polany, na której stała duża chata z bali. Miała prawie trzydzieści metrów długości, spadzisty dach i panelowe okna. Na tylnej ścianie były schody prowadzące do drzwi na piętrze. Sam i Remi wspięli się po stopniach. Drzwi okazały się niezaryglowane. Otworzyli je i znaleźli się na poddaszu. W środku panował mrok, tylko trochę światła sączyło się przez brudne szyby.

- To nie Four Seasons, ale przynajmniej nie wieje - stwierdził Sam.

- Dobrze i to - przyznała Remi, strzepując śnieg z kurtki.

Poszukali zacisznego, w miarę ciepłego kąta i usiedli.

Przez następne pół godziny rozważali dalsze posunięcia. Nie wiedzieli, czy ktoś z personelu pozostał, by pilnować kompleksu, uznali jednak, że nie warto martwić się na zapas. Wiatr nieco osłabł, za to śnieg padał coraz gęściej. Konary sosen uderzały

o ściany chaty niczym palce kościotrupa.

Nagle Remi rozejrzała się, jakby coś usłyszała.

- Co? - zapytał Sam szeptem.

Położyła palec na ustach i wskazała okno. Po chwili rozległo się skrzypienie śniegu pod butami, a potem odgłos kroków na schodach. Ktoś wchodził na górę po drewnianych stopniach. Sam wstał, podkradł się do drzwi, zaryglował je i wrócił do żony. Chwilę później klamka poruszyła się ze zgrzytem. Znowu cisza, potem tupot nóg na schodach i skrzypienie śniegu pod butami.

Drzwi na dole się otworzyły.

Remi przysunęła się do Sama. Otoczył ją ramionami.

Usłyszeli kroki, tym razem dwóch ludzi. Weszli do chaty i przystanęli. Snop światła latarki omiółł sufit, przesunął się po balustradzie na strychu i zgasł.

- Halo? - zawołał męski głos. - Personel kompleksu. Jest tu ktoś?

Remi spojrzała pytająco na męża. Pokręcił głową i wymówił bezgłośnie: „Chołkow”.

- Jest tu ktoś? Trwa ewakuacja z powodu złej pogody - za wołał znów Chołkow po niemiecku, a kilka sekund później dodał po angielsku: - Nikogo tu nie ma. Sprawdźmy w innych budynkach.

Znów kroki. Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Sam uniósł dłoń i położył palec na ustach.

Minęła minuta. Dwie. Pięć. Z dołu dobiegło

szurnięcie buta po drewnie.

- Nie ma ich tu - powiedział Chołkow.

- Naprawdę myślisz, że nie odpłynęli? - zapytał ktoś. - Dlaczego?

- Bo ja tak bym zrobił. I wiem, że są zbyt uparci, aby powstrzymała ich drobna zmiana pogody.

Drzwi otworzyły się, zamknęły i śnieg zaskrzypiał pod butami. Gdy kroki ucichły, Sam podpełzł na

czworakach do balustrady. Spojrzał w dół, odwrócił się i pokazał Remi uniesiony kciuk.

- Serce wali mi jak młot pneumatyczny - wykrztusiła.
- Witaj w klubie - odparł Sam. - Chodźmy.
- Musimy uważać, żeby nie zostawić śladów.
- Oni nie uważali. Wykorzystajmy to.

Wymknęli się z poddasza, zeszli po schodach i ruszyli po śladach Chołkowa. Przystawali co trzy metry, rozglądali się i nasłuchiwali. Woleli zachować wyjątkową ostrożność, bo Rosjanin był zawodowcem; mógł zawrócić i czekać w zasadzce. Musieli zlokalizować Chołkowa i jego partnera, pozostając w ukryciu.

Pogoda nie ułatwiała im zadania. Śnieg padał coraz intensywniej i widoczność spadła do niecałych trzydziestu metrów, a ślady stóp Chołkowa już znikwały. Po piętnastu minutach dotarli do rozwidlenia ścieżki. Odgałęzienia w prawo i w lewo prowadziły do dwóch murowano-drewnianych domków, na wprost stał budynek

o wyglądzie stodoły. Za nim, ledwo widoczny w padającym śniegu, majaczył ciemny dach przybudówki kościoła.

Z lewej strony dobiegł przytłumiony odgłos zamykanych drzwi.

Sam i Remi dali nura ze ścieżki i schowali się w zaroślach. Po dziesięciu sekundach na ścieżce na lewo od nich pojawiły się dwie postacie. Przecięły skrzyżowanie i zniknęły wśród drzew w drodze do jednego z domków. Chwilę później zaskrzypiały drzwi.

Sam wrócił na ścieżkę, podkraść się do rozwidlenia i spojrzął w prawo. Odwrócił się, przywołał gestem Remi i razem pobiegli przeciwległą ścieżką do domku, z którego dopiero co wyszedł Chołkow. Dali nura do środka, zamknęli drzwi i przykucnęli przy oknie.

Po dziesięciu minutach Chołkow i jego towarzysz wyłonili się ze śnieżycy i skręcili na skrzyżowaniu w stronę przybudówki kościoła. W ciągu kilku sekund znowu zasłonił ich padający śnieg.

- Ile zaczekamy? - spytała Remi.

Sam wyjął z kieszeni prospekt i spojrzął na plan kompleksu.

- Między tym miejscem a kościołem jest jeszcze jeden budynek. Nie wiadomo, czy już go przeszukali.
- Więc chodźmy dalej i miejmy nadzieję, że zobaczymy ich wcześniej niż oni nas.
- Może tak - odparł Sam w zamyśleniu. - A może nie. - Się gnął do plecaka po aparat fotograficzny i zaczął wyświetlać zdjęcie na ekranie LCD. - Popatrz. Pstryknąłem to, kiedy okrążyliśmy przystań. - Wręczył Remi aparat.

Zdjęcie pokazywało hangar dla łodzi. Przez częściowo otwarte wrota widać było biały dziób motorówki.

- Muszą jej używać w sytuacjach awaryjnych - powiedziała Remi. - Za nią stoją jeszcze dwie.

Sam uśmiechnął się i skinął głową.

- Znam tę minę - stwierdziła Remi. - Trybiki w mózgu się obracają. Co wymyśliłeś?

- Mały pościg za cieniem w stylu MacGyvera.

- Jak na podstęp to zbyt oczywiste.

- Zgoda, ale przynajmniej będą mieć dylemat: gonić, rozdzielić się czy zostać. Nie mogą sobie pozwolić, żeby nas zgubić. W każdym razie nasze szanse wzrosną.

Wyszli z domku, wrócili po śladach Chołkova na ścieżkę i skręcili w lewo. Szlak rozwidlał się przy ostatnim budynku przed kościołem. Białego puchu szybko przybywało; na trawie leżało już prawie dziesięć centymetrów śniegu, drzewa wyglądały jak kosmate. Alpejska wiosna zamieniła się w zimę.

Ślady Chołkova prowadziły w prawo, więc skręcili w lewą ścieżkę, przywarli do ściany budynku i ruszyli wzdłuż niej, schylając się pod oknami i zatrzymując co kilka kroków, by się rozejrzeć i nasłuchiwać. Dotarli do rogu, przystanęli. Dokładnie na wprost była przybudówka kościoła. Na prawo od nich ciągnął się płot sztachetowy, łąka i ścieżka prowadząca do przystani. Na lewo ledwo widzieli sekstant, a za nim jezioro, które przesłaniał padający śnieg.

Remi pociągnęła Sama za rękaw, wskazała głową ścianę i wymówiła bezgłośnie słowo „wibracje”. Przyłożył ucho do ściany. Usłyszał odgłos kroków na drewnianej podłodze, a po chwili skrzypnięcie drzwi. Wyrzwał zza rogu, szybko się cofnął i przywarł do ściany. Remi zrobiła to samo.

273

18 - Złoto Spartan

Chwilę później Chołkow i jego partner pojawili się na ścieżce wiodącej do przybudówki kościoła. Sam i Remi zaczęli czekać, aż znikną w drzwiach, potem puścili się sprintem przed siebie i ukryli w otwartej dREWUTNI.

- Dajmy im minutę - szepnął Sam. - Jeżeli już przeszukali kościół, to szybko wyjdą. Jeśli nie, to pobiegnę do hangaru dla łodzi.

- A co ja mam robić? Sterczeć tutaj?

- Mniej więcej.

- Ani mi się śni.

Sam ścisnął jej dłoń.

- Jak wystartuję, schowaj się za drewnem i siedź cicho. Jeśli oboje się ruszymy, podwoimy ryzyko, że nas zobaczą.

- Więc lepiej trzymaj się mnie - odrzekła Remi, wstając. - Idziesz?

Sam westchnął.

- Idę.

Pochyleni, popędzili w lewo wokół kościoła, uważając, by biec po trawie, a nie zwirową ścieżką. W ciągu minuty dotarli do styku drewnianej ściany przybudówki z białym murem świątyni, przemknęli wzdłuż jego krzywizny do nadbrzeżnej ścieżki i zatrzymali się. Od hangaru dla łodzi dzieliło ich piętnaście metrów.

Drzwi były otwarte.

W mrocznym wnętrzu, tuż za progiem, dostrzegli jakiś ruch. Chołkow wyszedł na zewnątrz, za nim jego partner. Rozmawiali chwilę, rozglądając się dookoła, w końcu Chołkow wskazał przystań i ruszyli w jej stronę. Sam i Remi zaczęli, aż będą w połowie drogi, po czym puścili się sprintem naprzód i wpadli do hangaru.

Miał wielkość garażu dla dwóch samochodów i był podzielony na trzy części wiszącymi na linach pomostami z desek. W każdym basenie stała pomarańczowo-biała łódź Hans Barro. Zamknięte wrota były zaryglowane drewnianą antabą.

Sam podeszedł do nich środkowym pomostem, podniósł antabę i uchylił wrota na kilka centymetrów.

- Sprawdźmy, czy są kluczyki - szepnął.

Zajrzeli do każdej łodzi; kluczyków nie było.

- To wyjaśnia, co tu robił Chołkow - zauważyła Remi. - Odciął nam drogę ucieczki. Albo personel trzyma kluczyki gdzie indziej.

- Tak czy inaczej, coś mi mówi, że nie ograniczyłby się do zabrania kluczyków, żeby nas tu uziemić - odparł Sam.

Otworzył pokrywę silnika każdej łodzi i obejrzał je w świetle miniaturowej latarki diodowej. We wszystkich brakowało przewodu rozrusznika.

- Nie przeciął ich, tylko zabrał - powiedziała Remi, zaglądając mężowi przez ramię.

- Sprytne, ale nie dość - mruknął Sam. Od czasu kiedy nauczył się trzymać śrubokręt, majstrował przy różnych urządzeniach. Zaczął od tosterki matki, gdy miał pięć lat, a na studiach i podczas pracy w DARPA wyćwiczył swoje umiejętności do perfekcji. - Obserwuj, czy nikt nie idzie - polecił żonie.

Remi podeszła do drzwi, przykucnęła i wyjrzała przez szparę między zawiasami.

Sam wszedł do środkowej łodzi, zapalił latarkę i, włożywszy ją między zęby, wczołgał się pod konsolę sterowniczą. Instalacja elektryczna okazała się prosta, więc szybko znalazł przewody układu zapłonowego, reflektora, syreny i wycieraczek przedniej szyby. Cztery cięcia scyzorykiem szwajcarskim i miał dwa osiemnastocentymetrowe kawałki kabla. Odizolował końce, zrobił na nich pętle, jeden przewód połączył z solenoidem silnika, a drugi schował do kieszeni.

- Co jeszcze? - szepnął w zamyśleniu. - Coś prostego, ale nie oczywistego.

Remi obejrzała się i wzruszyła ramionami.

- Pytasz niewłaściwą dziewczynę. Możesz wykombinować dla nich coś nieprzyjemnego?

- Na przykład bombę? Niestety nie. Za mało tu tego.

Myszkował dalej. Po dwóch minutach znalazł to, czego szukał:

odgiętą szczotkę w alternatorze. Przywrócił ją do poprzedniej pozycji.

Zadowolony, że odkrył wszystkie sztuczki Chołkowa, znów dał nura pod deskę rozdzielczą, znalazł przewody zapłonowe, odizolował je i zostawił dyndające. Wypełzył z powrotem, wspiął się na pomost i rozejrzał. Po chwili zobaczył to, czego potrzebował - na przymocowanej do ściany płycie z kołkami wisiała sześćdziesięciocentymetrowa elastyczna linka z hakiem na każdym końcu. Przymocował ją najpierw do koła sterowego, a potem do przepustnicy, którą pchnął do oporu. Następnie odcumował dziób i rufę łodzi i rzucił liny do wody.

Przyszedł czas na trudniejszą część: synchronizację.

- Jak wygląda sytuacja? - zapytał Remi.
- Sam zobacz. Ani śladu tamtych.

Podkradł się do drzwi i wyjrzał. Przystań przesłaniał padający śnieg.

- Jak tylko usłyszysz, że silnik zaskoczył - powiedział - biegnij do drewni. Tam się spotkamy.
- Dobra.
- Remi zajęła pozycję przy drzwiach, a Sam wrócił do łodzi i znów się wczołgał pod konsolę sterowniczą.
- Trzymaj kciuki - mruknął, zetknął odsłonięte przewody zapłonowe i skręcił je razem. Zaiskrzyło i strzeliło. Sam wycofał się, przeskoczył na pomost i popędził do drzwi.
- Teraz - zawołał.

Remi wyjrzała i wypadła w mrok.

Silnik łodzi ożył. Szary dym buchnął z kolektora wydechowego i wypełnił hangar. Woda pod rufą zamieniła się w kipiel, motorówka wystartowała, wypłynęła przez wrota i zniknęła w śnieżycy.

- Stopy wody pod kilem - powiedział Sam, odwrócił się i po biegł.

49

Dał trzy susy za próg, gdy na lewo od siebie usłyszał przytłumiony przez śnieg okrzyk:

- Tam!

Nie wiedząc, czy chodzi o motorówkę, czy o niego, skręcił w prawo wzdłuż krzywizny budynku i popędził przez trawnik w kierunku sekstantu. Gdyby Chołkow i jego partner go ścigali, nie chciał ich doprowadzić do Remi.

Kiedy zobaczył przed sobą sekstant, rzucił się głową naprzód za postument, padł na ziemię i obejrzał się. Po kilku sekundach usłyszał tupot na żwirze i zobaczył, jak dwie postacie wyłaniają się zza rogu budynku i dają nura do hangaru dla łodzi. Zastanawiał się, ile czasu zajmie Chołkowowi uruchomienie silnika. Z przewodem solenoidu mógł się uporać w niecałą minutę, ale przywrócenie koła zamachowego do właściwej pozycji było trudniejsze. Im dłużej to potrwa, pomyślał, tym mniejsze będzie miał szanse na znalezienie uciekającej łodzi.

Minęła minuta. Dwie. Silnik ożył i nabrał obrotów. Po kilku sekundach warkot się oddalił i wreszcie ucichł. Sam wstał, poszedł za kościół i zastał Remi przykucniętą w półmroku drewni.

- Słyszałam - powiedziała. - Ile zyskaliśmy czasu?

- Co najmniej dziesięć minut. Przy tej pogodzie mniej więcej tyle zajmie im znalezienie naszego wabika. Chodźmy.

Pomógł jej wstać. Wspięli się po schodach do tylnych drzwi i weszli do środka.

Po lodowatym wietrze i zacinającym śniegu wewnątrz kościoła wydawało się rajem. Świątynia okazała z zewnątrz, w środku była zaskakująco skromna: czerwonawobrazowe kamienne kafle, podniszczone drewniane ławki i białe ściany ozdobione ikonami. Nad ich głowami wzdłuż tylnej ściany biegł balkon, sklepiony sufit zdobiły misterne malunki. Przez wysokie okna w bocznych ścianach wpadało mlecznobiałe światło.

Doszli środkową nawą do wąskich drzwi. Za ich progiem zastali półkolistę pomieszczenie ze spiralnymi schodami. Ruszyli na górę. Trzydzieści czy czterdzieści stopni wyżej zobaczyli drewnianą klapę w suficie zabezpieczoną skoblem i niezamkniętą kłódką.

Remi się uśmiechnęła.

- Najwyraźniej ktoś przeoczył jedną pozycję na liście wyjść ewakuacyjnych.

- Mamy szczęście - rzekł Sam. - Nie paliłem się do zbezczeszczenia zabytkowej bawarskiej świątyni.

Zdjął kłódkę i otworzył skobel. Uniósł ostrożnie klapę, wspiął się przez właz, pomógł Remi wejść na górę i zamknął go. Ciemność w ośmiobocznym pomieszczeniu rozjaśniało tylko światło sączące się przez szpary w okiennicach. Zapalili latarki i zaczęli się rozglądać.

- Tutaj - powiedziała Remi i uklękła. - Coś mam.

- Ja też - odrzekł Sam, podchodząc do żony. Przyjrzał się temu, co oświetlała. Na grubej desce pod oknem widniał symbol cykady, ledwie widoczny spod kilku warstw farby i lakieru.

- Twój jest taki sam? - zapytała Remi.

Skinął głową i przenieśli się pod przeciwległą ścianę. Drugi symbol cykady był odcisnięty w drewnie.

- Dlaczego dwa? - zastanawiał się Sam.

- Słowa „Trio Węglów” muszą się odnosić nie tylko do sek-stantu.

Odszukanie trzeciego symbolu zajęło im niecałe pół minuty. Dwa pierwsze były blisko frontu wieży, a trzeci z tyłu.

- Uporządkujmy to - zaproponował Sam.

Ukucnęli obok cykady na przeciwległych ścianach i wyciągnęli ręce tak, że każde wskazywało symbol drugiego oraz trzeci.

- To jest trójkąt równoramienny - zauważył Sam.

- Owszem. Ale w którą stronę ma wskazywać?

- Gdybyśmy wydłużyli linie, to te dwie z przodu wskazywałyby jezioro i góry, a trzecia łąd za nami.

Sam opuścił ręce, usiadł pod ścianą i dłuższą chwilę się zastanawiał. Wreszcie spojrział z uśmiechem.

- Co? - spytała.

- Ostatnia część linijki - odparł. - Wiedziałem, że jest w niej coś znajomego. - Sięgnął do kieszeni spodni po prospekt i przerzucił kartki.
- Tutaj. - Podał broszurę żonie. - Fryzynga.

Remi przeczytała wskazany fragment:

- „Do roku 1803 sąsiadujący z kościołem domek myśliwski należał do książąt proboszczów Berchtesgaden, z których ostatni, Joseph Konrad von Schroffenberg-Mos, był również biskupem Freisingu”.

- Czytałem coś o tym podczas naszych badań - powiedział Sam

- ale umknęło mi. W VIII wieku Freising nazywał się Fryzynga.

- Więc ten Schroffenberg-Mos był tutaj?

- Tak, mieszkał w domku myśliwskim.

Zeszli po spiralnych schodach, wrócili do tylnych drzwi kościoła i ruszyli ścieżką w stronę lasu. Pięć minut później byli przy chacie, w której się wcześniej ukryli. Przystanęli przed tabliczką na słupku obok frontowych drzwi.

- „Prywatny domek myśliwski ostatniego księcia proboszcza Berchtesgaden, Josepha Konrada von Schroffenberga-Mosa” -przeczytała Remi.

- „Z niegdysiejszej Fryzyngi” - dokończył Sam.

Weszli do środka. Ściany chaty zbudowano z drewna, ale podstawy pionowych wsporników konstrukcji i fundament, który wystawał z ziemi na wysokość pół metra, zrobiono z kamiennych bloków.

- Obejrzyjmy najpierw kamień - zaproponował Sam. - Drewno można łatwo zastąpić; kamień nie.

- Jak stoimy z czasem? - spytała Remi. Sam

spojrzał na zegarek.

- Minęło piętnaście minut od ucieczki naszego królika.

Wiedzieli, czego szukać, więc rozdzielili się i posuwali się

schyleni wzdłuż ścian, oświetlając latarkami kamienne bloki.

- Konik polny wyznacza punkt - zawołała Remi. Kłęczała obok podstawy wspornika pod strychem.

Sam podbiegł i ukucnął przy niej. W lewym górnym rogu bloku widniała wybita stemplem znajoma cykada.

- Wygląda na to, że jednak będziemy musieli dopuścić się małego zbezczeszczenia - powiedziała Remi.

- Zrobimy to delikatnie.

Sam rozejrzał się, podszedł do kominka z otwartym paleniskiem, chwycił stalowy pogrzebac z gzymsu i zabrał się do pracy. Koniec pogrzebaczki miał kształt łopatki i był szerszy niż szpary między kamieniami, minęło więc dziesięć cennych minut, zanim zdołali trochę wysunąć blok. Gdy wyciągnęli go, Remi sięgnęła ręką do wnęki.

- Wokół podstawy jest pusto - powiedziała. - Zaczekaj...

Położyła się na podłodze i wsunęła rękę do dziury aż po łokieć. Zamarła i wytrzeszczyła oczy.

- Drewno.
- Podstawa?
- Nie, nie sądzę. Wyciągnij mnie.

Sam chwycił ją za kostki i odciągnął od ściany. Jej dłoń zaciskała się na podłużnej drewnianej skrzynce.

Patrzyli na skrzynkę w milczeniu przez długich dziesięć sekund.

W końcu Remi uśmiechnęła się i powiedziała:

- Jesteś mi winien manikiur.

Sam odwzajemnił uśmiech.

- Załatwione.

Ciężar skrzynki wskazywał, że nie jest pusta. I rzeczywiście. Na słomianej wyściółce leżała zawinięta w ceratę kolejna butelka z zaginionej piwnicy Napoleona.

Sam zamknął wieko.

- Nie wiem jak ty, ale ja mam dość zwiedzania na jeden dzień.
- Ja też.

Włożył skrzynkę do plecaka i wyszli na polanę. Byli za daleko od hangaru dla łodzi, żeby usłyszeć silnik wracającej motorówki, więc ruszyli zwawym krokiem i wkrótce dotarli z powrotem do kościoła.

Remi przytaknęła i opasała się ramionami. Sam objął ją i energicznie rozmasował jej plecy.

- Niedługo będziemy pili rozgrzewającą brandy - obiecał.
- Na to liczę - odparła.

Ruszyli wzdłuż ścian kościoła, kierując się do frontu budowli. W odległości trzech metrów od ostatniego załomu Sam przystanął, dał Remi znak, żeby zaczekała, podkrał się do rogu i wyjrzał zza węgła. Po kilku sekundach wrócił.

- I co? - szepnęła.
- Żadnego ruchu, ale drzwi są tylko uchylone. Nie widzę, ile łodzi jest w środku.
- A na przystani?
- Też spokój, ale przez ten śnieg...
- Ciii... - Remi przechyliła głowę i zamknęła oczy. - Posłuchaj.

Po kilku sekundach Sam usłyszał gdzieś w oddali słaby warkot

silnika.

- Ktoś tam jest - powiedziała Remi.

- Nie machnęliby ręką na wabika - odparł. - Albo jeszcze go ścigają, albo już wracają.

- Słusznie. Teraz albo nigdy.

Sam jeszcze raz wyrzwał zza rogu i przywołał Remi gestem. Wzięli się za ręce, wypadli z ukrycia, popędzili do hangaru i dali nura do środka. Oprócz motorówki, którą wysłali na wabia, brakowało tej z prawej strony.

Remi wskoczyła na pokład jedynej pozostałej łodzi i usiadła za sterem. Sam postawił swój plecak z boku, uniósł pokrywę silnika, szybko zainstalował prowizoryczny przewód solenoidu i dogiął szczotkę do właściwej pozycji. Zamknął pokrywę, wpełzł pod deskę rozdzielczą i zwarł kable zapłonowe na krótko.

- Okej - powiedział, wyczołgując się z powrotem. - Spadamy...

- Sam, drzwi!

Obejrzał się błyskawicznie. Do hangaru wbiegała jakaś postać. Samowi mignęła przelotnie twarz mężczyzny: partner Chołkowa. Odwrócił się za progiem i uniósł rękę z krótkolufowym rewolwerem. Sam zareagował w ułamku sekundy. Chwycił najbliższy przedmiot - jaskrawopomarańczową kamizelkę ratunkową - i rzucił. Przeciwnik ją odbił, ale Sam zyskał sekundę, której potrzebował, żeby przeskoczyć na pomost i zaatakować. Natarł na mężczyznę i obaj wpadli na ścianę. Sam złapał przeciwnika za nadgarstek ręki z bronią i mocno wykręcił, próbując złamać delikatne w tym miejscu kości. Rewolwer wypalił raz, potem drugi.

Partner Chołkowa był zawodowcem; zamiast skontrolować wygięcie nadgarstka, odwrócił się, wziął zamach lewą ręką i zdzielił Sama sierpowym w skroń. Sam zobaczył wszystkie gwiazdy, ale nie puścił nadgarstka przeciwnika, tylko opasał go prawym ramieniem pod lewą pachą i zgniótł w niedźwiedzim uścisku. Wciąż niewyraźnie widząc, szarpnął głowę do tyłu i uderzył bykiem. Trafił. Nos mężczyzny złamał się z przytłumionym chrzęstem, rewolwer upadł z hałasem na deski. Partner Chołkowa stęknął, odepchnął się od ściany i obaj zatoczyli się do tyłu. Sam stracił równowagę i poczuł, że spada w dół. Zaczerpnął haust powietrza i pogrzyżił się w wodzie.

50

Zimno sparaliżowało go na moment jak porażenie prądem elektrycznym. Sam pokonał naturalny odruch, żeby się wynurzyć dla nabrania powietrza, i postąpił odwrotnie. Wciąż trzymając przeciwnika w niedźwiedzim uścisku, odwrócił się, wyrzucił nogi pionowo do góry, wierzgnął i opadł z nim głębiej. Mężczyzna był ogłuszony i Sam miał nadzieję, że nie zdołał w ostatniej chwili zrobić wdechu zmiażdżonym nosem.

Teraz miotał się i walił Sama szaleńczo prawą ręką, on jednak wytrwale przyjmował ciosy. Nagle przeciwnik przestał go okładać. Sam poczuł jego ramię między nimi i spojrział w dół. Przez ciemną wodę zobaczył, że mężczyzna sięga pod kurtkę i wyciąga nóż. Sam chwycił jego przedramię i spróbował je odepchnąć. Przeciwnik zamachnął się z dołu do góry. Ostrze rozcięło Samowi koszulę; poczuł pieczenie, gdy drasnęło podbrzusze. Nóż wciąż się unosił. Sam puścił lewy nadgarstek mężczyzny i złapał go za uzbrojoną rękę. Bardziej wyczuł, niż zobaczył, jak ostrze zbliża się do jego gardła. Odrzucił głowę do tyłu i odwrócił w bok. Czubek noża drasnął go w szczękę poniżej płatka ucha i przeciął małżowinę.

Wieloletnie treningi dżudo nauczyły Sama wykorzystywania okazji. Przeciwnik z uniesionym prawym, silniejszym ramieniem był w tym momencie najsłabszy. Sam nie zamierzał stracić przewagi. Z lewą ręką wciąż zaciśniętą na nadgarstku ręki z nożem prawą złapał

mężczyznę za wierzch dłoni, szarpnął ją w dół i wykręcił. Kość łokciowa przeciwnika oddzieliła się od nadgarstka z głuchym wystrzałem. Mężczyzna wydał stłumiony krzyk, wypuszczając ustami pęcherze powietrza. Sam wykręcał dalej. Wreszcie nóż wypadł mężczyźnie z dłoni i zniknął z widoku.

Sam znów odwrócił się i wierzgnął, by opaść niżej. Uderzyli w dno. Gdy przeciwnik sięgnął lewą ręką do oczu Sama, zacisnął powieki, odwrócił głowę i walnął go otwartą prawą dłonią w podbródek. Głowa mężczyzny odskoczyła do tyłu i Sam usłyszał przyprawiający o mdłości trzask. Partner Chołkova zadrgał raz, drugi i znieruchomiał. Sam uniósł powieki. Patrzyły na niego martwe oczy przeciwnika. Za głową mężczyzny z piaszczystego dna wystawała poszarpana trójkątna skała. Sam puścił go i bezwładne ciało odplynęła, ciągnąc za sobą smugi krwi. Po chwili zniknęło w mroku.

Sam podkurczył nogi i odepchnął się od dna. Przebił powierzchnię pod deskami jednego z pomostów, odchylił głowę do tyłu

i oddychał głęboko, dopóki nie zaczął odzyskiwać ostrości widzenia.

- Sam! - zawołała Remi. - Tutaj, chodź!

Popłynął w kierunku jej głosu. Mokre ubranie krępowало mu ruchy, miał wrażenie, że macha ramionami w melasie. Poczłł, jak Remi chwytą go za ręce. Złapał się krawędzi nadburcia, a Remi pomogła mu wdrapać się na pokład. Przetoczył się na brzuch i leżał, ciężko dysząc. Remi ukłękła przy nim.

- O Boże, Sam, twoja twarz...

- Wygląda gorzej, niż jest. Kilka szwów i znów będę zabójczo przystojny.

- Masz rozcięte ucho. Wyglądasz jak pies, który właśnie gryzł się z innym.

- Nazwij my to blizną poj edynkową.

Odwracała mu głowę w prawo i w lewo, oglądała twarz i szyję

i badała je palcami, dopóki Sam nie sięgnął w górę i nie ścisnął jej ręki.

- Nic mi nie jest, Remi. Chołkow mógł usłyszeć strzały. Musimy stąd znikać.

- Słusznie. - Uniosła poduszkę najbliższego siedzenia i grzebała pod nią, aż znalazła ścierkę, którą Sam przycisnął do ran. Wskazała niepewnie w kierunku wody. - Czy on...

- Już po nim. Nie zostawił mi wielkiego wyboru. - Sam usiadł prosto i ściągnął wiatrówkę i bluzę.

- Zaczekaj, broń...

- Mam ją. - Remi podała mu rewolwer i usiadła za sterem. Kiedy Sam odcumował dziób, włączyła zapłon i silnik ożył. - Trzymaj się mocno. - Pchnęła przepustnicę do oporu i łódź wystartowała.

- Poszukaj zestawu ratowniczego - poleciła Remi. - Może będzie tam koc termoizolacyjny.

Sam sprawdzał pod poduszkami siedzeń, aż znalazł dużą skrzynkę. W środku, jak przewidywała Remi, leżała zrolowana srebrzysta folia. Rozwinął ją, opatulil się nią i zajął miejsce pasażera.

Później nie pamiętał, że usłyszał odgłos drugiego silnika, tylko to, że zobaczył biały dziób motorówki wyłaniający się z mgły i pomarańczowe błyski z lufy broni Chołkova.

- Remi, w prawo! - krzyknął.

Zareagowała błyskawicznie i bez żadnych pytań. Zakręciła kołem sterowym i łódź się obróciła. Dziób motorówki Chołkowa, wycelowany prosto w siedzenie Sama, odbił się od kadłuba i ześlizgnął po górnej części nadburcia. Sam, który już dawał nura w dół, szarpnął głowę w bok i poczuł, jak fiberglasowy kadłub muska jego włosy. Dziób łodzi Chołkowa uderzył w róg przedniej szyby, roztrzaskując szkło i gnąc aluminium, po czym opadł z powrotem do wody. Sam dostrzegł kątem oka, jak motorówka skręca w lewo.

- Remi, jesteś cała? - zapytał z podłogi.

- Tak. A ty?

- Też. Skręć w lewo, płyn przez pięć sekund i wyłącz silnik.

I tym razem Remi nie zadawała pytań. Wykonała manewr, potem cofnęła przepustnicę i wyłączyła zapłon. Łódź sunęła po wodzie, aż w końcu się zatrzymała. Siedzieli w ciszy, łódź kołysała się z boku na bok.

- On zatoczy koło i wróci - szepnął Sam. - Będzie myślał, że przez jakiś czas płynęliśmy w tym samym kierunku.

- Skąd wiesz?

- Naturalny odruch to spanikować i uciekać przed nim w linii prostej.

- Ile mamy amunicji?

Sam wyciągnął rewolwer zza pasa. Był to pięciostrzałowy smith & wesson kaliber 9 milimetrów.

- Dwa naboje poszły, zostały trzy. Jak usłyszysz go z prawej, skierujesz się w lewo do brzegu. Płyn najszybciej, jak będziesz mogła, przez pół minuty, a potem znów cofnij przepustnicę.

- Następne przeczucie?

Sam skinął głową.

- Że popłyniemy do Schonau.

- W końcu będziemy musieli. Inaczej czeka nas trzydniowa wędrówka przez góry w tej zamieci.

Sam się uśmiechnął.

- Albo plan C. Później ci wyjaśnię. Ciii. Słyszysz to?

Warkot silnika przesunął się z lewa na prawo przed ich dzio bę. Po chwili jego ton się zmienił, odbijając echem od brzegu.

- Teraz! - wychrypiał Sam.

Remi odpaliła silnik, pchnęła przepustnicę i wysterowała w lewo. Płynęli, dopóki nie doliczyła do trzydziestu, znów cofnęła przepustnicę i wkrótce łódź się zatrzymała. Zapanowała cisza, tylko fale uderzały w kadłub. Wiatr osłabł prawie do flauty; śnieg zaczął się gromadzić na nadburciach i siedzeniach.

- Co on robi? - szepnęła Remi.

- To samo co my. Nasłuchuje. Czeka.

- Skąd wiesz?

- Jest żołnierzem; myśli jak żołnierz.

Za rufą, w odległości jakichś dwustu metrów, silnik łodzi Chołkowa nabrał obrotów. Remi sięgnęła do przepustnicy, ale Sam ją powstrzymał.

- Jeszcze nie.

- On jest blisko.

- Czeka.

Motorówka Chołkowa zmniejszała dzielący ich dystans. Sam wskazał w lewo za rufę i położył palec na ustach. Podłużny kształt, ledwo widoczny przez padający śnieg przesuwał się bardzo blisko nich. Widzieli sylwetkę mężczyzny stojącego za sterem. Chołkow rozglądał się na boki. Sam uniósł rewolwer, wycelował i prowadził lufą motorówkę, dopóki nie zniknęła z widoku. Po dziesięciu sekundach Remi odetchnęła z ulgą.

- Nie do wiary, że nas nie zauważył.

- Zauważył. Był taki moment, kiedy patrzył dłużej w naszą stronę. Zaraz wróci. Daj wsteczny cofnij nas. Powoli najciszej, jak możesz.

Remi to zrobiła. Po piętnastu metrach Sam szepnął:

- Mała naprzód. Kieruj się z powrotem do brzegu. - Wyjął dwupółmetrowy bosak z uchwytu w dolnej części nadburcia

i wpatrzył się w mgłę. Na lewo od nich usłyszał uderzenia fal o skały. - Okej, przymknij przepustnicę. Daj w prawo.

Remi wykonała polecenie.

Cisza.

Za burtą pojawił się niewyraźny kontur sosny, potem drugi. Gałęzie wyciągały się ku nim jak palce kościotrupa. Sam zahaczył bosak za jedną z większych, wyhamował łódź i przyciągnął do brzegu. Zaśnieżone konary zwisały trzydzieści centymetrów nad powierzchnią jeziora, tworząc sklepienie nad ich głowami. Sam ukląkł przy nadburciu i popatrzył przez gałęzie.

Z prawej dobiegło wycie silnika. Po dziesięciu sekundach umilkło. Chwilę później dotarła do nich fala kilwatu motorówki Chołkowa i łódź zaczęła się kołysać.

- Bądź gotowa do startu - szepnął Sam.

Ledwo to powiedział, Chołkow przepłynął w odległości zaledwie dziesięciu metrów, kierując się w stronę przystani przy kościele. Silnik

jego motorówki warczało cicho na obrotach tuż powyżej biegu jałowego. Po chwili łódź zniknęła w śnieżycy.

- Nie widział nas - szepnęła Remi.
- Tym razem nie. Okej, ruszamy. Płyn za nim. Pięć sekund na małym otwarciu przepustnicy, dziesięć sekund ślizgiem.

Remi wróciła za ster, zawróciła i wpłynęła w kilwater Chołkowa.

Przez następnych dwadzieścia minut to przyspieszali, to zwalniali, cały czas utrzymując taki kurs, żeby słyszeć silnik Chołkowa dokładnie przed dziobem. Zwiększali i zmniejszali obroty, ilekroć on to robił. Posuwali się więc zrywami, pokonując za każdym razem niecałe piętnaście metrów. Wreszcie na prawo od nich ukazała się przystań przy kościele Świętego Bartłomieja; czerwone cebulaste kopuły zdawały się unosić w powietrzu.

Silnik łodzi Chołkowa wszedł na wysokie obroty i jego motorówka zaczęła skręcać w lewo. Sam wskazał w prawo w kierunku brzegu.

- Wolno i spokojnie.

Warkot silnika Chołkowa oddalał się w stronę środka jeziora.

- Wyłącz silnik - szepnął Sam i Remi to zrobiła.
- On myśli, że się ukrywamy albo wracamy do Schonau, prawda? - spytała.

Sam przytaknął.

- Zaczai się gdzieś na północy. Ale my nie podejmiemy z nim

gry.

Mijały minuty. Pięć zamieniło się w dziesięć, potem w dwadzieścia. W końcu Sam powiedział:

- Okej, ruszamy. Płyn wzdłuż brzegu na południe. Utrzymuj obroty tuż powyżej biegu jałowego.
- Coś mi mówi, że ciepła brandy będzie musiała poczekać.
- Zadowolili cię dach nad głową i ognisko?

Hotel Schone Aussicht Grossinger, Salzburg

Wiadomość od Evelyn Torres - oznajmiła Remi, usiadła na podwójnym łóżku i zrzuciła buty. - Tylko „zadzwoń do mnie”. Ale wydawała się podekscytowana. Ona tym żyje.

- Najpierw brandy, którą ci obiecałem, a potem Evelyn - odparł Sam.
- Będą nam potrzebne ubrania i inne rzeczy.
- Brandy, Evelyn, sen, a potem zakupy.

Odkąd wymknęli się Chołkowowi na Konigssee, nie zmrużyli oka i byli w ruchu przez ponad dwadzieścia osiem godzin. Posuwając się w ślimaczym tempie wzdłuż brzegu na południe, po godzinie dopłynęli do przystani w Salet nad Obersee i zeszli na ląd. Sam otworzył zawór w dnie łodzi i zaczął, aż na pokładzie zbierze się trzydzieści centymetrów wody. Wtedy wycelował dziób w kierunku środka jeziora i przesunął przepustnicę jeden stopień naprzód. Motorówka zniknęła w śnieżycy.

- Nie jesteśmy odpowiedzialnymi turystami - stwierdziła Remi.

Sam puścił do niej oko.

- Bez obaw. Wpłacimy anonimowo datek na konto Towarzystwa Historycznego Świętego Bartłomieja. Będą mogli kupić sobie całą flotę motorówek.

Z przystani przeszli zwirową ścieżką kilometr w głąb łądu, a potem pomostem łądowym dotarli do Obersee, gdzie znaleźli hangar dla łodzi podobny do tego przy kościele Świętego Bartłomieja. Sąsiadowało z nim pomieszczenie, w którym mogli się ogrzać. Rozebrali się do bielizny, rozwiesili ubrania na wieszakach na ścianie i znaleźli lampę naftową, przy której siedzieli skuleni, dopóki nie zapadł zmrok. Sam napalił w żelaznym piecyku na drewno i spędził noc przytuleni do siebie przy ciepłym piecyku. Wstali o wpół do dziewiątej, ubrali się i zaczęli czekać na pierwszy te

go dnia stateczek z turystami. Wmieszali się w tłum i spacerowali przez kilka godzin, nasłuchując, czy ktoś wspomina o strzałach poprzedniego dnia albo o wyłowieniu trupa z jeziora. Nic takiego nie usłyszeli. W południe popłynęli do Schonau.

Uznawszy, że ostrożności nigdy za wiele, postanowili nie wracać do hotelu ani nie korzystać z wypożyczonego samochodu. Szukając wzrokiem Chołkowa i jego ludzi, dali nura do najbliższego sklepu z pamiątkami i wyszli tylnymi drzwiami na wąską uliczkę. Przez dwadzieścia minut kluczyli, żeby się oddalić od położonej nad wodą dzielnicy Schonau, a potem znaleźli kawiarnię na spokojnej bocznej uliczce i zadzwonili stamtąd do Selmy.

O drugiej mercedes wynajęty przez nią w Salzburgu zatrzymał się przed kawiarnią, a trzy godziny później zameldowali się w hotelu jako Hank i Liz Trumanowie.

Najedzeni i rozgrzani brandy, wysłali mejlem Selmie zdjęcia symboli na butelce z domku myśliwskiego przy kościele, a potem zadzwonili do Evelyn Torres.

- Skąd to nagle zainteresowanie Kserksesem i Delfami? - zapytała po wymianie wstępnych grzeczności.

- Z powodu pewnego projektu, nad którym pracujemy - odparła Remi. - Wprowadzimy cię w to, gdy wrócimy do domu.

- No cóż, odpowiem na wasze pytania po kolei. Podczas najazdu Kserksesa Delfy były najświętszym miejscem w Grecji. Do Pytii zwracano się o przepowiadanie wszystkiego, od przyszłości państwa do perspektyw planowanego małżeństwa. Co do cennych rzeczy, było tam wprawdzie kilka skarbców, ale nie mogły się równać z bogactwem Aten. Niektórzy naukowcy nie zgadzają się z tym, ale moim zdaniem Kserkses nie rozumiał Delf w kulturze Grecji. Uważał wyrocznię delficką za atrakcję w rodzaju współczesnej planszy ouija. Był przekonany, że Grecy coś ukrywają w Delfach.

- A ukrywali?

- Zawsze krążyły takie pogłoski, ale nie ma niezbitego dowodu na ich poparcie. Poza tym pewnie znacie tę legendę, że żołnierzy

19 - Złoto Spartan

Kserksesa zawróciła boska ręka Apolla w postaci lawiny kamieni, które runęły w odpowiednim momencie. Nieliczni Persowie dotarli do celu i zabrali różne ceremonialne przedmioty, ale niczego ważnego.

- Czy coś wartościowego przetrwało najazd? - zapytał Sam.

- Ruiny wciąż tam stoją oczywiście. Niektóre kolumny ze skarbców są w Muzeum Delfickim, podobnie jak niektóre fragmenty fryzów i omfalos. Ale nie złoto czy klejnoty, jeśli o to ci chodzi.

- Pamiętasz, żeby ktoś weszły w Delfach, kiedy tam pracowałaś? - spytała Remi.

- Nie. Przeważały standardowe prośby uniwersytetów o zgodę na prowadzenie badań. - Evelyn

zamilkła na chwilę. - Chociaż jakiś rok temu był taki jeden facet... z Uniwersytetu Edynburskiego-go, chyba z Wydziału Historii, Filologii Klasycznej i Archeologii. Dziwny typ.

- Czemu?

- Wystąpił o pozwolenie na zbadanie delfickich artefaktów i udzieliliśmy mu go. Obowiązują szczegółowe przepisy, co można, a czego nie można robić z badanymi eksponatami. Przyłapałam tego faceta na niszczeniu jednej z kolumn... to znaczy, o mało jej nie zniszczył. Kiedy weszłam, próbował przeprowadzić na niej test kwasowy.

- Na jakiej kolumnie? - zapytała Remi.

- Na jednej z kariatyd. Stały przed skarbcem Syfnińczyków w Delfach. - Zanim Remi lub Sam zdążyli zadać następne pytanie, Evelyn odpowiedziała na nie: - Kariatyda to kamienna kolumna, zwykle marmurowa, w kształcie kobiety w szacie. Najbardziej znane są w Atenach na Akropolu.

- Jaki test kwasowy próbował przeprowadzić? - spytał Sam.

- Nie pamiętam. Miał młotek jubilerski, rylec grawerski i jakiś zestaw do testów kwasowych... Napisałam to wszystko w raporcie do zarządu. Może jeszcze mam kopię. Poczekajcie, poszukam.

Usłyszeli, jak Evelyn się porusza, a potem szelest kartek.

- Co powiedział, jak go przyłapałaś? - zapytała Remi.

- Że źle zrozumiał przepisy, co było bzdurą. Kłamał, ale odmówił wyjaśnienia, co zamierzał. Wyrzuciliśmy go i zawiadomiliśmy kierownika jego katedry w Edynburgu.

- Policji nie?

- Zarząd nie zdecydował się na to. Szczęśliwie dla tego gościa. Grecy traktują takie rzeczy bardzo poważnie. Poszedłby do więzienia. Ale słyszałam, że w Edynburgu go wylali, a to już coś. Nie wiem, co się z nim stało potem. O, jest ten raport... Nazywał się Bucklin. Thomas Bucklin.

- A co z zestawem do testów kwasowych, który miał? - spytał Sam.

Z głośnika dobiegł odgłos przerzucania stron.

- To dziwne - powiedziała Evelyn. - Używał kwasu azotowego.

- Co jest dziwne? - zainteresowała się Remi.

- Kwasu azotowego nie stosuje się do standardowych testów na artefaktach. Jest wysoce korozyjny. My go nie używamy.

- A kto go używa?

- Metalurdcy - odparł Sam. - Do sprawdzania obecności złota.

Rozmawiali jeszcze kilka minut. Gdy skończyli, Sam otworzył swój MacBook Air - jedną z niewielu rzeczy, jakie przywiózł z Konigssee - zalogował się przez hotelowe bezprzewodowe łącze do Internetu i wpisał nazwisko Thomas Bucklin. Było prawie dwa tysiące trafień, ale zawężenie poszukiwań do właściwego zajęło zaledwie kilka minut.

- Bucklin to autor wielu prac naukowych na temat historii starożytnej, głównie Persji i Grecji - powiedział Sam. - Ostatnia jest sprzed roku.

- Mniej więcej wtedy go wywalili - odparła Remi, zaglądając mu przez ramię. - Czy któraś z tych prac jest dostępna?

- Wygląda na to, że w JSTOR są wszystkie. - Często korzystali z tego elektronicznego archiwum czasopism naukowych z wielu dyscyplin akademickich, od archeologii i historii po lingwistykę i paleontologię. - Każę Selmie je ściągnąć i przesłać.

Napisał krótkiego mejla i wysłał. Selma odpowiedziała po trzydziestu sekundach: „Za pięć minut”.

- Jest jakaś wzmianka, co robił po tym, gdy go wyrzucili z uniwersytetu w Edynburgu? - spytała Remi.

- Nie.

Poczta Sama zadzwierczała. Selma znalazła czternaście prac Bucklina; zostały zapisane w formacie PDF.

- Mam coś interesującego - powiedział Sam. - Bucklin był na urlopie naukowym, kiedy zawitał do Evelyn.

- Więc działał jako wolny strzelec, nie z ramienia uniwersytetu. Kim, do diabła, jest ten facet?

Sam przestał przewijać strony, jego palce znieruchomiały nad klawiaturą. Przysunął się do ekranu i zmrużył oczy.

- Tu masz odpowiedź. Zobacz.

Remi pochyliła się nad jego ramieniem. Jedna z rozpraw Bucklina zawierała zdjęcie autora; małe i czarno-białe, ale rozpoznali łysinę okoloną wianuszkami rudych włosów i okulary w czarnej oprawce.

Thomas Bucklin był mężczyzną w fartuchu laboratoryjnym, na którego się natknęli się w prywatnym laboratorium Bondaruka.

Prace naukowe Bucklina okazały się frapujące, choć nie były ani dobrze przyjmowane, ani szeroko znane. Sam i Remi dowiedzieli się z JSTOR, że są dopiero drugimi nabywcami tych rozpraw od czasu ich publikacji. Bez trudu odgadli, kto zainteresował się nimi jako pierwszy.

Lektura prac Bucklina zajęła im trzy godziny. Aby nie sugerować sobie nawzajem żadnych wniosków, czytali je osobno - Sam na iPhone. Remi na MacBooku - a z porównaniem notatek zaczęli, aż oboje skończą.

- I jak myślisz? - zapytał Sam. - Wariat czy geniusz?

- Zależy, czy się myli, czy nie. Bez wątplenia ma obsesję na punkcie Kserksesa i Delf. Jego tezy nie zjednały mu przyjaciół w środowisku naukowym.

Po latach drobiazgowych badań Bucklin doszedł do wniosku, że wyprawa Kserksesa na Delfy zakończyła się większym sukcesem, niż twierdzą greccy historycy. Według Bucklina w ciągu tygodni poprzedzających najazd strażnicy skarbcza Syfnijscy-ków ułożyli plan ochrony ich bogactw. Wiedzieli, że Persowie splądrują każde miejsce, więc stopili swoje zapasy złota i odlali z niego dwie kariatydy. Kiedy posągi ostygły, pokryli je gipsem i zastąpili nimi oryginalne kolumny po obu stronach wejścia do skarbcza.

Z niewyjaśnionych powodów Persowie nie dali się na to nabrać. Na rozkaz Kserksesa dwustu specjalnie wyszkolonych żołnierzy nazywanych Nieśmiertelnymi uciekło z kariatydami z zamiarem skierowania się na północ, a potem na wschód przez Macedonię i Trację z powrotem do stolicy imperium Achemenidów Persepolis. Kserkses zamierzał stopić kariatydy i odlać z nich masywny tron, pomnik swojego zwycięstwa nad Grekami, który miał stanąć na wieki w Sali Stu Kolumn.

Nieśmiertelni nie wiedzieli, że wieść o ich grabieży w Delfach dotarła do Sparty już nazajutrz. Fratria spartańskich żołnierzy w liczbie około dwudziestu siedmiu ruszyła w pościg, zamierzając nie tylko odzyskać kariatydy, lecz również pomścić swoich braci poległych w bitwie pod Termopilami.

Dogonili Nieśmiertelnych na terenie dzisiejszej Albanii i odcięli im drogę ucieczki na wschód. Przez trzy tygodnie Spartanie podążali za nimi na północ przez Czarnogórę, Bośnię i Chorwację, by w końcu osaczyć ich w górach na północnym zachodzie Słowenii. Wprawdzie przewaga liczebna Nieśmiertelnych była ponad siedmiokrotna, ale nie mogli się równać ze Spartanami. Persowie zostali wybici prawie do nogi. Z dwustu, którzy opuścili

Grecję miesiąc wcześniej, ocalało zaledwie trzydziestu i oszczędzono ich tylko po to, żeby dźwigali kariatydy.

Dowódca Spartan postanowił nie wracać do domu, gdyż armia Kserksesa nadal pustoszyła ich kraj. Kolumny stały się symbolem przetrwania Grecji i Spartanie przysięgli, że prędzej zginą, niż pozwolą, by wpadły w ręce Kserksesa. Nie wiedząc, jaki zasięg będzie miała inwazja Persów, skierowali się ze Słowenii na północ z zamiarem ukrycia kariatyd do czasu, kiedy będzie je można bezpiecznie zabrać do ojczyzny. Fratrii nigdy więcej nie widziano, tylko jeden żołnierz wrócił do Sparty rok później. Zanim zmarł na skutek wycieńczenia i wyniszczenia organizmu, powiedział, że reszta jego towarzyszy poniosła śmierć, a kariatydy przepadły. Miejsce ich ukrycia zabrał ze sobą do grobu.

- To ostatni fragment układanki - stwierdziła Remi. - Czy ra czej jeden z ostatnich. Możemy się nigdy nie dowiedzieć, jak Bon daruk i

Bucklin spiknęli się ze sobą, ale jest jasne, że Bondaruk wierzy w tę historię. Uważa, że zaginiona piwnica Napoleona to mapa wskazująca drogę do kariatyd. One zaś są rodzinnym dzie dzictwem, które stara się odzyskać. Pamiętasz, co Cholkow po wiedział w Marsylii o motywach Bondaruka?

Sam skinął głową.

- Drań chce je stopić, jak kiedyś Kserkses. Nie możemy do tego dopuścić. One są bezcenne.
- To prawda. Wszystko pasuje: po bitwach pod Platejami i Mykale Kserkses przekazał zwierzchnictwo nad armią Mar-doniuszowi i wrócił do kraju, sądząc, że kariatyd są w drodze. Według większości relacji po powrocie do Persepolis rozpoczął realizację wielkiego programu budowy, między innymi Sali Stu Kolumn.
- Gdzie, według Bucklina, planował postawienie tronu. Zgadnij, gdzie chce to zrobić Bondaruk?
- W podziemiach swojej rezydencji - odparła Remi. - To smutne, jak się nad tym zastanowić. Kserkses umarł w oczekiwaniu na zdobycz, która nigdy do niego nie dotarła, i znaczyła stosunkowo niewiele dla Greków, a Napoleon w oczekiwaniu, aż jego syn pójdzie tropem zagadek i odnajdzie tę samą zdobycz.
- Możemy utrzymać tę analogię - powiedział Sam.
- Co masz na myśli?
- Postarać się, żeby Bondaruk umarł, nie dostawszy w swoje ręce kariatyd. Znajdzie się w dobrym towarzystwie.

O szóstej następnego ranka zadzwiezczał iPhone Sama. Dzwoniła Selma.

- Strasznie wcześnie - mruknął zaspany.
- Tutaj jest późno. A ja mam dobrą wiadomość. Złamaliśmy szyfr i pomyśleliśmy, że będzie pan chciał spróbować swoich sił w rozwiązaniu zagadki.
- Okej, przemejluj mi to.
- Już jest w drodze. Proszę później o telefon.

Sam potrząsnął Remi, żeby ją obudzić. Odwróciła się w momencie, gdy jego iPhone zasygnalizował przyjście mejla.

- Następna zagadka - oznajmił.
- Słyszałam.

Wywołał mejla i razem przeczytali:

Człowiek z Histrii, trzynasty według tradycji

Dom Łazarza w Nazarecie.

Syn Morpeth, Strażnik Leuke, samotny łąd.

Razem spoczywają.

- Jakież pomysły? - spytał Sam.
- Zapytaj mnie po kawie.

Po rozwikłaniu poprzednich zagadek Sam i Remi lepiej rozumieli, według jakiego wzorca Napoleon i Laurent je układali. Przy mozaice podwójnych znaczeń i niejasnych odniesień historycznych rozwiązanie każdej łamigłówki zależało od odpowiedniego połączenia pojedynczych linijek.

Zaczęli więc od wybrania najbardziej oczywistych odniesień do każdego wersu.

Pierwszy - „Człowiek z Istrii, trzynasty według tradycji” -prawdopodobnie dotyczyła Istrii, półwyspu między Zatoką Trie-steńską a zatoką Kvarner na Adriatyku.

Drugi - „Dom Łazarza w Nazarecie” - mógł mieć setki znaczeń. Łazarz jest wymieniony w Biblii dwukrotnie: raz jako człowiek, którego wskrzesił Jezus, a drugi raz w przypowieści o żebraku Łazarzu. Nazaret to oczywiście miasto dzieciństwa Chrystusa.

Trzecia linijka - „Syn Morpeth, Strażnik Leuke” - była trudna do zinterpretowania. Morpeth to miasto w północno-wschodniej Anglii, a Leuke - nimfa z mitologii greckiej, córka Okeanosa.

Czwarty wers - „Razem spoczywają” - wydawał się najbardziej niejednoznaczny. Kto razem spoczywa? I czy chodzi o leżenie, czy o śmierć? A może o coś jeszcze innego?

- Zajmijmy się ostatnią częścią - zaproponował Sam. - Napoleon i Laurent użyli sformułowania „Geniusz z Jonii” w odniesieniu do Pitagorasa. Może tutaj też tak jest. Trzecia linijka prawdopodobnie zawiera nazwę miejsca: Morpeth. Dowiedzmy się, czy pochodził stamtąd ktoś sławny.

Remi skinęła głową.

- Warto spróbować.

Godzinę później mieli listę czołowych „synów” Morpeth, ale żaden nie był powszechnie znany.

- Sprawdźmy odsyłacze - zasugerowała Remi - i poszukajmy jakiegoś związku ze słowem „Leuke”. Czy któryś z tych ludzi to znawca mitologii greckiej?

Sam przestudiował listę.

- Niestety nie. Co jeszcze wiemy o Leuke?

Remi przerzuciła kartki swojego notesu.

- Porwał ją Hades, władca świata zmarłych. Po śmierci została zamieniona w białą topolę, zależnie od wersji, albo przez Hadesa, albo przez Persefonę.

- Biała topola... - mruknął Sam i postukał w klawiaturę - czyli po grecku *leuke*. - Popatrz na listę nazwisk. - To może być William Turner, urodzony w Morpeth w roku 1508 i uważany za ojca angielskiej botaniki.

- Tak, to możliwe. Ale czy ta linijka dotyczy samego Turnera, czy raczej topoli?

- Nie mam pojęcia. Jak brzmi ostatnia część?... „Samotny ląd”.

- Mnie kojarzy się to z wyspą samotną pośrodku morza.

- Mam takie samo skojarzenie. - Sam wpisał słowa „wyspa”, „topola” i „Turner”, nie znalazł jednak nic ciekawego. - Jest kilka odsyłaczy do rezerwatu Topolowa Wyspa w zatoce Chesapeake, ale nie ma żadnego związku z nazwiskiem Turner, chyba że z Tiną Turner, która wspiera rezerwat finansowo.

- Wróćmy do pierwszej linijki: „Człowiek z Istrii, trzynasty według tradycji”.

Sporządzili listę postaci historycznych związanych z półwyspem Istria, ale tak jak w wypadku Morpeth, żadna nie była godna uwagi.

Przeszli do drugiego wersu - „Dom Łazarza w Nazarecie” -i zaczęli drążyć głębiej w poszukiwaniu odniesień.

- A co powiesz na to? - spytała Remi, wskazując ekran Mac-Booka. - W średniowieczu chrześcijańskie zakony nadzorowały kolonie trędowatych znane jako lazarety.

- Nazwa pochodzi od imienia Łazarza, patrona trędowatych? -upewnił się Sam.

- Zgadza się. We Włoszech imię „Łazarz” przekształciło się w „lazaret”, miejsce kwarantanny dla załóg statków. Pierwszy lazaret powstał w 1403 roku na wyspie Santa Maria di Nazareth u wybrzeży Wenecji. To mógłby być nasz związek Łazarza z Nazaretem.

- Coraz cieplej, ale to nie może być aż tak proste - odrzekł Sam.

- Wciąż brakuje nam znaczenia pierwszej linijki.

Znów zaczął szukać w Google, aż trafił na artykuł w „National Geographic” z 2007 roku o odkryciu zbiorowej mogiły ofiar dżumy, które objęto kwarantanną, by ochronić Wenecję przed zarazą.

- To było na wyspie Lazzaretto Vecchio w Lagunie Weneckiej - powiedział.

Remi przejrzała swoje notatki.

- Vecchio to współczesna nazwa Santa Marii di Nazareth -oznajmiła. - Tak, to musi być to.

- Prawdopodobnie, ale upewnijmy się.

Dwadzieścia minut i tuziny kombinacji później powiedział:

- Wpisałem słowa „wyspa”, „Wenecja” i „dżuma” i wyszło mi to: Poveglia, wyspa w Lagunie Weneckiej, gdzie zadżumieni odbywali kwarantannę w XVII wieku. Zmarłych chowano we wspólnych mogiłach, czasem mieszając z nimi żywych, lub palono na stosach. Ocenia się, że zmarło wtedy... - urwał i wytrzeszczył oczy.

- Co? - zapytała Remi.

- Od stu sześćdziesięciu do dwustu pięćdziesięciu tysięcy osób.

- Wielki Boże.

- Mam jeszcze coś: Poveglia nazywała się kiedyś Popilia.

- Brzmi znajomo.

- Ta nazwa pochodzi od łacińskiego słowa *populus* oznaczającego topolę. Na Poveglii rosły kiedyś topolowe zagajniki.
- Więc z jednej strony mamy Poveglię, a z drugiej Santa Marię di Nazareth. Teraz trzeba odnaleźć naszego tajemniczego człowieka z Istrii.
- A więc nasz następny przystanek to Wenecja.

Sewastopol

- Sądząc po twoim tonie, wiadomości nie są dobre - powiedział Hadeon Bondaruk.
- Zniknęli, a jeden z moich ludzi nie żyje - odrzekł Chołkow. - Znaleźliśmy transponder z telefonu Fargowej na pokładzie jednego ze stateczków wycieczkowych. Jak wykryli ten czip, nie mam pojęcia. - Zrelacjonował spotkania na Königssee, począwszy od ich przybycia do przystani przy kościele Świętego Bartłomieja, a skończywszy na zgubieniu Fargów na jeziorze. - Musieli jakoś wrócić do Schonau.
- Znaleźli butelkę?
- Nie wiem.
- I gdzie teraz są?
- Jeden miejscowy widział, jak para odpowiadająca ich rysopisom wsiadała do mercedesa. Ustaliliśmy, że samochód został wynajęty w Salzburgu. Właśnie jesteśmy w drodze do tej firmy. Sprawdzimy motele, lotnisko, dworce kolejowe...
- Nie - uciął Bondaruk.
- Słucham?
- Ilekroć się do nich zbliżymy, wymykają się nam. Czas się cofnąć i pozwolić Fargom robić to, w czym są najlepsi. Ty tymczasem zacznij realizować plan alternatywny.
- To ryzykowne.
- Nie obchodzi mnie to. Mam dosyć ścigania tych ludzi po całej Europie. Masz na myśli kogoś konkretnego?
- Tak - odparł Chołkow. - Według moich źródeł tylko on ma rodzinę: żonę i dwie córki.
- Bierz się do roboty.
- Jeśli o tym zamelduje zamiast...
- To postaraj się, żeby nie zameldował. Przekonaj go, że współpraca to dla niego jedyne wyjście.

Chyba tyle możesz zrobić?

53

Wenecja, Włochy

Taksówka wodna zatrzymała się i Fargowie wysiedli.

- Ile razy to widzę, zawsze zapiera mi dech - powiedziała Remi, patrząc na budynki wokół nich.

Plac Świętego Marka, trapez przy wschodnim wylocie Kanału Grande, słynący z gołębi i geometrycznej kamiennej mozaiki jak

do gry w klasy, jest bodaj najślawniejszym placem w całej Europie i skupiskiem szeregu największych weneckich atrakcji, z których wiele liczy prawie tysiąc lat.

Sam i Rem chłonęli te wspaniałości wzrokiem, jakby widzieli je po raz pierwszy: bazylikę Świętego Marka z bizantyjskimi kopułami; dziewięćdziesięciometrową dzwonnice Campanile; okazały gotycki Pałac Dożów; i w końcu, dokładnie na wprost bazyliki, Ala Napoleonica, niegdysiejszą siedzibę napoleońskiej administracji.

Napoleon Bonaparte podziwiał Wenecję, a Piazza San Marco nazywał „salonem Europy”. W roku 1805, wkrótce po przyłączeniu Wenecji do nowo utworzonego Królestwa Włoch, kazał zbudować Ala Napoleonica, gdyż stwierdził, że wcześniejsze jego siedziby - mennica La Zecca, Libreria Marciana i Procuratie Nu-ove - są za małe, by pomieścić jego dwór.

Była prawie szósta i słońce chowało się za dach biblioteki Marciana. Rozbłysła część oświetlenia placu, rzucając bursztynowy blask na łuki i kopuły. Większość turystów zniknęła i ciszę przerywało tylko gruchanie gołębi.

- Z kim mamy się spotkać? - spytała Remi.

- Z kustosz Marią Favaretto - odparł Sam.

Zanim wylecieli o drugiej z Salzburga, zadzwonił do pani kustosz Museo Archeologico i przedstawił się. Na szczęście signora Favaretto słyszała o nich. O odkryciu przez nich rok wcześniej w Bisceglie zaginionego pamiętnika Lukrecji Borgii weneckie gazety pisały na pierwszych stronach. Okazało się też, że jej dawny kolega jest zastępcą kustosza Museo Borgiano, któremu Sam i Remi przekazali pamiętnik. Favaretto zgodziła się spotkać z nimi w muzeum po godzinach.

- To chyba ona - powiedziała Remi, wskazując kobietę, która machała do nich z jednego z łukowych wejść do Procuratie Nuove, gdzie mieściła się część Museo Archeologico; reszta była zlokalizowana w Biblioteca Nazionale Marciana - Bibliotece Narodowej Świętego Marka.

Fargowie podeszli do kobiety.

- Signor Fargo, Signora Fargo, jestem Maria Favaretto -przedstawiła się. - Miło mi państwa poznać.
- Proszę się do nas zwracać po imieniu - odparła Remi, ściskając jej dłoń.
- Chętnie. Ja mam na imię Maria.
- Dziękujemy za pomoc. Mamy nadzieję, że nie przeszkadzamy.
- Ależ skąd. Przypomnijcie mi, jaki okres was interesuje?
- Nie jesteśmy pewni, ale żaden z odsyłaczy, które znaleźliśmy, nie dotyczy czasów późniejszych niż XVIII wiek.
- Chyba mamy szczęście. Proszę za mną.

Poprowadziła ich pod łukiem i przez kryty pasaż wyłożony kremową glazurą do muzeum. Mijali egipskie sarkofagi i asyryjskie rydwany, etruskie posągi i wazy, rzymskie popiersia, bizantyjskie rzeźby z kości słoniowej i minojskie dzbany ceramiczne.

Maria zatrzymała się przed drewnianymi drzwiami i otworzyła je kluczem. Ruszyli długim, słabo oświetlonym korytarzem. Signora Favaretto stanęła przed kolejnymi drzwiami, na jego końcu.

- To nasza niedostępna ogólnie biblioteka - wyjaśniła. - Zważywszy, o co prosiliście, uznałam, że najodpowiedniejszą osobą do udzielenia wam pomocy będzie Giuseppe. Nie ma żadnego tytułu naukowego, ale jest tu od prawie sześćdziesięciu lat. Nikt nie wie o Wenecji więcej niż on. - Przerwała na chwilę i odchrząknęła. - Giuseppe ma osiemdziesiąt dwa lata i jest trochę dziwny... Ekscentryczny to chyba lepsze określenie. Ale nie przejmujcie się tym. Po prostu zadajcie mu pytania, a on znajdzie odpowiedzi.

- W porządku - odrzekł Sam z uśmiechem.
- Zapytałam, o jaki okres wam chodzi, bo Giuseppe interesuje się wyłącznie przeszłością. Jeśli coś nie zdarzyło się w XIX wieku lub wcześniej, to dla niego nie istnieje.
- Będziemy o tym pamiętali - zapewniła Remi.

Maria otworzyła drzwi i zaprosiła ich gestem do środka.

- Gdy skończycie, wciśnijcie ten brzęczyk na ścianie. Przyjdę po was. Udanych poszukiwań. - Wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Biblioteka była długa i wąska. Wzdłuż ścian po obu stronach ciągnęły się półki z książkami sięgające od podłogi do sufitu. Przy każdej ścianie stała drewniana drabina na rolkach, a w przejściu znajdował się trzymetrowy stół i jedno krzesło z twardym oparciem. Zwisające z sufitu halogenowe lampy rzucały plamy łagodnego światła na podłogę z zielonych kafelków.

- Jest tu ktoś? - zawołał męski głos.

- Tak - odpowiedział Sam. - Signora Favaretto nas wpuściła.

Kiedy ich wzrok przyzwyczał się do półmroku, dostrzegli

mężczyznę stojącego na najwyższym szczeblu drabiny w głębi biblioteki. Przesuwał palcem po grzbietach książek i co chwila jakąś wsuwał lub wyciągał, wyrównując rządki. Wreszcie zszedł na dół i ruszył ku nim, powłócząc nogami. Giuseppe miał niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, rzadkie, rozwichrzone siwe włosy i ważył nie więcej niż czterdzieści kilogramów. Patrzył na nich zaskakująco bystrymi niebieskimi oczami.

- Dzień dobry - przywitał się Sam. - Mam na imię Sam, a to jest...

- Macie do mnie jakieś pytanie? - przerwał mu Giuseppe.

- No cóż, tak... Próbuje rozwikłać pewną zagadkę. Szukamy człowieka, prawdopodobnie z Istrii, który miał jakieś związki z Poveglią lub Santa Marią di Nazareth.

- Pokażcie mi tę zagadkę - poprosił Giuseppe.

- „Człowiek z Istrii, trzynasty według tradycji” - zacytował Sam.

Giuseppe zastanawiał się, patrząc na nich i poruszając zacisniętymi wargami z boku na bok.

- Uważamy, że mógł mieć coś wspólnego z lazaretami... - do dała Remi.

Giuseppe nagle odwrócił się, odszedł kawałek i, przystanąwszy w przejściu, popatrzył kolejno na każdą ścianę. Machał przy tym palcem wskazującym jak dyrygent batutą.

- Kataloguje książki w głowie - szepnęła Remi.

- Proszę o ciszę - warknął Giuseppe.

Po dwóch minutach podszedł do prawej ściany i przesunął drabinę do końca. Wspiął się na górę, zdjął z półki jakąś książkę, przekartkował, włożył z powrotem i zszedł na dół.

Powtórzył to jeszcze pięć razy - patrzył na ściany, dyrygował palcem w powietrzu i wchodził na drabinę - wreszcie wrócił do nich.

- Człowiek, o którego wam chodzi, to Pietro Tradonico, doża wenecki od roku 836 do 864. Chronologicznie jedenasty, ale zgodnie z tradycją jest uważany za trzynastego. Kiedy został zamordowany, jego zwolennicy uciekli na Poveglię, mieli chaty blisko północno-wschodniego krańca wyspy.

Powiedziawszy to, Giuseppe odwrócił się i zaczął odchodzić.

- Jeszcze jedno pytanie - zawołał za nim Sam.

Giuseppe spojrział na niego i czekał.

- Czy Tradonico jest tam pochowany? - spytał Sam.

- Jedni uważają, że tak, inni, że nie. Gdy został zamordowany, jego zwolennicy zabrali ciało, ale nikt nie wie dokąd.

Giuseppe znów się odwrócił i poczłapał dalej.

- Dziękujemy - zawołała Remi.

Giuseppe odszedł bez słowa.

- Dowiedzieliście się tego, o co wam chodziło? - zapytała Maria, kiedy wyszli. Od naciśnięcia brzęczyka przy drzwiach minęło pięć minut, zanim się zjawiała. W tym czasie Giuseppe zajmował się swoją pracą, jakby nie istnieli.
- Owszem - odparł Sam. - Giuseppe jest dokładnie taki, jak mówiłaś. Dziękujemy ci za pomoc.
- Cała przyjemność po mojej stronie. Mogę dla was zrobić jeszcze coś?
- Skoro jesteś taka uprzejma... Jak najlepiej dostać się na Po-veglię?

Maria przystanąła i spojrzała na nich spod zmarszczonych brwi.

- Po co chcecie się tam wybrać? - zapytała.
- Żeby przeprowadzić badania.
- Możecie to zrobić u nas, zapraszam. Giuseppe na pewno...
- Dziękujemy - wszedł jej w słowo Sam - ale chcielibyśmy zobaczyć wyspę na własne oczy.
- Zastanówcie się jeszcze.
- Dlaczego? - spytała Remi.
- Znacie historię Poveglii?
- Jeśli mówisz o zbiorowych mogiłach ofiar dżumy, to czytaliśmy...
- Nie tylko o nich. Chodźmy na kawę do mojego gabinetu. Opowiem wam resztę.

54

Wyjaśnij mi to jeszcze raz - szepnęła Remi. - Dlaczego nie mogliśmy poczekać do rana?

- Już jest rano - odparł Sam i obrócił lekko koło sterowe, by utrzymać łódź na kursie. Wprawdzie u celu ich podróży nie paliły się żadne światła, ale dzwonnica odcinała się wyraźnie na tle nocnego nieba.

Z góry Poveglia wygląda jak wachlarz mierzący czterysta pięćdziesiąt metrów od szerokiego końca do podstawy i dwieście siedemdziesiąt metrów wszerz w miejscu, gdzie wąski, ogrodzony murem kanał przedziela wyspę z zachodu na wschód.

- Nie żartuj, Fargo. Dla mnie druga to środek nocy. Poranek zaczyna się, gdy wzejdzie słońce.

Po rozmowie z Marią udało im się znaleźć otwartą wypożyczalnię łodzi. Właścicielowi została już tylko jedna, trzyipółmetro-wa płaskodenna łódź bez kabiny, z silnikiem przyczepnym. Sam uznał, że chociaż nie jest luksusowa, w zupełności wystarczy. Po-veglia leżała zaledwie pięć kilometrów od Wenecji w osłoniętej lagunie, gdzie nie wieje zbyt mocno.

- Nie mów mi, że uwierzyłaś w opowieści Marii - powiedział Sam.

- Nie, ale nie były wesołe.

- To prawda.

Oprócz cmentarza ofiar dżumy na Poveglii podczas jej tysiącletniej historii wznoszono klasztory, fort i skład amunicji, a w latach dwudziestych XX wieku zbudowano szpital psychiatryczny.

Maria powiedziała im, że lekarz kierujący szpitalem po skargach pacjentów, że widzą duchy ofiar dżumy, zaczął dokonywać na swoich podopiecznych nieudolnych lobotomii i makabrycznych eksperymentów.

Według legendy on też w końcu zaczął widzieć duchy i sam zwariował. Pewnej nocy wspiął się na dzwonicę, skoczył z niej i zginął. Pacjenci wnieśli ciało z powrotem do dzwownicy i zamurowali wejścia, grzebiąc je tam na zawsze. Wkrótce potem szpital i wyspa zostały opuszczone, ale weneccanie do dziś słyszą na Po-veglii dzwony i widzą ruchome upiorne światła w oknach szpitala.

Maria twierdziła, że Poveglia to najbardziej nawiedzone miejsce we Włoszech.

- Nie wierzę w tę część o duchach - powiedziała Remi - ale to, co się działo w szpitalu, jest dobrze udokumentowane. Poza tym wyspa jest zamknięta dla turystów.

- To nas nigdy nie powstrzymywało.

- Staram się być głosem rozsądku.

- No cóż, przyznaję, że ciarki chodzą mi po plecach, ale jesteśmy tak blisko rozwiązania zagadki, że chcę mieć to z głowy.

- Ja też. Ale obiecaj mi coś. Jeden dźwięk z dzwownicy i znikamy.

- Obiecuję.

Kilka minut później w polu widzenia pojawił się wylot kanału. Ciemny kontur szpitala i dzwonnica wyrastały nad wierzchołkami drzew.

- Widzisz jakieś światła? - zapytał Sam.

305

20 - Złoto Spartan

- Żartuj dalej, wesołku.

Przeprowadził łódź przez kipieli, którą tworzyły rozbijające się fale, i wpłynęli do kanału. W osłoniętym od strony morza przesmyku woda była spokojna; na powierzchni unosiły się liście lilii, głębokość wynosiła zaledwie kilkadziesiąt centymetrów. Na prawo od nich wznosił się ceglany mur porośnięty pnączami, na lewo drzewa i zarośla. Zadarli głowy, słysząc w górze trzepot skrzydeł, i zobaczyli nietoperze nurkujące za owadami.

- Super - mruknęła Remi. - Tylko tego brakowało.

Sam zachichotał. Remi nie bała się pajaków, węży ani robaków, ale nie cierpiała nietoperzy. Nazywała je „skrzydlatymi szczurami z ludzkimi rączkami”.

Dziesięć minut później dotarli do piaszczystej lączy. Remi wciągnęła łódź kilkadziesiąt centymetrów wyżej, a Sam przywiązał cumę do palika. Włączyli latarki.

- W którą stronę idziemy? - zapytała.

Wskazał w lewo.

- Do północnego krańca wyspy.

Przeszli przez łąkę i wspięli się na przeciwległy, gęsto zarośnięty brzeg. Dostrzegli lukę w krzakach, przedarli się przez nią i znaleźli się na otwartym terenie wielkości boiska piłkarskiego otoczonym niskimi drzewami.

- Czy to?... - Remi nie dokończyła.

- Możliwe - rzekł Sam. Każda z map Poveglii pokazywała zbiorowe mogiły gdzie indziej. - W każdym razie to dziwne, że nic tu nie rośnie.

Ostrożnie ruszyli naprzód, oświetlając ziemię latarkami. Kiedy dotarli do linii drzew, Sam skręcił na wschód, a po trzydziestu metrach znów na północ. Las się przerzedził i wyszli na małą polanę porośniętą trawą. Przez drzewa widzieli odbicie księżyca w wodzie. W oddali zabrzmiał gong.

- Boja w lagunie - szepnął Sam.

- Dzięki Bogu. Serce zamarło mi na moment.

- Tu coś jest - powiedział Sam, podchodząc do kamiennego bloku w trawie. - To część jakiegoś fundamentu.

Remi oświetliła latarką kamienny słup z prawej strony polany. Wisiała na nim tabliczka w pleksiglasowej osłonie. Napis głosił:

„Teren należący w IX wieku do zwolenników Pietro Tradonico, doży

weneckiego w latach 836-864. Zwłoki ekshumowano i przeniesiono

w roku 1805.

Towarzystwo Historyczne Poveglii"

- Jeśli nawet Tradonico tu leżał, to już go nie ma - powiedziała Remi.

- „Przeniesiono w roku 1805" - przeczytał jeszcze raz Sam. - Czyli w czasie, kiedy Napoleon został koronowany na króla Włoch?

- I zamienił Poveglię w skład amunicji - dodała Remi. - Jeżeli Laurent mu towarzyszył, prawdopodobnie tutaj wpadli na pomysł stworzenia zagadki.

- Wiedzieli, dokąd zabrano szczątki Tradonico. - Sam był coraz bardziej podekscytowany. - Tu nigdy nie było żadnej butelki. Cała zagadka miała po prostu skierować Napoleona juniora gdzie indziej.

- Ale gdzie?

Następnego ranka dwie minuty po ósmej taksówka wodna Sama i Remi zatrzymała się w bocznej uliczce dwie przecznice od kościoła

Santa Maria Maddalena. Zapłacili za kurs, wysiedli i wspięli się po schodach z poręczą z kutego żelaza do czerwonych drzwi. Na maleńkiej tabliczce z brązu przy wejściu widniał napis: „Towarzystwo Historyczne Poveglii”.

Sam nacisnął dzwonek. Usłyszeli stuk obcasów na drewnianej podłodze i drzwi się otworzyły. W progu stanęła pulchna kobieta w kwiecistej sukience.

- *Si?*
- *Buon giorno* - powiedziała Remi. - *Parla inglese?*
- Tak, mówię po angielsku. Czym mogę służyć?
- Pani jest prezesem?
- Słucham?
- Towarzystwa Historycznego Poveglii - rzekł z uśmiechem Sam i wskazał tabliczkę.

Kobieta wychyliła się przez drzwi, spojrzała na nią zmrużonymi oczami i zmarszczyła brwi.

- Towarzystwo nie spotyka się już od kilku lat.
- Dlaczego?
- Wszystko przez te duchy. Każdy pytał tylko o szpital i zbiorowe mogiły. Reszta historii wyspy poszła w zapomnienie. Byłam sekretarką. Nazywam się Rosella Bernardi.
- Może zechciałaby pani nam pomóc - poprosiła Remi i przedstawiła siebie i Sama. - Mamy kilka pytań dotyczących Poveglii.

Signora Bernardi zaprosiła ich gestem do środka i poprowadziła przez przedpokój do kuchni ozdobionej szachownicą czarnych i białych kafelków.

- Siadajcie. Właśnie zrobiłam kawę. - Wskazała stół, napełniła trzy kubki ze srebrnego ekspresu i usiadła. - Co chcecie wiedzieć?
- Interesuje nas Pietro Tradonico - odparł Sam. - Orientuje się pani, czy został pochowany na Poveglii?

Signora Bernardi wstała, podeszła do szafki nad zlewem, wyjęła z niej brązowy skórzany album i wróciła do stołu. Otworzyła album i przerzuciła kilka stron, aż znalazła właściwą. Pod arkuszem folii octanowej była pożółkła kartka wypełniona odręcznymi notatkami.

- To jakiś oryginalny dokument? - zapytała Remi.
- *Si*. Dane ze spisu ludności z 1805 roku. Kiedy Napoleon rozkazał zaanektować wyspę, rząd zabrał się do wymazywania jej burzliwej przeszłości.
- Co dotyczyło również osad założonych przez zwolenników Tradonico?

- Tak, ich też. Według tego dokumentu Pietro Tradonico i jego żona Majella zostali pochowani razem na Poveglii. Kiedy ich ekshumowano, kości włożono do jednej trumny i umieszczono czasowo w podziemiach Basilica della Salute.

Sam i Remi wymienili spojrzenia. Wyjaśniła się ostatnia linijka zagadki: „Razem spoczywają”.

- Powiedziała pani „czasowo” - odezwał się Sam. - Czy wia domo, dokąd potem trafiły szczątki?

Signora Bernardi powiodła palcem wskazującym w dół kartki, odwróciła ją i zatrzymała się w połowie drugiej strony.

- Zabrano je do ojczyzny - odparła.

- To znaczy gdzie?

- Tradonico urodził się na Istrii.

- Tak, wiemy.

- Krewni Tradonico przetransportowali szczątki do Oprtalj, rodzinnej miejscowości doży. To w Chorwacji.

Remi się uśmiechnęła.

- Tak, wiemy.

- Co zrobili ze szczątkami po dotarciu do Peroj, nie wiadomo. Czy zaspokoili państwa ciekawość?

- Tak, bardzo dziękujemy - odrzekł Sam, wstając.

Pożegnali się z signorą Bernardi i ruszyli do frontowych drzwi.

Zanim odeszli, poprosiła:

- Jeśli ich znajdziecie, dajcie mi znać. Będę mogła uaktualnić moje archiwum. - Pomachała im i zamknęła drzwi.

- Chorwacjo, przybywamy - powiedziała Remi.

Sam, który stukał w klawiaturę swojego iPhone'a, uniósł go i oznajmił:

- Mamy samolot za dwie godziny. Będziemy tam na lunch.

Przewidywania Sama okazały się zbyt optymistyczne. Najszybsza trasa wiodła samolotem Alitalii z Wenecji do Rzymu, a potem przez Adriatyk do Triestu, gdzie wypożyczyli samochód, przekroczyli granicę i pojechali na południe do Oprtalj oddalonego o pięćdziesiąt kilometrów. Dotarli ma miejsce

późnym popołudniem.

Usytuowane na szczycie trzystumetrowego wzgórza w dolinie rzeki Mirny Oprtalj ma wyraźnie śródziemnomorski charakter, który nadają miasteczku budynki kryte ceramiczną dachówką holenderską i nasłonecznione zbocza z winnicami i gajami oliwnymi. O historii Oprtalj jako średniowiecznego fortu świadczy labirynt brukowanych ulic, opuszczane kraty w bramach i rzędy stłoczonych ciasno domów.

Zaparkowali samochód pod drzewkiem oliwnym koło ratusza, który wznosił się kilka przecznic na wschód od głównej ulicy, za kościołem Świętego Juraja. Wysiedli i weszli do budynku.

Mieli nadzieję, że w liczącym zaledwie tysiąc stu mieszkańców Oprtalj nazwisko Tradonico będzie dobrze znane. Nie zawiedli się. Na ich wzmiankę o dawnym doży urzędnik skinął głową i narysował im mapkę na niewielkiej kartce.

- Museo Tradonico - wyjaśnił znośnym włoskim.

Skierowali się na północ, wspięli na wzgórze, minęli pastwisko

dla krów i dotarli krętą uliczką do budynku wielkości garażu, na którym łuszczyła się chabrowa farba. Ręcznie malowany szyld nad drzwiami składał się z pełnych spółgłosek chorwackich słów, ale jeden wyraz był rozpoznawalny: „Tradonico”.

Gdy weszli do środka, w górze zadźwięczał dzwonek. Na lewo od drzwi znajdowała się drewniana lada w kształcie litery L, a na wprost było pomieszczenie o wymiarach sześć na sześć metrów. Stały tam szklane gabloty, na ścianach wisiały półki z miniaturowymi rzeźbami i oprawione ikony. Ratanowy wiatrak pod sufitem chybotął się i skrzypiał.

Starszy mężczyzna w okularach w drucianej oprawce i podniszczonej wełnianej kamizelce wstał z krzesła za ladą.

- *Dobar dan.*

Sam otworzył rozmówki chorwackie kupione na lotnisku w Trieście na stronie z zagiętymi rogami.

- *Zdravo. Ime mi je Sam.* - Wskazał żonę. - Remi.

Mężczyzna wycelował kciuk w swoją pierś.

- Andrej.

- *Govorite li Engleski?* - zapytał Sam.

Andrej poruszył dłonią z boku na bok.

- Trochę. Amerykanie?

Sam skinął głową.

- Tak. Z Kalifornii.

- Szukamy Pietro Tradonico - powiedziała Remi.

- Doży?

- Tak.

- Doża nie żyje.
- Tak, wiemy. Jest tutaj?
- Nie. Umarł. Dawno temu.

Sam spróbował inaczej.

- Przyjechaliśmy z Wenecji. Z wyspy Poveglia. Tradonico przeniesiono tutaj z Poveglii.

Andrej przytaknął.

- W 1805. Pietra i j ego żonę Maj ellę.

Wyszedł zza lady, zaprowadził ich do szklanej gabloty pośrodku salki i wskazał ikonę ozdobioną łuszczącymi się złotymi listkami. Przedstawiała mężczyznę z pociągłą twarzą i długim nosem.

- Pietro - powiedział.

W gablocie były też inne przedmioty, głównie biżuteria i figurki. Fargowie okrążyli ją, przyjrzeni się uważnie eksponatom, spojrzeli na siebie i pokręcili głowami.

- Pan jest Tradonico? - spytała Remi Chorwata. - Andrej Tradonico?

- *Da.* Tak.

- Chcielibyśmy zobaczyć... Czy moglibyśmy...

- Zobaczyć ciało?

- Tak, jeśli to nie kłopot.

- Jasne, żaden problem.

Wskazał im drzwi za ladą i poprowadził krótkim korytarzem do następnych drzwi. Wyjął z kieszeni kamizelki staromodny klucz uniwersalny i otworzył je. Poczuli falę chłodnego, stęchłego powietrza i usłyszeli kapanie wody. Andrej sięgnął za futrynę i pociągnął kawałek sznurka. Rozbłysła pojedyncza żarówka, oświetlając kamienne schodki prowadzące w dół.

- Katakumby - wyjaśnił Andrej i ruszył po stopniach.

Sam i Remi podążyli za nim. Dziesięć metrów niżej schody skręcały ostro w prawo i kończyły się. Usłyszeli szuranie butów

Andreja po kamieniu, potem pstryknięcie i rząd żarówek oświetlił długi, wąski korytarz wysokości około sześciu metrów.

W ścianach po obu stronach były prostokątne nisze, jedna nad drugą, od podłogi do sufitu. Mimo blasku żarówek większość nisz tonęła w cieniu.

- Naliczyłem pięćdziesiąt - szepnął Sam do Remi.
- Czterdzieści osiem - odezwał się Andrej. - Dwie puste.
- Więc nie ma tu całej rodziny Tradonico? - spytała Remi.
- Całej? - Andrej zachichotał. - Nie. Za dużo. Reszta na cmentarzu. Chodźcie, chodźcie.

Poprowadził ich korytarzem, wskazując niektóre nisze.

- Drazan... Jadranka... Grgur... Nada, moja prapraprababka.

Zatrzymał się na końcu przejścia i przyklęknął przy najniższej

niszy w prawej ścianie.

- Pietro - oznajmił, po czym wskazał niszę powyżej. - Majel la. - Sięgnął do kieszeni spodni po miniaturową latarkę i wręczył ją Samowi. - Proszę.

Sam włączył latarkę i poświecił w głąb niszy Pietra. Zobaczył czaszkę. Przesunął snop światła wzdłuż szkieletu i oświetlił niszę Majelli. Tam też leżał szkielet.

- Same kości - szepnęła Remi. - Ale czego się spodziewaliśmy? Że jedno z nich będzie trzymało butelkę?
- No cóż, warto było spróbować - odparł Sam i zwrócił się do Andreja. - Czy kiedy szczątki przywieziono z Poveglii, było coś przy nich?
- Słucham?
- Jakież przedmioty - wyjaśniła Remi. - Rzeczy osobiste.
- Tak, tak. Widzieliście na górze.
- Nie było nic więcej? Na przykład butelki z napisem po francusku?
- Po francusku? Nie. Żadnej butelki.

Fargowie wymienili spojrzenia.

- Cholera - mruknął Sam.
- Żadnej butelki - powtórzył Andrej. - Skrzynka.
- Co?
- Napis po francusku, tak?
- Tak.
- W trumnie była skrzynka. Mała, w kształcie... chleba?
- Tak, o to chodzi! - odrzekła Remi.

Andrej okrążył ich i ruszył z powrotem korytarzem. Sam i Remi podążyli za nim. Zatrzymał się przy pierwszej niszy obok schodów. Ukłękł, sięgnął do środka, poszperał i wyciągnął drewnianą skrzynkę na amunicję z czasów II wojny światowej. Widniały na niej napisy

cyrylicą.

Andrej uniósł wieko.

Na zgniłym brezencie, zagrzebana pod zwojami szpagatu, zardzewiałymi ręcznymi narzędziami i puszkami farby, leżała znajomo wyglądająca skrzynka.

- Dobry Boże - szepnął Sam.

- Mogę? - zapytała Remi. Andrej skinął głową, więc przyklekła i ostrożnie wyjęła skrzynkę. Obróciła ją w rękach, obejrzała ze wszystkich stron, w końcu podniosła wzrok na Sama.

- Czy w środku... - zaczął.

- Coś jest? Tak.

Grand Hotel Duchi D'Aosta, Triest,

Włochy

Sam usłyszał dźwięk swojego iPhone'a. Spojrzał na ekran, odwrócił się do Remi, wymówił bezgłośnie „Selma” i odebrał.

- To nowy rekord - powiedział. - Niecałe dwie godziny.

Siedzieli na balkonie z widokiem na oświetlony Piazza Unita

d'Italia. Zapadła noc i w oddali widzieli mrugające światła portu.

- Rozszyfrowaliśmy już jedenaście linijek i setki symboli - od parła Selma. - To zaczyna być jak drugi język.

Skrzynka rzeczywiście zawierała butelkę z zaginionej piwnicy Napoleona. Sam i Remi stanęli przed poważnym dylematem. Andrej najwyraźniej nie znał wartości tego, co leżało w katakumbach jego rodziny przez ponad dwieście lat, a oni nie chcieli rezygnować z butelki. Tyle że nie należała ani do nich, ani do Andreja, lecz do narodu francuskiego; była częścią jego historii.

- To rzadka butelka wina - wyjaśnił Sam.

- Francuska? - spytał Andrej.

- Tak.

- Napoleon zbeczczył grób Tardonico. Możecie zabrać butelkę.

- Zapłacimy panu za nią - zaproponowała Remi.

Andrej zmrużył oczy i podrapał się w brodę.

- Trzy tysiące kun - oznajmił. Sam przeliczył w pamięci.

- Około pięciuset dolarów - powiedział do Remi. Oczy Andreja rozbliły.

- Macie dolary amerykańskie?

- Tak.

- Więc umowa stoi - rzekł Andrej, wyciągając rękę.

Teraz Selma powiedziała:

- Właśnie przemejlowałam tekst.

- Zadzwonimy do ciebie, jak ją rozwiążemy zagadkę - odparł Sam, rozłączył się i sprawdził swoją pocztę.

Remi popatrzyła mu przez ramię.

- Długa - zauważyła i odczytała na głos:

„Na wschód od dubr

Trzecie z siedmiu wyrośnie.

Król Iovis Dies

Od Alfy do Omegi, z Savoie do Novary, Wybawca Styrii Świątynia na Rozdrożach Zdobywcy.

Kroczył na wschód do niecki i znajdź znak".

- Pięć pierwszych linijek pasuje do wzorca - stwierdziła - ale ostatnia wydaje się zbyt jednoznaczna.

- No właśnie. Po raz pierwszy mówią jasno „idź tu” i „znajdź to”. Być może zbliżamy się do mety.

Remi skinęła głową. -

Oby.

Tak jak poprzednio, zaczęli od wybrania słów, które wydawały się nazwami miejsc lub nazwiskami. Znaczenie „dubr” zawężili do dwóch prawdopodobnych ewentualności: Ad Dubr, wioski w Jemenie Północnym, i *dubr*, celtyckiego słowa oznaczającego wodę.

- Czyli coś na wschód od Ad Dubr albo od jakiejś wody. Co jest na wschód od Ad Dubr? - zastanawiała się Remi.

Sam sprawdził w Google Earth.

- Około stu trzydziestu kilometrów gór i pustyni, a dalej Morze Czerwone. To mało prawdopodobne, zwłaszcza że dotychczas wszystkie miejsca były w Europie.

- Zgadzam się z tobą. Idźmy dalej. Spróbuj „Król Iovis”. Kto to taki?

Sam sprawdził.

- Nie ma takiej osoby. Iovis to nie królestwo ani terytorium. Chyba źle łączymy słowa. „Iovis Dies”, to po łacinie czwartek.

- Król czwartku?

- Jowisz - rzekł Sam. - W mitologii rzymskiej Jowisz był królem bogów, tak jak Zeus w greckiej.

Remi podchwyciła wątek:

- Więc spróbuj wpisać „Jowisz”, „dubr”, „trzy” i „siedem”. Sam

sprawdził różne kombinacje, ale bez skutku.

- Jak brzmi piąta linijka? - zapytał.

- „Świątynia na Rozdrożach Zdobywcy”.

Sam spróbował połączenia „Jowisz” i „Rozdroża Zdobywcy”, ale niczego nie znalazł, więc połączył słowa „Jowisz” i „świątynia”.

- Bingo - mruknął. - Jest mnóstwo świątyń poświęconych Jowiszowi. W Libanie, Pompejach... i w Rzymie. To jest to. Sanktuarium poświęcone Trójcy Kapitołńskiej: Jowiszowi, Junonie

i Minerwie. A najciekawsze, że Kapitol to jedno z siedmiu wzgórz Rzymu.

- „Trzecie z siedmiu wyrośnie”.

- Tak. - Sam znalazł mapę, która pokazywała ten obszar w czasach rzymskich. Odwrócił ekran, żeby Remi mogła zobaczyć.

Po chwili uśmiechnęła się i spytała:

- Widzisz coś znajomego?
- Poza wzgórzem kapitolijnym? Nie.
- Spójrz na zachód.

Sam powiódł palcem po ekranie i zatrzymał się na krętej niebieskiej linii biegnącej z północy na południe.

- Tyber.
- A jakie celtyckie słowo oznacza wodę?

Sam uśmiechnął się szeroko.

- *Dubr.*
- Gdyby to były jedyne linijki zagadki, powiedziałabym, że musimy pojechać do Rzymu, ale coś mi mówi, że rzecz jest bar dziej skomplikowana.

Założywszy, że znaczenie ostatniej linijki - „Kroc na wschód do niecki i znajdź znak” - wyjaśni się, kiedy dotrą do celu, skupili się na wersie czwartym: „Od Alfę do Omegi, z Savoie do Novary, Wybawca Styrii”, oraz piątym: „Świątynia na Rozdrożach Zdobywcy”. Przez następne dwie godziny sprawdzali rozmaite kombinacje i skojarzenia.

Tuż przed północą Sam wyciągnął się na krześle i przeczesał palcami włosy. Nagle znieruchomiał.

- Co się stało? - spytała Remi.
- Jest mi potrzebny skrócony życiorys Napoleona, który prze-mejlowała nam Selma. - Porwał swój iPhone z nocnego stolika i wywołał właściwy mejl. - Jest - rzekł po chwili. - Styria.
- Styria? - Remi przerzuciła swoje notatki. - To region w Austrii.
- Po francusku Styrie. Tak nazywał się koń Napoleona do bitwy pod Marengo w 1800. Potem Bonaparte nadał mu nowe imię dla upamiętnienia zwycięstwa.
- Więc „Wybawca Styrii” to ktoś, kto uratował konia Napoleona. Szukamy weterynarza? Może doktora Dolittle?

Sam zachichotał.

- Raczej nie.
- Przyjmijmy, że dwa wcześniejsze określenia - „Od Alfry do Omegi, z Savoie do Novary” - również dotyczą tego wybawcy. Savoie to francuska nazwa Sabaudii, a Novara to prowincja we Włoszech...
- One wiążą się też z Napoleonem - rzekł Sam. - Novara była główną siedzibą jego administracji w Królestwie Włoch, zanim została oddana Sabaudii w 1814.
- Słusznie. Cofnijmy się do wyrażenia „Od Alfry do Omegi”.
- Początek i koniec; narodziny i śmierć; pierwszy i ostatni.

- Może jest tu mowa o kimś, kto pierwszy stanął na czele administracji Królestwa Włoch, i o tym, kto ją przejął w roku 1814. Nie, chyba nie. Prawdopodobnie szukamy jednego człowieka. Może chodzi o kogoś, kto urodził się w Sabaudii, a zmarł w No-varze?

Sam wpisał obie nazwy do Google i spróbował szeregu kombinacji. Po dziesięciu minutach natknął się na pewną encyklikę na stronie internetowej Watykanu.

- Bernard z Menthon, urodzony w Sabaudii w roku 923 i zmarły w Novarze w 1008, został kanonizowany przez papieża Innocentego XI w 1681 roku.
- Bernard - powtórzyła Remi. - Święty Bernard?
- Tak.
- Przychodzą mi do głowy tylko psy bernardyny.

Sam się uśmiechnął.

- Jesteś blisko. Te psy zyskały sławę dzięki schronisku i klasztorowi na Wielkiej Przełęczy Świętego Bernarda w Alpach Pennińskich. Byliście tam, pamiętasz?

Trzy lata wcześniej zatrzymali się w tamtejszym schronisku podczas wycieczki rowerowej przez Wielką Przełęcz Świętego Bernarda. Schronisko, istniejące od XI wieku, zasłynęło z pielęgnowania rannych i zagubionych w górach, a w roku 1800 odpoczywał tam Napoleon Bonaparte ze swoją armią w drodze przez góry do Włoch.

- Nie wiem, czy są jakieś relacje o wizycie Napoleona - powiedział Sam - ale niewykluczone, że Napoleon powierzył swojego konia kowalom w schronisku. Podczas zamieci śnieżnej wydawałoby się to sensowne.
- Owszem - przyznała Remi. - Zwłaszcza w kontekście ostatniej linijki: „Świątynia na Rozdrożach Zdobywcy”. Przez tamte góry przeprawiało się wielu zdobywców: Hannibal, Karol Wielki, legiony rzymskie.

Sam wpisał do laptopa kombinację „Jowisz - świątynia - Wielka Przełęcz Świętego Bernarda” i otrzymał opublikowaną przez Uniwersytet Oksfordzki relację z ekspedycji do miejsca na szczycie przełęczy, gdzie wznosiła się rzymska świątynia Jowisza.

- Zbudowano ją w 70 roku naszej ery na rozkaz cesarza Augusta

- poinformował Remi i wywołał lokalizację na Google Earth. Mieli przed sobą tylko poszarpany szary granit.
- Nic nie widzę - powiedziała Remi.
- Jest tam - odparł Sam. - Dziś to tylko sterta kamieni, ale jest tam.
- Więc trzeba spojrzeć na wschód od świątyni... - Powiodła palcem wskazującym w poprzek jeziora do klifu wzdłuż południowego brzegu. - Nie widzę żadnej niecki.
- Za niska rozdzielczość. Będziemy musieli stanąć dokładnie w tamtym miejscu.
- To wspaniała wiadomość - stwierdziła Selma, kiedy Sam i Remi zadzwonili do niej dziesięć minut później. Odchyliła się do tyłu na krzesło i wypła łyk herbaty. Bez popołudniowej filiżanki celestial seasonings red zinger czas jej się dłużył. - Przeprowadzę rozpoznanie i podam państwu plan podróży. Postaram się zrobić rezerwację na pierwszy poranny samolot.
- Im szybciej, tym lepiej - rzekła Remi. - Jesteśmy na ostatniej prostej.
- Jeśli wierzyć w historię Bucklina o Nieśmiertelnych i Spar-tanach, musimy założyć, że Spartanie przetransportowali kariatydy przez Włochy do Wielkiej Przełęczy Świętego Bernarda. A potem co?
- Dwa i pół tysiąca lat później natknął się na nie Napoleon. Jak i gdzie, nie dowiemy się, dopóki nie pójdziemy we właściwym kierunku od świątyni.
- Ekscytujące. Prawie żałuję, że tam nie będę.
- Opuściłabyś zacisze swojej pracowni? - roześmiała się Remi. -Niesłychane.
- Mają państwo rację. Obejrzę zdjęcia, jak wrócicie do domu.

Gdy skończyli rozmowę, Selma usłyszała kroki, odwróciła się i

zobaczyła, że jeden z ochroniarzy przysłanych przez Rube'a Hay-wooda podchodzi do drzwi.

- Ben? - zawołała.
- Tak, to ja, Ben.
- Mogę w czymś pomóc?
- Eee... nie. Po prostu wydawało mi się, że coś usłyszałem, więc przyszedłem sprawdzić. To pewnie pani rozmawiała przez telefon.
- Dobrze się czujesz? - spytała Selma. - Kiepsko wyglądasz.
- Jestem tylko trochę przeziębiony. Chyba zaraziłem się od córki.

56

Wielka Przełęcz Świętego Bernarda

Do przełęczy prowadziły dwie drogi: krótsza, z włoskiej Aosty, i dłuższa, ze szwajcarskiej Martigny. Tę dłuższą przebyli Napoleon i jego armia prawie dwieście lat wcześniej. Sam i Remi wybrali krótszą drogę z Aosty i pojechali trasą SS27 na północ przez En-troubles i Saint Rhemy.

Wkrótce dotarli do słynnego tunelu, który biegnie pod przełęczą na odcinku ponad sześciu

kilometrów. Łączy on doliny Aosty i Martigny i chroni podróżnych przed złą pogodą i lawinami.

- Innym razem - powiedział Sam, gdy go minęli i skierowali się wyżej SS27. Przejazd przez tunel wydłużyłby ich podróż pra wie o godzinę, a nie wiedzieli, ile czasu zajmie im wyjaśnienie ostatniej linijki zagadki, woleli więc być ostrożni.

W ciągu pół godziny pokonali wąski kanion i dotarli do jeziora. Przedzielone umowną granicą szwajcarsko-włoską, ma kształt zbliżony do owalu i jest otoczone wysokimi skalnymi ścianami. Na wschodnim brzegu - po szwajcarskiej stronie - stoi schronisko i klasztor, a na zachodnim - po stronie włoskiej - trzy budynki: hotel-bistro, kwatery personelu i koszary *carabinieri*.

Sam zatrzymał się na parkingu naprzeciwko hotelu. Wysiedli i się przeciągnęli. W pobliżu stały cztery inne samochody. Turyści spacerowali po drodze i fotografowali jezioro i szczyty wokół. Pogoda była wspaniała. Słońce świeciło na bezchmurnym niebie, woda lśniła, a szczyty wzdłuż południowego brzegu tonęły w cieniu.

Remi włożyła okulary przeciwsłoneczne.

- Pięknie tu - powiedziała.

- Tak - przyznał Sam. - Dokładnie w tym miejscu był Napoleon, kiedy Stany Zjednoczone istniały zaledwie od kilkudziesięciu lat. Znalazł kariatydy i układali z Laurentem swój plan.

- A może obawiali się, że nie wydostaną się żywi z tych gór podczas zamieci.

- Może. Okej, poszukajmy świątyni. Powinna być na szczycie wzgórza za hotelem.

- Przepraszam - zawołał ktoś po angielsku z włoskim akcentem. Odwrócili się i zobaczyli szczupłego mężczyznę w niebieskim garniturze biegnącego ku nim truchtem od wejścia do hotelu.

- Tak? - zapytał Sam.

- Przepraszam. - Mężczyzna ominął go i zatrzymał się przy zderzaku ich samochodu. Spojrzał na karteczkę, którą trzymał w rękę, potem na tablicę rejestracyjną i odwrócił się do nich. -Państwo Fargo?

- Tak.

- Mam wiadomość dla państwa. Jakaś Selma stara się z państwem skontaktować. Powiedziała, że to pilne i żeby państwo zadzwonili do niej. Możecie skorzystać z telefonu w środku.

Zaprowadził ich do hotelu i wskazał automat telefoniczny w holu. Sam zadzwonił do Selmy. Odebrała po pierwszym sygnale.

- Mamy problem - oznajmiła.

- Co się stało?

- Wczoraj, kiedy rozmawiałam z państwem przez telefon, jeden z ochroniarzy Rube'a - Ben - kręcił się po pracowni. Początkowo zbyt się nad tym nie zastanawiałam, ale potem zaczęło mnie to dręczyć. Sprawdziłam wszystkie stacje Mac Pro. Okazało się, że ktoś zainstalował, a potem usunął keylogger sprzętowy.
- Mów po ludzku, Selmo.
- To pendrive z oprogramowaniem rejestrującym naciśnięcia klawiszy. Włącza się go i zostawia. Dopóki był zainstalowany, ściągał wszystko, co pisałam. Każdego mejla, każdy dokument. Myśli pan, że Bondaruk dotarł do Bena?
- Tak, przez Chołkova. Ale teraz to nieważne. Czy Ben tam jest?
- Nie, spóźnia się na dyżur.
- Jeśli się zjawi, nie wpuszczaj go. W razie potrzeby wezwij szeryfa. Kiedy się rozłączymy, zadzwoń do Rube'a i powtórz mu to, co powiedziałaś mi. Zajmie się tym.
- Co państwo zamierzają?
- Założyć, że będziemy mieli towarzystwo.

Poszli do samochodu po plecaki, okrążyli hotel i ruszyli w górę zbocza. Wokół skalnych wypiętrzeń trawa zaczynała się zielenić, gdzieś tam widzieli purpurowe i żółte polne kwiaty. Gdy dotarli na szczyt, Sam wyjął odbiornik GPS i spojrzał na ekran.

321

21 - Złoto Spartan

- Myślisz, że już tu są? - zapytała Remi, obserwując parking przez zoom aparatu fotograficznego.
- Możliwe, ale nie możemy wpadać w paranoję. Tu są setki ludzi. Proponuję iść dalej. Chyba że zrezygnujemy i wrócimy później.

Remi pokręciła głową.

Ze wzrokiem utkwionym w wyświetlaczu GPS-u Sam przeszedł trzydzieści metrów na południe, potem dziesięć na wschód i przystanął.

- To tu - oznajmił.

Remi rozejrzała się. Dookoła było pusto.

- Jesteś pewien?
- Tak - odrzekł Sam i wskazał ledwo dostrzegalną wyżłobioną w skale prostą linię długości około pół metra. Wkrótce zauważyli następne. Jedne się krzyżowały, inne rozchodziły w różnych kierunkach.
- Tyle zostało z fundamentów - powiedziała Remi.

Doszli do miejsca, gdzie prawdopodobnie był środek świątyni, i spojrzeli na wschód. Sam zerknął na GPS, odnalazł wzrokiem punkt orientacyjny po drugiej stronie jeziora i ruszyli z powrotem w dół zbocza. Przecięli drogę, którą przyjechali, i poszli ścieżką wzdłuż brzegu. Minęli bistro z kamiennych bloków i znaleźli się na skalnej półce, która prowadziła do stromego urwiska. Zeszli na dół, powędrowali szlakiem wokół zatoczki i dotarli do następnej płaszczyzny usianej głazami i kępami trawy. Nad nimi klif wyrastał do góry pod kątem pięćdziesięciu stopni. W cieniu temperatura była niższa o dobrych dziesięć stopni.

- Koniec trasy - powiedział Sam. - Chyba że mamy się wspinać.
- Może przeoczyliśmy coś po drodze.
- Raczej nie. Prawdopodobnie dwieście lat erozji zamieniło nieckę w równinę.
- Albo chodzi o samo jezioro.

Sam usłyszał na prawo od siebie głuchy świst. Odwrócił gwałtownie głowę i popatrzył w tamtą stronę.

- Co się stało? - zapytała Remi.

Położył palec na ustach.

Odgłos się powtórzył w odległości kilkudziesięciu centymetrów. Sam ruszył wzdłuż skalnej ściany i zatrzymał się przed granitową płytą. Miała trzy metry wysokości i niespełna półtora szerokości. W dwóch trzecich wysokości była ukośna szczelina wypełniona żółtozielonymi porostami. Sam stanął na palcach i wsunął palce w szparę.

- Dmucha stamtąd zimne powietrze - powiedział. - Za płytą jest pusto. Górny kawałek waży jakieś dwieście dwadzieścia, dwieście trzydzieści kilogramów. Odpowiednią dźwignią moglibyśmy go podważyć.

Wyjął z plecaka dwa czekany Petzl Cosmique i wetknął je za pas. Wprawdzie nie wiedzieli, co znajdą na przełęczy, ale wydawało się nieprawdopodobne, aby kariatydy ukryto w szafie w schronisku. Lepszą kryjówką byłby jakiś zakamarek gdzieś wysoko lub pod ziemią.

- Podczas następnej przygody życzę sobie mniej eksploracji jaskiń, a więcej tropikalnych plaż - uprzedziła Remi.
- Nikt nie patrzy? - zapytał Sam.

Powiedli wzrokiem po przeciwległym brzegu jeziora i drodze.

- Jeśli tak, to dyskretnie - orzekła Remi.
- Możesz mi posłużyć za drabinę?
- Czy kiedykolwiek odmówiłam?

Sam wsunął palce do szczeliny i podciągnął się na wysokość brody. Remi ustawiła się pod nim, żeby mógł stanąć na jej ramionach i wywindować się na szczyt. Odwrócił się plecami do zbocza i wetknął ostrza czekanów w rumosz między płytą a statkiem w ten sposób, że trzonki sterczały na zewnątrz. Chwycił je, jakby miał zaciągnąć dwa hamulce ręczne.

- Uważaj tam na dole.

Zacisnął zęby, pociągnął trzonki czekanów i napałł nogami. Pęknięta płyta odchyliła się na zewnątrz, zachwiała i runęła. Samowi ześlizgnęły się stopy. Odwrócił się na brzuch, rozpostarł ramiona i przytrzymał skalnej półki. Płyta walnęła o ziemię, wzbijając tuman kurzu.

- Co widzisz? - spytała Remi.
- Bardzo ciemny tunel. Mniej więcej pół na pół metra. Zeskoczył na ziemię i przyklęknięli obok

płyty.

W kamieniu była odcisnięta cykada.

57

Gdy przypięli lampy górnicze i włożyli uprząże wspinaczkowe, Sam podciągnął się na płytę i poświecił w otwór.

- Korytarz biegnie poziomo przez trzy metry, dalej się rozszerza - powiedział. - Nie widzę żadnych półek skalnych.

Wsunął nogi do tunelu, schylił się i pomógł Remi wejść na górę. Kiedy znalazła się na szczycie płyty, zaczął się cofać, a ona pełzła za nim. Gdy dotarli do szerszej części, Sam się odwrócił. Tunel miał metr wysokości, sklepienie pokrywały maleńkie skupiska kalcytu.

Na wprost w podłodze była lejkowata dziura zatkana częściowo przez stalaktyt. Nie zauważyli innych otworów. Poczłógali się naprzód i Sam zajrzał do dziury.

- Mniej więcej dwa metry niżej jest jakaś platforma.

Przekręcił się na plecy, kopnięciami odłamał stalaktyt od sklepienia i wypchnął go z dziury.

- Ja zejść. - Remi przesunęła się do przodu i włożyła nogi do otworu. Sam chwycił ją za rękę i opuścił na platformę. - Okej, jest mocna.

Sam puścił Remi i po chwili do niej dołączył. Wpasował stalaktyt z powrotem do dziury, odczepił od pasa hak skalny i zaklinował między stalaktytem a krawędzią otworu.

- System wczesnego ostrzegania - wyjął aśnił.

Lekko pochyła platforma miała trzy na dwa metry i kończyła się przy skalnej półce, nad którą w blasku latarek zobaczyli rynnę biegnącą pod kątem trzydziestu stopni i na dole skręcającą w prawo.

Sam wyjął z plecaka zwój dziewięciomilimetrowej liny wspinaczkowej, przymocował do jej końca karabinek i przerzucił przez półkę do rynny. Kiedy odwinął sześć metrów liny, karabinek się zatrzymał.

- Następne poziome miejsce. Tylko nie wiemy, jakie szerokie.

- Opuść mnie - powiedziała Remi.

Sam wciągnął linę i przywiązał do jej uprząży, a potem zaparł się nogami o ścianę i zaczął spuszczać Remi do rynny.

- Następna platforma - zawołała po chwili. - Ściana na lewo i na wprost, po prawej półka. - Sam usłyszał zgrzytanie luźnych kamieni pod butami. - I następna ukośna rynnka.

- Jaką szerokość ma platforma?
- Mniej więcej taką samą jak ta, na której jesteś.
- Przesuń się pod ścianę. Schodzę.

Rzucił zwój liny za krawędź i opuścił się na dół. Kiedy dotknął stopami rynny, opadł na tyłek i zjechał na platformę. Remi pomogła mu wstać. Sklepienie było tu wyżej, dobre pół metra nad jego głową, gdzieś zwiślały cienkie stalaktyty.

Sam podszedł do półki i oświetlił lampą rynnę w dole.

- Przyjemna zjeżdżalnia - mruknął.

Przez następny kwadrans opuszczali się na kolejne platformy i do kolejnych rynien, aż w końcu znaleźli się w jaskini wielkości stodoły o sklepieniu pełnym stalaktytów i ścianach z brązowymi plamami polewy naciekowej. Beczkowate stalagmity sterczały z podłoża jak sękaty hydranty przeciwpożarowe.

Sam wyjął z plecaka pręt świetlny. Złamał go i potrząsał nim, dopóki nie rozjarzył się jak zielony neon. Rzucił pręt za pobliski stalagmit, żeby nie był widoczny z platformy powyżej.

Drogę na wprost blokowała ściana, na prawo biegingy trzy tunele - pionowe szczeliny w ścianie, a na lewo stalaktyty niczym smocze kły wisiały nad podłogą.

- Jesteśmy co najmniej trzydzieści metrów pod ziemią -stwierdziła Remi. - Nie ma mowy, żeby ktoś mógł znieść tędy ka riatydy.

- Wiem. Musi być inne wejście. Założę się, że dalej na przełę czy. Słyszysz to?

Na lewo od nich, za „smoczymi kłami”, szumiała woda.

- Wodospad.

Poszli wzdłuż stalaktytów, przystając co kilka kroków, żeby pod nie zajrzeć. Dotarli do miejsca, gdzie część smoczycy kłów się odłamała i powstała luka sięgająca pasa. Dwa brzegi rozpadliny spinał mniej więcej metrowej szerokości skalny most. W połowie jego długości w przepaść opadał cienki strumień wody, wzbijając mgiełkę, która lśniła w snopach światła ich lamp. Za wodospadem widniał ciemny kontur następnego tunelu.

- Nie do wiary! - zawołała Remi przez szum. - To z jeziora?

Sam przysunął usta do jej ucha.

- Raczej z topniejącego śniegu. Pewnie nie będzie go tu za parę miesięcy.

Zawrócili.

Gdzieś z oddali dobiegł metaliczny dźwięk, na chwilę zapadła cisza, a potem rozległa się seria brzęknięć, gdy skalny hak Sama opadał w dół rynnami.

- Mógł się po prostu wysunąć - powiedziała Remi.

Podkradli się z powrotem do platformy i nasłuchiwali. Minęła

minuta. Dwie. Potem rozległ się głos:

- Opuść mnie.

- Cholera - mruknął Sam.

Oboje rozpoznali głos Hadeona Bondaruka.

- Ile mamy czasu? - spytała Remi.

- Na pewno nie zejdziesz sam - odparł Sam. - Dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut.

- Najwyraźniej uważa, że jesteśmy na właściwym tropie. Przyszedł po swoją nagrodę.

- To się rozczaruje - mruknął Sam. - Chodźmy.

Kłucząc między stalagmitami, dotarli do przeciwległej ściany i zajrzeli kolejno do każdej szczeliny. W pierwszym i środkowym tunelu zobaczyli tylko ciemność. Trzeci po dwóch metrach skręcał w lewo. Sam spojrzął pytająco na Remi.

- Rzut monetą - powiedziała.

Wśliznęli się do szczeliny. Gdy pokonali zakręt, Remi potknęła się o coś i upadła. Sam pomógł jej wstać.

- Nic ci nie jest? - spytał.

- Nie, wszystko w porządku - odparła. - Co to było? Przedmiot

na podłodze zaślnił w blasku jej lampy. Sam wrócił

i podniósł go. Był to prosty, wąski miecz długości około sześćdziesięciu centymetrów. Choć mocno zaśnieżony, płomy jasnej stali wciąż widniały na ostrzu.

- To xiphos, broń spartańskiej piechoty. Mój Boże, oni tu byli.

Sam otrząsnął się z zamyślenia i ruszyli dalej.

Tunel wił się przez następnych piętnaście metrów do rozgałęzienia o trzech odnogach.

- Na lewo jest chyba główny korytarz - powiedział Sam. - Prowadzi z powrotem do jaskini.

- Dziękuję, nie skorzystam - mruknęła Remi.

Po sześciu metrach tunel zaczął opadać, najpierw łagodnie, potem coraz bardziej stromo, aż w końcu musieli iść od ściany do ściany i szukać oparcia dla rąk. Mijały minuty. Skręcili za róg i Sam ledwo wyhamował przed litą ścianą.

- Ślepy zaułek - powiedziała Remi.

- Nie całkiem - odparł Sam.

Na styku ściany z podłogą dostrzegł poziome pęknięcie. Ukucnął i poświecił do środka. Szczelina miała niecałe pół metra wysokości. Dmuchało z niej chłodne powietrze.

- To może być drugie wejście - zauważyła Remi. - Sprawdzę.

- To zbyt ryzykowne.

W tunelu za nimi rozległ się głos:

- I co? - To był Chołkow Dwa

inne głosy odkrzyknęły:

- Nic!

- Bondaruk, Chołkow i jeszcze dwóch - wyliczył Sam.

- Idę - oświadczyła Remi.

- Remi...

- Jest mniejsze niebezpieczeństwo, że utknę. A jeśli nawet, dasz radę wyciągnąć mnie z powrotem. Wsunę się tylko kawałek i zobaczę, co tam jest.

Sam zmarszczył brwi, ale skinął głową. Gdy Remi zdjęła plecak i uprząż, przywiązał koniec liny do jej kostki. Położyła się na brzuchu i wpełzła do otworu.

- Wystarczy - szepnął Sam.

- Poczekaj, coś jest na wprost.

Jej stopy zniknęły w szczelnie i Sam usłyszał zgrzyt luźnych kamieni. Po trzydziestu sekundach odgłos ucichł. Sam wstrzymał oddech. W końcu rozległ się szept Remi:

- Tu jest następna jaskinia.

Zdjął plecak i pas, położył je na rzeczach Remi i wetknął między jedne a drugie xiphos. Przewiązał wszystko liną i wsunął prowizoryczny tobolek do szczeliny.

- Okej, teraz ty! - zawołała Remi.

Sam rozpląsał się na ziemi i wpełzł do otworu. Usłyszał za sobą jakiś hałas.

Znieruchomiał.

W tunelu rozległy się kroki, a potem odgłos butów na żwirze. Snop światła latarki omiół ściany.

- Są tam! - krzyknął ktoś. - Mam ich!

Sam poczołgał się naprzód.

- Stój!

Sam pęłzł dalej. Trzy metry przed sobą zobaczył następne pęknięcie i głowę Remi na tle blasku jej lampy. Rzuciła mu linę. Złapał ją, nie przestając się czołgać. Remi zaczęła ciągnąć linę ręką za ręką.

- Zastrzel go! - rozkazał Chołkow.

Rozległ się huk. Tunel wypełniło pomarańczowe światło. Sam poczuł piekący ból w lewej łydce. Chwycił wyciągniętą rękę Remi, podkurczył nogi i odepchnął się mocno. Wypadł z dziury głową do przodu, zrobił niezgrabny przewrót i wyładował jak kłoda. Broń wypaliła jeszcze dwa razy, pociski zrykoszetowały nieszkodliwie tuż nad ich głowami.

Sam przetoczył się i usiadł. Remi ukucnęła przy nim i podciągnęła mu nogawkę spodni.

- To tylko draśnięcie - orzekła. - Dwa i pół centymetra w prawo i nie miałbyś pięty.

- Istny cud.

Wyjęła z plecaka apteczkę i sprawnie owinęła ranę bandażem elastycznym. Sam wstał, wypróbował sprawność nogi i skinął głową.

Z pęknięcia dobiegły odgłosy czółgania.

- Musimy zablokować dziurę - powiedział Sam.

Rozejrzeli się po jaskini. Żaden ze stalaktytów nie był na tyle

cienki, żeby go odłamać, ale Sam dostrzegł coś przy prawej ścianie. Podbiegł tam i podniósł żerdź, w której rozpoznał włócznię. Drzewce, zadziwiająco dobrze zachowane, było pokryte jakąś substancją przypominającą lakier.

- Spartańska? - zapytała Remi.

- Nie, grot ma inny kształt. Chyba perska.

Sam uniósł włócznię podbiegł z powrotem i przywarł do skały pod pęknięciem.

- Odwróć się i wracaj! - krzyknął.

Żadnej odpowiedzi.

- Ostatnia szansa!

- Idź do diabła!

Znów huknął strzał. Pocisk trafił w przeciwległą ścianę.

- Jak chcesz - mruknął Sam. Zamachnął się i wbił włócznię w otwór. Zagłębiła się w coś miękkiego i usłyszeli gwałtowny wdech. Sam wyrwał włócznię i dał nura w dół. Czekali, spodzie wając się, że ich przeciwnik zawoła swoich kompanów, ale pano wała cisza.

Sam wstał i zajrzał do otworu. Mężczyzna leżał bez ruchu kilkadziesiąt centymetrów od krawędzi. Sam sięgnął po jego broń, rewolwer Magnum 357.

- Ja go wezmę - zaproponowała Remi. - Ty masz zajęte ręce. Chyba że chcesz się rozstać ze swoją dziądą.

Sam podał jej rewolwer.

- Wyciągnięcie go zajmie im trochę czasu - powiedziała.

- Bondaruk nie będzie zawracał sobie tym głowy - odparł Sam. - Poszukają innego wejścia.

Rozejrzeli się po jaskini. Miała kształt nerki i była mniejsza od poprzedniej, wysoka na jakieś trzy i pół metra. Wyjście dostrzegli w prawej ścianie.

Poszukali wśród stalaktytów innych przedmiotów zrobionych przez człowieka, ale niczego nie znaleźli.

- Ilu Persów i Spartan przeżyło według Bucklina? - zapytał Sam.
- Około dwudziestu Spartan i trzydziestu Persów.
- Remi, spójrz na to.

Podeszła do Sama, który stał obok czegoś o wyglądzie dwóch stalaktytów. Były puste, ich boki rozchodziły się do góry jak płatki kwiatu z polewy naciekowej. Przestrzenie wewnątrz miały idealnie cylindryczny kształt.

- Oni tu byli, Sam - powiedziała Remi.
- To jedyne miejsce, do którego mogli przyjść - zgodził się z nią.

Podeszli do ściany i dali nura do tunelu. Meandrował przez sześć metrów i wychodził na skalną półkę. Nad rozpadliną ciągnął się następny skalny most, prowadzący do kolejnego tunelu. Sam wychylił się, żeby sprawdzić jego grubość.

- Wydaje się solidny, ale... - Rozejrzał się dookoła. Nie było żadnych stalaktytów do przywiązania liny. - Moja kolej.

Zanim Remi zdążyła zaprotestować, Sam wszedł na most. Zatrzymał się, stał nieruchomo przez kilka sekund, po czym przeszedł na drugą stronę. Remi dołączyła do niego. Przedostali się przez gęsty las stalaktytów i wyszli na otwartą przestrzeń.

Tam stanęli jak wryci.

- Sam... - mruknęła Remi.
- Widzę je.

W świetle lamp dostrzegli kariatydy. Leżały jedna przy drugiej na podłodze, zwrócone złotymi obliczami ku sklepieniu. Sam i Remi podeszli i przyklękali.

Złote popiersia kobiet zostały odlane z taką dbałością o szczegóły, że widać było drobne fałdki i szwy szat. Kobiety miały na głowach wieńce laurowe; każda łódzka, listek i pączek stanowiła dzieło sztuki samo w sobie.

- Kto je przeniósł? - zastanawiała się Remi. - Laurent? Jak zdołał to zrobić?
- Popatrz tam - odparł Sam, wskazując ręką.

Przy ścianie stały prowizoryczne sanie zrobione z sześciu zachodzących na siebie tarcz. Każda miała kształt klepsydry i wysokość półtora metra. Związane czymś, co przypominało katgut, tworzyły płytkie czółno.

- Widzieliśmy taką tarczę u Bondaruka - przypomniał Sam. - To perski gerron. Wyobraź sobie: Laurent tkwił tu sam, budował sanie, a potem przeciągał każdą kariatydę przez most... Niesamowite.

- Ale dlaczego zostawił je tutaj ?

- Nie wiem. Jak pamiętasz, jest kilkuletnia luka w jego życiorysie, zanim wynajął Arienne'a i „Faucona”. Może Napoleon kazał mu wydostać kariatydy, a Laurent zdawał sobie sprawę, że nie zdoła tego zrobić bez pomocy, więc zostawił je tu, zakładając, że po nie wróci.

- Patrz, światło dzienne.

Sam spojrział w górę. Remi przesunęła się wzdłuż ściany i uklękła przy szczelinie szerokości ramion, zablokowanej odłamkami skalnymi. Cienki jak ołówek promień słońca przenikał z drugiego końca tunelu.

- Napoleon i Laurent mogli tędy wejść - powiedziała Remi -ale my tędy nie wyjdziemy.

- Poszukajmy innej drogi - odrzekł Sam. - Trzeba sprowadzić posiłki.

Znaleźli inny otwór, niewiele większy od szczeliny, przez którą przeszli wcześniej. Przecisnęli się przez niego do tunelu prowadzącego w kierunku głównej jaskini. Przez dwadzieścia minut posuwali się naprzód, aż w końcu dotarli do rozwidlenia. Na lewo usłyszeli szum wody.

- Wodospad - powiedziała Remi.

Podkradli się do wylotu tunelu. Przed nimi sterczały smocze kły, na lewo była skalna platforma. Ledwo dostrzegali blask świetlnego pręta za beczkowatym stalaktytem.

- Nikogo nie widzę - szepnął Sam.

- Ja też nie.

Ruszyli przez jaskinię w stronę platformy.

Sam dostrzegł kątem oka ruch ułamek sekundy wcześniej, niż huknął strzał. Pocisk trafił w stalaktyt obok jego biodra. Schylił się. Remi błyskawicznie wykonała obrót, wycelowała w nadbiegającą postać i nacisnęła spust. Mężczyzna odwrócił się i upadł, ale po chwili zaczął wstawać.

- Uciekaj! - krzyknął Sam.

Popędzili ku smoczemu kłom, przedostali się przez lukę i wpadli na śliski od wody most. Nie zwalniając, przedarli się przez wodospad. Kiedy dotarli do skalnej półki, Remi pobiegła dalej i dała nura do tunelu, a Sam zatrzymał się z poślizgiem i odwrócił.

Przez spadającą wodę zobaczył ścigającą ich postać. Rzucił xi-phos i włącznię, nabrał dwie garście żwiru i cisnął na most. Chwilę później mężczyzna przeszedł przez wodospad. Poślizgnął się na żwirze i stracił równowagę. Wytrzeszczył oczy, zamachał rękami i stracił równowagę. Stopa zsunęła mu się z mostu. Usiłował zaprzeć się drugą, ale bez skutku. Zniknął z wrzaskiem w przepaści.

Remi wyrosła u boku Sama. Podniósł włącznię i odwrócił się do niej.

- Dwóch z głowy, dwóch do...

- Za późno - rozległ się znajomy głos. - Nie ruszać się. Sam

się obejrzał. Chołkow stał na moście przed wodospadem.

Celował w nich z glocka kaliber 9 milimetrów.

- Mam jeszcze jeden nabój - szepnęła Remi. - I tak nas zabiję.
- To prawda - mruknął Sam.
- Zamknij się, Fargo - warknął Chołkow. - Odsuń się od żony.

Sam odwrócił się lekko, wciąż zasłaniając rękę Remi z bronią, i bardzo wolno uniósł włącznię, celując w Chołkova. Rosjanin

odruchowo spojrzął na grot. Remi wykorzystała okazję. Błyskawicznie zgięła rękę w łokciu i strzeliła z biodra.

W piersi Chołkova pojawił się okrągły otworek; czerwona plama rozlała się z przodu jego swetra. Osunął się na kolana, rozdziawił usta i wlepił wzrok w Fargo. Sam zobaczył, że ręka, w której trzyma broń, drży i glock zaczyna się unosić. W jednej chwili skoczył na most. Chołkow nie zdążył zareagować. Stalowy grot osadzony na ponaddwumetrowym drzewcu zagłębił się w jego piersi i przebił go na wylot. Sam schylił się, wyrwał mu glocka i szarpnął włącznię w bok. Chołkow spadł z mostu. Sam przysunął się do krawędzi i popatrzył, jak Rosjanin znika w przepaści.

Remi podeszła do męża.

- Zasłużył sobie na to - skomentowała krótko.

Wrócili do jaskini i ruszyli między stalaktytami z powrotem ku platformie. Rozglądali się uważnie w obawie, że Bondaruk nagle wyjdzie z któregoś z tuneli, ale nic się nie poruszało. Oprócz dalekiego szumu wody wokół panowała cisza.

Zatrzymali się na platformie.

- Tym razem ja będę drabinką. - Sam klęknął i zrobił strzemię z dłoni.

Remi ani drgnęła.

- Gdzie jest pręt świetlny? - spytała.

Odwrócił się.

- Tam...

Za beczkowatym stalaktytem zielony blask się przesunął.

- Uciekaj, Remi - szepnął Sam.

Nie dyskutowała; odwróciła się i ruszyła sprintem z powrotem przez jaskinię w stronę tuneli na wprost smoczych kłów.

Trzy metry przed Samem wyrósł Bondaruk. Niczym kuguar, który dostrzegł umykającego zająca, odwrócił się błyskawicznie, uniósł broń i wycelował w Remi.

- Nie! - krzyknął Sam. Poderwał glocka do góry i strzelił. Po cisk nie trafił Bondaruka w głowę, ale drasnął go w policzek i rozciął mu ucho. Ukrainiec wrzasnął, odwrócił się i wypalił z pistoletu.

Sam poczuł uderzenie jak młotem w lewy bok. Ból przeszył go od piersi po oczy. Zatoczył się do tyłu i przewrócił. Glock wypadł mu z ręki.

- Sam! - krzyknęła Remi.

- Nie ruszaj się! - warknął Bondaruk. Wyszedł zza beczkowatego stalaktytu, zbliżył się do Sama i wycelował broń w jego głowę. - Podejdź tu! - rozkazał.

Remi nie zareagowała.

- Powiedziałem, podejdź tu!

Remi oparła ręce na biodrach.

- Nie. I tak nas zabijesz.

Sam leżał nieruchomo i próbował złapać oddech. Przez szum krwi w uszach starał się skoncentrować na głosie Remi.

- Nieprawda. Powiecie mi, gdzie są kariatydy, a ja...

- Jesteś kłamcą i mordercą i możesz iść do diabła. Może znajdziesz kariatydy bez nas, ale nie pójdzie ci to łatwo.

Po tych słowach Remi odwróciła się na pięcie i zaczęła odchodzić. Jej nieoczekiwany opór odniósł pożądany skutek.

- Wracaj tu, do cholery!

Bondaruk wycelował w nią z pistoletu. Sam wziął głęboki oddech, zacisnął zęby i poderwał się do pozycji siedzącej. Uniósł xiphos nad głowę i zadał cios. Klinga trafiła Bondaruka w nadgarstek. Choć nieużywany od dwóch i pół tysiąca lat, spartański miecz wciąż był wystarczająco ostry, by przeciąć ciało i kość.

Odrąbana dłoń Bondaruka upadła na ziemię. Wrzasnął, ścisnął kikut drugą ręką i osunął się na kolana.

Remi podbiegła do Sama i uklękła obok niego.

- Pomóż mi wstać - poprosił.

- Leż spokojnie.

Przetoczył się i ukląkł.

- Pomóż mi wstać - powtórzył.

Zrobiła to. Z grymasem bólu na twarzy Sam się wyprostował. Przycisnął dłoń do rany postrzałowej.

- Mam zakrwawione plecy? - spytał.

- Tak.

- To dobrze. Pocisk przeszedł na wylot.

- Nie powiedziałabym, że to dobrze.

- Wszystko jest względne.

Sam podszedł do Bondaruka, odkopnął jego broń i złapał go za kołnierz kurtki.

- Wstawaj.

- Nie mogę! - wydyszał Bondaruk. - Moja ręka!

Sam postawił go na nogi.

- Jak się czujesz na wysokości?

- Co to znaczy?

Sam spojrzał pytająco na Remi. Skinęła głową z ponurą miną. Sam zaczął na wpół ciągnąć, na wpół prowadzić Bondaruka przez jaskinię w kierunku smoczych kłków.

- Puść mnie! - krzyknął Ukrainiec. - Co ty robisz?

Sam szedł dalej.

- Stój, stój, dokąd idziemy?

- My? - odrzekł Sam. - My nigdzie. Ty. Zaraz wystartujesz ekspresową windą do piekła.

Epilog

Beaucourt, Francja a Cztery tygodnie później

Remi skręciła wypożyczonym citroenem w obsadzoną drzewami zwirową drogę dojazdową i po stu

metrach zahamowała przed otynkowanym na biało piętrowym wiejskim domem z czarnymi okiennicami. Zaparkowała przy płocie i wyłączyła silnik. Na prawo od domu był prostokątny ogród ze spulchnionym czarnoziemem przygotowanym pod sadzonki. Wybrukowana ścieżka prowadziła od furty do drzwi.

- Jeśli mamy rację - powiedziała Remi - to za chwilę zmienimy życie tej dziewczyny.
- Na lepsze - dodał Sam. - Zasługuje na to.

Po konfrontacji w jaskini spędzili dwie godziny w drodze powrotnej do wyjścia. Remi wspinała się pierwsza, przygotowywała karabinki i haki skalne i podciągała Sama, na ile mogła. Nie zgodził się, żeby sprowadziła pomoc. Zeszli na dół razem i razem wrócą na górę, powiedział.

Gdy znaleźli się na zewnątrz Sam ułożył się wygodnie, a Remi pobiegła do hotelu, gdzie wezwała pomoc.

Nazajutrz byli w szpitalu w Martigny. Pocisk nie uszkodził żadnych ważnych narządów, ale Sam czuł się jak worek bokserski. Zatrzymano go na dwa dni na obserwację, a potem wypisano. Trzy dni później wrócili do San Diego, gdzie Selma wyjaśniła im, jak Bondaruk i Chołkow trafili za nimi na Wielką Przełęcz Świętego Bernarda. Chołkow dotarł do jednego z ochroniarzy przysłanych przez przyjaciela Rube'a i postawił mu ultimatum: albo zainstaluje keylogger, albo jego córki zostaną porwane. Sam i Remi nie mogli winić mężczyzny za to, jakiego wyboru dokonał. Policji nie zawiadomiono.

Następnego dnia rozpoczęli działania mające na celu przekazanie kariatyd rządowi greckiemu. Najpierw zadzwonili do Evelyn Torres, która natychmiast skontaktowała się z dyrektorem Delfickiego Muzeum Archeologicznego. Od tego momentu wypadki potoczyły się szybko i po tygodniu ekspedycja greckiego Ministerstwa Kultury była w jaskini pod jeziorem przy Wielkiej Przełęcz Świętego Bernarda. W drugim dniu ekipa znalazła boczną jaskinię. Leżały tam dziesiątki szkieletów Spartan i Persów oraz ich broń i ekwipunek.

Evelyn powiedziała, że miną tygodnie, zanim kariatydy zostaną wydobyte z jaskini, ale ministerstwo jest pewne, że dotrą bezpiecznie do kraju i trafią do muzeum. Przed końcem roku naukowcy z całego świata będą musieli przemyśleć na nowo część historii Grecji i Persji.

Hadeon Bondaruk zginął, nie zobaczywszy swoich ukochanych kariatyd.

Kiedy Sam w pełni wydobrał, skupili uwagę na zaginionej piwnicy. Według legendy Napoleon kazał swojemu enologowi, Henriemu Emile'owi Archambault, wyprodukować dwanaście butelek wina Lacanau. Fargo wie, że mogli się doliczyć tylko pięciu: jedną zgubił Manfred Boehm i się rozbiła, o czym świadczył kawałek szkła wyłowiony z Pocomoke przez Teda Frobischera; trzy znaleźli oni - na pokładzie molcha, przy kościele Świętego Bartłomieja i w katakumbach rodziny Tradonico w Oportalj; jedną ukradł Chołkow z mordera na Rum Cay, po czym prawdopodobnie dostarczył ją do posiadłości Hadeona Bondaruka, co właśnie ustalały rządy Ukrainy i Francji. Sami i Remi przekazali swoje butelki francuskiemu Ministerstwu Kultury, które zaoferowało Fundacji Fargo darowiznę w wysokości siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Co się stało z resztą butelek? Zaginęły czy czekają gdzieś na odnalezienie? Sam i Remi uznali, że odpowiedź może znać człowiek, który dał początek legendzie o zaginionej piwnicy, przemytnik

i kapitan „Faucona” Lionel Arienne, wynajęty rzekomo przez Laurenta do pomocy w ukryciu butelek.

O ile się orientowali, Napoleon powierzył to zadanie Laurentowi

i obaj zadali sobie wiele trudu, by butelki pozostały w ukryciu. Dlaczego więc Laurent wziął do pomocy kapitana, którego poznał w tawernie w Hawrze?

Znalezienie odpowiedzi na to pytanie zajęło im dwa tygodnie. Pierwszy postój zrobili w Newberry Library w Chicago, gdzie przez trzy dni przeglądali Spencer Collection, największy zbiór oryginalnych materiałów źródłowych o Napoleonie w Stanach Zjednoczonych. Stamtąd polecili do Paryża, gdzie spędzili cztery dni w Bibliotheque Nationale de France i trzy dni w archiwum resortu obrony w Chateau de Vincennes. W końcu, z notesem pełnym zapisków, kopiami aktów urodzenia i zgonu oraz wojskowych dokumentów zwolnień i przeniesień, pojechali na zachód do Rouen, stolicy Normandii. Tam, w podziemiach archiwum prowincji, znaleźli ostatnie ogniwo łańcucha.

We wrześniu 1818 roku sierżant Leon Arienne Pelletier, zasłużony grenadier armii napoleońskiej i podwładny Arnauda Laurenta podczas kampanii włoskiej w roku 1800, został zwolniony ze służby z nieudokumentowanych przyczyn i wrócił do swojego domu w Beaucourt, sto osiemdziesiąt pięć kilometrów na wschód od Hawru. Dwa miesiące później zniknął z Beaucourt, pojawił się w Hawrze z kompletem nowych dokumentów tożsamości i kupił trzymasztową barkentynę „Zodiaque”. Żaglowiec kosztował więcej niż ośmiu sierżantów mogłoby zarobić w armii francuskiej przez całe życie. Pelletier zmienił nazwę statku na „Faucon” i zaczął przemycać broń i alkohol wzdłuż wybrzeża. Nie miał dużych zysków i, o dziwo, nigdy nie naraził się władzom francuskim. W czerwcu 1820 roku Arnaud Laurent wszedł do hawrskiej tawerny i wynajął Lionela Arienne'a i „Faucona”. Rok później Arienne wrócił do Hawru, sprzedał „Faucona” i ponownie osiadł w Beaucourt, gdzie powoli, ale nieprzerwanie przepijał i przegrywał swój majątek.

Dlaczego Pelletier alias Arienne postanowił wyjawić swój sekret na łożu śmierci, ani Sam, ani Remi nie mieli pojęcia, ale wydawało się jasne, że on, Laurent i Napoleon byli jedynymi, którzy wiedzieli

o kariatydach ze skarbcza Syfnińczyków. Prawdopodobnie nigdy się też nie dowiedzą, jak ci trzej mężczyźni je znaleźli.

Pamiętnik, i jednocześnie książka szyfrów, Laurenta wyjaśnił dwie pomniejsze zagadki: dziesięć miesięcy po tym, jak on i Arienne zabrali butelki ze Świętej Heleny i przez prawie rok ukrywali je w różnych miejscach, dostali wiadomość o śmierci Napoleona. Laurent był już w drodze do Marsylii, więc ukrył trzy butelki w zamku If, zanim wrócił do portu. O innych butelkach nic nie napisał.

To, że Napoleon II nigdy nie wyruszył na poszukiwania, które wymyślił dla niego ojciec, było powodem rozpaczy Laurenta. Od powrotu do Francji z Arienne'em do chwili swojej śmierci w roku 1825 Laurent napisał do niego dziesiątki listów, błagając go, aby wypełnił wolę ojca, ale Napoleon II odmawiał, twierdząc, że nie widzi powodu, by opuszczać wygodny dwór królewski w Austrii dla „dziecinnej zabawy w chowanego”.

Jak się okazało, sierżant Leon Arienne Pelletier miał jedną żyjącą potomkinię, daleką kuzynkę nazwiskiem Louisa Foque. Dwudziestojednoletnia kobieta była mocno zadłużona, bo jak jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym rok wcześniej, zostawiawszy niespłacony kredyt hipoteczny na wiejski dom w Beaucourt.

- Jak ona to przyjmie, twoim zdaniem? - zapytała Remi.

- Przekonajmy się.

Wysiedli z samochodu i ruszyli ścieżką do frontowych drzwi. Remi pociągnęła za rzemyk i zadzwieczała dzwonek. Po chwili w progu ukazała się drobna kobieta o jasnobrażowych włosach.

- *Oui?* - powiedziała.

- *Bonjour.* Louisa Foque?

- *Oui.*

Remi przedstawiła ich i zapytała Louise, czy zna angielski.

- Tak, znam.

- Możemy wejść? Mamy informacje o pani krewnym, Leonie Pelletierze. Kojarzy pani to nazwisko?

- Tak. Ojciec pokazał mi kiedyś nasze drzewo genealogiczne. Proszę wejść.

Zaprowadziła ich do kuchni urządzonej w typowym francuskim stylu prowincjonalnym: żółte ściany, lakierowany dębowy stół i szarozielony kredens z kilkoma sztukami porcelany chino-iserie. W oknach wisiały rozsunięte zasłony w wesołą pomarańczową kratę.

Louisa zrobiła herbatę i usiedli przy stole.

- Bardzo dobrze mówi pani po angielsku - zauważyła Remi.

- Studiowałam literaturę amerykańską w Amiens. Musiałam zrezygnować. Były... miałam problemy rodzinne.

- Wiemy - odrzekł Sam. - Bardzo nam przykro.

Louisa skinęła głową i zmusiła się do uśmiechu.

- Wspomnieliście państwo, że macie jakieś informacje o moim przodku.

Przedstawili jej swoją teorię na temat Pelletiera i zaginionej piwnicy i ich związku z kariatydami Syfnińczyków. Remi wyjęła z torebki pół tuzina wycinków prasowych i podsunęła je przez stół Louise, która przebiegła wzrokiem artykuły.

- Czytałam o tym - powiedziała. - Państwo byli w to zaangażowani?

Sam potwierdził.

- Nie mogę w to uwierzyć. Nie miałam pojęcia. Rodzice nigdy nic nie mówili.

- Bo nic nie wiedzieli. Poza Napoleonem i Laurentem tylko Pelletier znał tę tajemnicę i nie ujawnił jej do końca życia. Nawet na łożu śmierci nie opowiedział całej historii.

- I nikt mu nie uwierzył.

Remi się uśmiechnęła.

- Prawie nikt.

Louisa milczała dłuższą chwilę, wreszcie pokręciła głową ze zdumieniem.

- Dziękuję za wiadomość. Miło wiedzieć, że ktoś w naszej rodzinie zrobił coś ważnego. Trochę dziwnego, ale jednak ważnego.

Sam i Remi wymienili spojrzenia.

- Chyba nie wyraziliśmy się jasno - rzekł Sam. - Gdzieś są jeszcze nieodnalezione butelki.

Louisa zamrugała.

- I myślą państwo, że... tutaj ?

Sam wyjął swój iPhone i wyświetlił zdjęcie cykady.

- Czy kiedykolwiek widziała pani ten symbol?

W odpowiedzi Louisa wstała i podeszła do półki z garnkami nad zlewem. Zdjęła głęboką patelnię i postawiła ją na stole przed Samem. Rączka była zrobiona z pręta grubości kciuka. Na jego końcu widniała taka sama cykada, jaką widzieli w krypcie Laurenta.

- Mój ojciec znalazł to na strychu kilka lat temu - wyjaśniła Louisa. - Nie wiedział, co to jest, więc wykorzystał to do naprawy patelni.

- Ma pani piwnicę? - zapytała Remi.

Wprawdzie badania zyciorysu sierżanta Pelletiera ujawniły sporo niespodzianek, ale podważyły również jedno z ich podstawowych założeń, że jedynie Laurent ukrywał butelki.

Spędziwszy tyle czasu na poszukiwaniach, zaczęli rozumować jak Laurent i Pelletier, więc znalezienie tego, po co przyjechali, zajęło im zaledwie piętnaście minut.

W północno-zachodnim rogu piwnicy, poniżej ściany obok piwniczki na warzywa, trafili na blok z wybitą na nim cykadą. Sam użył dźwigni, a Remi sięgnęła w głąb. Louisa stała za nimi z latarką.

Remi wysunęła rękę z dziury i uklękła.

- Siedem - oznajmiła.

- O mój Boże... - wyszeptała Louisa. Remi odsunęła się na bok, żeby dziewczyna mogła uklęknąć i sama zobaczyć. - Od kiedy one tu są?

- Od mniej więcej stu dziewięćdziesięciu lat - odrzekł Sam.

- I co teraz będzie?

Remi się uśmiechnęła.

- Louiso, jest pani bogata. Spłaci pani dom, wróci na studia

i będzie żyła długo i szczęśliwie.

Trzymając się za ręce, Sam i Remi wrócili do samochodu.

- Mamy jedenaście butelek z dwunastu - powiedziała Remi. - Nieźle.

- Lepiej niż nieźle. Pomyśl. Te butelki przetrwały podróż dookoła świata, upadek Napoleona i dwie wojny światowe. Istny cud.
- Słusznie. Ale muszę wyznać, że trochę mi smutno.
- A to dlaczego?
- Dlatego że to koniec tej przygody - odrzekła tęsknie.
- Koniec? Nigdy w życiu. Skarb Patty Cannon wciąż gdzieś jest, a mamy jeszcze do przeszukania większość Pocomoke Swamp.

Remi się roześmiała.

- A co potem?
- Wybierzemy jakieś miejsce na mapie i pojedziemy tam.

Podziękowania

Chcielibyśmy podziękować następującym osobom za uprzejme podzielenie się swoją wiedzą:

Yvonne Rodoni Bergero, Stanford Society, Amerykański Instytut Archeologiczny; Martinowi Burke'owi; Christie B. Cochrell, dyrektor do spraw ekspozycji, Stanford University Press; K. Kris Hirst, Sekcja Archeologii, About. com.

Doktorowi Patrickowi Huntowi, kierownikowi Alpejskiego Programu Archeologicznego Uniwersytetu Stanforda 1994-2009 i Ekspedycji Hannibal Narodowego Towarzystwa Geograficznego 2007-2008, Uniwersytet Stanforda; Tomowi Iliffe'owi, wykładowcy biologii morskiej, Texas A&M University; dr. med. D.P. Lyle'owi; Katie McMahan, bibliotekarce z Newberry Library w Chicago; dr. Connellowi Monette'owi, wykładowcy literatury na Uniwersytecie Al Akhawayn w Ifrane w Maroku; profesorowi Ericowi Rossowi z Uniwersytetu Al Akhawayn w Ifrane w Maroku; Jo Stoopowi; Stephenowi Tomsowi; Timowi Vandergriftowi, publicyście winiarskiemu i dyrektorowi do spraw usług technicznych w Winexpert Ltd.

I na końcu, ale wcale, wcale nie mniej: Janet, za jej cenne wskazówki i spostrzeżenia.